

SYSTEMATYCZNY KURS NAUK

# WYPISY POLSKIE

na klasy: Wstępną, I<sup>-szą</sup> i II<sup>-gą</sup>

UŁOŻYŁ

August Jeske

WYDANIE DZIESIĄTE

uzupełnione „DODATKIEM“ zawierającym

wstępy zalecone przez Okrąg Naukowy Warszawski do uczenia się na pamięć.

Wydanie 9-te tych Wypisów było zalecone przez Okrąg Naukowy Warszawski  
do użytku w szkołach.



WARSZAWA  
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1901



884-82 (038)

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 22 Января 1901 года.

## 1. Z Bogiem.

«Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa!»  
Tak mawiali starzy;  
Gdy pomocy Boskiej wezwiesz,  
Wszystko ci się darzy.  
Masz się uczyć, to pamiętaj  
Z Bogiem zacząć, dziatwo!  
On to sprawia, że nauka  
Pójdzie w głowę łatwo.  
Idziesz w pole, masz siał zboże,  
Z Bogiem zacznij pracę!  
Bóg powiedział: «Rak dokładaj,  
A ja cię wzbogacę.»  
Idziesz w drogę, chociaż blisko,  
Z Bogiem wychodź z progu!  
A gdy wrócisz z niej szczęśliwie,  
To podziękuj Bogu!  
«Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa!»  
Tak mawiali starzy;  
Gdy pomocy Boskiej wezwiesz,  
Wszystko ci się darzy.

*Wincenty Pol.*

## 2. Do Boga.

Tyś, Panie, wielki, jam mała dziecina,  
A dobroć Twoja mnie nie zapomina;  
Chcesz się zwać Ojcem — o, Panie mój, Panie,  
Serce me wdzięcznem być Ci nie przestanie!

Każde me słowo coś u Ciebie waży,  
Aniołom przy mnie każesz stać na straży,  
Na wszystko patrzysz, nie się nie ukryje:  
Pod Twą opieką najspokojniej żyję.



Boże tak wielki, tak przytem łagodny!  
Jam Twej dobroci i w częstce niegodny.  
Miłością wszystko napełniasz dokoła,  
Dlatego piosnka brzmi zewsząd wesola.

Błogosław, Panie, z każdą ranną zorzą,  
Niech będę dobrym, pełnię wolę Bożą,  
Sercem i duszą polegam na Tobie,  
I będę Twoim za życia i w grobie!

*Stanisław Jachowicz.*

### 3. Uczciwość.

— Czego tak szukasz, dziewczynko? — zapytał kupiec, patrząc ze drzwi swego sklepu na ubogą dziewczynkę, która, schyliwszy się, ze łzami w oczach patrzyła dokoła siebie po bruku.

— Pieniądz zgubiłam, panie! który mi matka na mleko dała — rzekło dziewczę.

— No, to masz tu dziesiątkę i nie smuć się.

Uszczęśliwiona dziewczynka pobiegła do mleczarki, siedzącej niedaleko, i wnet z garnuszkiem mleka wracała do domu.

Przechodząc koło tego samego sklepu, pod progiem jego spostrzega swą zgubę.

Uradowana, podnosi pieniądz, a wszedłszy do sklepu, oddaje go kupcowi, mówiąc:

— Dziękuję panu, że mnie pan w stracie poratował, ale znalazłam zgubę; zwracam więc dar pański z wdzięcznością; przyda się on znów może dla kogo, co w podobnym jak ja będzie kłopotcie.

### 4. Zamiary Stasia.

Nieraz sobie myślę o tem,  
Czem ja będę, gdy urosnę:  
Czy kuć będę w kuźni młotem,  
Czy obrabiać pilą sosnę?

Czy też może własną grzędę  
Orać przyjdzie sochą krzywą,  
Czy na tratwach flisem będę,  
Wisłą splawiać złote żniwo?

Czy zapadłszy w puszcze, knieje,  
Dzielnym stanę się leśnikiem,  
Co to nigdy nie błednieje,  
Choć się spotka z wilkiem, dzikiem?

Albo może będę badał  
Het! na niebie księżyc złoty,  
Ludziom dziwy opowiadał  
I tłumaczył gwiazd obroty?

Może w księgach się zagrzebię  
Aż po uszy, aż do brody,  
I, jak pszczoła, zgubię siebie,  
Słodkie braciom ciągnąc miody.

O to jedno proszę Boga,  
Niech mnie darzy szczęściem takim:  
Jakbądź pójdzie moja droga,  
Żebym nie był złym, próżniakiem.

*Marya Konopnicka.*

### 5. Jabłka.

Ze szkoły w południowej porze wybiegła gromadka uczniów. Gwarzyli i śmiali się wesoło.

Rozmowę ich przerwało ukazanie się w ulicy powozu, z którym konie rozbiegane pędziły jak szalone. Chłopcy zbiegli prędko na bok i żadnej szkody nie ponieśli.

Ale jednocześnie przechodziła ulicą staruszka, niosąca kosz jabłek na sprzedaż. I ona również zeszła z drogi, jednak nie tak zgrabnie jak młodzi, bo obarczona ciężarem, potknąwszy się, upadła.

Jabłka rozsypały się na ulicę.

Cóż to za zdobycz dla chłopców! Rzucili się też wszyscy do jabłek; wnet je zebrali i... oddali wszystkie staruszce. Dziękowała im też ze łzami w oczach:

— Niech was Bóg błogosławi — mówiła — będą z was zaci ludzie, skoro teraz jesteście tak usłużni i poczciwi



## 6. Przygody odważnego Czesia.

— Jedziem na wieś, na wieś, Stachu!  
Na wieś! skacząc, woła Cześ.

— Mam ja wprowadzić trochę strachu,  
Bo nie wiem, co to wieś.

— Tam są wilki, to nie fraszka,  
Bo tuż przy wsi duży las;  
Ale jedziem do stryjaszka,  
To już on obroni nas!

Ledwie skoczy Cześ z bryczuszki,  
Do ogrodu pędzi w cwał:

Tak się ślicznie złocą gruszki,  
Sam je z drzewa będzie rwał.

Lecz tuż, zaraz za stodołą  
Słychać jakiś straszny syk;  
Gęsi go obskoczają wkoło,  
Mężny Czesio dalej w krzyk.

Nim z pomocą Staś nadbieżał,  
Musiał zuch nasz w błoto wleźć,  
Dostał chryпки, w łóżku leżał,  
«Bo go gęsi chciały zjeść.»

Na dzień drugi po przygodzie,  
Stryj go budzi rano wczas:

— Siadaj na koń, to po chłodzie  
Pojedziecie z Stasiem w las.

— Spadnę! mruknął Cześ do siebie,  
Lecz stryj krzyknie: — Co to znów?!  
Co to, chłopcze, mazgaj, z ciebie?  
Chociaż zlecisz, będziesz zdrów!

A żartować stryj nie lubi;  
Więc Cześ siada. Ledwie siadł,  
Zaraz w bramie czapkę gubi,  
A za bramą z konia spadł.

— Pójdź na ryby! — Cześ się szarpie:

— Będziem strzelać? to rzecz zła...

Ja się boję... — Strzelać karpie?

To mi rybaki! eha, eha, eha!

Poszli. Stasio śmiało brodzi,  
I co chwila chwytą łów;  
A Cześ drżący stoi w łodzi,  
Bo się wody boi znów.

Lecz strach nie ocali chwata;  
Póty kręcił się raz wraz,  
Aż nieborak z czołna złata  
I bęc w wodę po sam pas.

— Strzeż się, chłopcze! Te przykłady  
Będą ci w pamięci tkwić,  
I nie pójdziesz w Czesia ślady,  
Bo to brzydko tehorzem być!

*Marya Konopnicka.*

## 7. Mężny.

Często zdarzają się przykłady prawdziwego męstwa;  
zależy ono głównie na tem, żeby cierpienie znosić z łagodnością i w milczeniu.

Michaś, chłopczyk siedmioletni, bawił się w pokoju, rozmawiał z ojcem, biegał i figlował. Wtem wchodzi służący, niosąc ogromną tacę z wazą i talerzami, aby je ustawić w kredensie. Nie spostrzegłszy z za tacy małego Michasia, rogiem jej mocno uderza go w głowę.

Chłopczyna zachwiał się i zbladł z wielkiego bólu; nie wyrzekł jednak ani słowa, nie uronił łzy jednej, spojrzał tylko z obawą na ojca. Widząc, że ten się rozgniewał i zaczął robić wyrzuty słującemu, Michaś przystąpił do ojca, pocałował go w rękę i powiedział:

— Nie gniewaj się tatusiu, na Józefa, on mnie nie widział; zresztą zapewniam cię, że mnie to prawie nie boli.

Z takich dzieci zwykli wyrastać dzielni mężowie i zacne niewiasty.

*podług Klem. Hofmanowej*

## 8. Stefek Burcymucha.

O większego trudno zucha,  
Niż był Stefek Burcymucha...

— Ja nikogo się nie boję,  
Choćby niedźwiedź... to dostoję!  
Wilki? — ja ich całą zgraję  
Pozabijam i pokraję!

Lew! cóż jest lew? — kociak duży!  
Naczytałem się podróży,



I znam tego jegomości,  
Co zły tylko, kiedy pości!...

Szakał, wilk? — Straszna nowina!  
To jest tylko większa psina!...  
(Brysia mijam zaś zdaleka,  
Bo nie lubię, gdy kto szczeka!)

Komu zechcę, to dam radę!

Zaraz na ocean jadę,

I nie będę Stefką chyba,

Gdy nie schwyję wieloryba!

I tak przez dzień Boży cały

Zuch nasz trąbi swe pochwały.

Aż raz usnął gdzieś na sianie.

Wtem się budzi niespodzianie,

Patrzy... a tu jakieś zwierzę

Do śniadania mu się bierze.

Jak nie zerwie się na nogi,

Jak nie wrzaśnie z wielkiej trwogi,

Pędzi, jakby chart ze smyczy...

— Tygrys, tato! tygrys!... — krzyczy.

— Tygrys?... — ojciec się zapyta.

— To, lew może! miał kopyta,

Straszny! Trzy czy cztery nogi,

Paszcę taką!... Przytem rogi...

— Gdzież to było? — Tam na sianie,

Właśnie porwał mi śniadanie!

Idzie ojciec, służba cała:

Patrzają... a tu myszka mała,

Polna myszka siedzi sobie

I ząbkami serek skrobie.

*Marya Konopnicka.*

## 9. Zagadka.

Daj **ż** — to do szkoły chodzi;  
Daj **t** — mówi, kto się godzi;  
Daj **h** — będzie do wieszania;  
Daj **j** — służy do pytania;  
Daj **s** — tem się ryby łowi;  
Daj **l** — służy pisarzowi;  
Daj **m** — często w zbożu bywa;  
Daj **r** — a to w wodzie pływa.

## 10. Cudowne ziele.

Dwie służące wiejskie szły razem do miasta, każda ze sporym koszykiem owoców. Brygida ciągle narzekała, że musi dźwigać kosz tak ciężki, i ledwo szła, Kasia zaś śmiała się i żartowała.

— Nie wiem, skąd ci ta wesołość? — zapytała pierwsza — przecież ani twój koszyk nie jest lżejszy od mojego, ani ty nie jesteś mocniejsza ode mnie.

— Bo nie wiesz, — odpowiedziała Kasia — że ja włożyłam w mój koszyk trochę pewnego ziela, które go czyni tak lekkim, że go prawie w rękę nie czuję.

— Doprawdy? — zawołała Brygida — to musi być jakieś cudowne ziele! O! bardzoby się i mnie przydało. A jakże się ono nazywa?

Kasia roześmiała się i rzekła:

— Chcesz je poznać? Możesz je nawet łatwo posiadać. Jest to dobra chęć i cierpliwość, z pomocą której każda praca staje się łatwiejszą, każdy ciężar lżejszym.

*Jan Chęciński.*

## 11. Owieczka.

— Nie oddalaj się, kochanko, od trzody!

Mówiła stara owca do owieczki młodej.

— Zobaczysz, porwą cię wilki;

Na to dosyć jednej chwili.

Młoda mruknęła sobie: — O! Bóg wie, co plecie,

A wilków niema na świecie;

Nie dziś żyję, żadnemu jeszcze nie widziałam.

U starych, aby gderać, to na tem rzecz cała;

Jak poczną, to już bają, co im myśl przyniesie. —

Tak sobie rozumując, zagłębia się w lesie;

To liść z drzewa, to trawkę skubnie wśród parowu,

To raz podskoczy, to się wstrzyma znowu...

Wtem ze strachem nagle zawoła:

— O! gwałtu, wilki dokoła!



Mamuniu, ratuj, mamuniu kochana! —  
Biegną co tchu pasterze, wołają brytana,  
Lecz zapóźno! owieczka już oddała ducha.  
Tak to bywa, dziateczki, kto starszych nie słucha.

*Antoni Górecki.*

## 12. Sumienność.

Na podwórzu, przed domem ojca, Ignaś bawił się z kolegami w piłkę. Wtem jeden z sąsiadów poprosił go, aby, gdy zobaczy nadchodzącą pocztę, zaraz go o tem uwiadomił.

Ignaś, uprzejmy i grzeczny, przyrzekł sąsiadowi, że mu zrobi tę usługę. Jakoż zaraz wybiegł na wzgórek, skąd widok sięgał daleko na gościniec.

Już tam czekał kawał czasu, gdy przyszedł do niego jeden z chłopców.

— Chodź, — rzekł do niego — mam wędkę, pójdziemy łowić ryby.

Ignaś, choć bardzo lubił tę rozrywkę, odpowiedział:

— Tym razem muszę ci odmówić, ponieważ dałem słowo sąsiadowi, że go uwiadomię, gdy poczta będzie nadjeżdżała.

— I dopóki tu będziesz stał na słońcu? — mówił chłopczyk.

— Powiedziałem ci, że dopóki poczta nie nadejdzie — odrzekł Ignaś.

— Pójdź ze mną, pójdź!... wszak dość długo tu czekasz.

Ale Ignaś nie dał się namówić. Pamiętał przestrogę ojca, że uczciwy człowiek powinien danego słowa dotrzymywać. Dlatego, choć jeszcze długo czekał, choć mu upał słoneczny dokuczał, nie ruszył się z miejsca i uczuł prawdziwą radość, gdy mógł uwiadomić sąsiada o zbliżaniu się poczty.

*Lucyan Siemieński.*

## 13. Kogo kochać?

Kogo masz kochać? dziecino droga,  
Pytasz mnie, patrząc ciekawie:  
Oto nasamprzód dobrego Boga,  
Który cię stworzył łaskawie.

Kochaj Go w gwiazdce, co z nieba świeci,  
W całym tym świecie widowym,  
W zielonej wiośni, w śnieżnej zamieci,  
W każdym robaczku znikomym.

Kochaj serdecznie mamę i tatka  
Najgłębszą dziecka miłością,  
Oni nad tobą w dziecięce latka  
Z taką czuwali tkliwością!

Nieraz, dziecino, kiedyś w niemocy  
Taka bledziutka leżała,  
Przy twej kołysce przez tyle nocy  
Dobra mateczka czuwała.

O, za wylane te łzy matczyne  
Przy twej pościółce dziecięcej,  
Rodzicom twoim, dziecko jedyne,  
Winność miłości najwięcej!

Kochaj rodzeństwo, siostry i braci,  
I tych, co sercu są bliscy;  
A czy ubodzy, czy też bogaci,  
Wszak braćmi sobie my wszyscy!

Tego nędzarza, co stoi w progu,  
I tę sierotkę znędzniałą  
Kochaj miłością pierwszą po Bogu  
I braćmi nazwij ich śmiało.

*Władysław Bełza.*

## 14. Gościnność.

Jagusia, wiejska dziewczynka, była pierwszy raz z matką na jarmarku w mieście. Jakże się cieszyła, widząc naraz tyle pięknych rzeczy, których jeszcze nigdy nie widziała! Stawała przed każdym sklepem, przypatrując się wszystkiemu z wielką ciekawością.

Było to w lecie. Pogoda była zrazu piękna, lecz nagle niebo się zachmurzyło, wiatr powstał gwałtowny



i kurz wznosił się tumanami. Naraz deszcz zaczął padać grubemi kroplami i zmienił się wkrótce w ulewę. Ruch jarmarczny ustał. Ludzie tłumami zaczęli uciekać i chować się po domach.

W tem zamieszaniu Jagusia zabląkała się i straciła z oczu matkę. Wśród ulewnego deszczu, przemókłszy do nitki, schroniła się do sieni jakiegoś domu i z obawy zaczęła płakać.

Naprzeciwno mieszkała Ludwinia z rodzicami. Widząc przez okno nieznaną dziewczynkę płaczącą, pobiegła do niej żywo.

— Czego ty płaczesz? — zapytała.

— Bo zgubiłam mamę. Była ze mną na jarmarku, później ludzie tak się zaczęli cisnąć, że mnie odepchnęli, i nie mogłam mamy znaleźć.

— Jakże ci na imię?

— Jagusia. — I dziewczynka nanowo płakać zaczęła.

— Chodź, Jagusiu, do nas. Ojca mego niema teraz w domu, ale moja dobra mateczka znajdzie jaki sposób, żeby ci pomódz.

Jagusia posłuchała, chociaż z nieśmiałością.

Matka Ludwini, uciészona dobrem sercem swej córeczki, pochwaliła jej postępek, przebrała Jagusię w suche sukienki, dała jej ciepłego mleka i posadziła przy oknie.

— Uważaj dobrze, moje dziecko, — powiedziała do niej — czy nie spostrzeżesz twej matki przechodzącej.

Rzeczywiście po jakimś czasie Jagusia wykrzyknęła radośnie:

— Ach, moja mama idzie, pewnie mnie szuka!

— Zejdźmy zaraz na ulicę! — zawołała Ludwinia i wybiegła z Jagusią naprzeciw stroskanej kobiety, która prawie nie poznała swej córki przebranej.

Dowiedziawszy się o wszystkim, że łzami w oczach podziękowała Ludwini za gościnność i za jej dobre serce.

Pomagajcie, dzieci, innym!  
Piękna cnota być gościnnym.

## 19. Dziewczę na jagodach.

Po brzozowym cichym lesie  
Idzie dziewczę, dzbanek niesie;  
Niesie dzbanek z jagodami,  
Z poziomkami, z borówkami.

Kłaniają się przed nią drzewa;

Ona śpiewa i las śpiewa:

— Danaż moja, dana, dana!

Jagódeczko, pójdz do dzbana! —

Dzięcioł, co ma dzióbek spory,

Coś wystrasza tam z pod kory.

Z pod jałowca zając skoczy,

Z otwartemi śpiący oczy.

— Mój zajączku, nie bójże się!

Ja borówki zbieram w lesie;

A toż ja ci nie przeszkodzę,

Że ze dzbankiem sobie chodzę.

Danaż moja, dana, dana!

Jagódeczko, pójdz do dzbana!

Pełno jagód wokoło przy mnie,

Każda prosi: — Weźże i mnie!

— Zjedz mnie, zjedz mnie, bo ja słodka! —

Każda woła tak jagódka.

A ja kładę do kozubka:

— Tyś dla matki, moja lubka! —

Ja dziewczyna nie łakoma;

Dadzą mi, jak wrócę doma.

Danaż moja, dana, dana!

Jagódeczko, pójdz do dzbana!

Jakoś idzie mi powoli;

Jeszcze trzeba kupić soli...

Przeleciałam kawał lasu,

Zostać dłużej nie mam czasu.

Trzeba wracać... bywaj zdrowy

Mój gaiku brzeziny!

Już jagódek wyżej dzbana!

Danaż moja, dana, dana! —

*Teofil Lenartowicz.*



## 20. Grządka goździków.

— Ach, mamó, daj każdemu z nas grządkę kwiatów: mnie jedną, Edwardowi drugą, a Feluni trzecią; każde będzie pamiętało o swojej. — Tak mówił Leoś do matki.

Matka wysłuchiwała prośb jego i dała każdemu z dzieci grządkę, zasadzoną goździkami pięknego gatunku.

Dzieci, uszczęśliwione tą pierwszą w życiu własnością, cieszyły się, skakały i mówiły:

— Skoro się rozwiną goździki, jakże będziemy szczęśliwi!

Goździki bowiem dopiero miały pączki.

Ale Leoś był niecierpliwy, nie lubił czekać; chciał koniecznie, żeby goździki jego pierwszej od wszystkich się rozwinęły. Chodził więc nieustannie około swej grządki, brał pączki w rękę i zaglądał w każdy. Jednego wieczoru ucieszył się bardzo, gdy nareszcie spostrzegł czerwieniejące się brzeżki listków.

Nazajutrz wstał rano i pobiegł natychmiast do ogrodu, pewny, że już wszystkie goździki zakwitły; lecz one bardzo mało rozwinęły się od dnia wczorajszego. Zniecierpliwiony, umyślił ten widok przyspieszyć: porozdzielał zielone powłoki goździków i roztrzepał niedosze listki każdego kwiatka z osobna, poczem zaczął wołać na brata i siostrę:

— Chodźcie! chodźcie! moje goździki już kwitną.

Przyszli i zadziwili się bardzo. Ale radość niedługo trwała: skoro słońce wyżej się wzbilo, kwiatki pochyliły główki, a nim nadeszło południe, zupełnie powiędły.

Leoś zasmucił się; żałowało go też i rodzeństwo. Przyznał się, jak nierozważnie postąpił; matka zaś tak mu powiedziała:

— Słusznieś za niecierpliwość ukarany. Oby to była ostatnia uciecha, którą sobie sam psujesz; pamiętaj zawsze, że nierozsądne przyspieszenie chwili pomyślnej może ją zupełnie oddalić.

## 21. Jaś.

Nieźle to jest posłuchać, gdy mówią staruszki.

Szedł Jaś na gruszki,

A ojciec, widząc chłopca, pełnego zapału,

Rzekł: — Trząś gruszki, mój Jasiu, ale trząś pomału. — Jeszcze nie skończył, a już Jaś w sadzie.

Posłuszny radzie,

Trząśł drzewem pomału, lecz gruszka nie spada.

— Zła rada!...

Więc trząsnął mocniej; nie spada znowu.

Cieżywo połowu,

— Nie trząść tu, widzę, trzeba — rzekł — lecz rwać należy! —

Po drabinę więc bieży.

A gdy jej nie znalazł i w prawo i w lewo,

Piął się na drzewo;

Lecz to wskórał, iż zleciał i potłukł się srodze.

Jednak choć w bólu i trwodze

Smutną miał postać,

Przemyślał Jaś przecie, jakby gruszek dostać;

Więc sporym, który leżał koło drzewa kłosem

Rzucił; przełamał gałąź i padła z owocem.

Porwie, ugryzie — gruszka twarda i ładna!

Więc się ojcu pożalił nadaremna pracą.

Słyszając to, rzekł smutnemu Jasiowi staruszek:

— Gdy nie spadną trzęsione, nie trzeba rwać gruszek! —

*Ignacy Krasicki.*

## 22. Marynia.

Stryj Maryni, wyjeżdżając za granicę, obiecał jej przywieźć do zabawy zbiór naczyń ze szkła czeskiego.

Dwa miesiące Marynia oczekiwała niecierpliwie tych cacek; cieszyła się też, że je wkrótce zobaczy.

Nakoniec stryj powraca, przywozi śliczne naczynka szklane i oddaje Maryni.

Dziewczę odwija wszystko ostrożnie, i za każdą dobrą filiżaneczką, za każdym kubeczkiem wydaje okrzyk radosny; ustawia wszystko ładnie na szklanej tacy i nie posiada się z radości.



— Maryniu! — woła babunia z drugiego pokoju — po-  
każ-że mi te piękne rzeczy.

Dziewczynka bierze tackę i idzie z nią tak pomału  
i ostrożnie, że babunia wychodzi naprzeciw niej, mówiąc:

— Czegóż idziesz tak wolno? Czeka! pomogę ci.

Lecz naraz poślizguje się i potrąca ją; taca wysuwa  
się z rąk Maryni i wszystko pada na ziemię, a filiżanki,  
miseczki, kubki, imbryczki tłuką się na drobne kawałki.

Marynia krzyknęła, mocno się zarumieniła i lży sta-  
nęły jej w oczach. Lecz nie mówiąc, pocałowała ba-  
bunię w rękę.

Zmartwiona babunia wyszła, chcąc kupić inny dar dla  
Maryni w zamian za ten, który mimowoli stłukła; ta zaś  
zbierała tymczasem części swego skarbu, przymierzając  
jedne do drugich i myśląc, czy się nie dadzą skleić.

Wtem wchodzi stryj. Widząc na podłodze szczątki  
swego kosztownego podarunku, zaczyna lajać dziew-  
czynkę za taką nieostrożność.

Marynia rozplakała się, lecz nie powiedziała ani słówka  
na swoje usprawiedliwienie.

Dopiero za powrotem babuni wyjaśniła się rzecz cała.

Marynia w uściśnieniach babuni i pochwałach stryja,  
oraz w uczuciu serca własnego znalazła pociechę i na-  
grode za swój postęp.

podług *Klem. Hofmanowej*.

### 23. Niezręczna wymówka.

Szczęk, brzęk, gruch, buch — wszystko z ręki leci,  
A cóż to za nieznośne i niezgrabne dzieci!

Wczoraj stłukłeś mi wazon, dzisiaj filiżankę,

Teraz znowu rozbiłeś ulubioną szklankę!...

— Ja, tato, nie rozbiłem. — Któż to rozbił, proszę?

— Nikt. Ja mocno trzymam to, co w rękę noszę,

Ale każda rzecz sama z dłoni mi wypada

I zaraz — buch o ziemię; na to trudna rada.

— A więc sama się stłukła? — Sama, drogi tato,

Wyskoczyła mi z ręki, cóż ja zrobię na to? —

O dalsze objaśnienia ojciec się nie pyta,  
Lecz chłopaka za ucho żartem ręką chwyta.

— Aj, gwałtu!... puść, ojezulku, to mnie bardzo boli.

— To nie ja, ale ręka, nieposłuszna woli,  
Sama mimo mej chęci ucho twe złapała.

— Czyż można, aby ręka własną wolę miała?

— Mają wolę swą szklanki, mogą ją mieć ręce.

Niby nie chcę, a bez wiedzy ucho twoje kręcę. —

Więc syn winę swą wyzna, ojciec dłoń otworzy.

Żle błądzi! — błąd wykrętem skrywać jeszcze gorzej!

*Ludwik Niemojowski.*

### 24. Praca odkładana.

1. Pewien ogrodnik miał spory ogród, starannie pro-  
wadzony. Ponieważ sąsiad chciał sprzedać przyległy  
kawałek ziemi, ogrodnik go kupił. Lecz ten kawałek był  
bardzo zaniedbany; leżało na nim mnóstwo kamieni,  
a z pośród nich wyrastały kępy ostu i innego zielska.

— Ojcie! my oczyścimy ten kawał ziemi, powiedzieli  
pewnego dnia trzej jego synowie. — Daj go nam na rok  
jeden.

— Chętnie — odpowiedział ojciec — oczyśćcie go,  
uprawcie, a otrzymacie piękny plon.

I rozdzielił ten kawał na trzy części. Było to przy  
końcu marca i już do gruntu puściło. Dni były piękne  
i sprzyjające robotom w polu.

Bracia wzięli się zaraz do pracy, i dwaj starsi w prze-  
ciągu tygodnia oczyścili działki swoje prawie zupełnie.

Ale młodszy, Franuś, więcej się bawił, niż robił, i gdy  
tamci pracę już ukończyli, on swoją ledwo zaczął.

Zobaczywszy to, ojciec pochwalił pilnych synów, a Fra-  
nusiowi wymawiał jego opieszałość.

— O! dopiero początek wiosny, mam dosyć czasu; zo-  
bacz ojciec, jak się zawinę, to jeszcze ich dopędzę! Jutro  
zabiorę się do roboty.

Dzień za dniem schodził, a Franuś odkładał pracę na  
później.



2. Nadeszło lato. Na grządkach braci zieleniło się rozmaite warzywo, a na kawałku Franusia było ciągle pełno śmieci i chwast rósł sobie swobodnie.

Chłopiec zakłopotany, wziął się nareszcie do roboty, ale że było gorąco, pot lał mu się z czoła, musiał więc coraz przestawać.

— Zrobię to później — mówił — wkrótce nadejdzie chłodna jesień, to będzie najlepsza pora do roboty.

— Ależ nie nie zasiałeś, więc nie nie będziesz miał! — mówili bracia.

— Teraz ziemię tylko oczyszcze i uprawię, za to na przyszły rok będę miał gotową. Już jest chłodniej, więc od jutra zabiorę się do roboty.

Zaczął istotnie kopać; lecz jednego dnia wiatr zasy-pywał mu oczy, drugiego dnia deszcz go zmoczył.

— E... teraz niedobrze pracować — mówił — przyjdzie zima, wtedy bywają dni piękne i jasne, w mgnieniu oka zrobię wszystko.

Przyszła zima. Franuś zabrał się do wyrzucania kamieni i do wyrwania zeschłych łodyg — lecz cóż?... wszystko przymarzło i nie mógł nic zrobić.

Tymczasem bracia jego zebrali buraki, marchew, pietruszkę, cebulę, groch i t. p., a sprzedawszy to wszystko w mieście, mieli sporo pieniędzy.

Franuś to widział i zaczął żałować straconego czasu. Ale już było zapóźno!

Jak niebaczny Franuś, tak błędzi każdy, kto pracę na dalszy czas odkłada, a w obecnej chwili próżnuje.

## 25. Jutro.

Jutro wykończę moje zadanie,  
Jutro przepiszę, jutro przeczytam;  
Jutro grać będę na fortepianie,  
Jutro o lekcję moją zapytam.  
Jutro, o! jutro ja wszystko zrobię,  
A dzisiaj jeszcze odpoczne sobie.

Tak mówią zwykle leniwe dzieci,  
Nie pamiętając, jak dni tych mało,  
Jak prędko zawsze czas ludziom leci,  
I jak niewiele chwil im zostało.

Jutro i jutro... czemuż odkładać?

Dziś twoje! jutro trudno ci zbadać...

Na każdy dzionek Bóg trud wydziela:

Dni te się znaczą pracą, mozołem;

Do odpoczynku tylko niedziela,

Lub jakie święto czczone Kościołem.

Jutro, o! jutro... tak dni przechodzą,

A z dni miesiące, lata się rodzą.

Wreszcie, o jutro! krzykniesz ze drżeniem,

A jutro wiecznym skryje się cieniem.

*Ludwik Niemojowski.*

## 26. Kłamstwo zawsze się wyda.

1. Przy parkanie w ogrodzie rosło drzewko morelowe, które pierwszy raz miało owoce; były one śliczne i nawet już dojrzewać zaczynały. Ojciec, ciesząc się ich pięknnością, przez ciekawość policzył, ile ich być mogło.

Nazajutrz zajrzał znów do drzewka i spostrzegł, że na jednej gałęzi było ich mniej; przeliczył więc wszystkie morele, brakło trzech.

Ojciec potrząsnął głową, nie chciał nikogo posądzać, ale podejrzewał synka swego, Antosia; wiedział, że chłopczyk był łakomy i nieraz zrywał owoce pokryjomu.

Jednak przyszedłszy do domu, odmienił zdanie, bo Antosiek siedział przy matce, a na zapytanie, czy był w ogrodzie, odpowiedział, że nie.

Radbym wiedzieć, kto zerwał trzy morele z tego młodego drzewka?...

— Już ich od dwóch dni nie widziałem; tyle mam lekyi, że nie miałem czasu wyjść do ogrodu.

Na tem skończyła się rozmowa i wszyscy siedli do obiadu.

2. Po obiedzie, ponieważ było gorąco, Antoś zdjął sukienny mundurek i włożył bluzkę płócienną. Matka zaś,



wiedząc, że kieszenie i podszewka mundurka często potrzebują naprawy, wzięła go, chcąc się przekonać, czy nie rozdarty.

Przeglądając kieszenie, znalazła w jednej trzy świeże pestki morelowe.

Zmartwiła się kłamstwem syna i zawołała go do siebie.

— Antosiu, dopiero co ręczyłeś ojcu, żeś nie był w ogrodzie i nie zerwałeś moreli, tymczasem ja mam świadków, żeś to ty zrobił.

— Jakich świadków?

— Sięgnij ręką do kieszeni twego mundurka.

Antoś włożył rękę i zapłoniony wydobył nieszczęsne pestki, które w pośpiechu sam schował do kieszeni.

Na ten dowód nie mógł odpowiedzieć.

— Widzisz, Antosiu, zasmuciłeś mnie bardzo tem nowem kłamstwem; teraz ci wstyd. Cóż powinienesz zrobić obecnie?

— Niech mi mamusia ten raz jeszcze wybaczy, a do ojca pójdę, przyznam się i poproszę, żeby mi winę darował, już nigdy nie będę kłamał.

— Popraw się, synku kochany; kłamstwo jest najbrzydszą wadą i prowadzi do coraz gorszych rzeczy. Widzisz, nie tylko skłamałeś, ale nawet wzięłeś pokryjomu morele! Jakie to brzydkie, a jakie smutne! Kłamstwo nigdy się nie ukryje, nie tylko przed Bogiem, lecz i przed ludźmi, a prawda, prędzej czy później, wyjdzie na wierzch. Gdy raz skłamiesz, stracisz wiarę u ludzi i zasłużysz na pogardę.

Antoś przeprosił ojca za kłamstwo i za swój postęppek, i odtąd nigdy nie kłamał.

*Paulina Kraków.*

## 27. Kto raz skłamię, temu drugi raz nie wierzą.

Przytrafia się to starszym, częściej między dziećmi:

Łatwo skłamać i zrazu uwierzą ci łatwo;

Lecz, gdy się kłamstwo wyda, nikt wiary nie znajdzie,

A prawdą człowiek idąc, zawsze dalej zajdzie.

Raz pastuszek w ciemnej nocy

Krzyknął: — Gwałtu! wilk!... pomocy!

Wnet się zbiegło ludzi kilka:

— Gdzie wilk? — A tu niema wilka.

A że ich tak zręcznie zdurzył,

Raz i drugi to powtórzył.

Rozgniewał tem dobrych ludzi,

Że ich ciągle próżno budzi.

Ale znowu jednej nocy

Krzyknął: — Gwałtu! wilk!... pomocy!

Nie wierzyli, bo się zwiedli;

A wilcy mu owce zjedli.

## 28. Rzetelność.

1. Niedawno temu, pan S., dzierżawca folwarku, jadąc wieczorem z Lubartowa do Lublina, w celu zapłacenia znacznego długu, zatrzymał się przed gospodą, aby konie przez chwilę odpoczęły. Wysiadając z bryczki, nie widział, że z bocznej kieszeni surduta wypadła mu jakaś paczka nieduża. Po chwili ruszył w dalszą drogę.

Przybywszy do Lublina, z przerażeniem spostrzegł swoją zgubę, paczka bowiem zawierała kilka tysięcy rubli, przeznaczonych na spłatę długu.

Pan S. zmartwił się bardzo, był pewny, że już nie odzyska swoich pieniędzy, tembardziej, że wszystkie były w banknotach, łatwych do wydania.

Wrócił zaraz tą samą drogą, rozpytywał przechodniów i w gospodzie, ale nikt mu nie umiał nie powiedzieć o tych pieniądzach.

Zrozpaczony, gdyż był człowiekiem niezamożnym i ciężko pracował na wyżywienie licznej rodziny, spróbował jeszcze ogłosić o swojej zgubie w gazetach, przyrzekając 1000 złp. nagrody temu, kto mu pieniądze odniesie.

Tymczasem niejaki Paweł Muszyński ze wsi Tarło, jadąc raniutko z cegłą, znalazł niedaleko tej samej gospody jakąś paczkę; schował ją do kieszeni, nie patrząc, co zawiera. Dopiero wieczorem, powróciwszy do domu,



otworzył ją i przekonał się ze zdziwieniem, iż zawierała tyle pieniędzy papierowych, że aż się przeląkł.

Nie powiedział o tem nikomu, tylko schował paczkę pod bezkę. Potem wciąż myślał, komuby się z tem zwierzyć, że znalazł pieniądze, ażeby czasem nie miał z tem jakiego kłopotu.

— Pójdę do księdza proboszcza, rzekł nareszcie do siebie: on mi najlepiej poradzi.

Jak postanowił, tak zrobił. Ksiądz proboszcz rzekł:

— Mój Pawle, uczciwie zrobiłeś, żeś mi powiedział o tem; pieniądze te należy oddać jak najprędzej właścicielowi; ale ponieważ go nie znamy, więc trzeba będzie ogłosić o znalezieniu. Jutro pojadę do Lublina, wezmę pieniądze z sobą i wypytam się, a może usłyszę co o ich właścicielu; jeżeli zaś nie, to złożę je tymczasem w banku, ażeby te pieniądze u nas się nie znajdowały.

2. Zaledwie ksiądz przybył do miasta, zaraz się dowiedział z gazety o zgubie; lecz właściciel pieniędzy wyjechał, proboszcz więc zawiadomił go zaraz, tak o znalezieniu, jak i o tem, kto je znalazł.

Uszczęśliwiony dzierżawca przyjechał i odebrał pieniądze, a że sąsiadował z wsią, w której mieszkał Paweł, pojechał do niego, przywożąc mu przyobiecana nagrodę.

Ale ku wielkiemu zdziwieniu pana S., Muszyński nie chciał przyjąć pieniędzy.

— Te tysiąc złotych słusznie ci się należą, tłumaczył p. S.; ogłosiłem, że dam je każdemu, kto mi pieniądze odniesie.

— Za co mnie pan chce wynagradzać? — mówił Paweł — zrobiłem to, co było moim obowiązkiem, oddałem rzecz nie swoją i nie mi się za to nie należy.

— Jesteś biedny i możesz sobie za te pieniądze kupić kawał gruntu, nie potrzebowałbyś już tak ciężko pracować. Przecież mógłbyś być zatrzymać wszystkie pieniądze, a jabym o tem nie wiedział.

— Ale ja, panie, wiedziałbym o tem — rzekł Paweł z dumą; — a chociaż jestem biednym wyrobnikiem, wolę ciężko

pracować, niż mieć grzech na sumieniu. Niech pan da te pieniądze biedniejszemu odemnie.

To mówiąc, Paweł uklonił się i wszedł do chaty.

## 29. Gdzie ja znajdę.

Gdzie ja znajdę w cudzym kraju  
Takie kwiaty, jak w tym gaju?  
Takie brzozy, jak dziewice?  
Takie gwiazdy złotolice?  
Takie chaty niskie — krzywe,  
Takie pieśni żałośliwe?  
Takie wierzby rosochate,  
Ziemie w krzyże tak bogate?...  
Gdzie ja znajdę w cudzym kraju,  
Takie wody jak w ruczaju?  
Takie cudne, dziwne stroje?  
Takie bluszcze i powoje?  
Takie dzieci białowłose,  
W koszulinach, zawsze bose?  
Takie bajki przy kądzieli?  
Takie śpiewy, że anieli  
Pewnie lepszych nie umieją,  
Gdy się modlą i sny sieją!  
Oj, nie znajdę nigdzie w świecie!  
Tylko u nas, wszak to wiecie!

## 30. Dotrzymuj słowa.

1. Gucio był najmłodszym z rodzeństwa i wszyscy w domu kochali go i pieścili. Był to naprawdę dobry chłopczyna: uczył się pilnie, dla każdego grzeczny, uprzejmy, każdemu usłużył chętnie; temu pożyczył książkę, tamtemu ustąpił nowej zabawki, innemu oddał przysmaczek; jakże nie kochać takiego «dobrotka»?

Miał on jednak pewną wadę: nie można było liczyć na jego obietnicę.

— Pójdźmy, Irenko, na spacer, tak ślicznie na dworze! — prosił raz starszą siostrzyczkę.



- A lekcye już zrobiłeś?
- Zrobię wieczorem, Irenko.
- Wieczorem przyjdzie kto, albo będziesz zmęczony.
- Zrobię napewno, słowo daję! — wołał Guccio.
- Nie dawaj słowa, bo nie umiesz go dotrzymać.

Ale Guccio rzucił się siostrze na szyję i tak ładnie prosił, że wstawiła się za nim do mamy. Mama pozwoliła.

Tymczasem wieczorem przyszło kilka osób znajomych i starsi się niemi zajęli; nikt nie miał czasu dopilnować Gucia, aby się wziął do lekcji; chłopczyk też tak długo się bawił i odkładał naukę, aż mu się spać zachciało.

— Wstanę jutro raniutko i nauczę się — mówił do siebie.

Ale raniutko zaspał i lekcji się nie nauczył.

— Widzisz, Guciu, — mówiła Irenka — dałeś słowo i nie dotrzymałeś go, jak to nieładnie!

Przytem Guccio był trochę nieporządny. Ileż to razy przyrzekał mamie, że będzie pisał starannie, że już nigdy nie dostanie dwójki z kaligrafii, — ale gdzie tam! Dziś obiecał, a jutro znowu dwójkę przyniósł; kajety zaś miał takie, że wstyd je było pokazać komu.

2. Razu jednego do rodziców Gucia przyjechał stryj Ksawery i przywiózł synka swojego Zygmunusia, który miał mieszkać razem z Guciem i uczyć się z nim.

Zygmuś był trochę starszy, ale nie taki zdolny, więc mniej nawet umiał od Gucia. Na pierwszej lekcji Guccio ciągle odpowiadał, a Zygmusłuchwał tylko i podziwiał, jak ten malec dużo umie.

Za to kajety Zygmunusia daleko były porządniejsze i Guccio wstydził się swoich niezgrabnych liter i kleksów.

— No — pomyślał sobie — muszę i ja być porządnym.

I tego dnia tak się starał, tak uważnie pisał, że mama prawie nie poznała jego pisma. On sam był dumny, że mu się tak udało; przyrzekał też mamie, że odtąd zawsze tak porządnie pisać będzie.

— Ej, czy dotrzymasz słowa? — rzekła mama.

Guccio się zaczerwienił, gdyż spostrzegł, że Zygmusł

jakoś dziwnie na niego patrzy; bo Zygmusł zawsze co przyrzekł, to spełnił.

— Zobaczysz mama, że dotrzymam słowa — rzekł Guccio poważnie.

Przez cały tydzień pisał nietylko porządnie, lecz nawet ładnie; podziwiała go mama, siostry, nauczyciel, a on zapytał cicho:

— A co, mateczko, dotrzymałem słowa?

— Dotrzymałeś, synku, ale czy długo tak będzie?

— Zawsze, mateczko.

Mama uszczęśliwiona ucałowała synka.

3. Pewnego dnia ciocia zaprosiła dzieci na podwieczorek do ogrodu.

— A jakże będzie z lekcjami? — rzekła matka.

— Zaraz się do nich weźmiemy — odpowiedział Guccio, — a jeśli nie zdążymy, to zostaniemy w domu obaj z Zygmunsiem i przyjdziemy trochę później.

Tak się stało. Chłopcy nauczyli się wszystkiego, zostało im tylko pisanie: jakie pół godziny pracy. Rodzice z dziewczynkami poszli naprzód, a chłopcy kończyli piśmienne zadania. Guccio jednak śpieszył się, a wiadomo, jakie to pisanie w pośpiechu.

Wtem Zygmusł spojrział mu w kajet.

— Guciu! — zawołał z przerażeniem — co to?

— No co? — odrzekł zapytany hardo.

— Nie wiedziałem, żeś kłamca. Zamiast napisać, na-bazgrałeś, a obiecywałeś inaczej.

— Kłamca! — krzyknął Guccio. — Ja nigdy nie kłamię.

— Jakto nie kłamiesz? Kto nie dotrzymuje słowa, ten kłamie. Spójrz na swoje pismo!

Guccio porwał kajet i ze złością wrzucił go do szuflady.

— Nie masz się czego złościć — mówił Zygmusł — złość nic nie pomoże; pójdziemy teraz?

— Nie pójdę z tobą, idź sobie sam!

Zygmusł poszedł, a Guccio zły rzucił się na sofę. Jednak wstał wkrótce, wyjął kajet i zabrał się do pisania.



Pisał wolno, wreszcie skończył; spojrzął na kajet: pisanie było tak ładne, jak dotąd żadne. Uśmiechnął się, złożył książki, umył ręce i, śpiewając, wybiegł na schody. Jakoś wesoło mu było na duszy. Tylko Zygmus niepokoił go trochę.

Wtem patrzy, a na schodach siedzi Zygmus.

— Co ty tu robisz?

— Czekam na ciebie.

— Po co?

— Nie chciałem, aby mię pytali, dlaczego sam przyszedłem.

Gucio zarzucił ręce na szyję Zygmuśowi i ucałował go serdecznie.

— Dziękuję ci — rzekł. — Jesteś prawdziwym moim przyjacielem... O, już nigdy nie złamię danego słowa.

I dotrzymał przyrzeczenia.

*Cecylia Niewiadomska.*

### 31. Rozmowa o zimie.

— Dlaczego, mam, powiedz mi, proszę, Ludzie się zimy lękają?

Przecież i zima daje rozkosze,

I uciech niesie niemało.

Sanna, ślizgawka, tak pożądana,

Wesoła gwiazdka, zapusty —

Gdy w każdym domu smażą od rana,

To świeże pączki, to chrusty. —

— Tobie się zima miłą wydaje,

Lecz pomyśl tylko, o dziecie,

Biedakom chleba nieraz nie staje,

Trudniej zarobić, niż w lecie.

Do nędznej chaty wichur przewiewa,

Ciepłej odzieży tam niema,

Biedak ze smutkiem na świat spoziera,

Skoro nadchodzi już zima. —

Chłopczyk westchnienia wstrzymać nie może,

Łzami mu zaszkły oczęta,

Lecz odtąd zawsze w zimowej porze

Najprzód o biednych pamięta.

### 32. Niesłuszne podejrzenie.

1. Franus był jeszcze mały, gdy go rodzice odumarli; nie zostawili mu żadnego majątku, prócz dobrych nauk, które w niego wpoili. Krewni oddali biednego sierotę do zegarmistrza, ażeby się nauczył zegarmistrzostwa i miał się z czego utrzymać.

Chłopczyk wziął się z wielką ochotą do pracy, tak, że właściciel warsztatu był z niego bardzo zadowolony, a nawet polubił go i chętnie uczył.

Raz Franus znalazł na podwórku młodą srokę zranioną; wziął ją do domu, wyleczył i lubił się z nią bawić. Nieraz wielką miał z niej uciechę: zmyślne ptaszkę skakało za nim i swem pociesznem paplaniem rozweselało całą czeladź przy pracy.

Pewnego dnia przyszła do sklepu bogata pani i oddała do naprawy zegarek, wysadzany brylantami, z których dwa trzeba było nanowo wprawić, bo wypadały. Właściciel warsztatu wziął się zaraz z Franusiem do roboty i wkrótce zegarek był naprawiony.

Lecz gdy przyszło do osadzenia brylantów, nie można ich było znaleźć.

Zegarmistrz zmartwił się bardzo, bo brylanty były wielkiej wartości, i gdyby zginęły, nie miałby ich za co odkupić. Wezwał więc wszystkich domowników do szukania; przetrząsnęto każdy zakątek, lecz brylantów ani śladu.

Zegarmistrz był pewien, że prócz niego i Franusia, nikogo w czasie tej pracy nie było w warsztacie; począł więc podejrzewać chłopca, że schował brylanty.

— Nikt inny nie mógł ich wziąć, tylko ty, niedobry chłopcze — rzekł rozgniewany do Franusia.

Franus zbladł na samą myśl tak strasznego grzechu i odpowiedział:

— Czyż ja bym mógł być tak niegodziwym?

— Po twojej bladej twarzy poznaję — rzekł zegarmistrz — że dopuściłeś się tego złego uczynku. A skoro nie chcesz



się przyznać, wiedząc, jaką stratę ponoszę, to idź precz ode mnie, niewdzięczny!

Franuś nie rzekł ani słowa, tylko rozplakał się.

Zegarmistrz przeszukał jego kuferek, a gdy i tam brylanty się nie znalazły, powiedział:

— Pewnie, niegodziwce, wyniosłeś je gdzie z domu! idź sobie ode mnie! — I wypędził Franusia.

Biedny sierota, łzami zalany, wyszedł na ulicę. Zapomniał nawet o sroczce, która została u zegarmistrza i skakała wesoło po warsztacie.

2. Gdy tak stał przed bramą przez kilka godzin, nie wiedząc dokąd się udać, patrzy, a owa bogata pani właśnie nadjeżdża, zapewne po swój zegarek. Wysła z powozu i spojrzała na chłopca zapłakanego. Zatrzymała się i zapytała:

— Czego to płaczesz, chłopczyku?...

Wtedy on ocierając łzy, opowiedział jej wszystko.

Pani wysłuchiwała opowiadania Franusia i rzekła:

— Nie martw się, moje dziecko, chodź ze mną.

Weszli oboje do sklepu zegarmistrza. Zaledwie drzwi otworzyli, wybiegł naprzeciw nich zegarmistrz z rozradowaną twarzą, wołając, że się brylanty znalazły.

— A gdzie były? — zapytała pani.

— Gdy Franusia wydalilem — odrzekł zegarmistrz — usiadłem zmartwiony i smutny, nie wiedząc, co począć. Wtem patrzę, a jego sroczka wskakuje na stół, gdzie leżały kluczyki od zegarków i inne drobiazgi; porywa w dziób jeden kluczyk i ucieka z nim za piec. Zdziwiło mnie to bardzo, więc poszedłem po cichu za sroką i spostrzegłem, że schowała kluczyk w szeroką szparę, która jest w podłodze za piecem. Odpędziłem ją stamtąd czemprędzej, zacząłem szukać w szparze i obok kluczyków i innych drobiazgów, znalazłem w szparze te brylanty, które ta złodziejka ze stołu porwała i tam ukryła.

— Więc pan niesłusznie posądziłeś Franusia! sprawiłeś mu tem wielką przykrość — rzekła pani.

Zegarmistrz przeprosił Franusia i uściskał go. Przyjął zaraz napowrót i przyrzekł odtąd wychowywać go jak własnego syna.

— To dobrze — rzekła pani — lecz ponieważ to moje brylanty były przyczyną niesłusznego podejrzenia, więc a muszę Franusia za jego łzy wynagrodzić. — To mówiąc, wydobyła sakiewkę ze złotem i oddała ją zegarmistrzowi, prosząc go, aby te pieniądze schował na przyszłość dla biednego sieroty.

Franuś podziękował pani z całego serca. Był odtąd jeszcze lepszym i pracowitszym; lecz już pilnował, żeby złodziejka sroka do warsztatu nie zachodziła.

W dziesięć lat potem, Franuś, za pieniądze, które wówczas w darze od pani otrzymał, a które jego pryncypał schował dla niego, urządził sobie warsztat zegarmistrzowski; pracuje, jest szczęśliwy i dobrze mu się powodzi.

### 33. Kruk z dzwonkiem.

Nie jest to nowiną żadną,

Że kruki kradną;

Jednak i dla człowieka zda się stąd nauka:

Na pewnym dworze wychowano kruka,

A ponieważ go wzięto, ledwo się urodził,

Nie więziono go w klatce: gdzie chciał, sobie chodził,

Z pokoju do pokoju bez żadnej przeszkody

Przechadzał się kruczek młody.

A że do kobiet zwykle lgną ptaszęta,

Najbardziej lubił wpaść między dziewczęta;

Zawsze «dzień dobry» powiedział im zrana.

Odwiedzał jednak i pana:

Przylatał czasem do dzieci,

Czasem i na dwór wyleci,

Biegnie w ogród dla połowu

I wraca znowu.

Wszędzie go pełno, wszędzie się on znęci,

A wszędzie figle płata, gdzie się tylko wkreci.

Raz u panien igliczka gdzieś się zapodziała,

Lecz igliczka to rzecz mała.



Na igliczee świat nie stoi;  
Wkrótce o szkodzie zapomniano swojej.  
Jakoś znów niezadługo służącej dziewczynie  
Naparstek ginie.

Dalej zginał pierścioneł z drogiemi kamyki  
I brylantowe koleczyki.

Tu dopiero harmider! dom się w piekło zmienia;

Pełno było domysłów, pełno podejrzenia;

A nikomu w myśl nie wpadnie,

Że to młody kruczek kradnie.

Raz ów panicz zbliża się do stolika,

Porywa srebrny dzwonek i przez okno zmyka.

Dzwoni... a na ten głos służący wybiega,

Na gorącym uczynku złodzieja spostrzega:

— A, tuś mi! to ty, ptaszku, takie płatasz licho? —

Rzekł — i za złodziejem posuwa się cicho:

Idzie za głosem dzwonka kroki powolnemi,

Widzi, jak kruczek nieznacznie spuszcza się ku ziemi,

Jak szuka miejsca tego, gdzie skarby posiada,

Jak do dawnych zdobyczy nową zdobycz składa,

Jak się różnych błyskotek nasycą widokiem,

Jak zazdrośnie przed ludzkim ukrywa je okiem.

A gdy już ma ulecieć, zniemacka go chwyta.

Zawsze musi być zbrodnia przed światem wykryta.

*Stanisław Jachowicz.*

### 34. Kto jest próżniakiem.

Mało kto zapewne zastanawia się nad tem, co to jest  
być próżniakiem?

Otóż nie jest nim ten tylko, co nic nie robi, ale i ten,  
co niby zajęty, jednakże czas bez żadnego pożytku prze-  
pędza.

Kto tak sobie siedzi nad książką i niby ją czyta, a myśli  
o czem innem, kręci się na krzeselku, głowę wspiera raz  
na prawej, drugi raz na lewej ręce, wzdycha, rzuca  
oczami to w tę, to w ową stronę: to próżniak!

Kto rano, zamiast umyć się, uczesać, ubrać pośpiesznie,  
chodzi z kąta w kąt, narzeka, nudzi się, grymasi i drogi  
czas marnuje: to także próżniak!

Kto książki i kajety ma zawsze porozrzucane, a do  
auki musi je zbierać, wyszukiwać,—dowodzi tem, że nie  
ba o nie, że mu są niemiłe: i to próżniak!

Kto nie zważa na to, że ubranie ma pobrudzone, po-  
rute, buciki niewyczyszczone, że tu brakuje guzika, tam  
wętelki; każda dziewczynka, która może sama sobie to  
wszystko zrobić i naprawić, a chłopczyk poprosić, by mu  
ubranie przyprowadzono do porządku, jeżeli tego nie  
czyni: — to z pewnością próżniak!

Kto wysłany z jakim poleceniem przez starszych, za-  
niast śpiesznie tego dopełnić, wlecze się, jak ślimak, a cza-  
sem i mruczy coś, narzekając na robotę: to próżniak!

I tak dalej, i tak dalej, tysiące można przytoczyć przy-  
kładów, ażeby przekonać, że choć kto pozornie pracuje,  
niby się uczy i kręci dzień cały, ale nie robi tego z ochotą,  
ten w gruncie jest próżniakiem.

### 35. Dobre rady.

Wstawaj rano, sypiaj twardo,  
Hartuj duszę, jadaj miernie,  
Z bólem łam się z młodu hardo,  
A dochowaj słowa wiernie!

Ucz się słuchać, abyś umiał  
Rozkazywać, gdy wypadnie;  
Ucz się, pracuj, byś zrozumiał,  
Co tam leży w życiu na dnie!

Ucz się mileżeć, byś treściwie  
Umiał podnieść w niebo głosy;  
Ucz się modlić, byś cierpliwie  
Umiał wytrwać na złe losy.

Nic nie pocznij bez rozwagi,  
Boga wzywaj do pomocy,  
To nie zbraknie ci odwagi  
Ani we dnie, ani w nocy.

Rano rozważ, co masz czynić,  
Nim postawisz krok na prog,;  
A wieczorem korz się Bogu!  
I już lepiej jest obwinić  
W sercu siebie, niżli bliźnie,  
Kiedy noga się pośliznie.

*Wincenty Pol.*



### 36. Najlepsza rekomendacja.

Pewien kupiec pomieścił w pismach publicznych ogłoszenie, że potrzebuje ucznia do swego handlu.

Zgłosiło się, jak to zwyczajnie bywa, wielu kandydatów; z pomiędzy nich kupiec prawie bez żadnego widocznego namysłu wybrał jednego, a innych odprawił.

— Powiedz mi, mój kochany, rzekł obecny przy tem znajomy kupca, dla czego wybrałeś tego chłopczyka? Nie posiada on żadnego listu rekomendacyjnego, a innych mających bardzo dobre świadectwa, odprawiłeś z niczem?

— Jesteś w błędzie, brzmiała odpowiedź kupca. — Ten młody człowiek miał bardzo wiele listów rekomendacyjnych. Zanim wszedł do pokoju, zdjął czapkę, dokładnie otrzepał obuwie, i zamknął drzwi za sobą bez hałasu. Odzież miał należycie wyczyszczoną, a twarz i ręce doskonale umyte; lubi przeto porządek i ochędóstwo. Oczekiwał spokojnie swojej kolei, nie cisnąc się przed innymi, a gdy usiadł na krześle, ustąpił go natychmiast podeszłemu człowiekowi, utykającemu na nogę; ma zatem dobre serce i szanuje starszych. Stał z uszanowaniem, a na moje pytania odpowiadał szybko i stanowczo; jest więc uważny i zastanawiający się. Podniósł książkę, którą naumyślnie położyłem na podłodze, i podał mi ją, gdy inni potykali się o nią, lub na bok usuwali. Jest więc porządny. Wszystko to świadczy o jego dobrem wychowaniu. Czy nie nazwiesz tego najlepszym listem rekomendacyjnym?

### 37. Rodzina.

1. W poczciwej i przykładnej rodzinie wszyscy się kochają i szanują wzajemnie. Jeśli jedną osobę z rodziny spotka szczęście, cała rodzina się weseli; jeżeli smutek, wszyscy się smuć.

Ojciec pracuje na rodzinę i żywi ją. Uprawia rolę, trudni się rzemiosłem, jest kupcem lub zajmuje się inną pracą. Matka prowadzi gospodarstwo domowe.

Rodzice dużo ponoszą kłopotów około wychowania dzieci: karmią je, odziewają, a jeśli które zachoruje, sprowadzają lekarza i kupują lekarstwa. Wiele jest ojców i matek, ciężko pracujących na utrzymanie rodziny.

Gdym był maleńki, nie umiałem ani chodzić, ani stać na nogach, ani o nie postarać się dla siebie, i gdyby nie opieka rodziców, życie moje zarazby się było skończyło. Wiem dobrze, kto mnie nosił na rękę, kto mnie karmił, pielęgnował, pieścił, kołysał i usypiał miłą piosenką. To moja dobra mama!

Matka ma wiele innych jeszcze zatrudnień: szyje, sprząta i dogląda kuchni; lecz nigdy o nas, dzieciach, nie zapomina. Gdym zachorował, siedziała przy mojem łóżeczku strapiona i modliła się o moje zdrowie. Z mojego powodu przepędziła wtedy wiele nocy bezsennych. Ojciec wyrecał ją chwilami i również czuwał nade mną.

2. Odkąd zacząłem mówić i rozumieć, rodzice mówili mi o Panu Bogu, nauczając pacierza. Powiadali mi, co jest złe, a co dobre, zalecając, abym dobre robił, a złego unikał; czasami karali mnie za moje złości i psoty, a to dlatego, abym unikał grzechu. Kiedym podrośł, brali mnie z sobą do kościoła i kazali chodzić do szkoły.

I teraz pamiętają, aby mi niczego nie brakło. Ileż podejmują starań, żeby ze mnie zrobić rozsądnego, pracowitego i dobrego człowieka! Czynią to z wielkiej miłości ku mnie. Nie umiem odpłacić im za to, co dla mnie zrobili i robią. Przynajmniej chcę być im wdzięcznym; chcę kochać rodziców z całych sił duszy i modlić się codziennie o ich zdrowie! Pragnę, aby gdy przyjdzie na nich starość i gdy ich siły opuszczają, mieli ze mnie pociechę i podporę. Pamiętam, co mówi czwarte przykazanie Boskie: «Czcij ojca i matkę twoją.»

Równie jak mnie, rodzice kochają braci moich i siostry moje. I ja kocham moje rodzeństwo i staram się być dobrym dla niego, bo to rodzicom sprawia pociechę, a Panu Bogu jest miłe.



### 38. Dom rodzicielski.

Ze wszystkich chatek najmiłsza chatka  
 Tam, gdzie nasz ojciec, gdzie nasza matka.  
 Choć rodzicielski domek wesoły,  
 Chętnie Jaś idzie rano do szkoły.  
 Wie on, że lepiej w szkole się uczyć,  
 Niż się po domu z kąta w kąt włóczyć.  
 Więc, gdy jest w szkole, siedząc na ławce,  
 Myśli o książce, nie o zabawce.

A gdy skończona nauka, praca,  
 Jaś ucieszony do domu wraca,  
 Wita ojczulka, wita mateczkę,  
 Z kajetów, z książek opróżnia teczkę.

Ojciec go pyta o to i owo:  
 Jaś odpowiada na każde słowo;  
 Znać z odpowiedzi, że nie jest tępy,  
 Codzień w nauce robi postępy.

Czas przy obiedzie ubiega mile;  
 Później Jaś sobie spoczywa chwilę.  
 Wnet żwawo książkę, kajet rozkłada,  
 Rachuje, pisze i przepowiada.

Nim wieczór minął, lekcye gotowe;  
 Więc już ma Jasio spokojną głowę.  
 Wtedy to trzeba widzieć chłopczyka,  
 Jak płasza sobie, jak sobie bryka!...

Nazajutrz za to żwawy, wesoły,  
 Z nową ochotą idzie do szkoły!

*Teofil Nowosielski.*

### 39. Wieś rodzinna.

Wieś rodzinna jest nam najmiłszą, bo w niej najpierw  
 ujrzelśmy świat; w niej pierwszy raz widzieliśmy kwit-  
 nące drzewa, zielone łąki, płynącą wodę, wesołe zwie-  
 rzęta, jasne słońce i pogodne niebo.

We wsi rodzinnej znamy każde drzewo i krzewinę,  
 każdą murawę, każdy kącik, każdą miedzę na roli. Nie-  
 raz staliśmy i bawiliśmy się nad strugą, pluskaliśmy się  
 w wodzie, która wciąż płynie i płynie, przypatrywaliśmy

się rybkom w niej migającym i żabkom skaczącym po  
 trawie nad brzegiem.

W wiosce rodzinnej codzień latem patrzymy, jak pod  
 wieczór owce z pola wracają, a owczarek im przygrywa;  
 jak najedzone bydło ciągnie z pastwiska do domu; jak  
 rolnicy śpieszą po pracy do zagród; jak żniwiarze w sier-  
 py dzwonią i wesoło wyśpiewują; jak słońce spuszcza  
 się z góry za wieś i za lasy; jak zorza pięknie płonie,  
 jakby na niebie ogień się palił, chrząszcze brzęczą, ko-  
 mary latają, a słowik w ogródku śle głosy pod niebiosy.

Wszystko we wsi rodzinnej jest miłe, bo dobrze mi  
 znajome, bo swoje. Miły mi kościół rodzinny, w którym  
 rodzice moi, wszyscy znajomi i ja sam modlimy się tak  
 często; miły mi domek rodzinny, w którym pierwsze po-  
 bieram nauki; miły dźwięczny dzwonek, zwołujący ludzi  
 do pracy i modlitwy; miłe mi te osady zielone, uстроjone  
 na wiosnę kwiatem prześlicznym; miłe te łąki, te pola  
 rodzinne, na których lud nasz w znoju pracuje; miła mi  
 nasza jaskółka przy domu, co z każdą wiosną powraca,  
 gniazdko naprawia, szczebioce i ugania się za muszkami  
 w powietrzu. Tak, tu mi wszystko drogie, bo to rodzinne,  
 bo to znam i kocham od dzieciństwa.

To też i siwemu staruszkowi najmilej w wiosce ro-  
 dzinnej: tu, a nie gdzieindziej pragnie oczy zamknąć  
 i kości w grobie złożyć, bo tu także spoczywają prochy  
 ojca, dziada i pradziada jego.

*Ewaryst Estkowski.*

### Przysłowia.

1. Gdy rodzina żyje w zgodzie,  
 To jej bieda nie dobodzie.
2. Zgoda buduje,  
 Niezgoda rujnuje.
3. Ubóstwo nikogo nie krzywdzi.
4. Siła robi, kto robi, jak potrzeba.
5. Wszystko robi, kto podług czasu robi.



## 40. W i o s k a.

Ja wam opiszę wiejskie zacisze  
 Kilku prostemi słowami:  
 Te sercu drogie chaty ubogie  
 Z ich słomianemi strzechami;  
 Chaty drewniane, stare, złamane,  
 Jak wiekiem babki staruszki.  
 Przy nich, jak dziady, odwieczne sady,  
 Śliwy, jabłonie lub gruszki...  
 Rzekę uroczą z wodą przezroczą,  
 Co się po łąkach rozlewa  
 Pośród gęstwiny krzewów leszczyny,  
 Gdzie nocą słowik nam śpiewa.  
 Gdzie spojrzysz okiem, pasem szerokim  
 Rozległą ujrzysz równinę;  
 Na niej jak morze, faliste zboże,  
 I śpiewającą ptaszynę.  
 Skowronek mały dla Bożej chwały  
 Wdzięczną piosenkę zawodzi,  
 Od wschodu słońca śpiewa bez końca,  
 Aż słońce znowu zachodzi.  
 A polne kwiecie? Nad nie na świecie  
 Nie niema równie miłego:  
 Róże, makówki, bławatków główki,  
 Cóż chcecie bardziej pięknego?

## 41. Działwa ubogich rodziców.

Jest to bolesne, gdy ciężka, całodzienna praca rodziców daje im zarobek tak szczupły, że nietylko nie mogą otoczyć swych dzieciak wygodami, lecz nawet nie są w stanie zaspokoić ich potrzeb koniecznych. O ileż boleśniej, kiedy ta mozolna praca nie pozwala rodzicom czuwać nad swą działwą, strzedz jej od wypadku, o który zwłaszcza w mieście nie trudno. To przechodzić potrafi dzieciaka nieuważnie, to zły pies nastraszy, albo i skaleczy, to wóz może najechać, to dziecko stąpnie na szkła kawałek i nogę zrani, to się wałęsa i złych słów słucha.

Uboga matka, wyrobnica, zmuszona iść na robotę na

dzień cały, aby zarobić na wyżywienie rodziny, nie wie, przy kim zostawić swe dziatki, bo w domu niema nikogo do pilnowania ich.

Jakim sposobem dać pomoc matce, która ani w domu pozostać, ani dzieci z sobą zabrać nie może?

Oto dobroczynni i rozumni ludzie urządzili dla małych dzieci w miastach, miasteczkach, po wsiach nawet, lokale nie wspaniałe, nie zbyt kosztowne, ale dobrze opatrzone, ciepłe w zimie, mające słońce i zdrowe powietrze

Taki lokal nazywa się *ochronką*.

Co rano, każdy ojciec, idący na robotę, każda matka, która idzie mężowi pomagać lub zarabiać osobno, prowadzi dzieci swoje do takiej ochrony. Z uprzejmością i dobrocią przyjmują tam wstępujące dziecię. Znajduje ono innych małych towarzyszków i towarzyszek i przestaje być samotnem i opuszczonem. Między dziećmi wkrótce zawiązuje się przyjaźń. W domu ochrony używają one swobodnie dziecięcej szczęśliwości: bawią się, śpiewają, swawolą, a pocziwa dozorczyńni, która zastępuje im miejsce matki, opowiada im różne ciekawe historie.

Tymczasem ojciec i matka, spokojni o swą działwę, pracują, szczęśliwi tą myślą, że dzieci ich bawią się pod opieką zacnych ludzi i głodu nie cierpią.

Dzięki tym dobroczynnym zakładom, dziecię ubogiego wyrobnika nabiera dobrych obyczajów, jest szczęśliwe, ma powietrze, kwiatki, słońce, przyjaciół wesołych i dobrych.

Zacni ludzie dają pieniądze na utrzymanie tak użytecznych zakładów. Ale i działwa, nawet niezbyt zamożnych rodziców, może uczestniczyć w tem prawdziwie miłosiernem dziele: oszczędnie noszone, ale już za szczupłe ubranie, książeczka dobrze zachowana, nie podarta, ani pobrukana zbyt często, zabawki całe a niepotrzebne—mogą być cennymi darami dla ubogich dzieci. Zbierajcie je więc dzieci, i dawajcie do ochronek, a sprawicie tym biednym niejedną przyjemność!



## 42. Zima się zbliża.

Zima się zbliża, już mroźno na dworze!  
Trzebaby ognia w niejednej komorze;  
Trzeba obuwać bosym nogom dziątek,  
Grubszej odzieży dla ojców i matek.  
Wszystkim potrzeba łyżki ciepłej strawy.  
A tu nie niema! Daremnie wzrok łzawy  
Spoziera w niebo i woła: — O, Boże!  
Ty chyba ratuj, bo któż nam pomoże?

— Nie nadaremnie głos wasz do Mnie woła;  
Patrzcie, zesłałem na ziemię Anioła,  
Który oddawna między wami gości.  
Wy go zowiecie aniołem litości;  
Wśród was wyszuka szczęśliwych on łatwo,  
Za rodzicami się wstawi, za dziatwą,  
Szepcąc bogatym, tak we dnie, jak w nocy:  
— Nie odmawiajcie biedniejszym pomocy!

Więc, gdy ten Anioł swą prośbą uderzy,  
Do miłej dziatwy, kochanej młodzieży,  
Nie będzie długo pukał w serca wrota,  
Wszak prawda? Zaraz nam przyjdzie ochota  
Obdarzyć dzieci bose, zziębłe, chore.  
Wszystko się przyda na tę roku porę!  
Niech każdy cokolwiek między nich rozdzieli,  
Im będzie lepiej, a nam też weselej.

*Ludwik Niemojowski.*

## 43. Miłość synowska.

1. W starożytnym Rzymie podczas niezgody między obywatelami i z tego wynikłej wojny domowej, ludzie, którzy zagarnęli w swe ręce najwyższą władzę, skazywali na wygnanie lub na śmierć tych, którym nie ufali, albo których się bali.

Taki los spotkał i sędziwego Apiusza, męża powszechnie szanowanego, który na usługach kraju stargawszy swe siły, złożony był niemocą.

Syn jego był wówczas nieobecny w Rzymie. Dowie-

dziawszy się o tem, co się dzieje, śpiesznie przybywa do miasta i namawia ojca, aby uciekał.

— Zbliża się chwila — rzecze do ojca, w której ludzie zbrojni przyjdą do twojego domu, zabiorą cię i na śmierć powiodą. Zginiesz, jeśli cię tu zastaną!

— Dlaczegoż miałbym uciekać? — odrzekł starzec. Życie niewiele posiada już dla mnie powabu, wyczerpałem siły swoje na usługach kraju. Wszyscy mnie opuścili, nawet moi domownicy, w obawie, aby i ich nie skazano na wygnanie. Kiedy byłem zdrow, liczni przyjaciele towarzyszyli mi na sądy, każdy uważał sobie za zaszczyt prowadzić pod rękę starca. Pochylony brzemieniem lat, śmiało, z podniesioną głową, udawałem się na miejsce obrad, bo towarzyszyła mi miłość ludu i uszanowanie współobywateli. Dziś wszystko się zmieniło, wszyscy z obojętnością spoglądają na los, jaki mnie czeka. Pokażę im, że umiem umierać.

— Ojcie — rzekł młody Apiusz — wszystko, co mówisz, jest prawdą; ale ja cię nie opuszczę, pozostanę ci wiernym. Przecież jestem twoim synem! Miłość moja zastąpi ci ich wszystkich. Mój ojcie, nie narażaj się na niechybną śmierć z rąk wrogów. Nie zasłużyłeś na nią! Pójdź, uciekajmy!

Starzec z uczuciem wdzięczności pochwycił syna za rękę, poczem dodał ze smutnym uśmiechem:

— Uciekaj sam, mój synu! Słabe moje siły nie pozwolą mi pójść z tobą. Uciekaj! bo jeśli cię tu znajdą, wspólnie ze mną na śmierć cię powiodą.

Na te słowa, młody człowiek rzuca się do stóp ojca, okrywa je pocałunkami, potem powstaje, a silnie starca objąwszy, mówi:

— Zabiorę cię ze sobą, albo umrę z tobą. Nosileś mnie na rękach, kiedy byłem dzieckiem, teraz na mnie przyszła kolej. Pójdź! czuję w sobie wielką siłę, wyniosę cię z miasta.

2. Po chwili, z samotnego, opuszczonego domu wyszedł



młody człowiek, dźwigając na barkach sędziwego ojca. Postępował śmiało, z głową podniesioną, twarz jego promieniała radością. Ludzie, ujrawszy taki dowód miłości synowskiej, wydali okrzyk podziwu, głośno przyklaskując. Najśmielsi wołali: niech żyje stary Apiusz! Jednak inni usuwali się na bok, aby ich nie posądzono o przychylność ku wygnańcowi.

Lecz młody Apiusz, niosąc swój drogi ciężar i ciągle z nim śpiesząc, odczuwał coraz większe znużenie. Słońce znacznie się już zniżyło, z jego zachodem zamykano bramy miasta. Apiusz śpieszy się i poczyną już biedz ze swym ukochanym ciężarem; lecz serce gwałtownie mu bije, nogi się chwieją, ogarnia go niemoc. Zewsząd słychać słowa zachęty; lecz nikt się nie zbliża, aby mu ulżyć ciężaru. Tymczasem rzadnieją tłumy, zbrojni ludzie przebiegają ulice, wszystkich ogarnia przerażenie.

Tymczasem niosący, im bardziej się śpieszy, tembardziej zdaje mu się, iż bramy miasta oddalają się. Już z trudnością oddycha i przed oczami mu się mroczy; pomimo to ciągle idzie naprzód, bo miłość ku ojcu i mocne postanowienie — nadludzkiej dodają mu siły.

Nagle zawahał się, nogi odmawiają mu posłuszeństwa, czuje, iż wkrótce upadnie. Zamglonemi oczami spogląda naokoło siebie, oczekując pomocy, ratunku. Napróżno! Nikt nie przybywa! Może zbrojni ludzie już go ścigają! Już tylko sto kroków oddziela go od miejskiej granicy. Dobywa ostatnich sił, biegnie, wreszcie pada zemdlony.

Kiedy odzyskał przytomność, sędziwy Apiusz trzymał syna w swoich objęciach; ale znajdowali się już poza miastem i nie groziło im niebezpieczeństwo.

Kiedy w parę lat później młody Apiusz powrócił do Rzymu, lud, pamiętając o jego nieograniczonym poświęceniu dla ojca, z taką przyjął go okazałością, z jaką przyjmowano tylko wodzów po świetnem zwycięstwie.

#### 44. Pamięć ojca.

Piękny przykład miłości ku rodzicom zostawił nam król Bolesław III, zwany Krzywoustym, syn Władysława Hermana. Bolesław bardzo kochał ojca swego i po jego śmierci czcił jego pamięć, a wolę szanował. Przez pięć lat po śmierci ojca chodził w żałobie, wizerunek jego nosił na piersiach, na który gdy spojrzał, zwykle mawiał:

— Niech mnie Bóg zachowa, ażebym popełnił co niegodnego błogosławionej pamięci ojca mojego!

Na tym medalionie był z jednej strony wizerunek ojca, a na drugiej stronie następujące ojcowskie przestrogi:

«Uważaj, aby mowa twoja, wprzód nim z ust wyjdzie, była przyzwoitą i uczciwą, gdyż ojciec twój ją słyszy.»

«Uczynki twoje niech się odznaczają sprawiedliwością, i prawdą, bo ojciec twój je widzi.»

«Niech wszystkie twoje czyny i drogi rządzą się sprawiedliwością, bo ojciec na nie patrzy.»

«Cokolwiek myślisz lub czynisz, myśl i czyń dobrze i mądrze, szanując obecnego Boga i pamięć rodzica.»

Bolesław Krzywousty umarł w Płocku, ówczesnej stolicy Mazowsza; prochy jego spoczywają w tamtejszej katedrze obok prochów ojca jego, Władysława Hermana.

*Ewaryst Estkowski.*

#### 45. Modlitwa za rodziców.

Gdy ze snu wstawszy, w porannej godzinie,  
Do Ciebie, Boże, modły moje wnoszę,  
Nad inne tkliwiej jedna w niebo płynie,  
I dłużej, rzewniej Cię proszę,  
Ze łzą miłości wnosząc to błaganie:  
Rodzicom moim pobłogosław Panie!

Modlitwę taką Ty przyjmiesz tam, w niebie,  
Ojcu i matce łask użyczysz Twoich,  
Bo modły dziecka miłe są u Ciebie,  
I błagań wysłuchasz moich;



Przed tron Twój, Boże, wznoszę więc błaganie:  
Rodzicom moim pobłogław Panie!

Niech własne dziecko nieba im przychyli  
I dni ich życia niech szczęściem otoczy,  
A nasze serca w każdej życia chwili  
Niech święta miłość jednoczy.  
O Boże wielki! przyjm korne błaganie:  
Rodzicom moim pobłogław Panie!

#### 46. Poszanowanie wieku i zasługi.

Jan Zamojski, sławny hetman, pan mądry i bardzo bogaty, wracając z wyprawy wojennej do domu, zatrzymał się we Lwowie; w niedzielę poszedł do kościoła O. O. Dominikanów dla wysłuchania Mszy świętej. Gdy się ludzi dowiedzieli, że Zamojski będzie na rannem nabożeństwie w kościele, każdy śpieszył, aby zobaczyć tak sławnego męża. Z tej przyczyny był w świątyni ścisk wielki.

Przed samem kazaniem powstał szmer jakiś. Ten i ów obrócił się w tę stronę; spojrzął też i Zamojski, siedzący na miejscu wywyższonem przy wielkim ołtarzu.

Z pomiędzy tłumu wysuwał się starzec, siwy jak gołąb oparty na kiju, a tak osłabiony, że ledwie szedł. Z twarzy, poznaczonej bliznami, można było odgadnąć, że to dawny żołnierz.

Stał wprost ambony i słuchał kazania. Ale nikt jakoś w kościele nie ustąpił miejsca staruszkowi. Widząc to Zamojski, dał mu znak, aby usiadł koło niego. Łazarz zakreślił się w oku starego żołnierza; skłonił się i podziękował, ale nie śmiał usiąść. Wtedy Zamojski powstał, zbliżył się do starca, wziął go za rękę, przyprowadził do ławki i obok siebie posadził.

— Panie! — szepnął wojak — tyś wielki hetman, a ja ubogi starzec, jakże ja mogę siedzieć obok ciebie?

— Wiek i zasługę powinniśmy wszyscy uszanować. Siedź, towarzyszu broni — odrzekł cicho hetman i słuchał dalej rozpoczętego kazania.

#### 47. Szanuj starszych.

|                             |                            |
|-----------------------------|----------------------------|
| O, kochana młodzieży!       | — Gdy zobaczysz włos siwy, |
| Cześć starszym się należy,  | Daj mu pokłon uczciwy!     |
| Wszak z Boskiego zrządzenia | Tak mawiali ojcowie,       |
| Młody w starca się zmienia. | Że aż poszło w przysłowie. |
| Kto szanuje starszego,      | Dziś słuchają prawnuki     |
| Dozna potem sam tego.       | Wielkiej, świętej nauki;   |
| Czas nieznacznie uchodzi,   | Słynni z tego Słowianie,   |
| Oddadzą wam to młodzi.      | Na wieki to zostanie.      |

#### 48. O wdzięczności.

— Powiedz mi, — pytał nauczyciel Adasia — kogo to niewdzięcznym zowią?

— Niewdzięcznym nazywają tego, któremu dobrze czynią, a on, chociaż może, nawzajem tego nie robi.

— Uwierzysz więc zapewne, że niewdzięcznych należy uważać za nieuczciwych, bo wdzięczność jest obowiązkiem, kto go zatem nie spełnia, jest nierzetelnym.

Dobre i roztropne dziecko będzie zawsze wdzięczne rodzicom swoim, tak z powodu swojej miłości dla nich, jak i dlatego, aby Bóg od niego, jako od niewdzięcznego, dobrodziejstw Swoich nie wstrzymał. I ludzie, gdy zobaczą, że syn z rodzicami źle się obchodzi, będą nim pogardzali, bo gdy się niewdzięcznym względem rodziców okaże, nikt wiary nie da, iżby i za to, co mu dobrego zrobią, mógł się odwdziżyć.

U starożytnych ludów takie były prawa, iż tych, którzy się niewdzięcznymi względem rodziców swoich okazali, do żadnego urzędu nie przypuszczano; wnoszono bowiem, iż taki człowiek nie chwalebne i sprawiedliwe uczynić nie może.

Tylko złemu sercu wdzięczność wydaje się trudną. Dobrzy czują się szczęśliwymi, gdy za dobrodziejstwa mogą się wywdziżyć posługami. Ci zaś, którzy tego uczynić nie mogą, innego do wdzięczności środka nie mają, oprócz posłuszeństwa i miłości bez granic.



Rodzice też innej ofiary od dzieci nie wymagają.

Jest jeszcze inny sposób okazania wdzięczności. Kiedy mi dobrodziejstwo wyświadczył człowiek, który ode mnie nie nie potrzebuje, to powinienem uścić się z długu zaciągniętego względem niego, przychodząc z pomocą innemu. Taki sposób wywdzięczania się jest każdemu dostępny. Nawet w najcięższym położeniu się znajdując, można być użytecznym, bodaj drobną przysługą, bodaj dobrą radą, bodaj słowem pociechy.

#### 49. Chata ojczysta.

Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze,  
I ludzie mi drodzy i mili;  
I nie wiem, co miłsze nad swojskie poddasze?  
Nad ptaka, co w krzakach wciąż kwili?  
Nad matkę, co przędzie len w białej świetlicy?  
Nad ziemię, co zboże nam rodzi?  
Nad gwiazdę, co w czystej kapie się kryniey?  
Nad miesiąc, co z lasu wychodzi?  
I nie wiem, co miłsze nad ludzkie wejrzenie?  
Co czystsze nad wodę przejrzystą?  
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?  
Co droższe nad chatę ojczystą?

*Teofil Lenartowicz.*

#### 50. Wdzięczny druciarz.

«Czcij ojca twego i matkę twoją» — słowa te sam Bóg napisał w swoich świętych przykazaniach. — Bo czy jest obowiązek miłszy sercu nad to przyrodzone uczucie miłości synowskiej, nad nieograniczone dla rodziców posłuszeństwo i wdzięczność za ich trudy, podjęte około naszego wychowania? I nie dziw, że dziecię kocha tych, którzy od niemowlęstwa otaczają je miłością i najtroskliwszemi staraniami!

Lecz czy nie prawdziwie godną podziwienią będzie cnota i szlachetność dziecka, gdy umie być wdzięcznym dla

obcych za trochę wyświadczonego mu dobra? Rozczulający niedawno miałem tego przykład. Posłuchajcie.

Na Krakowskiem-Przedmieściu, około Bernardyńskiego kościoła, zbliża się do mnie młody, bo zaledwie trzynastoletni druciarz, i w swoim góralskim narzeczu zapytuje mnie, czy nie wiem, gdzie tu jest biuro przyjmowania listów i pieniędzy?

— Wiem, mój kochany — odpowiedziałem — na pocztę przyjmują listy i pieniądze do przesłania; właśnie w tamtą stronę idę, mogę ci więc pokazać.

Druciarz pokornie uchylił swego kapelusza i pokłonił mi się w mileczeniu, dając znać uradowanym wzrokiem, że gotów iść za mną.

Zajęła mnie łagodna i piękna twarz młodego górala; przeczuwałem w nim pocziwe serce i nie omyliłem się.

— A dużo chcesz posłać pieniędzy? — zapytałem.

Druciarz otworzył rękę i z dumą pokazał mi leżący na dłoni pieniądz złoty.

— To zapewne dla rodziców?...

— Jam sierota, panoczku — odrzekł mi smutnie — ojciec i matka umarli, gdy miałem lat cztery. Stara Pawlikowa przyjęła mnie i chociaż sama bardzo uboga, podzieliła ze mną chleb, ciężko zarobiony. Dwa roki temu, wyszedłem w świat z naszymi, bo starej trudno już było pracować na dużego chłopaka: płakała Pawlikowa, gdy jej powiedział, że pójde do Warszawy i puścić nie chciała; musiałem w nocy od niej, jak złodziej uciekać... Pewno się kłopotowała o mnie, nieboga! Otóż chciałbym jej posłać ten złoty pieniądz, na który od dwóch lat pracuję.

— Ale — rzekłem — lepiej byłoby posłać pieniądze papierowe; mniej będzie kosztowała opłata pocztą.

— O, nie, panoczku! — odpowiedział — u nas w górach złoty pieniądz rzecz rzadka. Pawlikowa pomyśli, że ja bogaty i nie będzie jej tak żałośnie po mnie; na opłatę pocztą mam tu jeszcze kilka groszy, na życie może Bóg da zarobić, a choćbym też nie jadł dzień cały, nie wielka



rzecz! Ona wiele razy od gęby sobie odjęła, abym ja nie był głodny.

Rozczuliła mnie szlachetna i pocziwa prostota chłopczyń; chciałem mu dać kilka złotych; nie przyjął...

— Kup, panoczku, pułapkę na myszy, to ci podziękuję, bo będę miał na obiad dziś i na cały dzień jutrzejszy; ale jałmużnę brać, to grzech i nieładnie; tak mówiła stara Pawlikowa.

Zakupiłem wszystkie pułapki od dobrego druciarza, choć nie mam wcale myszy w mieszkaniu.

Tymczasem doszliśmy do bramy pocztowej; gdy ją wskazałem chłopczyń, poskoczył uradowany, dziękując mi raz jeszcze zręcznem i pokornem uchYLENIEM kapelusza.

— O, nie dziw, pomyślałem odchodząc — że kocha staruszkę, która weń tak pocziwe wpoila zasady. Żebrać w potrzebie nie jest grzechem, lecz kto, mogąc pracować, datki przyjmuje i na jałmużnę się ogląda, ciężko obraża Boga, a nawet popełnia zbrodnię, godną kary.

*Jan Kowerski.*

## 51. Chrystus i dzieci.

Siadł w szczerem polu Chrystus Pan,  
A przy nim orszak bosy:  
Dziateczki, co na żęty łan  
Szły z miasta zbierać kłosy.

Cisną się usta do rąk Mu  
Drobnutkiej tej czeladzi,  
A Chrystus spuścił jasną dłoń,  
I główki dziatek gładzi.

— Rośnijcie — rzecze — ojcom swym  
I matkom na pociechę...  
I jako słońce, chaty swej  
Ozłóćcie niską strzechę! —

A co pogładzi jasny włos,  
To gwiazdy mu dokoła  
Sypią się, naksztalt złotych ros,  
Na pochylone czoła.

Lecz pośród dzieci była tam  
Sierotka jedna mała,  
A słysząc to, co Chrystus rzekł,  
W te słowa się ozwała:

— A ja nie będę, Panie, rość.

Bo na co to i komu?

Ojca ni matki nie mam już,

A także nie mam domu.

Lecz Chrystus rzekł: — Zaprawdę wam

Powiadam, moje dziatki:

Nie jest sierotą żadne z was,

Choć nie ma ojca, matki.

Bo ojcem mu jest niebios Pan,

A matką ziemia miła,

Co go zbożami swoich pól

Jak mlekiem wykarmiła.

A domem jest mu cały świat

Bez granic i bez końca,

Gdzie tylko sięgnie jego myśl,

Jak złota strzała słońca.

*Marya Konopnicka.*

## 52. Wdzięczność dzikiego.

(Zdarzenie prawdziwe).

1. Lat temu kilkadziesiąt, wśród wielkiej śnieżnej zimy, jakaś wynędzniała Idyanka przysła przed dom pewnego Francuza, zamożnego właściciela folwarku w pobliżu miasta Montreal w Kanadzie (w Ameryce).

Kobieta miała na sobie okrycie z niebieskiego sukna, osłaniające także głowę; pas i przepaski na czole naszyte różnobarwnymi kamykami i przystrojone w pióra; na nogach miała trzewiki muszelkami przybrane. Strój głowy haftowany i wyszywany, wskazywał, że była to żona naczelnika jakiegoś plemienia Czerwonoskórych.

Ale odzież ta była zużyta, ozdoby wypłowiały i poszarpane; czas i ślota wyrwały na niej ślady widoczne.

Idyanka trzymała w rękach kolebkę, u dzikich używaną: jest to kawał deski pomalowanej na czerwono i zie-



lono, do której tam przywiązują dzieci, przykrywając je wedle pory roku płótnem lub derą wełnianą. W takiej to kolebce spoczywało maleńkie dzieciątko.

Przystanąwszy przed domem owego francuskiego osadnika, Idyanka opowiadała, że mąż jej był posłany od swego plemienia do «Bładych twarzy» (do ludzi o jasnej cerze) w pewnej ważnej sprawie, i ona mu towarzyszyła. W czasie tego poselstwa mąż jej umarł na obcej ziemi, a ona nie ma teraz o czem wrócić do swoich. Tymczasem zaś znużona drogą i przeziębła, prosi o schronienie i o nocleg, bo już noc zapada i mróz coraz bardziej się wzmacnia.

Ale bogaty osadnik prośby jej nie chciał wysłuchać i kazał jej pójść sobie dalej.

Biedna matka odchodziła już z niemowlęciem, gdy z domu wybiegła dziewczynka, około dziesięciu lat mająca, a zbliżywszy się do Idyanki, rzekła wzruszona:

— Biedna, odchodzisz z niczem, ale przyjm to ode mnie; niedaleko stąd jest gospoda, wstąp tam a znajdziesz schronienie dla siebie i dla swojego dzieciątka.

Mówiąc to, wskazała kobiecie drogę i weisnęła pieniądź złoty do ręki.

Idyanka się zawahała, ale dziewczynka rzekła:

— Weź, nie obawiaj się; to mój pieniądź, który sobie zaoszczędziłam, wolno mi nim rozporządzać; nikt nie będzie za to gniewać się na mnie.

— Wielki duch wynagrodzi ci to, moja młodziutka, dobra siostrzyczko! — powiedziała śród łez Idyanka.

Dziewczynka, żegnając się z nią, poprosiła jeszcze, aby jej pozwoliła ucałować dzieciątko. Matka uśmiechnęła się i uczyniła zadość życzeniu dziewczynki. ✕

2. Odtąd upłynęło lat przeszło dwadzieścia kilka.

W tym czasie bogaty ojciec litościwej dziewczynki stracił majątek i niezadługo umarł.

Córka jego, owa niegdyś dziesięcioletnia dziewczynka, wyszła za mąż za Francuza i przeniosła się do Paryża.

Ale wkrótce straciła męża i była bardzo nieszczęśliwa.

Pewnego dnia — było to w r. 1885 — zbiedniała, wówczas już trzydziestoletnia kobieta, siedziała w izdebce na poddaszu, zajęta pilnie robotą; chciała ją dziś jeszcze oddać do sklepu, aby otrzymać zapłatę, jedyny fundusz na życie.

Wtem zapukano do drzwi jej mieszkania, i wszedł młody mężczyzna cery nieuropejskiej.

— Już od dawna szukam panią — rzekł — wszak nazwisko pani jest R...

— Tak jest — odpowiedziała zapytana.

— Bardzo się cieszę, że panią nareszcie odszukał — mówił dalej. — Jestem synem pewnej Indyanki, której niegdyś, jako dziewczynka, dałaś wsparcie w osadzie pod Montreal, i owem dzieckiem, któregoś pani wówczas ucałowała. Bez twojej pomocy byłibyśmy napewno zginęli. Obecnie jestem obywatelem angielskim i prowadzę znaczny interes bankierski; powodzi mi się dobrze i posiadam dość duży majątek. Matka moja, umierając przed laty, poleciła mi jak najgoręcej, abym się dowiedział o pani i podziękował ci osobiście. Otóż pozwoli pani, że jej zwrócę pocałunek, który mi dałaś przed dwudziestu kilku laty. Rzekłszy to, ucałował z wdzięcznością rękę pani R., a odchodząc, rzekł:

— Nie żegnam się z panią, ale raczej do widzenia.

Po jego odejściu pani R. spostrzegła na bocznym stoliku paczkę z napisem:

«Dla pani R., jako słaby dowód wdzięczności dzikiego z prośbą o przyjęcie tej małej pomocy.»

Paczka zawierała piękny pugilares, a w nim 25,000 franków w papierach bankowych.

### Przysłowia.

1. Kto się na swój rozum spuszcza, pyszny raczej, a nie mądry.
2. Zły do urazy bierze przestrożę, mądry do poprawy.
3. Piękny żart, jeżeli bez szkody i przymówki.
4. Prawdy a żartów używaj jako soli, bo przesolisz.

Maksymilian Fredro.



### 53. Powrót taty.

— Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem  
Za miasto, pod słup, na wzgórek;  
Tam przed cudownym klękniście obrazem,  
Pobożnie zmówcie paciorek!

Tato nie wraca. Ranki i wieczory  
We łzach go czekam i trwodze.  
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,  
I pełno zbójców na drodze. —

Słyszac to, dziatki biegną wszystkie razem  
Za miasto, pod słup, na wzgórek;  
Tam przed cudownym klękają obrazem  
I zaczynają paciorek.

Całują ziemię; potem: — W Imię Ojca,  
Syna i Ducha Świętego.  
Bądź pochwalona Przenajświętsza Trójca  
Teraz i czasu wszelkiego!

Potem «Ojcze nasz» i «Zdrowaś» i «Wierzę»,  
«Dziesięcioro» i koronki,  
A kiedy całe zmówiły pacierze,  
Wyjmą książeczkę z kieszonki,

I litanię do Najświętszej Matki  
Starszy brat śpiewa, a z bratem:  
— Najświętsza Matko — przyśpiewują dziatki —  
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatą!

Wtem słyszą turkot: wozy jadą drogą  
I wóz znajomy na przedzie...  
Skoczyły dzieci, i krzyczą, jak mogą:  
— Tato, ach, tato nasz jedzie! —

Obaczył kupiec — łzy radości leje,  
Z wozu na ziemię wylata:  
— Ha! jak się macie? Co się u was dzieje?  
Czyście tęskniły do taty?

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?  
A ot rodzinie w koszyku... —  
Ten sobie mówi, i ten sobie mówi —  
Pełno radości i krzyku.

— Ruszajcie! — kupiec na sługi zawoła; —  
Ja z dziećmi pójdę ku miastu. —  
Idzie... aż zbójcy obstąpią dokoła,  
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,  
Wzrok dziki, suknia plugawa,  
Noże za pasem, miecz u boku błyska,  
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,  
Tulą się pod płaszczy na łonie.  
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,  
Drżące ku zbójcom wznosił dłonie:

— Ach, bierzcie wozy! ach, bierzcie dostatek!  
Tylko puszczaćcie nas zdrowo!  
Nie róbcie małych sierotami dzieci  
I młodej małżonki wdową! —

Nie słucha zgraja: ten już wóz wyprzega,  
Zabiera konie, a drugi:  
— Pieniądzy! — krzyczy i buławą sięga;  
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtem: — Stójcie! stójcie! — krzyknie starszy zbójca,  
I spędza bandę precz z drogi;  
A wypuściwszy i dzieci i ojca:  
— Idźcie — rzekł — dalej, bez trwogi! —

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:  
— Nie dziękuj! Wyznam ci szczerze:  
Pierwszybym pałkę strzaskał na twej głowie,  
Gdyby nie dzieciak pacierze.

Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,  
Darzą cię życiem i zdrowiem.  
Im więc podziękuj za to, co się stało,  
A jak się stało, opowiem.

Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,  
I ja i moje kamraty,  
Tutaj za miastem, przy wzgórku, u słupca  
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadechodzę, patrzę między chrósty:  
Modlą się dziatki do Boga.  
Słucham — z początku porwał mnie śmiech pusty,  
A potem litość i trwoga.



Słucham—ojczyste przysły na myśl strony,  
 Buława wypadła z ręki:  
 Ach, ja mam żonę—a u mojej żony  
 Jest synek taki maleńki...

Kupcze, jedź w miasto, ja do lasu muszę.  
 Wy, dziatki, na ten pagórek  
 Biegajcie sobie, i za moją duszę  
 Zmówcie też czasem paciorek.»

*Adam Mickiewicz.*

## 54. Staruszka.

Na stacyi kolei żelaznej, w sali przeznaczonej dla podróżnych siedziało kilkanaście osób, oczekujących na przybycie pociągu. Było to w jesieni. Ponury, pochmurny i dżdżysty dzień przykro oddziaływał na usposobienie podróżnych, którzy, w milczeniu siedząc, posępnie na siebie spoglądali.

Wtem weszła do sali jakaś biednie ubrana staruszka z koszyczkiem w rękę; znajdowały się w nim rozmaite wyroby wełniane, widocznie własną jej ręką przygotowane na nadchodzącą porę zimową. Obeszła ona wszystkie osoby, znajdujące się w sali, ofiarując swój towar na sprzedaż; ale nikt nie kupił i tylko ruchem głowy dawał poznać, że jej towaru nie potrzebuje. Staruszka z westchnieniem zwróciła się do drzwi, chcąc odejść; ale raz jeszcze się zawróciła i udała się w głąb sali, rozglądając się i jakby czegoś szukając.

— Czego to szukacie, dobra kobiecino?—zapytała jakaś pani, ubrana w czarną suknię i siedząca przy piecu.

— Chciałabym się ogrzać, bardzo przeziębłam!

— Proszę,—rzekła ta pani i odsunęła swe krzesło od pieca, pozwalając staruszce do niego się przybliżyć, sama zaś podeszła do bufetu, poprosiła o szklankę herbaty i bułeczkę i przyniosła je staruszce, mówiąc:

— Usiądźcie na tem krześle przy piecu i napijcie się gorącej herbaty, to się jeszcze lepiej rogrzeczecie. —

To powiedziawszy, podała staruszce krzesło, a sama usiadła na innem o parę kroków dalej.

— Ach! jaka pani dobra — mówiła staruszka, a oczy jej wyrażały wdzięczność.

— Cóż to, matko, sprzedajecie? — zapytała nieznajoma.

— Są tu szaliki, narękawki, mitenki,—sama to wszystko zrobiłam; ale jakoś dziś nie mam szczęścia, nikt nie chce kupić.

— Pokażcie mi, matko, może co wybiorę,—rzekła nieznajoma pani. O, jak to dobrze, że macie szalik! Wezmę go, przyda mi się; i nieznajoma, chociaż rzeczywiście nie potrzebowała, kupiła tę drobnostkę.

Obecni w milczeniu przysłuchiwali się rozmowie tych dwóch kobiet; stopniowo twarze ich się wypogodziły, a kiedy pani załatwiła kupno ze staruszką, jedna osoba po drugiej przywoływała ją do siebie i nabywała różne drobnostki. Znikła wkrótce posępność, zalegająca salę, a lubo niebo się nie wypogodziło, zdawało się, jakby jasny, ożywczy promień słońca tu zawitał.

## 55. Kolaska.

Nie z potrzeby, ale z mody,  
 Leciał pędem panicz młody;  
 Konie się w biegu pienily,  
 On je ćwiczył, co miał siły.

Pędzi dalej. Jam rzekł cicho:  
 — Będzie jemu kiedyś lieho!  
 O! tu do końca miesiąca,  
 Jeszcze wszystkich poroztrąca.

—Umykajcie, wołał z drogi!—  
 Groził ręką i batogi;  
 A ten w oczach jego zgrzeszył,  
 Kto na stronę nie pośpieszył.

Gdy raz tak zawzięcie leci  
 Z strachem starców, kobiet,  
 Dzieci,  
 Akurat na Nowym-Świecie  
 Zawadził o kamień przecie.

Już to niby zrobił łaskę,  
 Gdy w bok skierował kolaskę.  
 O włos dziadka nie przejechał  
 I z przekąsem się uśmiechał.

Pękły osie u karocy,  
 Panicz wyleciał jak z procy;  
 A od tej modnej swawoli  
 Jeszcze dotąd bok go boli.

*Kajetan Węgierski.*



## 56. Litość Królowej Jadwigi.

Królowa polska, Jadwiga, żona Władysława Jagielly, była bardzo litościwa. Wspierała ubogich, broniła pokrzywdzonych, była prawdziwą matką ludu.

Raz, kiedy królestwo zwiedzało Wielkopolskę i stanęli w pewnym zamku, ujrzała Jadwiga przez okno, że żołnierze odpychają cisnących się do niej włościan. Zawołała więc królowa na dworzan, aby wpuścili lud, a wyszedłszy sama do zgromadzonych włościan, zapytała:

— Czego to chcecie, moi mili?

— O, najśliczniejsza królowo!—zawołał najstarszy włościanin ze łzami—królewscy żołnierze zagrabili nam cały nasz dobytek i teraz nie mamy, będziemy musieli pomrzeć z głodu my i nasze dzieci.

Usłyszawszy to, Jadwiga ujęła swemi rączkami opalone i spracowane dłonie włościan, zawiodła ich przed króla i rzekła:

— Mężu mój, patrz, jak twoi swawolni żołnierze krzywdzą biednych chłopków. Zabroń-że im dokuczać ludowi, a tym biedakom nagródź szkodę; my tu we wszystko opływamy, a ich żony i dzieci płaczą gorzkimi łzami i giną z głodu.

Król Jagiełło zbadał zaraz sam tę sprawę i ukarał swawolnych żołnierzy, a włościanom zapłacił szkodę. Odprawivszy ich z darami do domu, obrócił się do Jadwigi i zapytał:

— No i cóż? Czy jesteś zadowolona?

— Bóg ci zapłać, mężu — rzekła litościwa Jadwiga — żeś im powrócił szkodę; ale kto im łyzy powróci?

Tak zapytała ta dobra królowa, bo kochała lud i każdą łzę biednego człowieka czuła całym sercem.

Lecz i Jagiełło był dobrym królem i czynił dobrze swemu ludowi, nigdy nie pozwalając, aby go krzywdzono.

### Przysłowie.

Cudze rzeczy wiedzieć — ciekawę; a swoje potrzeba.

## 57. Prawdziwy chrześcijanin.

W końcu XIII wieku, z powodu zatargów wewnętrznych, w całym kraju była wielka bieda. Wzruszony niedolą ludu, arcybiskup gnieźnieński, Jakób Świnka, kazał wszystkich biednych, bez żadnej różnicy, przypuszczać do siebie, i o ile tylko zdołał, wspierał ich.

Pewnego dnia, do przedsionka arcybiskupiego przyszedł bardzo ubogi Izraelita i, wyciągnawszy rękę po jałmużnę, począł błagać o litość. Użalał się, że stracił syna, całe mienie swoje i że niezdolny do pracy, został teraz bez sposobu do życia, umierając prawie z głodu. Mówił to wszystko smutnym głosem, z oczami łez pełnemi. Służba dostojnika Kościoła spoglądała na niego, szyderstwem odpowiadając na jego prośby i grożąc, że jeżeli nie odejdzie, to go psami wyszczują.

Westchnął ciężko nieszczęśliwy starzec, smutnie kiwnął głową, i już chciał się oddalić, gdy w progu sieni ukazał się sam arcybiskup.

Surowem spojrzeniem zmierzył służbę.

— Dlaczego nie spełnacie moich rozkazów?—zapytał;— wszakże kazałem wszystkich przypuszczać do siebie!

— Ależ to żyd — odezwał się jeden ze służących.

— Żyd! a tyś co? — zapytał arcybiskup.

Służący zmieszał się i nie śmiał odpowiedzieć.

Arcybiskup mówił dalej.

— Uważasz się za chrześcijanina, i dobrego zapewne, a ja ci powiadam, żeś poganin, bo w twem sercu niema miłości bliźniego... Bracie!—mówił dalej kapłan, zwracając się do Izraelity,—przebacz nieludzkość, jakiej tu doświadczyłeś...

— Ja się nie gniewam, jaśnie panie—odrzekł biedny—my do takiego obejścia już przyzwyczajeni; każdy gardzi nami i musimy to znosić, bo co robić?

— Ale ja nie gardzę tobą; podaj mi rękę, starcze—mówił dalej kapłan i uścisnął podaną sobie dłoń.



Potem skinął na niego, wprowadził do swego mieszkania i wsparł hojnym datkiem, a gdy żyd uszczęśliwiony pochylił się do jego kolan, arcybiskup rzekł:

— Nie dziękuj, uczynilem tylko to, co było moją powinnością, bo dobry chrześcijanin stara się nim być nie tylko w słowach, ale i w uczynkach.

*Teresa-Jadwiga.*

## 58. Ż y d e k.

Szła ulicą dziecina, biedna, wynędzniała,

Oczy rączką zasłaniała.

Spostrzegła to przez okno miłosierna pani,

I chleba posyła dla niej.

Cieszy się podaniem dziecinie pomocy,

Bo cóż miłsze nad ulgę niedoli sieroczej?

Wkrótce powraca z chlebem służąca zdyszana:

Ach—rzecze—pani kochana!

To żydziak, a któż widział wspomagać żydziaka?

Dobłą panią uwaga oburzyła taka.

— Ale biedny—odpowie—wespřeć go potrzeba.

Idź natychmiast, zanieś mu ten kawałek chleba;

On nasz bliźni, cóż znaczy w wyznaniu różnica,

Wszak jednakowo słońce wszystkim nam przyświeca!

*Stanisław Jachowicz.*

## 59. Pan i wieśniak.

Pewien pan, przejeżdżając przez wieś, spostrzegł przy drodze wieśniaka, który pilnie zajęty pracą, wesoło nucił piosenkę. Podobała się panu wesołość wieśniaka, wdał się więc z nim w rozmowę i po kilku pytaniach dowiedział się, że rola, którą chłopiek uprawiał, nie jest jego własnością, lecz że na niej tylko jako najemnik za małą zapłatą pracuje.

Pan, przyzwyczajony do wielkich dochodów i wydatków, nie mógł pojąć, jak przy tak szczupłym zarobku można żyć i jeszcze być wesołym. Ale poczciwy wieśniak tak mu odpowiedział:

— Byłoby bardzo źle, gdybym sam na siebie wszystko spotrzebował! Ja dzielę swój zarobek na trzy części: jedną przeznaczam dla siebie, drugą na spłacenie długu, a trzecią składam na zapas, abym na stare lata mógł żyć z niego.

To było dla pana nową zagadką; prosił więc wieśniaka, aby mu ją wytłómaczył. Rzekł mu tedy chłopiek:

— Najpierw dzielę swój zarobek z ubogimi rodzicami, którzy już pracować nie mogą: wywdzięczam się za ich miłość, którą mi w mojem dzieciństwie okazywali; i to jest właśnie ów dług, który spłacam. Resztę wydaję na dzieci moje, które jeszcze pracować nie umieją; mam też nadzieję, że mnie one w starości mojej wspierać będą, to jest właśnie ów zapas, który składam.

Pan podziwiał roztropność wieśniaka, ale daleko więcej uznawał jego szlachetność i przywiązanie do rodziców.

Bóg nagrodził taką cnotę, albowiem pan polubił wieśniaka, kupił mu obszerną zagrodę, a jego synów koszttem swoim kształcić kazał.

## 60. Przezorność.

Raz pytano się wiewiórki,  
Na co ma aż trzy komórki,  
Gdzie orzechy sobie składa?  
Ona zaraz odpowiada:

— Bo gdy z jednej, mroźną porą  
Ludzie żywność mi wybiorą,  
Mam ją w drugiej albo w trzeciej;  
Więc w spokoju czas mi leci;  
Głód mi także nie dokuczy,  
A przezorność rządu uczy.

— Od wiewiórki ucz się, dziecię,  
Na późniejsze zważać życie;  
By mieć ulgę w swej przyszłości,  
Ucz się od niej przezorności.



Ucz się zbierać i oszczędzać,  
By czas przyszły mile spędzać  
I w spokoju i w swobodzie,  
A nie w troskach, smutku, głodzie.

*Józef Chmielewski.*

## 61. Miłość prawdy.

Święty Jan Kanty wracał raz do domu od chorej staruszki, odmawiając w drodze pacierze. Już wieczór się zbliżał gdy wszedł do ciemnego lasu, który mu przebywać należało.

Zaledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, gdy kilku zbójców wypadło z gęstwiny, otoczyło świętego męża, domagając się pieniędzy i grożąc mu śmiercią, jeżeli dobrowolnie nie odda wszystkiego, co ma przy sobie.

— Śmierci się nie boję, — odrzekł Jan spokojnie — bo ta jest w ręku Boga, lecz aby was od zbrodni wstrzymać, chętnie oddaję wszystko, co posiadam.

— Przysięż nam, że nie masz nic więcej przy sobie — zawołali zbójcy.

— Bóg mi świadkiem, że to ostatek tego, co miałem!

I szedł Jan święty dalej drogą do domu, dziękując Bogu, że go wyrwał z niebezpieczeństwa. Nagle, sięgnąwszy dokieszeni, spostrzega z przerażeniem, że w niej jeszcze grosz pozostał.

Strwożony, że mimowoli dopuścił się kłamstwa, wraca śpiesznie w stronę, w którą odbiegli zbójcy, a znalazłszy po długim szukaniu miejsce ich schronienia, rzecze do nich:

— Darujcie! Skłamałem mimo chęci. Oto jeszcze grosz w kieszeni: weźcie go!

Złoczyńcy, zdziwieni taką miłością prawdy, padli na kolana przed sługą Bożym i, wracając zabrane mu pieniądze, dodali jeszcze swoich, prosząc, by je między ubogich rozdzielił, a czasem i za nich się pomodlił.

## 62. Macierzyńskie napomnienie.

— Synku — mówiła matka, — chcesz być moją chwałą:  
*Bądź uczciwym duszą całą!*

Niech się najmniejszą krzywdą serce twoje brzydzi,  
Nie czyn złego i wtenczas, gdy cię nikt nie widzi. —

Przyrzekł matce chłopczyna; w oczach widać było,  
Że szczere przyrzeczenie serce wymówiło.

W dni kilka, kilkanaście, nawet więcej może,  
Był on w cudzym ogrodzie, w owej pięknej porze,  
Gdy róża w całym blasku rozwija swe wdzięki.

Chciałby jeden kwiat zerwać, już bierze do ręki;  
Wtem głos jakiś szepece przestrogi do ucha.  
Wspomnił na swe przyrzeczenie, głosu tego słucha.

Ale znowu głos inny: — Co tam kwiatek znaczy?  
Nie jest to żadną krzywdą... gospodarz przebaczy.

Pozostawisz nietknięte, to same opadną,  
A różyczkę do domu mógłbyś przynieść ładną!  
Dosyć tu takich kwiatów! Nikt ci nie powie! —

O mało nie uwierzył już temu głosowi.  
Lecz serce się odzywa: — A coś przyrzekł mamie?  
Kto dobry, kto uczciwy, ten słowa nie łamie! —

Oparł się więc pokusie, pozostawił kwiatki;  
Usłuchał głosu serca, przestrog dobrej matki.

## 63. Powódź.

1. Słońce przygrzało na wiosnę, stopniały śniegi, ruszyły wody i wielka kra popłynęła rzeką. W jednym miejscu utworzył się zator: sparły się lody, przerwały tamy i groble, i woda rozlała się szeroko po polach.

Coraz bardziej wzmagała się powódź. Ludzie zabierali dobytek i uciekali z mieszkań nadbrzeżnych.

Ale z jednej chaty trudno było uciec, bo woda otoczyła ją nagle ze wszystkich stron. Mieszkanka tej chaty, biedna wdowa z pięciorgiem dzieci stoi na progu i woła pomocy, bo wielkie kawały lodu silnie uderzają w chatę i niebawem spienione fale mogą pochłonąć cały budynek.

Na przeciwnym zaś brzegu stoi gromada ludzi i patrzy z litością na nieszczęsnych z chaty, kobiety nawet płaczą.



Ale nikt z pomocą nie przybywa. A wdowa i jej dzieci wyciągają ręce i błagają ratunku.

Nagle z tłumu wybiegł człowiek nieznany nikomu, szybko wskoczył do łodzi i torując sobie wiosłem trudną drogę wśród kry, dopłynął szczęśliwie do chaty.

Łódka była tak mała, że tylko dwie osoby mógł zabrać na nią. Wdowa podała mu wprzód najmłodsze dzieci, z którymi szczęśliwie powrócił do brzegu. Oddał dzieci ludziom, i zaraz znowu popłynął. W ten sposób walcząc z krą i falami, przewiózł szczęśliwie wszystkich na brzeg przeciwny. Właśnie, gdy po raz ostatni odpływał od chaty, uderzył w nią olbrzymi odłam lodu, i chata z ogromnym trzaskiem runęła w wodę.

Wszyscy patrzyli z przerażeniem na walący się budynek. Tymczasem nieznajomy, wysadziwszy matkę z ostatnim dzieckiem na brzeg, oddalił się szybko i znikł w tłumie. Nie czekał ani na nagrodę, ani pochwałę, ani nawet na podziękowanie za swój szlachetny uczynek.

Najlepszą nagrodę znalazł we własnym sercu.

#### 64. Zając i jego przyjaciele.

Zajączek jeden młody,  
Korzystając ze swobody,  
Pasł się trawką, ziołami, w polu i ogrodzie;  
Z każdym w zgodzie.  
A że był zawsze grzeczny, rozkoszny i miły,  
Bardzo go też zwierzęta lubiły;  
On także używając wszystkiego z weselem,  
Wzajem był ich przyjacielem.  
Raz, gdy wyszedł o świcie i bujał po łące,  
Słyszy przerażające  
Głosy trąb, psów szczekanie, trzask wielki po lesie.  
Staął — słucha — dziwuje się...  
A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,  
Zając w nogi.  
Spojrzy poza siebie — aż dwa psy i strzelce!  
Strwożon wielce,  
Przecież wpadł na drogę, od psów się oddalił.  
Spotyka konia, prosi go, iżby się użalił.

— Weź mnie na grzbiet i unieś! —

Koń na to: — Idę drogą,  
Zobaczą cię; lecz inni pewnie ci pomogą.  
Jakoż wół się nadarzył:

— Ratuj! przyjacielu! —

Wół na to: — Takich jak ja, zapewne niewielu  
Znajdziesz; ale poczekaj i ukryj się w trawie,  
Niedługo zabawię;

A tymczasem masz kozła, on ci dopomoże.

Kozieł: — Żal mi cię, nieboże!  
Ale ci grzbietu nie dam; twardy, nie dogodzi,  
Oto welnista owca niedaleko chodzi,  
Będzie ci miękko siedzieć... — Owca rzecze:

— Ja nie przeczę,  
Ale choć cię uniosę pomiędzy manowce,  
Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę.

Udaj się do cielęcia, które się tu pasie. —

— Jak ja ciebie mam wziąć na się,  
Kiedy starsi cię nie wzięli? — cielę na to rzekło  
I uciekło.

Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,  
Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

*Ignacy Krasicki.*

#### 65. Poświęcenie staruszki.

W pewnej miejscowości nad morzem Niemieckiem, gdy woda zamarzła, urządzili sobie mieszkańcy w czasie zapust wesołą zabawę na lodzie; powznoszono namioty, wysłano je dywanami i zabawiano się w nich przy sutości jadła i napoju. Młodzież ślizgała się na łyżwach lub wozila się sankami, śpiewano i tańczono przy odgłosie muzyki. A że księżyc w pełni jasno wypłynął na niebo, więc ochota jeszcze bardziej się spotęgowała.

Jedna tylko staruszka nie brała czynnego udziału w zabawie: dawno straciła władzę w nogach i nie mogła się ruszać. Została w domku, wznoszącym się na wyniosłym brzegu, ale z łóżka spoglądała przez okno na lód; cieszyła się zabawą sąsiadów i przypominała sobie młode swe lata, gdy zwykle uczestniczyła w podobnych zabawach.



Wtem spostrzegła daleko na zachodzie, przy samym widnokręgu, obłoczek, który jej serce niewymowną trwogą nappełnił. Dawniej nieraz puszczała się z nieżyjącym już mężem swoim—na morze, znała się więc na znakach niebieskich i wiedziała, że taki obłoczek oznacza zbliżanie się gwałtownej i niespodziewanej burzy zachodniej. Burza ta przy pełni księżyca musiała sprawić nagłą odwilż, napływ bałwanów morskich i zdruzgotanie powłoki lodu, pokrywającej zatokę. Wiedziała, że ten straszny wypadek nastąpi najdalej za godzinę.

A tam jej krewni i sąsiedzi zabawiali się na lodzie, i nikomu nie przyszło na myśl spojrzeć w stronę, skąd groziło niebezpieczeństwo.

Staruszka wołała z całej siły, ale nikt jej nie słyszał, wszyscy sąsiedzi i domownicy wyszli na zabawę i mieszkanka były puste.

2. Wtedy biedaczka zebrała resztki sił, zsunęła się na rękach z łóżka na podłogę, popęzła z wielkim trudem do pieca, a znalazłszy w nim tlejącą jeszcze głównię, rzuciła ją na swoje łóżko. Wnet zajęła się pościel i słomą, i w krótkim czasie płomień buchnął przez okno ponad dach domku. Dokonawszy tego czynu, staruszka poczołgała się z wielkim trudem na czworakach na ulicę.

Tymczasem bawiący się na lodzie spostrzegli pożar. Wnet wszystko rzuciło się do brzegu: każdy biegł do domu, ażeby chronić i ratować swój dobytek. Wkrótce też spostrzegli grożące im niebezpieczeństwo i od strony morza, gdyż obłok zamienił się w czarną chmurę, pędzącą po niebie i z lekkiego przedtem wietrzyka powstał gwałtowny wichur, groźnie huczący. Łód w zatoce trzeszczała i pękała. Zaledwie ostatni godownicy stanęli na brzegu, powłoka lodowa poczęła łamać się z łoskotem, i wkrótce pędzone wichrem bałwany uderzyły o tamy przybrzeżne i zalewały je.

Z trudem ugaszono pożar; staruszkę zaś znaleziono na ulicy na śniegu. Przeniesiono ją do domu sąsiada i ułożono

w ciepłym łóżku; ale była tak chorą, że ledwie zdołała wypowiedzieć swą uciechę z uratowania sąsiadów. Wkrótce wyteżenie gwałtowne i wzruszenie doznane wyczerpały zasób jej sił żywotnych i na drugi dzień usnęła na wieki, uśmiechając się radośnie na myśl, że zniszczeniem własnego gniazda i nadludzkim wysiłkiem — uratowała tyłu ludzi od niechybnej zguby.

## 66. Ż e b r a k.

Noc była ciemna, zamieć, ślizgawica;  
Szedł jakiś młodzian, porządnie ubrany.  
Wtem, jakby na złość, gdzie wązka ulica,  
Stoi staruszek, okryty łachmany,  
I żebrze. — Wstydz się, czy to żebrać pora?  
Któż to jałmużny prosi wśród wieczora? —  
— Panie! po licu mojem spójrz wybladłem,  
Daj mi grosz jaki, jeszcze dziś nie jadłem. —  
— E...! daj mi pokój, nie mam, nie mogę —  
Ofuknął młodzian i szedł w dalszą drogę.

Idzie i myśli: — Oj, znam was, filuci!  
Miejscy próżniacy, ze wstydu wyzuci!  
Wziął lichą odzież, aby litość wzbudzić,  
I prosi gwałtem, aby co wyłudzić. —

Idzie, znów myśli: — Można w gniewie zbłądzić;  
Nie trzeba nigdy źle o bliźnim sądzić.  
A może biedny, może ma i dzieci?  
Zajdę, gdzie w bramie tej ogień się świeci...  
Dam mu co... Zaszedł, lecz coś szukał długo;  
— Nie mam nic drobnych... dam mu razą drugą —  
Słabość jest zbytnią unieść się szczodrota,  
Nie tak to łatwo nabywa się złoto! —  
— Idzie, znów myśli: — choćbym dał dukata,  
Niewielka dla mnie byłaby to strata,  
Wszak mam ich kilka, a bez mej pomocy  
Może staruszek umrze z głodu w nocy.  
Wróć się!... Wrócił. — Ledwie dał trzy kroki,  
Wtem jasny książyc błysnął przez obłoki.  
Bieży młodzieniec, dziwiąc się tej zmianie;  
Bieży, gdzie stoi staruszek przy ścianie,



Dał mu dukata. — Ten, co rządzi w niebie,  
Oby dla ciebie był też litościwy!  
Oby cię wspierał, gdy będziesz w potrzebie! —  
Rzekłszy to, zniknął staruszek sędziwy.  
Żdziwiony młodzik patrzy dookoła,  
Lecz nie nie widać pośród nocej ciszy...  
— Kto jesteś, starcze? — przelektły zawoła.  
Wtem jeszcze taki w powietrzu głos słyszy:  
— Co dasz ubogim, synu mój, nie zginie;  
Oddam ci w sądu straszliwej godzinie.

*Antoni Górecki.*

## 67. Uznanie zasługi.

1. Przed kilkunastu laty, w stolicy Tonkinu, dalekiego kraju azyatyckiego, gdzie Francuzi prowadzili wojnę, na rozległym placu zebrało się całe w mieście tem znajdujące się wojsko francuskie. Otoczyło ono niewielkie, purpurowem suknem pokryte wzniesienie, na którym stał naczelnny gubernator ze swoją świtą. Po paradnych strojach i poważnem obliczu oficerów i zgromadzonych żołnierzy można było poznać, iż odbyć się ma jakaś wielka i niezwykła uroczystość wojskowa.

Ustawicznie też oczy wszystkich zwracały się ku miastu, jakby oczekiwały czyjegoś przybycia.

Jakoż po chwili ukazał się niezmierny tłum ludu, zdążający ku owemu placowi; w pośrodku szła zakonnica. Była to przełożona zakonu Sióstr Miłosierdzia.

Gubernator zeszedł na jej spotkanie i wśród okrzyków zgromadzonego wojska wprowadził ją na wzniesienie. Potem, skinieniem ręki uspokoiwszy całe zebranie, tak przemówił:

— Matko Maryo Tereso! Zaledwie 20 lat miałaś, kiedy podczas wojny krymskiej ciężką odniosłaś ranę, i to w chwili, kiedy na polu bitwy opatrywałaś rannych.

W kilka lat potem, podczas bitwy pod Magneta, odłam kartacza znów cię strasznie poranił.

Od tego czasu byłaś z wojskiem w Syryi, w Chinach,

w Meksyku, narażałaś się na kule, miecze, dzidy — a jeśliś nie została ranną, to tylko dzięki zrządzeniu Boskiemu.

W roku 1870 w wojnie z Prusami znaleziono cię pociętą szablami wśród stosu zabitych żołnierzy.

2. — Wszystkie te czyny niezwyklej odwagi uwieńczyłaś parę tygodni temu jednym z najbardziej bohaterskich postępów, o jakich kiedykolwiek wspomina historia. Granat wpadł do szpitala, będącego pod twoją opieką. Każdej chwili należało się spodziewać wybuchu, któryby nowemi ranami pokrył i tak już pokaleczonych żołnierzy, leżących na łóżkach. Aleś ty nad nimi czuwała. Spokojnie wzięłaś w ręce granat, i, uśmiechając się do rannych, którzy patrzyli na to z przestachem, — drżąc nie o siebie, lecz o nich, odniosłaś niebezpieczny pocisk na dość znaczną odległość, nie zważając na to, że może zaraz wybuchnąć. Granat pękł i ujrzano cię leżącą we krwi na ziemi. Gdy ci pośpieszono z pomocą, podniosłaś się ze zwykłym uśmiechem, mówiąc:

— To nie!

Zaledwie zostałaś wyleczona z tych ran, powróciłaś do swych chorych. Od nich właśnie tutaj cię przyprowadzają.

Podeczas tych pochwał, zakonnica miała głowę skromnie spuszczoną, a oczy wlepione w krzyżyk, trzymany w ręku. Gubernator kazał jej uklęknąć, poczem, dobywszy szpady, dotknął po trzykroć lekko jej ramienia i przypiął krzyż honorowy do jej habitu, mówiąc głosem drżącym:

— W imieniu narodu i wojska francuskiego, nadaję ci krzyż walecznych; nikt nań nie zasłużył większem bohaterstwem, ani życiem bardziej poświęconem służbie kraju i współobywateli, niż ty, zacna, szlachetna siostrzo. Żołnierze, prezentujcie broń!

Wojsko salutowało, odezwały się bębny i trąby, jeden okrzyk radosny wydarł się z piersi obecnych; wszyscy byli wzruszeni.

Tylko siostra Marya Teresa powstała z rumieńcem na twarzy i spytała:



— Generale, czy już mogę odejść? Muszę czempredzej  
wrócić do szpitala, do biednego rannego, któremu dzisiaj  
odjęto nogę.

*Walerya Marrené.*

### 68. Pastuszek.

Hejże, dana, moja dana!  
Śpiewam wesół już od rana,  
Krzyżyk znacę na swem czole  
I z bydelkiem ruszam w pole.

Gospodyni chleba dała,  
Obiad przysłać obiecała,  
A jak minie miesiąc drugi,  
Da talara za zasługi.

O, mój Jezu! talar biały...  
To mi skarb! A toż kram cały  
Kupić można na jarmarku,  
Wszystkim przynieść coś w podarku.

Więc: matusi chustkę krasną,  
Basi śliczną wstążkę jasną,  
Każmierzowi pas z kółkami  
I buciki z podkówkami.

Sobie czapkę znów czerwoną,  
Baraneczkiem obwiedzioną,  
Z pawiem piórkiem ponad uchem  
Kupić muszę także duchem.

Lecz najpierwej, to w kramiku  
Chcę poszukać obraziku  
Matki Boskiej w gwiazd koronie,  
Z Dzieciąteczkiem swem na łonie.

I wybiorę drzewo w lesie,  
Co najmiłszy zapach niesie;  
Na niem korę nożem zgładzę,  
Jak w ołtarzyk obraz wsadzę,  
I ustroję w śliczne kwiatki,  
W maki, róże i bławatki.

I paciorki na szyjeczee  
Przypnę Świętej Paniieczce,  
A Dziecinie koszuleczkę  
Zwiążę niby na wstążeczkę.

Więc kto w stronę tę pogoni,  
To Maryi się pokłoni,  
A ja rano i wieczorkiem  
Przyjdę uczcić Ją paciorkiem.  
Z fujareczką przy Niej siedę,  
Śliczne piosnki śpiewać będę,  
Żeby jej wesoło, miło,  
Jak w kościółku jakim było.

Oj! już wtedy w żadnej porze  
Nawet wilka się nie strwożę;  
Pewny będę, że od szkody  
Bronić raczy mojej trzody —  
Śliczna owa jak lilija  
Z Dzieciąteczkiem swem Maryja;  
I to sprawi, że pastuszka  
Czysta zawsze będzie duszka.

*Józefa Kamocka.*

### 69. Jak powstaje książka?

1. — Uboga kobieta chodzi z haczykiem po podwórzach,  
i ze śmietników zbiera gałgany do kosza.

Gałgany te kupuje od niej handlarz, zajmujący się  
dostarczaniem ich do fabryki papieru, czyli papierni.

U niego, wprawiona do tej roboty dziatwa — przebiera  
gałgany, składając osobno lepsze, osobno gorsze.

Tak podobierane gałgany zabierają do fabryki, kładą  
w kotły i piorą je, potem gotują, oczyszczają i mieszają  
dopóty, aż się zamienia w płynną masę czyli papkę.

Papka ta wypływa z kotła na wypreżone płótno, na  
którem powoli gęstnieje, tracąc wilgoć i jako zgęszczona  
masa przesuwana się na tem płótnie między gorącymi sta-  
lowymi walcami, między którymi ścisną się, cienieją i prze-  
susza; i oto z tej papki tworzy się papier.

Gdy papier wyschnie, tną go na arkusze rozmaitej  
wielkości i układają w paki. Z lepszych galganów jest  
papier lepszy (listowy, rysunkowy); z gorszych, z dodat-  
kiem masy drzewnej (to jest drzewa startego na miazgę)  
robią papier gorszy, bibułę i tekturę.



Wielu ludzi, skończywszy nauki i przeczytawszy mnóstwo różnych ksiąg, piszą potem swe myśli na tym papierze i opisują różne piękne i pożyteczne wiadomości, lub to, co widzieli w świecie.

Gdy skończą pisanie, oddają swój rękopis do drukarni, aby go tam wydrukowano.

2. — W drukarni, w kaszcie, t. j. płaskiej szufladzie z licznymi przegródkami, są czeionki lane z metalu czyli litery; składacz, czyli jak mówią zecer, patrzy na rękopis, i jak pisarz pisał literkę po literce, tak i on wybiera z kaszty litery i układa je w wyrazy. Składanie to jest dość trudne. Złożywszy wiersze, a z nich stronicę książki, zecer odkłada każdą osobno. Gdy złoży szesnaście stronic, ustawia je obok siebie i ściska w ramach; potem smaruje je wałkiem, poczernionym czernidłem drukarskiem, a przykładając do tych stronic arkusz papieru, odciska na nim druk za pomocą odpowiedniej tłoczni, czyli prasy.

Prasa drukarska jest tak urządzona, że gdy robotnica z jednej strony maszyny nałoży czysty arkusz papieru na wałek, a robotnik albo maszyna kołem obróci, robotnica z drugiej strony odbiera arkusz już zadrukowany, bo skutkiem obrotu koła, wałek chwycił arkusz i przycisnął go do czeionek w ramach. W prasie znajduje się przyrząd zawierający farbę, którą osobne walce smarują przesuwające się pod niemi czeionki.

Arkusze wydrukowane oddają do introligatora. Ten je składa i albo lekko zszywa czyli broszuruje, albo też brzegi obrzyna i książkę oprawia w twarde okładki.

Gotowe książki idą do księgarni, gdzie je kupują ludzie chętni nauki.

Iluz to więc ludzi pracować musi, żeby powstała książka!

### Przysłowia.

1. Z uczynku nie ze słów dobrego poznają.
2. Gdy siłą dobrego uczynisz, mów o tem mało. Ile dobrym postępkiem przyczynisz sobie sławy, tyle chępliwością ujmiesz.

## 70. Księga ziemi i nieba.

Oprócz książek, które mamy  
Z których tyle korzystamy,  
Jedna jeszcze jest wysoko,  
Gdzie zaledwie sięgnie oko...  
Gdzie w przestrzeni nieskończonej  
Błyszcza światelek miliony.

Jest to wielka księga Pana,  
Złotem gwiazdek wypisana,  
Księga wieczna ziemi, nieba!

W niej nam wszystkim czytać trzeba  
Z ukorzeniem dusz głębokiem!  
Czytać sercem, czytać okiem.

Wtedy promień święty błysnie,  
Do serc naszych się przecisnie,  
I na zawsze, Boże dzieci,  
Prawdę umysł nasz oświeci.

## 71. Poszanowanie cudzej własności.

1. Jest w Niemczech kraj, Saksonią zwany, osobne stanowiący królestwo. Dawniej, kiedy kraj ten był tylko księstwem, kilku z książąt panujących w Saksonii, było królami polskimi. Kraj ten leży na północ od królestwa Czeskiego, a rzeka Elba, wypływająca z Czech, przepływa Saksonię i jej stolicę, Drezno.

Jeden z górskich potoków wije się tam w różnych zakrętach wśród dolin i uchodzi do Elby. Potok to mały, zaledwie na kilka kroków szeroki; zwykle przejść go można, nie zamoczywszy nóg powyżej kostek. Ale po wielkich nawalnicach, lub podczas roztopów wiosennych, woda nagle w nim wzbiera, a chociaż z brzegów nie występuje, napęlnia jednak koryto po same brzegi.

Nie jeden powie: wszak i w naszych górskich potokach to samo się dzieje! Zapewne. Ta tylko zachodzi między



potokiem saskim, a naszymi górskimi różnica, że mieszkańcy Saksonii umieją z niego korzystać w sposób bardzo prosty.

W Dreźnie brak drzewa opałowego, bo większe lasy są oddalone o mil kilkanaście i sprowadzanie go ze stron dalekich—bardzo wiele kosztowało. Rąbiący więc drzewo w odległym lesie, wiążą je w wiązki i składają nad brzegiem potoku, a gdy potok wzbierze, spychają je w wodę, aby ta niosła je dalej na swoich falach. Drzewo więc płynie między polami, lasami, wzgórzami; czasami przemyka się tuż pod wioską, koło sadów i łąk wiejskich, — i dość wyciągnąć rękę, aby pochwycić wiązkę.

A przecież z tych wiązek nie zginie ani patyczek! nawet jeśli się zaczepią o jaką przeszkodę, lub która u brzegu uwięźnie, pierwszy lepszy przechodzień spycha ją znowu do wody i przeszkodę usuwa, aby towar popłynął na miejsce przeznaczone. Tak płyną sobie wiązki niezaczepiane i dopływają nakoniec do kraty, na potoku pod miastem urządzonej. Gdy wreszcie wszystko drzewo u kraty się zatrzyma, zajeżdżają wozy, zabierają je i rozwożą; a nie brak tam nic, chyba że się jaka wiązka w czasie spławu rozwiązała.

Takie to jest tam poszanowanie cudzej własności! Wszyscy ufają sobie wzajemnie, bo wiedzą, że nikt cudzej rzeczy nie ruszy bez pozwolenia.

2. Zdarza się także często, że włościanie poblizcy przybywszy na targ z warzywem, nie zdołają wszystkiego sprzedać w jednym dniu. Czy sądzicie, że zabierają to z powrotem do domu? Broń Boże! Składają na kupy na rynku, bez żadnego dozoru, i najspokojniej do domu odjeżdżają. Na drugi dzień zrana, przybywszy znów do miasta, znajdują swą własność nietkniętą; nie braknie w niej ani jednej główki kapusty, ani jednego ziemniaka, ani nawet listka warzywa. Nawet wozy z towarem zostawiają na noc na drodze, a sami idą z końmi na nocleg do miasta.

Takie poszanowanie cudzej własności dowodzi, że ludzie tamtejsi nie tylko zawsze mają żywo w pamięci przykazanie Boskie, a co większa, głęboko je w sercach przechowują; wiedzą, iż krzywda jednego jest krzywdą wszystkich, że złodziejstwo jest grzechem, a grzech obrażą Pana Boga. Tam każdy jest stróżem cudzej własności; a choćby może i znalazł się niegodziwiec, któryby chciał na złe korzystać z takiego powszechnego zaufania, pilnują go tysiące oczu; wyda go przyjaciel, wyda własna rodzina, bo wszyscy brzydzą się złodziejem.

Podobnie jest na Śląsku, gdzie potokami górskimi również wysyłają do miejsca przeznaczenia rozmaite drzewo wycięte w lasach górskich, a włościanie tamtejsi nie tkną cudzej własności.

## 72. Praca.

Jest pewna siła, o dziecię moje!  
Co ducha krzepi i nudy skraca,  
Co skroń ozdabia w szlachetne znoje:  
Wiesz jak jej miano?—zowie się praca!

Widzisz ten kościół z krzyżem u szczytu,  
Co Bogu serca zbłąkane wraca:  
Któż wieże jego wzniosł do błękitu,  
Jeśli nie długa mozolna praca?

Albo bielone ściany tej szkoły,  
Gdzie dzieci marnie chwilek nie tracą,  
Lecz słodycz nauk sączą jak pszczołki,  
Czyż niestawiane trudem i pracą?

Patrz na tych ludzi, którzy wieczorem  
Wracają czarni, strudzeni tacy,  
I wyszarzanym świecą ubiorem,  
Co im wśród krwawej wytarł się prac...

Ale się nie śmiej z podartej szaty,  
Którą się szczyć owi biedacy!  
Kiedyś—mój drogi! dowiesz się z laty,  
Jaka jest wartość sukni a pracy.



Lecz dłoń ich ujmij w swe rączki małe,  
Niech twe uściski trud im opląca,  
I część miej dla tych, co życie całe  
Walczą wytrwając — i silną pracą...

Bo nie złożone pałaców progi  
W oczach ogółu ludzi bogacą...  
I droższy często domek ubogi,  
Gdy okupiony mozolną pracą...

*Władysław Belza*

### 73. W zapusty.

1. — Wiecie co, chłopcy? — rzekł raz Antoś, — przebierzmy się w niedzielę, każdy za co innego. Dopieroż to będzie zabawa!

— A dobrze! — krzyknęli chłopcy. — Przebierzmy się!

— No, to i my także — zawołały dziewczynki.

— I owszem, przebierzcie się także! będą i tańce.

— Tylko jakby się tu przebrać? — zapytał Staś.

— O, wielkie rzeczy! Jest też nad czem myśleć! Ja się przebiorę za górala, bo mam siekierkę, co mi ją ojciec w Zakopanem kupił. Wezmę serdaczek, ślicznie wyszywany, na nogi zawiążę kierpcie, takie chodaki sznurowane rzemieniem, spodeńki obcisłe sukienne, pięknie na bokach czerwonym sznurkiem wyszywane, pas szeroki skórzany, ćwieczkami nabijany, gunię na to taką, jak noszą druciarze, kapelusz, opasany taśmą, muszelkami naszytą, i torbę skózaną zawieszę przez plecy. A co! Nie pięknie to będzie? A do tego jeszcze siekierka!

— No, to ja się przebiorę za góralkę! — zawołała Zosia. — Wezmę spódnicek modrą, serdaczek ślicznie wyszyty, do koszuli przywiążę wstążkę czerwoną, warkocze zaplotę gładziutko i białą chusteczkę zawiążę na głowę.

— To będziesz musiała piec owsiane placki! — żartował Michaś. — Bo tam taka bieda, że chleba prawie nie jedzą.

— A nie! mój góral pójdzie w doliny żyto kosić i zarobi dużo pieniędzy i będziemy mieli chleb biały, aha!

— Kiedy tak — zawołał Janek, — to ja się przebiorę za Krakowiaka. Wezmę kamizelę, zapinaną pięknie na guziczki, szarawary w paski niebieskie i białe, wstążkę będę miał u kołnierza czerwoną, na to kierezyę granatową z peleryną, ślicznie złotem, srebrem wyszywaną, pas szeroki skórzany, na nim kólek siedemdziesiąt; te będą brzękały, gdzie się tylko ruszę; u pasa kozik na rzemyku, u butów podkówki, co z nich tylko skry będą leciały, jak w tańcu przytupnę. Na głowie biała czapeczka z pa-wiem piórkiem i czarnym barankiem, i... co mi kto zrobi? Tu ujął się Janek pod boki i zaczął śpiewać:

Albo my to jacy tacy, jacy tacy,

Chłopcy Krakowiacy, chłopcy Krakowiacy!

— Mój Janku, mój złoty! — prosiła Hanka, — to ja będę Krakowianką! Spódnicek wezmę niebieską, galonem i wstążkami naszytą, gorsecik czerwony, sznurowadłem złotym sznurowany, u rękawów i u szyi wstążki śliczne, w warkoczach kwiatki, pończoszki białe, buciki wysokie, fartuszek także biały.

— No, dobrze! — zawołał Janek. — Ale mi się wyucz różnych krakowiaków, żebym za ciebie wstydu nie miał.

2. — Ja tam — powiedział Ignasz — przebiorę się za Podlasiaka. Włożę sukmanę brunatną, z welny burych owiec, w domu utkaną, czerwonym sznurkiem po bokach u kołnierza i u mankietów wyszytą, buty z podkówkami, albo skórznie, wiązane rzemieniem, szarawary płóciennne białe, czapkę z siwym barankiem, i już.

— To strój wcale nieosobliwy! — zawołał Piotruś. — Miałś też co wymyślić!

— Właśnie, że ładny strój! — broniła Ignasia Julka. — Ja sama przebiorę się za Podlasiankę. Spódnicek wezmę płócienną w kwiateczki, fartuch biały, na to kaftan taki biały za kolana, co się nazywa parcianką, głowę okręcę białą zawijką, na nogi trzewiczki, i zobaczycie, jak mi w tem będzie ładnie.



— No, zobaczmy! — odrzekł z niedowierzaniem Piotruś. — A ja tymczasem będę sobie Mazur. Sukmanę wezmę granatową z czerwonymi wyłogami, pod nią kamizelę zieloną, opasaną welnianym czerwonym pasem, kapelusz z wstążką granatową, i tak będę śpiewał:

Jestem ja sobie Mazur bogaty!  
Świecą się na mnie prześliczne szaty:  
Koszuleńka drellichowa, właśnie jakby muślinowa,  
Dratwami szyta!

— To ja się podobnie ubiorę, jak ty — rzekł Pawełek — i będę Łęczycakiem.

— A nie! — zaprzeczył Staś, — bo Łęczycaki noszą wyższe kapelusze i jaśniejsze kamizele bez rękawów i mają szarawary z wełniaka, w paski czerwone albo modre.

3. — No, to ja chcę być Mazurką — mówiła Kazia. — Wezmę spódniczkę różową, fartuch w kwiatki, wstążką wiązany, na to «przyjaciółkę», taki kaftan granatowy, sukienny, na guziczki zapinany, pięknie z tyłu fałdowany, z kołnierzem wykładanym i z wyłogami czerwonymi, na głowie będę miała chusteczkę związaną, a za nią kwiatek wetknięty.

— A ja, jakże się przebiorę? — pytał Józio.

— Ty możesz być Kujawiakiem. Weźmiesz na siebie długi kaftan sukienny, na trzy rzędy świecących guzików zapinany, na to pas bawełniany amarantowy; sukmanę modrą z wyłogami i podszewką też amarantową; kapelusz słomiany; opaszysz go modrą wstążką i będziesz taki Kujawiak, że aż miło!

— A ja z tobą do pary! — zawołała Różia. — Spódniczkę wezmę niebieską, suto haftowaną, u dołu czerwoną wstążką obszytą, gorset też niebieski, na hafteczki zapinany, kołnier od koszuli pięknie wyłożony, a na to długi kaftan sukienny granatowy. Na głowę zwiążę dużą chustkę, trzewiczki włożę płytke, w rękę będę trzymała chustkę białą i pączek bożego drzewka, nasturecy i pachnącej mięty.

— A ja się przebiorę za Hiszpana! — wyrwał się Henryś z kąta.

— To my się z tobą nie będziemy bawili — zawołał Staś — my wszyscy tutejsi, to Hiszpana nie potrzebujemy.

— Tak! tak! — krzyknęły dzieci. — My wszyscy swojacy! Henryś zawstydził się mocno. *Marya Konopnicka.*

## 74. Mazur.

|                              |                              |
|------------------------------|------------------------------|
| Piękna nasza ziemia cała,    | Bo gdzie takie cudne stroje, |
| Piękna, żyzna i niemala!     | I śpiewanki i dziewoje?      |
| Wiele krain, wiele ludów,    | Kto w podkówki tak wy-       |
| Wiele stolic, wiele cudów;   | krzesze?                     |
| Lecz najmilsze i najzdrowsze | Komu miłe tak pielesze       |
| Z wszystkiej ziemi jest      | Jak ojczyste Mazurowi?       |
| Mazowsze!                    | Niechaj cały kraj opowie!    |

Poza Niemnem puszcza sroga,  
A na Rusi błotna droga.  
Góral zbyt podkaszał,  
A u Odry lud zniemczał.

A więc nasza, nasza góra,  
Niemasz w świecie nad Mazura!

Mówią, że tam na Podolu  
Rośnie żyto bez kłólu;  
Ale nasze piękne zboże,  
Płynie Wisłą aż po morze.

Przyśpiewują jej flisaki,  
Za nie grosz jest jaki taki.

Tam na stepach bydło słynie,  
Piękne konie w Ukrainie;  
Ale kto, jak Mazur właśnie  
Jadąc, ostro z bicia trzaśnie,

Kiedy jedzie do Warszagi?...  
Mówią wszyscy: Mazur tęgi!

Tęgi Mazur, wej! w pokój,  
Lecz się przyda i do boju.  
I Bóg, żeby świat dziś stworzył,  
Już był go z Mazurów złożył.

Nawet w tańcu nasza góra  
Niemasz w świecie nad Mazura!

*Wincenty Pol.*



## 75. Cudze chwalicie.

Cudze chwalicie, swego nie znacie; sami nie wiecie, co posiadacie. Alboć nie śliczne te wioski liczne, ten kraj kochany? Bogate łąny, bujne ogrody, łączka wesoła, a na niej trzody widać dokoła. Z daleka borek, na górze dworek, wkoło topole, a tam... na dole strumyk, jak wstęga, ku rzece sięga. Tu niskie chatki, w nich dobre matki a przy nich dziatki hoże, rumiane, jak malowane.

Co w nich za życie! O! takie dziecię widzieć wam trzeba: z partyką chleba, z kawałkiem sera; w niem dusza szczerza, pełna prostoty, a nie brak cnoty! Przy chatce chatka, w pracy czeladka, w polu figury, w podwórku kury, przy płotku płotek, a pies przy budzie.

A co za ludzie! każdy gotowy sercem i słowy przyjąć w gościnę: da i pierzynę, sobie odejmie, a da uprzejmie!

Zboże w stodole, a chleb na stole i piwo w dzbanie: pij i jedz panie! gdyś wstąpił w progi, toś już nam drogił!

Tyś nie ostatni, więc uścisk bratni — rzecz to nierzadka. A zagna matka uczy pacierza, dobro rozszerza, o Bogu prawi i błogosławi. Nie umie czytać, a prosię spytać, jak nas szczęśliwi? Aż cię zadziwi, jak ci odpowie: bo rozum w głowie!

Nie jedź po świecie; znajdziesz tu przecie niezgorsze rzeczy; nikt nie zaprzeczy, że w tym kąciку — cnoty bez liku, uczucia żywe, serca pocziwe.

*Stanisław Jachowicz.*

## 76. Wieśniak i król.

Henryk IV, król francuski, słynął z dobroci serca i szczególnej uprzejmości dla swoich poddanych. Ubierał się zwykle bardzo skromnie, nosił prostą, szarą suknię, ozdób kosztownych nie lubił; mawiał bowiem, że «nierozsądni są ludzie, którzy swe lasy i młyny dźwigają na grzbiecie». Nieraz też w skromnem odzieniu chodził za

miasto między ludność uboższą i najczęściej niepoznany rozmawiał ze swymi poddanymi.

Pewnego razu spotkał za miastem wieśniaka, a wdawszy się z nim w rozmowę, dowiedział się, że idzie do Paryża, pragnie bowiem zobaczyć króla, którego jeszcze nigdy nie widział.

— Nie wiem tylko — dodał wieśniak, — po czem poznam króla?

— Uważaj dobrze — rzekł Henryk; kto zatrzyma kapelusz na głowie, gdy wszyscy inni swoje głowy odkrywają, ten będzie królem.

Niebawem wszedł król z wieśniakiem do miasta. Tutaj wszyscy przechodnie, poznawszy króla, z uszanowaniem ustępowali mu z drogi i kłaniali się nisko, oddając cześć ukochanemu monarsze, tylko sam Henryk IV i jego towarzysze zatrzymali kapelusz na głowie.

Spostrzegł to wieśniak.

— Słuchajcie no, panie, — rzekł — albo wyście królem, albo ja, bo tylko my obaj nie zdjęliśmy kapeluszy.

Uśmieł się król z tej uwagi wieśniaka i zaprosił go do siebie na zamek.

Nie więc dziwnego, że tak łaskawy i uprzejmy król czczony był i miłowany przez wszystkich poddanych, którzy go «ukochanym» królem nazywali.

*według Z. Sawczyńskiego.*

## 77. Roześmiała mi się dusza...

Roześmiała mi się dusza —  
Kiej dziewucha na odpuście!  
Gdym wioskowe ujrzał drzewa,  
Moje drzewa w barwnej chuście.  
Moje lipy pozłociste,  
Osypane piosnką pszczelną —  
Te topólki wystrzeliste,  
Ponad wieżę, nad kościelną!



Szmaragdową mą dąbrowę,  
Srebrnokore moje brzoźki!  
Tę sosenkę z «obrazikiem» —  
Co w opłotkach strzeże wioski!

Roześmiała mi się dusza,  
Kiej dziewucha na odpusćcie!  
I wybiegła z piersi drżącej  
Na te łąki przy upusćcie...  
Na te łąki, na te pola!  
Między maki i bławaty,  
Za jaskółki biegła lotem  
Ponad strzechy! ponad chaty!  
Popłynęła na zagrody,  
Z skowronczaną pieśnią społem —  
Razem z rosą porankową  
Opadała ponad siołem!

Roześmiała mi się dusza,  
Kiej dziewucha na odpusćcie!  
Skorom ujrzał starą matuś,  
Kmiecią matuś w białej chuście!...  
Starą matuś z dwojakami,  
Co do żniwa niosła warzę.  
Wiejską dziatwę na wygonie,  
Swoich ludzi! swoje twarze!

*K. Laskowski.*

## 78. P t a s z k i.

Niedaleko Tarnowa było piękne sioło, otoczone ze wszystkich stron mnóstwem drzew owocowych. Na wiosnę nie było nic przyjemniejszego nad widok tych rozłożystych jabłoni, grusz, śliw i wisien, pokrytych kwieciem, napelniającem miłą wonią powietrze; a w jesieni nic piękniejszego nad ich bujne gałęzie, uginające się pod ciężarem dojrzałych, soczystych owoców.

Tysiące ptasząt gnieździło się na gałęziach i pniach tych drzew urodzajnych, albo w sąsiednich żywopłotach i krzakach. Te drobne, miłe stworzenia napelniały powietrze śpiewem radosnym, jak gdyby dziękowały Bogu za to, że im dał życie, że o nich pamięta.

Mieszkańcy owego rozkosznego sioła często napominali swoje dzieci, mówiąc:

— Strzeżcie się czynić najmniejszą krzywdę tym małym stworzeniom! Nie wybierajcie im gniazd, abyście nie obraziły Tego, który odziewa góry i doliny kwiecistą szatą i sypie ptaszętom ziarna, żeby nie wyginęły z głodu! Albowiem przez miłość dla nas ubarwił Bóg kwiaty tak pięknymi kolorami i obdarzył je wonnością; przez miłość dla nas dał dźwięczny głos słowikowi, który nas tak zachwyca.

Jednakże kilku rozpustnych chłopców uwzięło się psuć i zabierać gniazda. Ptaszki rozgniewały się i z wolna opuściły okolicę. W ogrodach i na łąkach zamilkł ich rozkoszny śpiew, i cicho i smutno zrobiło się w całej wiosce.

Ale złośliwość tych niedobrych chłopców była przyczyną jeszcze boleśniejszych następstw. Szkodliwe dla roślin gąsienice, z których dawniej ptaszęta obierały drzewa, rozmnożyły się w nadzwyczajnej ilości i do szczytu wyniszczyły liście i kwiaty. Drzewa stały obnażone jak w zimie, a niegodziwe dzieci, które dawniej miały pod dostatkiem smacznych owoców, skoro nadeszła jesień, nie mogły nawet jednego skosztować jabłuszka.

Dobrym ptaszętom, śpiewakom wiosny,  
Nie psujcie gniazdek rozswawoleni,  
Bo wam zamilknie ich śpiew radosny,  
Bo wam owoców zbraknie w jesieni!

## 79. Przysłowia.

1. Kto z Bogiem, Bóg z nim.
2. Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.
3. Bez ochoty niespore roboty.
4. Znać dobrze po mowie, co u kogo w głowie.
5. Czas płaci, czas traci.
6. Jaka praca, taka płaca.
7. Sam sobie szkodzi, kto się ze złym wodzi.



## 80. Ptaszyna.

— Czemuś umilkła, ptaszyno miła,  
Czemu nie śpiewasz wesoło?  
Czemuś tak smutnie główkę schyliła,  
I nie spoglądasz wokoło?  
Masz ładną klatkę z drutu żółtego,  
Pięknie, bogato przybraną,  
Różne przysmaczki codnia każdego,  
I wodę świeżo zmienianą.  
Więc czemuś smutna, co cię boli?  
Powiedz ptaszyno skrzydlata!  
Co jest powodem twojej niedoli,  
Co ci serduszko przygniata?  
— O! mam ja teraz wszystkiego wiele,  
Mogę używać do woli,  
Lecz z kimże myślą mam się podzielić?  
Wszak jestem tutaj w niewoli!  
Złocona klatka to me więzienie,  
A choć jej nie brak piękności,  
Ach! wolę od niej nędzne schronienie,  
I biedę — byle w wolności.  
Tu mego głosu nikt nie pojmuję,  
Więc pocóż śpiewać daremno?  
Nikt moich żalów, trosk nie odczuje,  
Nikt nie zapłaci nade mną.  
W klatce tak smutno... ach! wy nie wiecie,  
Serce me żalem wciąż wzbiera...  
Lepiej ten robi, co bierze życie,  
Niż ten, co wolność odbiera.

*Helena Bojarska.*

## 81. Przytomna dziewczyna.

1. — W bezludnej okolicy, wśród lasu, mieszkał w małej budce kolejowej ubogi dróżnik, imieniem Jakób. Nie miał on ani żony, ani dzieci; ale gdy jeden z jego przyjaciół, wdowiec, równie jak on ubogi, umarł, pozostawiwszy sześcioletnią córeczkę bez żadnej opieki, pocziwy Jakób, nie namyślając się wcale, zabrał sierotkę do siebie i postanowił zastąpić jej ojca.

Nadaremnie wszyscy znajomi przekładali mu, że niepotrzebnie taki ciężar bierze na siebie i że lepiejby było oddać dziecko do jakiego dobroczynnego zakładu, — on jednak trwał w swem szlachetnem postanowieniu.

— Sam jesteś ubogi — mówił sąsiad do niego. — To, co zarabiasz, ledwo ci wystarcza na własne utrzymanie, a teraz będziesz musiał jeszcze dziecko karmić i odziewać.

— Jakoś to Pan Bóg da — odpowiedział Jakób; — dziewczyna nie potrzebuje wiele, a ja chętnie sobie od ust odejmę i z nią się podzielę. Za to nie będę już sam jeden w tem pustkowiu i przynajmniej będę miał do kogo zagadać. A zresztą kto wie?... Może Kasia, gdy podrośnie, odwdzięczy się za moje dla niej starania.

— Odwdzięczy?... A gdzie to szukać wdzięczności na tym świecie? — odpowiedział sąsiad, wzruszając ramionami. Kasia pozostała tedy u swojego opiekuna.

Minęło lat kilka. Biedna sierota pokochała szlachetnego człowieka, który się tak szczerze zajął jej losem, i nazywała go ojcem; i on także przywiązał się do sieroty, jakby do rodzonej córki i wcale nie żałował swej ofiary, chociaż nieraz dla zaspokojenia potrzeb małego i chorego dziecka rzeczywiście od ust sobie musiał odejmować. Teraz już mu pomagała w małym gospodarstwie i była pociechą w jego samotnem życiu.

2. — Pewnego dnia właściciel przydrożnej wsi, który znał nieposzlakowaną rzetelność Jakóba, wręczył mu znaczną sumę pieniędzy, z poleceniem, ażeby ją oddał naczelnikowi pobliskiej stacji. Ten miał wysłać pieniądze dalej.

— Tylko proszę cię, Jakóbie — mówił pan Z. — nie wygadaj się z tem przed kim, bo gdyby się złodzieje dowiedzieli, że tyle pieniędzy masz u siebie w tym pustym domku, wśród lasu...

— Niech pan będzie spokojny! — rzekł śmiejąc się dróżnik. — Ktoby tam biednego Jakóba posądzał o pieniądze?

Ale stało się inaczej. Jakimś sposobem dowiedzieli się złodzieje o tych pieniądzach i wieczorem dwóch siłnych



drabów ukryło się niedaleko chaty, czatując na porę stosowną do napadu i do ograbienia dróżnika.

Właśnie miał przechodzić pociąg kuryerski i Jakób wystawił latarnię białą na znak, że droga wolna i niema przeszkody. (Latarnia czerwona ostrzega przeciwnie, że jest jakieś niebezpieczeństwo na drodze; w takim razie pociąg zatrzymuje się, a konduktor wywiaduje się u dróżnika, co zaszło).

Kiedy więc Jakób, zapaliwszy białą latarnię bezpieczeństwa, spokojnie powrócił do swojej izdebki, złoczyńcy, pewni już, że pociąg kuryerski popędzi, nie zatrzymując się wcale, wpadli do budki, związali biedaka, a jeden z nich wyjął ostry nóż z zanadrza, grożąc mu śmiercią, jeżeli natychmiast nie odda pieniędzy, które ma u siebie.

Ale pocziwy Jakób wołał umrzeć, niż zdradzić zaufanie; nie chciał więc wydać powierzonej mu sumy. Tedy niegodziwcy związali mu ręce i nogi i zatkali usta, ażeby nie mógł wołać ratunku, poczem zaczęli przetrząsać ubogą izdebkę.

Biedny dróżnik patrzył na ten rabunek, a nie na to poradzić nie mógł. Wtem usłyszał daleki huk zbliżającego się pociągu: żywiej zabiło mu serce, a myśl o możliwym ratunku przebiegła mu przez głowę. Ale niestety! radość krótko trwała, bo przypomniał sobie, iż wystawił latarnię białą, a więc pociąg przeleci dalej, nie zatrzymując się.

3. Nagle wśród nocnej ciszy odezwał się przeraźliwy gwizd lokomotywy; serce Jakóba uderzyło dziwną jakąś nadzieją, złoczyńcy zaś, tem gwałtowniej zaczęli przerzucać rupiecie dróżnika, klnąc najokropniej. Ale gwizd powtórzył się znowu i wyraźnie było słyhać, że pociąg zwalniał biegu, jakby się miał zatrzymać... Wreszcie stanął przed budką.

Rabusie przestraszeni, zaprzestali dalszych poszukiwań i rzucili się ku drzwiom chatki; ale w tej samej chwili weszli: konduktor pociągu, pomocnik maszynisty i palacz,

a ujrawszy Jakóba związanego na ziemi, odrazu zrozumieli, co się stało; zatrzymali uciekających złoczyńców i skępowali ich.

Tak niespodziewanie od śmierci ocalony dróżnik, z łzami w oczach dziękował swoim wybawcom.

— Ale jakim sposobem — rzekł maszynista — mieliście czas zapalić czerwoną latarnię?

— Jakto? — zawołał Jakób, mocno zdziwiony — alboż się paliła latarnia czerwona?

— Nie byłbym przecież zatrzymał pociągu, gdyby nie to.

— Ależ pamiętam doskonale, że właśnie białą latarnię wystawiłem, kiedy mię pochwycili ci hultaje.

— Któż ją więc zapalił?

Wtem Kasia, która blada i jeszcze drżąca ze strachu, tuliła się w kącie sieni, odezwała się:

— Ojcie mój, nie gniewaj się na mnie, to ja zapaliłam tę latarnię. Tyś mi tak surowo nakazywał, abym jej nigdy nie ruszała; ale dzisiaj, kiedy ci straszni ludzie związali cię i chcieli zabić, naraz — nie wiem skąd — przypomniałam sobie, co mi mówiłeś o tej latarni, że ona nawet najszybszy pociąg zatrzyma. Wybiegłam więc i zapaliłam ją. Nie gniewaj się na mnie, kochany ojcie, nie mogłam uczynić inaczej. Ty mię tak kochasz, tyś dla mnie taki dobry, czyż mogłam nie ratować ciebie? Ale odtąd już zawsze będę ci posłuszną!

Rozczulony do łez dróżnik uściskał dziewczynkę, a konduktor, zostawiwszy jednego ze sług kolejowych dla pilnowania więźniów, powrócił do pociągu, ażeby w dalszą puścić się drogę. Podróżni, którzy zaniepokojeni zatrzymaniem pociągu, niecierpliwie oczekiwali powrotu konduktora, dowiedziawszy się o szczęśliwym ocaleniu dróżnika, nie żalowali tych kilku minut, które stracili, przerywając swą podróż.

według *M. I. Zaleskiej*.

### Przysłowie.

Milczenia rzadko kto żałował, mówności często.



## 82. Pacholę na grzybach.

— Nie bój się dziecię!... Co tu robisz w lesie?  
— Zbieram, co znajdę—chłopak mi powiada—  
Czasem jaj parę, co je ptaszek niesie,  
Czasami także grzyb się dobry nada.  
Przednówek ciężki, to i to pomoże.  
Matka tam z dziećmi czeka na mnie doma;  
A jak paciorek zmówię sobie w borze,  
Nigdy nie wrócę z próżnemi rękoma.

Więc go zapytam: — A czy skowronkowi  
Gniazd nie podbierasz?

— A brońże mnie, Boże! —  
Dobry chłopczyną na to mi odpowie.  
— Taką się krzywdą człowiek nie wspomůže.  
Skowronek, panie, to ptaszyna wczesna;  
I Matka Boska, do tego Bolesna,  
Wszystkie skowronki w swej opiece trzyma.  
— Jakto?—spytałem.

— Alboż to nie wiecie,  
Że tu Zbawiciel chodził po tym świecie?  
A kiedy Piłat umył z winy ręce,  
I Pan na krzyżu oddał ducha w ręce,  
Stała pod krzyżem Matka u stóp Syna,  
A ból ją wielki na duszy ucisnął..  
Wtem zaśpiewała w niebiosach ptaszyna;  
Spojrzy się Marya—skowronek zawisnął  
I tak nad Panem zabołał niezmiernie,  
Że chciał Mu odjąć choćby jedno ciernie:  
Więc póty dzióbkiem i dziobał i dziobał,  
Aż cierń z korony Najświętszej oskubał.  
Błogosławiła Marya skowronkowi,  
Podniósłszy w niebo swe oczy żalosne —  
I rzekła w łasce: — Będziesz człowiekowi  
I Bogu śpiewał najpierwszy na wiosnę!  
A jako rzekła mu Matka Bolesna,  
Tak się też iści—bo ptaszyna wczesna,  
Nim śniegi zginą, już w niebo się wznosi  
I rzewnie chwałę Matki Bożej głosi.

To rzekłszy, chłopczyk wesoło się skłonił  
I ku domowi z koszykiem pogonił.

Wincenty Pol.

## 83. Jak to było w lesie.

1. Szedł właśnie stary Szymon, gajowy, do lasu i wziął  
z sobą Jędrusia, swego chrześniaka.

A w lesie był szum taki, jak gdyby każde drzewo coś  
mówiło.

Nadstawił Jędrus ucha, ale nie jakoś wyrozumieć nie  
mógł; pociągnął tedy starego Szymona za kapotę i rzekł:

— Chrzestny! — a to mi się widzi, że te drzewa cości  
gadają.

— Ano — odrzekł stary gajowy — boś jeszcze mały, to  
się na takich mowach poznać nie umiesz. Ale kto długo  
żył, a często ich słuchał, to tak wszystko wyrozumie, jak-  
by ludzkie głosy.

— Ola Boga! — zawołał Jędrus. — Jakże to?... Powiadaj-  
cie, chrzestny, bom okrutnie ciekawy.

— Widzisz, chłopcze, ten dąb przed nami?

— A widzę! — Okrutne to jakieś dębisko... Rosochacz  
taki, że strach! Nakryłby i chałupę naszą i obórkę, jesz-  
czeby się i gołębnik z gołębiami pod niego zmieścił.  
O, gdzie tu do wierzchu!

Przechylił się mocniej jeszcze w tył, aż mu kape-  
lusz spadł z głowy, a stary Szymon na to:

— Dobrześ zrobił, chłopcze, żeś się kapeluszem pokło-  
nił przed dębem, bo to z całego lasu najgodniejsze drze-  
wo; właśnie, jakby gospodarz między czeladzią. On tu  
najgłośniej gada i najradziej słuchają go te inne drzewa,  
het, precz, aż do samego wyrębu.

— Oj, powiadajcie, powiadajcie, chrzestny, co on też  
tak gada?

A tu jakby na to zakolysał się ów dąb za wichrem od  
samego wierzchołka swego, a konary jego zaszumiały  
jak organ w kościele.

Stary szymon pomileczał chwilkę, podniósł głowę siwą  
i tak prawił:

— Wszystko, chłopcze, ma swój głos na świecie, a każdy



głos taki, to jak nuta w pieśni. A człowiek, co takiej pieśni nie rozumie, chodzi jak głuchy po świecie. A lasy, co tutaj wyrosły, śpiewają tutejsze pieśni, a te, co indziej wyrosły, obce pieśni śpiewają: każdy według swego miejsca. A ten, widzisz dąb, to powiada tak:

«Dziatki moje dziatki, syny i wnuczeta,  
Kto z was dawne czasy w lesie tym pamięta?  
O! wy dawne czasy, gdzieście się podziały,  
Kiedy nad tym lasem sokoły latały?»

2.—Po chwili Jędrak rzekł:

— A ta sosna, chrzestny, co też ona mówi?

— Ta sosna — odpowiedział stary Szymon — ta sosna znów ma mowę taką:

«Na wschodzie, na niebie, tam się palą zorze;  
Zrabali sosenkę, wysłali za morze.  
A nad owym morzem siwy orzeł kracze,  
Sosienka się smuci, losu swego płacze.»

— O moiście wy! — zawołał Jędrak, a już miał łezki w oczach — to i ja jej żałuję, kiedy ona tak żałośnie śpiewa.

— A brzoza — rzekł po chwili — mówi też co?

— Oj, oj! — odrzekł stary — brzoza to gaduła. Raz wraz coś tam sobie przepowiada. Raz tak, drugi raz owak, zwyczajnie takie drzewo, co gdzieniebądź rośnie. A ta, co tam na lewo na górze stoi i listkami drobnymi rusza, to tak mówi:

«Leśną ścieżką, wąską drogą,  
Szedł tu żołnierz z chromą nogą;  
Szedł tu żołnierz, odpoczywał,  
O swej chacie pieśni śpiewał.  
A jam pieśni zrozumiała,  
Listeczkami zaszumiała.  
Wracaj, wracaj, choć bez nogi,  
W swojej chatki miłe progi.»

— To ona tak rozmówi się, jak człowiek? — pytał Jędrak.

— A cóż? ma ci wszelkie stworzenie swoją mowę własną

— A wierzba, co też gada? — pytał dalej Jędrak.

— Wierzba — odpowiedział stary Szymon — to mówi tak:

O, mój gospodarzu, sadźcie mnie nad rzeką,  
Żeby się głos fujarki rozlegał daleko.  
Pójdzie tedy chłopiec wytnie fujareczkę,  
Będzie śpiewał, wyśpiewywał wesołą piosneczkę.

— No i cóż — zapytał Szymon — podoba ci się?

— Oj, podoba mi się, okrutnie mi się podoba. Jak teraz pójde do lasu, to każdziusiennie drzewo zrozumie, co ono śpiewa... A ta olszyna, chrzestny, mówi też?

Ale Szymon:

— Ot! wszystkobyś naraz chciał wiedzieć. To tak nie idzie, mój chłopcze! Zapamiętaj sobie najpierw to, com ci powiedział, a jak tu przyjdziemy drugi raz, to ci znów co powiem.

Marya Konopnicka.

## 84. Nasze kwiaty.

Jeszcze śnieżek prószy,  
Jeszcze chłodny ranek,  
A już w cichym lesie  
Zakwita sasanek.

A za nim przelaszczka  
Wychyla się z pączka,  
I mlecem się żółtym  
Złoci cała łączka.

I dłużej już dzionka,  
I bliżej słoneczka...  
A w polu się gnieździ  
Biała stokroteczka.

A dalej fijołki  
Wśród trawy pod rosą,  
W świeżych swych czareczkach  
Woń przesłodka niosą.

A tuż ponad strugą,  
Co wiję się kręta,  
Niezapominajka  
Otwiera oczęta.

A w gaju, wśród liści,  
W wilgotnej ustroni,  
Konwalia bieluchna  
W dzwoneczki swe dzwoni.

A wyjdiesz drożyną  
Z gaiku na pole,  
To spotkasz modraki,  
Ostróżki, kakole...

I maczek tam wileczy  
Kraśniej wśród żyta,  
I różą krzak głogu  
Na miedzy zakwita.

A ścieżką zieloną,  
Co z górki zstępuje,  
Srebrzysty powoik  
Po świecie wędruje...

O, ziemio ty droga,  
Ty Boży zielniku!  
I w polach i w łąkach  
Masz kwiecie bez liku.

Marya Konopnicka.



## 85. Dawid zabija Goliata.

1. Bóg widzi i ocenia nawet ubogiego w polu pasterza. Kiedy Dawid samotnie chodził ze swą trzodą, myślał z całego serca o Bogu, rozważał Jego cudowne dzieła: niebo, słońce i gwiazdy, góry, wody, owoce i kwiaty. Tknięty podziwem dla Opatrzności, wznosił oczy ku niebu i często przy odgłosie harfy śpiewał hymny na chwałę wiecznemu Bogu.

Piękność śpiewu Dawida i granie na harfie zanosły sławę jego aż do dworu królewskiego. Król Saul wezwał więc młodego pasterza do siebie, a ten śpiewem i grą rozpogadzał umysł smutnego króla.

Wkrótce wybuchła wojna; Dawid, jako młody, wrócił do domu ojca swego, trzej zaś jego bracia zostali w obozie Izraelitów. Walka miała być stoczona w dolinie, która przedzielała wojsko od stojących naprzeciwko nieprzyjaciół, Filistynów. Tamże przybył także król Saul, jako główny dowódca wojska.

Wtem z obozu Filistynów wystąpił pewien olbrzym, nazwiskiem Goliat, sześć łokci wysoki, w hełmie na głowie, w pancerzu łuskowym, na goleniach miał miedziane nakolanniki i miedzianym puklerzem zakrywał swe ramiona; w rękę trzymał oszczep ogromny, którego samo żelazo do dwudziestu funtów ważyło; giermek jego siedł przed nim.

Zbliżywszy się do obozu Izraelitów, olbrzym zawołał:

— Po co chcecie wojny? Jam jest wolny Filistyn, a wy niewolnicy Saula. Obierzcie z pomiędzy siebie męża i niechaj ze mną stanie do boju. Jeżeli pokona i zabije mnie, zostaniemy waszymi niewolnikami, lecz jeśli ja go prze Mogę i zabiję go, wy będziecie naszymi niewolnikami i będziecie nam służyli.

Król Saul i Izraelici, słysząc te słowa, przejęci byli trwogą. Ale Filistyn coraz dumniej się z nich natrząsał.

— Już pokonałem wojsko Izraelskie, bo ono nie może wystawić męża, któryby ze mną śmiał walczyć!

## 86. Kolęda.

My przed wami dziś staję  
Staroświeckim zwyczajem,  
W Nowy Rok niesiem piosnkę w ofierze;  
Gdy nadzieją duch rośnie,  
Kolęduję radośnie,  
Posłuchajcie nas szczerze!

Narodzony syn Boży  
Niech swe serce otworzy,  
Kędy skarb nieprzebrany, bogaty;  
Niechaj gwiazda Trzech Króli  
Promieniami otuli  
Wasze głowy i chaty.

Częstochowska Marya  
Waszym modłom niech sprzyja,  
W dobry czas niech ją prośba poruszy;  
Niech się krzewią szczęśliwie  
Zboża na waszej niwie,  
A enoty w waszej duszy.

Ponad miasty, nad wioski  
Niechaj czuwa Duch Boski,  
Dary łask niech rozsypie w narodzie;  
Czy biesiada, czy praca,  
Niech wam serca obraca,  
Ku miłości i zgodzie.

*Władysław Syrokomla.*

## 87. Wybór Maryi.

Była w Betanii mała rodzina, bo tylko z trzech osób złożona, to jest z Łazarza i dwóch sióstr jego, Maryi i Marty. Te przyjmowały Jezusa w domu swoim z kilku jego uczniami, bo Jezus wszędzie znajdował przyjaciół, pragnących mieć Go w swym domu i słyszeć Jego nauki.

Ta mała rodzina była duszą i sercem oddana Zbawicielowi: obie siostry równie szczerze pragnęły Go uczyć, obie chciały się przypodobać Gościowi. Ale każda w spo



sób odmienny: Marta, aby najgościnniej Go przyjąć, Marya, aby z uwagą i w milczeniu słuchać tego, co On mówi.

Maryja, siedząc u nóg Jezusa, wzrok i słuch ku Niemu zwróciła, nie mogąc się nasycić Jego słowami; Marta zaś była jedynie zajęta wieczerzą, godną tak wielkiego Gościa i towarzyszków Jego. Zdawało jej się ciągle, iż jeszcze nie dość czyni. Tą troskliwością zajęta, nie wiedziała, co ma wprzód wziąć w ręce; coraz przychodziła jej na myśl nowa potrawa, w którejby goście mogli lepiej smakować. Do tej czynności w ich domu tak nadzwyczajnej, potrzebowała pomocy siostry; weszła więc do izby, gdzie siedziała Maryja z oczami zwróconymi na Jezusa, i rzekła:

— Panie! siostra moja opuściła mię i muszę sama wszystkim się zająć. Powiedz jej, aby mi pomogła!

Wtedy Jezus odpowiedział:

— Marto! Marto! troszczysz się o wiele potraw, a jedna jest tylko potrzebną i na tej jednej przestanę. Najlepszy sposób posługi dla mnie obrała Maryja. Ona ma w niej rozkosz, która jest nad wszelkie uczty. Obrala częśćkę najlepszą, bo zbawienną naukę, i ta jej odjęta nie będzie.

Dla Jezusa, w sercach ludzkich czytającego, widok obydwu tych sióstr zapewne był ujmujący. Jedna aż nadto skrzętna w przyjęciu Gościa, druga myśląca i chętna do przyjęcia Jego nauk. Wdzięcznie widział troskliwość dobrej Marty, ale zajęty posłannictwem swoim, milej patrzył na serce Maryi.

podług *Kazimierza Brodzińskiego*.

## 88. Zdania moralne.

1. Wszystko zacznij w imię Boże, a Pan Bóg ci dopomoże.
2. Gniew i zemsta nas poniża, dobroć nas do Boga zbliża.
3. Bóg nie opuści, kto się nań spuści.
4. Bóg pomaga dobrej chęci, kto Mu pracę swą poświęci.  
A choć już ustaje siła, Bóg aniołów w pomoc zsyła.
5. Często wznosząc myśl pobożną do Boga, a uchronisz się od złego.

## 89. Na cześć Boga-Rodzicy.

O! potąd dobrze, błogo na świecie,  
Pokąd na ziemi matkę ma dziecię,  
I pod jej sercem nowy świat wita.  
Jak polny kwiatek w życie rozkwita;  
Od niej się uczy znać Boga w niebie,  
U Niego szukać rady w potrzebie,  
Świętej się Jego poddawać woli,  
Wielbić i wierzyć, choć serce boli;  
I zawsze wołać w pokorze: «Panie!  
Jak Ty rozrządzisz, tak niech się stanie!»

O! potąd dobrze, błogo na świecie,  
Pokąd na niebie Matkę ma dziecię!  
Pod Jej opieką nie życia przedzie,  
Kocha Ją zawsze, widzi Ją wszędzie,  
I tęskniąc do Niej, do Niej się zbliża,  
I z krzyżem w rękę śpieszy do krzyża;  
By krzyża bóle z tą Matką dzielić,  
I z Nią zapłakać, z Nią się weselić!  
Gdy o Niej myśli, myśl tak pogodna!  
Gdy Jej zaufa, dusza swobodna.  
A gdy się w życiu sercem z Nią złączy,  
To na Jej sercu życie zakończy!

*Ks. Karol Antoniewicz.*

## 90. Jezus wskrzesza młodzieńca w Naim.

Chodząc po krainie Galilejskiej, Jezus zbliżał się do miasteczka, zwanego Naim; za Nim szli uczniowie Jego i wielkie rzesze ludu. Wtem u bram miasta zobaczył pogrzeb: niesiono do grobu ciało młodzieńca umarłego. Był to jedyny syn matki, wdowy, która ostatniej pozbawiona pociechy, szła za orszakiem, gorzko płacząc. Mieszkańcy miasta dzielili jej boleść i tłumnie szli za nią. Widząc to, Jezus powziął litość dla nieszczęśliwej, zbliżył się do niej i głosem pełnym współczucia rzekł:—Nie płacz!—I stanął



przy marach i dotknął się ich. Wzruszony był wielce, a serce wzruszone nie lubi mówić.

Niosący ciało zrozumieli Go i stanęli.

U Izraelitów umarły, odziany prostą zasłoną, był widoczny dla wszystkich, spojrzął tedy Jezus na umarłego i rzekł do niego:

— Młodzieńcze! rozkazuję ci, wstań!

Natychmiast umarły usiadł na marach i począł mówić.

Wtedy obecnych ogarnął wielki przestach, zaczęli wielbić Boga, mówiąc:

— Wielki Prorok powstał pomiędzy nami; Bóg nawiedził lud swój!

I rozeszła się wieść o Jezusie i o tym cudzie po całej żydowskiej ziemi i po okolicznej krainie.

Lecz we wszystkich cudach Jezusa nie widzimy żadnego, którym chciałby tylko zadziwienie wywołać lub rozgłos obudzić. I ten cud jedynie litość Mu natchnęła. Cóż dla dobroci Jego tkliszem być mogło, nad widok młodzieńca, pełnego nadziei, na marach, i matki, oplakującej jedyłą swoją pociechę i podporę? Że ta rodzina musiała być enotliwą, dowodzi okoliczność, iż wszyscy mieszkańcy razem z matką płakali. Jakże taki widok Jezusa musiał rozrzewnić!

Zwiastuje się tu Jezus jako Pocieszyciel, który wszystkie lzy koi, boleść w rozkosz zamienia i z samej śmierci, kogo chce, do życia przywoływa.

Jezus i dziś jeszcze przemawia do nas, gdy straty najdroższych oplakujemy:

— Nie płaczcie!

Ów, którego głos wszechmocny wskrzesił był wówczas syna jedynaka, ozwie się znów kiedyś potężnem słowem:

— Powstańcie z martwych!

Ów, który niegdyś tak dobrotliwie matce syna powrócił, wskrzesi także te drogie istoty, po których gorzko płaczemy. Ten czyn Jezusa jest uroczystą zapowiedzią naszego zmarłychwstania.

podług *Kazimierza Brodzińskiego*.

## 91. Syn marnotrawny.

Jezus lubił Boskie swoje nauki wyklądać w różnych przypowieściach. Te przypowieści są skarbcem prawd najdroższych: mogą być rozumiane przez prostaczków i mędrców i dają wiele do myślenia. Oto jedna z tych przypowieści.

Człowiek niektóry miał dwóch synów.

I rzekł młodszy z nich ojcu:

— Ojcze! daj mi część majątności, która na mnie przypada.

I ojciec rozdzielił między nich majątność swoją.

Po niewielu dniach młodszy syn, zabrawszy wszystko, odjechał w daleką krainę i rozproszył tam majątność swą, żyjąc rozrzutnie. Wszystko utracił właśnie wtedy, kiedy wielki głód nastał w owej krainie. To też i on począł cierpieć niedostatek. Przysłał więc na służącego do jednego obywatela onej krainy, a ten posłał go do wsi swojej, aby mu pasł wieprze. Młodzieniec był tak głodny, że radby był nasycić się choćby strawą tych wieprzów. Przypomniawszy sobie, jak miał niegdyś w domu, żał mu się zrobiło i rzekł do siebie:

— Wielu najemników w domu ojca mojego ma dość chleba, a ja tu z głodu umieram! Wstanę, pójdę do ojca i rzeknę mu:

— Ojcze! zgrzeszyłem przeciw Niebu i przed tobą. Jużem nie jest godzien być zwany synem twoim, pozwól mi służyć u siebie jako twój najemnik.

I poszedł do ojca swego.

Gdy się już zbliżał, ujrzał go ojciec jego i miłosierdziem a radością ruszony, przybiegł ku niemu i uściskał go.

I rzekł mu syn:

— Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Niebu i przed tobą; jużem nie jest godzien być nazwany synem twoim.

Rzekł tedy ojciec do sług swoich:



— Rychło przynieście najlepsze szaty, a obleczcie go; a dajcie pierścienie na rękę jego i obuwie na nogi jego. I weźcie cielca utuczonego i zabijcie, a sprowadźcie muzykę; jedźmy, tańczmy i radujmy się. Albowiem ten mój syn dla mnie już umarł, a teraz ożył; zginął, a znalazł się.

Jakże tkliwą jest ta radość i dobroć ojca dla syna, który już sam o sobie wszelką stracił nadzieję!

Ale czyż Bóg nie jest miłosierniejszym dla grzeszników, którzy za winy swe żałują i poprawiają się? Nie dość na tem, że Bóg przebacza winnemu, ale jeszcze raduje się z nawrócenia jego. Ktokolwiek oddali się od tego Ojca, niech ze szczerym żalem wróci do Niego, a zawsze znajdzie w nim tego samego dobrego Ojca.

A starszy syn był w polu wtenczas, gdy przybył brat jego. Gdy wracał do domu, usłyszał muzykę i tańce. Przyzwał więc jednego ze służebników i spytał, coby to było?

A on mu powiedział:—Brat twój wrócił i ojciec cieszy się, iż syna zdrowego odzyskał.

I rozgniewał się ów brat i nie chciał wejść.

Wtedy ojciec jego wyszedł do niego i począł go prosić. Ale on rzekł:

— Oto tak wiele lat służę tobie i nigdy nie przestąpił rozkazów twoich, a nigdyś mi nie dał koźlęcia, żebym ucztował z przyjaciółmi moimi; a gdy przyszedł ów syn twój, który majątność swą rozproszył, zabiłeś mu utuczonego cielca!

— Synu mój! — odpowiedział ojciec — tyś zawsze jest ze mną i wszystko co moje, twoje jest. Ale należy weselić się, iż ten brat twój był umarł, a ożył; zginął, a znalazł się.

Nie możemy się pochwalić, abyśmy, jak ów syn, który nigdy przykazań ojca swego nie złamał, zawsze wolę Ojca Niebieskiego pełnili. Częstokroć surowo błędy bliźnich naszych sądzimy, jakkolwiek sami jesteśmy godni litości. Nie naśladujmy owego syna, który, dumny ze

swego posłuszeństwa dla ojca, tak twardym dla brata się okazał. Miejmy ducha miłości i miłosierdzia i bądźmy takimi, jakim był ów ojciec, albo raczej, jakim jest zawsze wspólny nasz Ojciec Niebieski.

z *Kazimierza Brodzińskiego*.

## 92. Dwór szlachecki.

Wśród żyznych pól, przed laty nad brzegiem ruczaju,  
Na pagórku niewielkim we brzozowym gaju,  
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;  
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,  
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni  
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.

Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi;  
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi  
Użatku, co pod strzechą zmieścić się nie może:  
Widać, że okolica obfita we zboże,  
I widać z liczby kopie, co wzdłuż i wszecz smugów  
Świecą zewsząd jak gwiazdy, widać z liczby plugów,  
Orzących wczesnie łany ogromne ugoru,  
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,  
Uprawne dobrze, nakszałt ogrodowych grządek,  
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.  
Brama nawcięż otwarta przechodniom ogłasza,  
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

Z poematu *«Pan Tadeusz» Adama Mickiewicza*.

## 93. Klasztor bernardyński pod znakiem Opatrzności.

Któryś król, przejeżdżając mimo jednego z naszych bernardyńskich klasztorów, spostrzegł napis na facyacie: *«Providentia Dei»*, t. j. pod Opatrznością Boską. Zawołał zatem gwardyana i zapytał:

— Co rozumiecie przez ten napis?

— Miłościwy królu—odpowiedział gwardyan—rozumie my to, że żyjemy z Opatrzności Boskiej, która przez ręce



pobożnych i miłosiernych ludzi opatruje nas chlebem. Zakon nasz nie może posiadać dóbr ziemskich, więc żyjemy z łaski dobrodziejów.

— Dobrze—rzekł król—wstąpię do was na obiad i obaczę, jak żyjecie.—I wszedł do klasztoru w gościnę.

Naturalnie dla takiego gościa ksiądz gwardyan nie żałował, co miał najlepszego; więc król jegomość zjadł obiad, choć klasztorny, ale dobry i smaczny. Po obiedzie, zwracając się do gwardyana i do asystujących mu ojców, rzekł:

— Widzę, że Opatrzność Boska opatruje was hojnie; ale dowieście mi, żeście Jej godni, że jesteście mądrzy. Zatem macie mi odpowiedzieć na trzy pytania:

*Primo*—Ilem ja wart?

*Secundo*—Jak daleko z ziemi do nieba?

*Tertio*—Co ja myślę?

Daję wam trzy dni czasu, po których, jeżeli mi na każde zapytanie przyniesiecie odpowiedź, obdarzę was hojnie.

Po takim koncepcie króla, wszyscy naradzali się nad daniem odpowiedzi; ale nie wymyślić nie mogli. Było może ze sto odpowiedzi, ale żadnej takiej, któraby króla zadowolnić mogła.

Wtem na radę, w refektarzu zebraną, wszedł tylko co przybyły brat kwestarz klasztorny, a usłyszawszy nad czem radzą, zapytał:

— Czy macie już odpowiedź dla króla?

Poznawszy po milczeniu i minach, że rzecz idzie jak z kamienia, rzekł:

— Szanowni ojcowie! dozwólcie mi stanąć przed królem jegomością, może ja sprawę uratuję.

Ojcowie zapytali go, jakie to odpowiedzi wymyślił?

— Odpowiedzi moich—rzekł kwestarz—teraz nie powiem, bo do wieczora może jeszcze własne wymyślicie; ale jeżeli wam się nie uda, to pošlijcie mnie, a zobaczycie, że załatwię pomyślnie.

Skończyło się na tem, że wysłano kwestarza do króla, nie dopytując się już, co on powie, a tylko błogosławiąc na drogę.

Stanął więc kwestarz przed królem, który przypomniał sobie onegdajszą rozmowę i rzekł:

— Przychodzisz zapewne, księżulu, z odpowiedzią na moje kwestye?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie—odpowiedział z niskim pokłonem kwestarz.

A więc król zasiadł na krześle, a koło niego cały dwór, lśniący od złota i srebra, aż w oczach kwestarzowi się zaćmiło. Jednak nie tracił fantazyi.

— No—rzekł król—ilem ja wart?

— Szacujemy Waszą Królewską Mość *dwadzieścia dziewięć srebrników*—odpowiedział kwestarz.—Zdaje mi się, że bez krzywdy, kiedy tylko o jednego srebrnika mniej niż naszego Zbawiciela.

Król spojrział po dworzanach—nie było co odpowiedzieć.

— *Jak daleko z ziemi do nieba?*—zapytał znowu król.

— Moment drogi, miłościwy królu: *skonanie!*—odpowiedział kwestarz.—Idzie tylko o to, aby nie zabłądzić i nie trafić do piekła; ażeby Bóg ustrzegł od tego Waszą Królewską Mość, my, niegodni słudzy jego, modlimy się o to będziemy.

Król pokręcił głową.

— No, teraz ostatnie pytanie: *co ja myślę?*

— Wasza Królewska Mość myślisz—mówił kwestarz—że skoro mnie tu przysłali, to ja muszę być bardzo mądry i uczony, a ja prosty brat—kwestarz, do usług Waszej Królewskiej Mości.

— Brawo!—zawołał król i wszyscy za nim—wygrałeś sprawę.

Potem król odjechał, sowicie obdarzywszy klasztor.

z «Pamiętników kwestarza» Ignacego Chodźki.



## 94. Grosz wdowi.

Gdy Święty Wojciech opuścił Kraków,  
Szedł dalej z krzyżem uczyć pogany;  
A gdy po drodze kruszył bałwany,  
Staął nad morzem pośród Prusaków,  
I głosząc wiarę podług słów Pańskich,  
Poznosił wszędzie drewniane bogi.

Lecz w nienawiści poganin srogi  
Śmierć mu zadaje w mękach tyrańskich.

Bolesław Chrobry zasłyszał o tem,  
A żył nie samym szczękiem oręża —  
Więc wielbiąc enoty świętego męża,  
Zamierzył ciało wykupić złotem.

Co chciał poganin, dawał z ochotą;  
Złote kładziono na wagi bryły;  
Lecz święte szczątki zbyt ciężkie były.

Czyż enotę kiedy przeważy złotó?

Już i nie stało skarbów królowi.  
Czem niecną cheiwość nasycić można?

Wówczas przybywa wdowa pobożna,  
Dorzuca w darze grosz wdowi.

Niebo ocenia szczerłość ofiary:  
Pieniądz obłany wdowiem i łzami,  
Unosi w górę wagę z zwłokami,  
A na dół ciężą królewskie dary.

*Mateusz Gralewski.*

## 95. Dowcip Ezopa.

Filozof Xantus, pan Ezopa, kazał mu, jako niewolnikowi i słudze swemu pójść do łaźni i zobaczyć, czy nie ma wielkiego natłoku. W drodze do łaźni Ezop spotkał pewnego urzędnika, który znając go, zapytał:

— Dokąd idziesz?

— Nie wiem—odpowiedział Ezop.

Urzędnik, rozumiejąc, że Ezop z niego żartuje, kazał

go zaprowadzić do więzienia. Gdy go chwymano, zaczął wołać:

— Mości sędzio dobrodzieju! Czy nie dobrze mówiłem, iż nie wiem dokąd idę? Zaiste nie wiedziałem wcale, że się mam przejść do więzienia.

Słyszac tę dowcipną odpowiedź, sędzia uwolnił Ezopa.

Ten poszedł teraz prosto do łaźni, a zastawszy tam mnóstwo ludzi, pilnie im się przypatrywał.

Przy drzwiach leżał kamień, o który wszyscy przechodnie potracali. Ezop widział, że tylko jeden człowiek wziął ten kamień i odrzucił na bok.

Powróciwszy do domu, Ezop doniósł panu, że tylko jednego człowieka widział w łaźni.

Xantus pośpieszył do kąpieli, a zastawszy tłum wielki, zapytał Ezopa, dlaczego mówił, że tylko jeden człowiek w łaźni się znajdował.

— Czy widzisz, panie—odrzekł Ezop—ten kamień, co leży na boku? Wszyscy wchodzący uderzali się oń w nogę, a tylko jeden odrzucił go na stronę; ten przeto jeden godzien jest imienia człowieka.

## 96. Przygoda w podróży.

1. Zwiedzałem raz z przyjacielem moim, Świackim, góry, a nie znając drogi, zbłądziliśmy. Ponieważ noc zapadła i łatwo było gdzieś w przepaści życia postradać, więc Świacki powiada do mnie:

— Słuchaj, Władek! Ciebie większa szkoda, więc ja pójdę naprzód. Jak spadnę, to posiedzisz na miejscu do rana, a rano już sobie jakoś poradzisz.

— Nie ty pójdziesz naprzód—powiadam—tylko ja, bo mam lepsze oczy.

Na to Świacki:

— Ja pójdę naprzód; wszystko mi jedno, gdzie i kiedy zgine.

Zaczynamy się sprzeczać. Tymczasem robi się ciemno,



jak w piwnicy. Koniec końcem, umawiamy się, że pójdziemy na losy. Idziemy. Świątecki wyciąga węzelek i rusza naprzód. Posuwamy się przełęczę. Z początku jest dość szeroko, później coraz wężiej. O ile możemy wymiarkować, w prawo i w lewo są przepaście, pewnie bezdenne.

Grzbiet staje się jeszcze węższy, a co więcej, okruchy skał usuwają się nam z pod nóg...

— Idę na czworakach, bo nie można inaczej! — mówi Świątecki.

Rzeczywiście nie można było inaczej, więc opuszczamy się na czworaki i idziemy dalej, jak dwa szympanse. Ale wkrótce pokazuje się, że i to na nic... Grzbiet skalny robi się nie szerszy od końskiego. Świątecki siada na oklep, ja za nim—i opierając się rękami przed sobą, posuwamy się naprzód.

Po jakimś czasie słyszę głos Świąteckiego:

— Władek!

— Co takiego?

— Grzbiet góry się skończył.

— A co dalej?

— Pusto... Musi być przepaść.

— Weźże jaki kamień i ciśnij; posłuchamy, czy długo leci.

W ciemności słyszę, jak Świątecki szuka rękami, by wynaleźć jaki okruch zwietrzałej skały, a następnie mówi:

— Ciskam... słuchaj!

Nadstawiamy obaj uszu... Cisza!

— Nie słyszałeś nic?

— Nie!

— Ładnieśmy się wybrali; musi być ze sto sążni.

— Ciśnij jeszcze raz!

Świątecki wynajduje większy okruch, ciska... Ani odgłosu!

— Cóż tam? dna niema, czy co?—mówi Świątecki.

— Trudna rada, będziemy siedzieli do rana.

2. I siedzimy. Świątecki puszcza jeszcze parę kamieni; wszystko napróżno. Upływa jedna godzina, druga; już może być pierwsza w nocy, albo nawet i nie tyle. Zaczyna padać deszcz drobniuchny. Naokoło ciemność nieprzebita.

Dochodzę do przekonania, że żyjąc między ludźmi, czy w miastach, czy na wsi, nie mamy pojęcia, co to jest cisza. Ta, która nas otacza, aż w uszach dzwoni. Słyszę niemal, jak krew krąży mi w żyłach, a bicie własnego serca słyszę doskonale.

Z początku położenie nasze zajmuje mnie: siedzieć jak na koniu i tuż nad niezgłębioną przepaścią, to się przecie byle komu w mieście nie trafia. Ale wkrótce robi się zimno coraz dotkliwsze.

Świątecki rzucił jeszcze parę kamieni, powtórzył jeszcze parę razy: «Ani słychu!» Odtąd milczeliśmy ze trzy godziny.

Zdawało mi się, że nie długo powinien się być zacząć brzask. Nagle usłyszeliśmy nad głowami krakanie i szum skrzydeł. Było jeszcze ciemno i nie mogłem nic dojrzeć; ale byłem pewny, że to orły zaczynają krążyć nad przepaścią. «Kra! kra!» rozlegało się coraz silniej w górze i w ciemności. Dziwiło mnie, że słyszać tak dużo tych głosów, jakby przelatywały całe legiony orłów. Ale bądź co bądź, zwiastowały one dzień.

Jakoż po jakimś czasie dojrzałem swoje ręce, oparte o brzeg skalisty, potem zarysowały się przede mną plecy Świąteckiego, zupełnie jak czarna sylwetka na cokolwiek mniej czarnem tle. Tło owo bladło z każdą chwilą.

Robiło się coraz widniej. Patrzę, staram się zapamiętać te zmiany barw i potrosze w duszy je maluje, gdy nagle przerywa mi okrzyk Świąteckiego:

— Tfy! głupcy!

I plecy jego giną mi z oczu.

— Świątecki!—krzyknę—co robisz?

— Nie wrzeszcz—powiada—patrz!



Pochylam się, spoglądam—cóż się pokazuje? Oto siedzę na skalistym zrębie, zapuszczającym się w łakę, która leży może o półtora łokcia poniżej. Mehy głużyły odgłos kamieni, bo zresztą łaka jest równiutka; w dali widać drogę, na niej wrony, które poczytałem za orły. Potrzebowaliśmy tylko nogi spuścić ze zrębu, ażeby pójść najspokojniej do domu. Tymczasem przesiedzieliśmy na tym zrębie, szczękając zębami, całą Bożą noc.

*Henryk Sienkiewicz.*

## 97. Krakowiacy.

Mieszkańcy ziemi Krakowskiej są zwykle wzrostu średniego, włosów w pacholęcym wieku jasnych, które później znacznie ciemnieją; oczy mają siwe, nos wydatny, rysy twarzy przyjemne. Pospolicie golą cały zarost na twarzy; młodszy noszą niekiedy wąsy; tylko brody nigdy nie zapuszczają. Nad czołem obcinają włosy krótko, z tyłu nie strzygą ich wcale, tak, iż te w długich kędziurach spadają im na barki.

Lud krakowski odznacza się wielką żywością i zdolnością umysłu, samorodnym dowcipem i wesołem zwykle usposobieniem. Żywość Krakowiaków przebija się w ich mowie prędkiej, składającej się z krótkich zdań; wesołość zaś maluje się we wszystkich ich obrzędach i zabawach, z którymi łączą się zawsze skoczne tańce, przeplatane piosenkami, pełnymi żartów i dowcipnych porównań.

Niech się co chce, dzieje;  
Krakowiak się śmieje.

Tak przyśpiwiają sobie weseli Krakowiacy. Nawet kiedy ich nieszczęście nawiedzi, w pierwszej tylko chwili narzekają; rychło rozsądek bierze górę i już z cierpliwością znoszą najprzykrzejszą dolę. Chwycony za serce, lub w chwili nagłego niebezpieczeństwa, Krakowiak jest zdolny do największych poświęceń, choćby mu przyszło

skoczyć w ogień lub w wodę dla uratowania życia bliżniemu, albo rzucić się przed rozpędzone konie, aby zagrożone dziecię zasłonić od strатовania.

Ale przy całej dobroci serca unosi się Krakowiak łatwo gniewem i nieraz lada słówko, rzucone niebacznie, lada żart niewczesny wywołuje zażartą kłótnię, kończącą się szybko, bo w jednej chwili przychodzi do bójki. Lecz nie zna on długo tajonej nienawiści i po przejściu pierwszego gniewu niezdolny jest do zemsty.

Rolnictwo jest głównym źródłem utrzymania Krakowiaków. Trzeźwy i pracowity, obdarzony bystrym rozsądkiem, a najczęściej umiejący czytać i pisać, wieśniak tamtejszy chodzi lepiej około gospodarstwa, ma porządniejszą zagrodę, lepsze narzędzia, bydło dorodne, konie rosłe i piękną uprzęż — jednym słowem jest zamożniejszy, choć pieniędzy gromadzić nie lubi.

Pięknie też wyglądają wioski krakowskie, wabiące oko już zdala rozkosznym położeniem, starannością budowy i schludnością całego obejścia.

*według Oskara Kolberga.*

## 98. Krakowiaczek.

Wesoły, szczęśliwy  
Krakowiaczek ci ja,  
A mój konik siwy  
Rażno się uwija.  
Uwijaj się, rażno bież  
Kopytami ognia krześ!

Z czapki pawie pióro  
Barwami się mieni,  
Jak dzionek za chmurą  
Gdy ją świt zrumieni,  
Dumnie błyszczy pawi puch,  
A ja dumny, a ja zuch!

Czapeczka czerwona  
Na głowie mi płonie!  
Pokazuje ona,  
Że mi gore w łonie;  
Gore serce, pędzi koń  
A siostrzyczka klaszcze w dłoni. Wezmę na się choćby dwóch.

Krakowiaczek ci ja  
Krakowskiej natury,  
Kto mi włazi w drogę,  
Ja na niego z góry,  
Bom ja Krakus, bom ja zuch,



Uderzmy w podkówki,      A jak ci on urznie  
Niech przyzna świat cały,      Krakowiaka z nogi,  
Że krakowski taniec      Pójdą wiecheć z butów  
Wart jest wiecznej chwały.      A trzaski z podłogi.  
Bo gdy Krakus idzie w tan,      Bó on pan, bo on król  
Śpiewa, tańczy, kieby pan.      Wśród krakowskich niw i pól.

### 99. Wieniec czyli okrężne.

Widząc nadzwyczajne w domu przygotowania, zapytał pana Podstolego, czy się jakich znacznych gości u siebie spodziewa?

— Najznacniejszych — odpowiedział. — Dziś kończymy żniwo i gromada wiejska przyjdzie do mnie z wieniec na jej to przyjęcie teraz wszystko przygotowujemy.

Wkrótce, około zachodu słońca, usłyszeliśmy śpiew wieńców. Gospodarstwo wyszli na ganek i przyjęli wieniec z kłosów; wtedy jeden z gromady, starzec poważny przemówił do państwa prostemi, prawda, słowy, ale zna było, iż przez usta jego odzywało się serce.

Pan Podstoli odpowiedział: dziękował najprzód Opatrzności Boskiej, która pracującym daje żywność; dziękował gromadzie za gorliwą pracę i w każdej okoliczności obiecywał swoją opiekę ojcowską; a na znak wdzięczności wezwał wszystkich do poczęstunku i do użycia skromnej zabawy, którą dla nich przygotował.

Zaczęła więc młodzież tańce, przeplatając je rozmaitemi pieśniami. Nie były one wyszukane, ale były wdzięczne i proste i przedstawiały skromność wiejskiego życia.

Na podwórzu stoły były zastawione, a zanim wszyscy zasiedli, ksiądz pleban przemówił, jak darów Bożych z wdzięcznością i przystojnem weselem używać należy. Pobłogosławił jadło, poczem siadł pan Podstoli do osobnego stołu z samymi gospodarzami, gospodynie z panią Podstoliną, dziewczki z pannami, a parobcy z paniczami. Trwała dosyć długo w noc uczta i zabawa wesola.

Gdy się wszyscy rozeszli do domów, a my z panem Podstolim zatrzymaliśmy się na podwórzu, rzekłem:

— Bardzo mi się podoba, że państwo zasiedli na wspólne gody ze sługami.

— Zwyczaj ten, od dawnych czasów wniesiony — odpowiedział — zachowuję na wzór przodków, i dzieciom zalecam, żeby go zachowywali. Nie poniża pana przedstawianie z niższym. Najsławniejszego z królów naszych, Kazimierza, którego po śmierci nazwano Wielkim, za życia zwano królem chłopków, a to z tej przyczyny, że on lud swój kochał i dla każdego był przystępnym. Dobroć króla zbogaciła kraj i dlatego Kazimierz był w życiu szczęśliwym, a po śmierci sławnym!

z dzieła «Pan Podstoli» *Ignacego Krasickiego*.

### 100. Pieśń żniwiarska.

Jak las wysokie żyto się udało;  
Oj! będzie za to pieniędzy niemało!  
A pszenica na zagonie  
Złocistemi kłosy plonie.

Jęczmień i owies błyska barwą świetną;  
Wszystko to, wszystko sierpy nasze zetną!  
A pracowne siwe woły  
Wszystko zwiozą do stodoły.

Potem wymłócim, zaś czeladka pańska  
W galarach szyprem powiezie do Gdańska.  
Pięknie zboże się udało,  
Będzie pieniędzy niemało!

Wiec chłopcy, dziewczki, żywo z sierpem, żywo!  
Skończmy coprędzej rozpoczęte żniwo.  
Gdy skończymy rażni, żwawi,  
Pan dożynki nam wyprawi.

Dziewica, która przodowała w żniwa,  
Wesołą piosnkę przed dworem zaśpiewa,  
I wianek z kłosów pleciony,  
Wstążeczkami ukraszony,



Strojny kaliną i polnemi głogi,  
Złoży podarkiem pod dziedzica progi.

On wystawi jadło, piwo,  
Grajek zagra piosnkę żywo.  
Dana, dana, dana, dana,  
Będziem hulać aż do rana!

*Konstanty Gaszyński.*

## 101. Górale.

Niedaleko Krakowa ciągną się ogromne góry, zwane «Tatrami». Kto ich nie widział, nie może sobie nawet wyobrazić ich piękności i wspaniałości. Niższe góry pokryte są lasami świerkowemi i jodłowemi; z pośród nich sterczą olbrzymie skały, zdające się nieba sięgać; na tych wysokich skałach żadna roślinka się nie rodzi, a są miejsca, że śnieg nawet w lecie nie topnieje.

Ludzie na tych wyżynach nie mieszkają, bo nie mieliby się czem wyżywić; tylko niedźwiedzie, lisy, borsuki, i kozy dzikie zamieszkują ów świat kamienny. Nawet ptaki nie gnieźdzą się na tych skałach, czasem tylko orzeł przeleci nad głową przybysza, zwiedzającego te wspaniałości Boże.

Podnóża tych gór zamieszkują ludzie bardzo uczciwi, chociaż bardzo ubodzy, nazywani «góralami»; rolą zajmują się oni mało, bo ziemia kamienista nie wydaje czasem i tyle ziarna, ile w nią wrzucono. Ziemniaki, tak pospolita potrawa naszych najuboższych nawet włościan, tam tylko zamożniejszym jest dostępna; biedniejsi nieraz całą zimę żywią się plackami owsianemi i tem, co sobie kupią.

Górale zajmują się chowem owiec, wożą i oprowadzają gości przyjeżdżających zwiedzać te nasze piękne Tatry. Niektórzy górale wyrzynają z drzewa piękne i delikatne przedmioty, a w Zakopanem, prześlicznej i ludnej wiosce u stóp Giewontu, jest nawet szkoła rzeźbiarska. Jest tam także i szkoła koronkarska, w której dziewczęta góralskie uczą się wyrobu koronek nicianych.

Po naszych wsiach i miastach często spotykamy górali, obładowanych rozmaitemi koszykami i fujarkami, lub kręgami drutu i naczyniami blaszanemi; wędrują oni po całym kraju: koszykarze z towarem gotowym, a druciarze, drutując i pobielając naczynia. Ubodzy ci ludzie, mimo to wielce uczciwi, zyskali sobie pracowitością, łagodnem obejściem ogólne współczucie. Są niezmiernie przywiązani do swych gór i gdy tylko który uzbiera sobie trochę grosza, co rok odwiedza «swojaków», częścią jadąc, ale większą część drogi idąc piechotą do domu.

## 102. Jak to na Góralach.

Nasi Karpaccy bracia górale  
Siedzą w dolinkach, co się zwą hale,  
Pod modre niebo góry się jeżą,  
Śniegi tam zimą i latem leżą.

W nizinach szumią wody rozliczne,  
Przy wodach bujne łąki prześliczne,  
Po skałach ciemne świerki się chwieją,  
Jak zajrzysz, góry w mgłach błękitnieją.

Tak ci tam rażno, tak nie nie trzeba,  
Jakbyś naprawdę trafił do nieba!  
Chłodne strumienie lecą w doliny,  
Szumią po dołach, huczą jak młyny.

Kędyś nad chatą w ciemnym wąwozie  
Wesoły góral beczy na kozie.  
Cygan włóczęga brzęczy na drumli,  
A pies przy progach szczeka lub skomli.

Nad Morskiem Okiem, nad stawem cichym  
Jest wielka góra, co się zwie Mniczem.  
Kiedy w powietrzu ma się na burzę,  
Ta góra we mgłę, jak mnich w kapturze.

Ach! na góralach tyle śliczności,  
Że patrzeć, kochać owe piękności.  
Za bydłem góral w kawowej guni,  
Śpiewając, biegnie z toporkiem w dłoni.



Przez lato w górach barany pasie,  
 A zwierza strzela w zimowym czasie.  
 Góral nie rady w dolinę schodzi,  
 Z tak pięknej ziemi wyjść się nie godzi.  
*Teofil Lenartowicz.*

### 103. O j c ó w.

1.—W południowej stronie Królestwa Polskiego, w odległości dwóch mil od Krakowa, leżą wdzięczne okolice Ojcowa i Pieskowej Skály. Przyroda, w cudach swoich niewyczerpana, miejscem tym hojnie udzieliła piękności. Wspaniała i miła dolina wabi do siebie i przywiązuje tak silnie, że choćby sto razy widziana, zawsze z upodobaniem i w coraz nowszym ogląda się ją wdzięku.

Minąwszy wieś Modlnicę <sup>1)</sup>, droga stopniowo zaczyna się obniżać i wchodzi do wąwozu, pospolicie zwanego Ojcowem; zamykają go z obu stron wzgórza zielenią pokryte lub wysokie, białe skały. Pionowa spadzistość ścian skalnych nie sprzyja roślinności, jednak, gdzie tylko bryłka ziemi utrzymać się zdoła, wnet bujne zioła i kwiaty wieńcami swemi je okrywają; na szczytach zaś skał, rodzajną ziemią pokrytych, krzewy i rozłożyste drzewa rosną tem bujniej, im natarczywiej burza miota ich wierzchołkami.

Najlepiej uczyni ten, kto tę dolinę pieszo przebyć zechce, może bowiem podług woli zatrzymywać się w miejscach ciekawszych i podziwiać wspaniałe dzieła przyrody. Gdziekolwiek wzrok się obróci, wszędzie cudne otwierają się widoki. Tu skały dziwacznych kształtów, piętrzące się w górę, naśladowują wysmukłością swoją wieże; owdzie zdają się być przedmurzem pałacu, zamieszkanego przez olbrzymy. Tu na pochyłości góry zwalone w nieładzie odłamy głazów tworzą jakby ruiny dawnego zamku.

<sup>1)</sup> Modlnica, tak nazwana, że według podania, św. Wojciech, idąc od Krakowa, w tem miejscu na modlitwie odpoczął. Dawniej zwała się Zagórze.

Zawieszone w powietrzu drzewa i krzewy kołyszą się nad przepaściami. Gdźieniedzie ujrzysz domek rolnika przyklepiony do wysmukłej, opoczystej ściany. Jeżeli się oko widokiem skał utrudzi, przyjemny za to znajduje spoczynek na zielonem dnie doliny, zasianej chatami i domkami i przyodzianej cienistymi drzewami. Struga Prądnik, sącząca się łożem kamiennem, ożywia swym szelestem ten miły zakątek, a czyste jej wody naksztalt zwierciadła odbijają bliższe przedmioty.

2.—Największą osobliwością Ojcowa są dwie pieczary: jedna, leżąca pośród skał na lewym brzegu Prądnika, zwana Ciemną; druga Królewska, przytułek niegdyś nieszczęśliwego króla Władysława Łokietka, który w roku 1300 chronił się tu przed Wacławem, królem czeskim, zajmującym wówczas tron polski.

W towarzystwie przewodnika wstępuje się przykrą ścieżką na górę, do Ciemnej groty. Wniście szczupłe, w zaroślach pomiędzy skałami ukryte, prowadzi do jałskini, długiej na 140 łokci, szerokiej na 40 łokci; wysokość sklepienia w niektórych miejscach dochodzi do 30 łokci. Wszedłszy do pieczary, wydrążonej w twardem łonie opoki, podróżny staje w zdumieniu na widok rozległej przestrzeni i zapytuje sam siebie: kto mógł być twórcą tak olbrzymiego dzieła? A gdy w poglądzie na ten ogrom rozważy niedoleżność siły ludzkiej, ze czcią i upokorzonym umysłem poznaje tu rękę Wszechmocnego. Ciszę uroczystą w grocie przerywa tylko szelest kropeł, ściekających ze sklepienia.

Przystęp do drugiej groty, zwanej Królewską, tak jest piękny, iż zarówno uwagę malarza, jak i miłośnika przyrody zająć zdoła. Leży ona na wysokiej górze, a ukryta w gęstwinie lasu, mniej jeszcze od pierwszej jest dostępną i do znalezienia trudną. Przysionek do niej tworzy wązka rozpadlina w skale, nakryta przezroczy-stem sklepieniem z gałęzi. Jaskinia sama, znacznie dłuższa od Ciemnej, rozchodzi się w różnych kierunkach



i na różne rozdziela ustępy. Niezbędną jest tu pomoc światła, nigdy bowiem nie przedziera się tu promień dzienny. Ściany pieczary oblane są miazgą wapienną, a sklepienie okrywają nacieki, podobne do soplów, zwane stalaktytami.

Zdaleka, na innej górze, biłą się ruiny zamku Ojcowa, który niegdyś wystawił był Kazimierz W. na pamiątkę ukrywania się w tych stronach ojca jego, Łokietka, i w którym sam przemieszkiwać lubił. Zbudowany na niedostępnej skale, był zapewne znakomitą warownią w czasach, gdy samo przepaściste położenie stanowić mogło obronę. Dziś jedynie wysoka ośmiokątna wieżycza z ciosowego kamienia, zdaje się, jeszcze dawniejsza, świadczy o przemożnym niegdyś zamku.

*A. Grabowska.*

#### 104. Groty Ojcowskie.

Gdzie widok szczytów zamku w ciemnych lasach ginie,  
Są dwie potęgą czasu wykute jaskinie,  
Dawnych potwór lub zwierząt drapieżnych siedlisko:  
Pierwsza ma Ciemnej, druga Królewskiej nazwisko.

W nich cichość i noc wieczna rządzi samowładnie;  
Nigdy się tam słoneczny promyk nie zakradnie,  
Ani księżyc srebrnego światła nie przepuści.  
Szarpia się wewnątrz wiatry z głębokich czeluści.

Słyszając ich świst okropny i ciągle wydumuchy,  
Mniemałbyś, że tam jęczą czarnych piekieł duchy.  
Na te, przez ciasny otwór ciągnące się głosy  
Drży góra, bledną ludzie, podnoszą się włosy...

W krwawych walkach, Łokietek, o prawa korony,  
Tu się krył, z tronu Piastów po trzykroć stracony;  
Stąd po trzykroć, niezgięty najtwardszemi kłeski,  
Oręż w murach Krakowa zatykał zwycięski.

Syn, pomny doli jego i losów przemiany,  
Ku czei ojca drogiego wzniosł Ojcowskie ściany.

*Fr. Wężyk.*

#### 105. Wieliczka.

1.—Na północnej pochyłości gór Karpackich, w Galicyi, ciągną się podziemne warstwy soli. Do nich należą kopalnie soli w Bochni i Wieliczce, prowadzone od niepamiętnych czasów z wielką starannością. Wprawdzie od bardzo dawna wydobywano z tych miejsc sól, ale dopiero od Bolesława Wstydlwego, to jest od roku 1239, znajdujemy dokładniejsze o nich wiadomości.

W XIV wieku król Kazimierz Wielki urządził żupy, czyli kopalnie krakowskie, zaprowadził wiele ulepszeń w pracy górniczej, rozkazał opatrzyć miejsca niebezpieczne: jedne zasypać, drugie podporami utwierdzić, a osady powstałe przy tych kopalniach zamienić na miasta i obwiodł je murem.

Pokłady soli w Wieliczce są niezmiernie głębokie, a im dalej zapuszczamy się do wnętrza ziemi, tem sól jest czystsza. Kopalnie dzielą się na trzy piętra. Na każdym piętrze znajdują się wielkie komory po wybranej soli, połączone z sobą podziemnymi krętymi ulicami, także w soli wykutymi. Sklepienia tych izb olbrzymich podtrzymują ogromne słupy soli.

W kopalniach panuje zupełna ciemność, powietrze w nich czyste, zdrowe i zawsze jednostajne, nie czuć tam ani upałów letnich, ani mrozów zimowych. Przy wyznaczaniu nowych ulic i komór zwracają uwagę, aby świeże powietrze miało do nich wolny przystęp.

Niema tam również żadnych zdradliwych, trujących gazów, jakie powstają w innych kopalniach, naprzykład węgla kamiennego, i które grożą górnikom uduszeniem, jeżeli w porę przed nimi nie ujdą.

Woda, jaka się znajduje w kopalni, przecieka z powierzchni ziemi przez warstwy piasku i gliny. Wodę tę sprowadzono kanałami w jedno miejsce, i w komorze, zwanej Przykos, tworzy ona jezioro tak głębokie, że mogą pływać po niem łódki. Przy świetle pochodni i lamp



prześliczny jest widok tego podziemnego jeziora, otoczonego dokoła lśniąca ścianami soli.

2.—Roboty w kopalniach wykonywane są z wielką wytrzymałością, górnicy—jak prawdziwi rzeźbiarze—wykuwają w tej solnej masie różne ozdoby i nadają jej najrozmaitsze kształty: olbrzymie ulice z wspaniałymi kolumnami, filarami, słupami—drogi, komory, kaplice i posągi.

Na pierwszym piętrze znajduje się kaplica Ś-go Antoniego, cała w soli wykuta. Ołtarz, ambona, posągi Świętych, wszystko prześlicznie wyrobione z soli. W kaplicy tej odbywa się raz w rok uroczyste nabożeństwo dla górników.

Do innych dziwów należy tu bardzo ładna sala Łętów, ozdobiona słupami z soli, z ogromnym świecznikiem i galerią dla muzykantów. Tu odpoczywają goście po zwiedzeniu kopalni, tu odbywają się zabawy górników i uczt, wydawane na cześć znakomitych osobistości.

Długoby trzeba krążyć po tych krętych, podziemnych ulicach i rozległych komorach, by poznać wszystkie piękności i osobliwości. Górnicy obliczają długość tych wszystkich ulic i korytarzy na 62 mile.

Wspaniały widok przedstawia kopalnia, gdy podczas jakiej uroczystości rzeźbiście oświetlają ją lampami, których światło odbija się i łamie w kryształach soli, gdy odezwie się muzyka, stokrotnem echem odbijając się po olbrzymich sklepieniach, i zapłoną ognie sztuczne.

Do dziś przechowało się podanie o świetnej takiej uroczystości, jaką zadziwił król Władysław Jagiełło cesarza niemieckiego, Zygmunta, i króla duńskiego, Eryka, przybyłych na zaślubiny jego z księżniczką Zofią.

Te wszystkie piękne opowieści o dziejach kopalni opowiadają górnicy, przewodniczący gościom zwiedzającym Wieliczkę i z dumą pokazują jej cuda.

Każdą wieść z przeszłości przechowują oni troskliwie, bo kochają tę swoją podziemną pracownię, w której pracowali również ich ojcowie i dziadowie.

Kopalnie wielickie są bardzo umiejętnie prowadzone;

dotychczas nie było prawie wypadku zarwania się sklepienia, tak te mury solne są silne i dobrze popodpierane. Kilka razy tylko wynikł w żupach pożar i znaczne szkody poczynił.

W naszych czasach wielkie nieszczęście spadło na Wieliczkę; w roku 1869 groziło jej zupełne zalanie wodą, która tam prawdopodobnie z Wisły się przedostała. Po wielu wysiłkach i pracy, ocalono kopalnię, ale część ich do dzisiaj woda niszczy.

Przy kopalni wznosi się piękne miasto Wieliczka, wzrastające ciągle w zamożność przez handel solą, prowadzony umiejętnie i sumiennie.

Sól wielicką przywożą i do nas.

## 106. W a r s z a w a.

1.—Przed bardzo dawnymi czasy, w miejscu, gdzie dziś wznosi się Warszawa, była ogromna puszcza i rozciągały się wielkie szumiące bory.

Do tej prastarej kniei zajechał raz na polowanie jeden z książąt Mazowieckich, Kazimierz; książę zabłąkał się w puszczy i zgłodzony wszedł do chaty, stojącej na górze nad Wisłą. W chatce leżała młoda wynędzniała kobieta, karmiąca dwoje bliźniąt. Książę ulitował się nad wdową i niemowlętami i wziął ich w opiekę; dzieci kazał ochrzcić, dając imię chłopcykowi Warsz, a dziewczynce Sawa i darował im kawał gruntu, na którym stała chacina. Koło tego miejsca zaczęli się później osiedlać nowi mieszkańcy, a imiona chrześniaków księcia dały tej nowej osadzie nazwę Warszawa. Według podania, lepianka Warsza i Sawy musiała stać w okolicy rynku Starego Miasta. Później puszcze coraz bardziej znikły i osada rozszerzała się; już około 1339 r. dzieje mówią o Warszawie, jako o dość znacznym grodzie.

Była wówczas opasana dużym murem. Ale była to szczupła, zacieśniona miłościna; miała jeden rynek czwo-



rokątny i tylko dwa kościoły: Ś-go Jana i księży Augustyanów. Od tego czasu jednak wzrastać poczęła.

Jeszcze w roku 1594 było w murach Warszawy ulic 12, a domów 218; za wałami zaś ulic 9, a domów 204.

2.—Zygmunt III uczynił Warszawę stolicą Polski w roku 1596. Król ten przekształcił i wymurował zamek warszawski w czworobok, z wieżą, w takiej postaci, w jakiej go dotychczas widzimy.

Nowe miasto, obszerniejsze wprawdzie niż stara Warszawa, było jednakże prawie całe drewniane; ta bowiem miała piękne kamienice równej wysokości, a ulice brukowane ceglami i kamieniami z czerwonego granitu. Do miasta głównego wiodło pięć bram; w końcu zaś jego, gdzie teraz ulica Mostowa, był na Wiśle most, z wielkich balów zbudowany.

Wkoło całego grodu zieleniło się mnóstwo pięknych ogrodów i sadów.

Wojny szwedzkie, rozpoczęte w roku 1665, i morowe zarazy, zrządzone gwałtownym napływem różnych ludów, przybyłych z dalekich stron do kraju, długo i srodoze pustoszyły to miasto.

Marya Kazimiera, małżonka Jana III, wzniosła r. 1696 gmach najobszerniejszy w mieście, od jej imienia *Marywilem* zwany, przyczyniła się więc znacznie do ozdobienia miasta. Lecz powtórny najazd Szwedów naraził gród na znaczne zniszczenie. Wreszcie i pożary przypadkowe strawiły po kilkakroć mnóstwo ulic i dworów. Dopiero za panowania Augusta II, a więcej jeszcze za Stanisława Augusta, zaczęło się miasto zwiększać i ożywiać, tak, że w niedługim czasie wyniosło się do rzędu znakomitych miast Europy i jest dziś najrozleglejszym i najpiękniejszym z grodów polskich.

Samo miasto rozciąga się na lewym brzegu Wisły. Obecnie liczy przeszło 150 pałaców i 40 kościołów, z których 30 rzymsko-katolickich, oraz wiele pięknych gmachów.

Przedmieście *Praga*, leżące na prawym brzegu Wisły,

jest połączone z Warszawą stałym mostem żelaznym. Drugi most żelazny, łączący Warszawę z Pragą, jest kolejowy i ma pod spodem przejście dla pieszych, oraz przejazd dla wozów.

Warszawa z Pragą liczy 700,000 mieszkańców. Ulic ma 230, a domów przeszło 7,000.

Starożytnym herbem tego miasta jest Syrena.

Pięknym w Warszawie jest ogród Saski, położony w samym środku miasta, i prześliczne są: ogród Botaniczny, oraz Łazienki i Belweder z pałacami wśród wspólnych parków, a także nowy park Ujazdowski.

W okolicach Warszawy słyną bądź z piękności położenia swego, bądź z powodu historycznych pamiątek: Mokotów, Wilanów, dawna siedziba Jana Sobieskiego, Bielany i Wola.

## 107. O Warszawie.

Pod wzgórzem, pod szerokiem, rzeka szybko bieży,  
Na brzegu, na wysokim, las się wieżyc jeży,  
Las wieżyc, las kamienny, czołem chmury bodzie,  
A spodem się przegląda w zwierciadlanej wodzie.  
I widać, jak na wzgórzu słup kamienny stoi,  
Na słupie, na kamiennym, król w żelaznej zbroi;  
Hej! wziął krzyż w prawą rękę i mieczem hetmani,  
A u stóp mu się fala burzliwa balwani...

O! ktoby cię zapomniał, Warszawo kochana!  
O! ktoby cię nie poznał, falo ty wiślana!  
Czy w świętek, czy w piątek, ach! o każdej dobie  
Jedna jest w ludziach gadka o tobie, o tobie:  
Warszawa, ludzkie miasto, nie żadna macocha,  
Wszystkie nas dzieci swoje ta matuchna kocha!

Pytałem dobrodzieja, co chodził po kweście:  
Niech mi jegomość powie o tem dziwnem mieście,  
Czy tam serca i cnoty mieszkają ogromne,  
Że kto widzi to miasto, woła: «Nie zapomnę».  
— O! prawdę powiedziałeś, jakbyś z książki czytał,  
O! prawda, miły bracie, wszystko, o coś pytał.  
Łaska tam Boża czyni cudowne uroki,  
I płyną gościnności cudowne potoki!



I lud tam wielkiej duszy, ma serce wspaniałe,  
 A kto go raz pokocha, to na życie całe!  
 E, co ci będę gadał, rzeczy—jak dzień jasne!  
 Idź lepiej, a sam obacz, sam na oczy własne.  
 A jeśli zziębnieś w drodze, to cię tam ogrzeją,  
 A jeśli jesteś nagi, to cię przyodzieją,  
 A jeśli jesteś głodny, to ci dadzą chleba,  
 A jeśli jesteś dobry, przychyłą ci nieba;  
 A jeśli jesteś głupi, rozumu nauczą,  
 A jeśliś niepocziwiec, to ci tam dokuczą.  
 A jeśliś jest potrzebny, pełną garścią służą.  
 A jeśliś zły jest człowiek, to cię wnet wykurzą,  
 A jeśliś jest w chorobie, nie szczędzą ratunku;  
 A jeśli się turbujesz, pocieszą w frasunku;  
 A jeśliś w kłótni z ludźmi, to tam będzie zgoda,  
 A jeśliś stracił brata, inny rękę poda.  
 Tak, tak, mój miły bracie, niema tam sieroty;  
 Warszawa, ludzkie miasto, gniazdo prawej cnoty.

Giller.

### 108. Kościół Maryacki w Krakowie.

Najwspanialszym z kościołów krakowskich jest kościół Panny Maryi w rynku. Zbudowany jest z czerwonej cegły, z dwiema wieżami, z których jedna niższa, a druga, zwana Maryacką, wybiega wysoko w górę. Szczyt wieży zdobi wieniec smukłych wieżyczek, a ponad nią, niby w powietrzu zawieszona, unosi się złota korona, na znak, że kościół ten poświęcony jest czci Maryi Panny, królowej Niebios. Z tej to wieży brzmiały jeszcze i teraz przez cały miesiąc maj *Hejnaty* poranne (pieśni pobożne otrebywane z wieży), witające poranek.

Budowa kościoła Maryackiego ciągnęła się dwa wieki, od roku 1226. Dziś świątynia ta przewyższa wszystkie inne swą wspaniałością i niepodobna prawie opisać wrażenia, jakiego się doznaje, wstępując w jej progi. Światło wspaniałych okien, przyémione kolorowemi szklami, usposabia do pobożnych rozmyślań, a oko, w górę wzniesione, gubi się w szarym pomroku sklepień. Okna te,

pochodzące jeszcze z czasów Kazimierza Wielkiego, ale później zmieniane, złożone są z szyb różnokolorowych, przedstawiających rozmaite obrazy biblijne.

Największą ozdobą kościoła Maryackiego jest wielki ołtarz, rzeźbiony z drzewa przez sławnego rzeźbiarza, Wita Stwosza, Krakowianina, pochodzącego z rodziny, zamieszkałej niegdyś w Norymberdze. Wit Stwosz żył w Krakowie w wieku XV, a posiadał tak wielką zdolność, iż w sztuce rzeźbiarskiej w drzewie nikt mu nie dorównał. Toż i wielki ołtarz w kościele Maryackim w Krakowie jest dziełem tak wspaniałem, jakiego w podobnym rodzaju niema drugiego w świecie. Ma on kształt wielkiej szafy zamykanej. Otwierają go tylko w porze największych świąt lub uroczystości. Na drzwiach jego jest dwanaście obrazów rzeźbionych, przedstawiających zdarzenia z życia Jezusa Chrystusa. Wewnętrzna zaś rzeźba przedstawia uśnięcie N. Maryi Panny, otoczonej dwunastu apostołami. Wszystkie osoby naturalnej wielkości, zdają się jak żywe.

### 109. Cesarstwo Rosyjskie I.

Największem mocarstwem lądowem, tak w Europie, jak i w Azji, jest Cesarstwo Rosyjskie. W Europie Rosya zajmuje cały wschód, a w Azji całą jej część północną.

Rosyę Europejską odgranicza od jej posiadłości Azjatyckich długi łańcuch gór Uralskich; od południa graniczy ona z morzami: Kaspijskiem, Czarnem i górami Kaukaskimi; na zachodzie sąsiaduje z Rumunią, monarchią Austriacko-Węgierską, z Prusami, morzem Bałtykiem i na koniec ze Szwecją; północne zaś wybrzeża Rosyi oblewa ocean Lodowaty Północny.

Cała Rosya Europejska przedstawia ogromną równinę, cokolwiek pośrodku wzniesioną; góry znajdują się tylko w południowej stronie (Kaukaskie i we wschodniej (Uralskie).

Góry Uralskie obfitują w ogromne bogactwa mineralne,



czyli kruszce, jak: złoto, srebro, platyna, miedź, żelazo, malachit i drogie kamienie: kryształ górny, topazy, szmaragdy i t. p. Góry te jednak leżą zdaleka od środka kraju i od miejscowości więcej zaludnionych, użytkowa nie zatem i przywóz znajdujących się w nich bogactw są znacznie utrudnione. Dopiero wybudowana świeżo kolej, idąca z Rosyi Europejskiej przez całą Syberyę, znacznie ułatwi korzystanie z tych bogactw.

Góry Kaukaskie nie odznaczają się bogactwem kopalin, ale za to mają wiele źródeł mineralnych, żelazistych i siarczanych, bogate źródła nafty i olbrzymie lasy.

Tak góry Uralskie, jak i ciągnąca się poza niemi ogromna Syberya, pokryte są lasami, które zawierają wielką ilość rozmaitej zwierzyny: lisy, kuny, sobole, niedźwiedzie, bobry i t. p.; dlatego ludność tamtejsza zajmuje się przeważnie myśliwstwem i zaopatruje prawie cały zachód Europy w znaczną ilość pięknych i cennych futer. Lasy zajmują znaczne przestrzenie i wewnątrz kraju i również obfitują w zwierzynę: dziki, wilki, rysie, lisy, niedźwiedzie, łosie, jelenie, a w lasach puszczy Białowieskiej (w gubernii Grodzieńskiej) żyją żubry, zwierzę piękny i rzadki, którego jednak już tak mała znajduje się ilość, że rząd rozciągnął nad niemi opiekę i zabronił na nie polowania.

## 110. Cesarstwo Rosyjskie II.

Rosya, zajmując wzdłuż Europy ogromny pas, ciągnący się od samej północy aż do ciepłego południa, ma też i klimat różnorodny. Na północy, gdzie kraj przytyka do oceanu Lodowatego, klimat jest tak ostry, że ustaje tam wszelka uprawa zboża, rzadnieją bory i jak daleko oko sięga, rozpościerają się tylko ponure, bagniste obszary, nazwane tundrami, porośnięte mchem i gdzieś tam drobnymi brzoźkami. Rzadko rozrzucone osady gubią się na tej niezmiernej przestrzeni, po której błądzą ko-

czownicze hordy Samojedów i inne, wypasając stada reniferów i zajmując się łowiectwem i rybołówstwem. Przy ujściu Dźwiny do morza Białego jest jedyny port w tej stronie, Archangielsk, gdzie co lato zbierają się wyprawy rybackie na połów fok i wielorybów na oceanie Lodowatym. We wrześniu morze Białe zamarza i zamyka na ośm miesięcy przystęp do całej tej krainy, pokrytej zaspami śniegu.

Szczególnem w tamtych stronach zjawiskiem jest to, że po czasie wiosennego przesilenia dnia z nocą, w ciągu prawie dwóch miesięcy słońce ciągle świeci, ani wschodzi ani zachodzi; za to przez listopad, grudzień i styczeń wcale go nie widać i byłaby zupełna noc, gdyby jej nie oświeślała zorza, piękne zjawisko świetlne, pełne czerwonego blasku i sięgające dosyć daleko.

W środku kraju klimat jest umiarkowany czyli taki, jak u nas. Są lasy drzew iglastych i liściastych, uprawiają pszenicę, żyto, jęczmień, owies, tatarkę, proso, ziemniaki, len i konopie. W południowej części państwa klimat jest ciepły. Lato bywa długie i gorące; zima zaś krótka i o lekkich mrozach. To też rosną tam bujnie: pszenica, tytuń, chmiel, konopie, kukurydza, kawony i melony, a nawet obficie winogrona; brak tylko w tych okolicach lasów.

Rosya jest nader bogato nawodnioną. Oprócz wielu jezior ma mnóstwo rzek z niezliczonymi dopływami, które przerzynają kraj we wszystkich kierunkach i służą jako drogi handlowe; ma też wiele spławnych kanałów. W stepach, położonych nad rzeką Wołgą, są jeziora słone.

Jedną z najpiękniejszych miejscowości na południu Rosyi jest półwysep Krym, wchodzący w morze Czarne. Przyroda hojnie uposażyła tę nadmorską okolicę w bogatą roślinność i prześliczne położenie góryste. Liczne źródła i kąpiele mineralne, tudzież wspaniała przyroda, ściągają tutaj corocznie mnóstwo osób, szukających wypoczynku i kuracyi winogronowej lub wodami leczniczymi.



Dlatego też miejscowość ta odznacza się znaczną ilością wspaniałych pałaców i willi, pobudowanych przez Dwór Cesarski albo przez ludzi zamożnych, spędzających w niej pewien czas dla przyjemności.

### 111. Cesarstwo Rosyjskie III.

Ludność Cesarstwa Rosyjskiego wynosi przeszło 110 milionów mieszkańców; jest to, stosunkowo do przestrzeni, jaką zajmuje, niewiele, gdyż na jedną milę kwadratową przypada około 250 ludzi, kiedy w krajach zachodniej Europy na takiej samej przestrzeni mieszka ludzi przeszło cztery razy tyle. Ludność ta jest bardzo różnaitą i składa się z wielu narodowości, różniących się między sobą wyglądem zewnętrznym, mową, wiarą i obyczajami.

Mieszkańcy Rosyi Europejskiej należą przeważnie do rasy kaukaskiej, ale znaczna ich część, mianowicie w posiadłościach azjatyckich, należy także do rasy mongolskiej.

Do rasy kaukaskiej należą następujące plemiona: Słowianie, Litwini, Żmujdzini, Bułgarzy, Grecy, Niemcy i Żydzi. Do plemion fińsko-mongolskich należą: Finnowie, Tatarzy, Kałmucy, Samojedzi, Kirgizi, Turkomeńcy, Baszkirzy i inni.

Cała ta różnorodna ludność mieszka po miastach i miasteczkach, przeważnie zaś po osadach i wsiach; hordy Kirgizów i innych narodowości, jeszcze nie ucywilizowanych, prowadzą życie koczownicze na stepach i w górach.

Głównem zajęciem ludności jest rolnictwo i chów bydła: mieszkańcy miast trudnią się przemysłem i handlem, przeważnie drobnym, a wyroby swoje rozwożą i roznoszą na sprzedaż nawet w dalekie strony.

Przestrzeń Rosyi środkowej i południowo-zachodniej, jako bogate w ziemię bardzo urodzajną, dostarczają wielkiej ilości zboża; a głównie pszenicy, tak dalece, że Rosyę słusznie nazywają śpichlerzem Europy; pszenica bowiem

idzie stąd do zachodnich krajów europejskich, gdzie mają za mało ziemi, aby mogli zebrać tyle zboża, ile do wyżywienia swego potrzebują.

Hodowli bydła sprzyjają stepy, czyli wielkie równiny, porosłe wysoką trawą i zielskiem; rozciągają się one na znacznych przestrzeniach Rosyi południowej; na nich wypasa się też mnóstwo koni niewielkiego wzrostu, lecz silnej budowy, oraz znaczna ilość bydła. Woły ukraińskie są słynne z wielkości i doskonałego mięsa.

Z tego powodu konie, bydło i trzoda chlewna stanowią ważny przedmiot handlu wywozowego.

Pszczelnictwo jest bardzo rozpowszechnione, zwłaszcza w zachodnich stronach kraju, skąd dużo miodu i wosku wywożą do Niemiec; najwięcej zaś kwitnie ono na Litwie Żmujdzi.

Rybolówstwo w Rosyi jest bardzo korzystne; sprzyjają mu wielkie rybne rzeki, a szczególnie Wołga.

### 112. Cesarstwo Rosyjskie IV.

Przemysł Rosyi w ostatnich czasach rozwinał się znacząco; powstało bardzo wiele fabryk i zakładów przemysłowych, przerabiających miejscowe materiały surowe i zużytkowujących przyrodzone bogactwa kraju.

Przemysł rosyjski różni się od przemysłu zachodnioeuropejskiego głównie tem, że większa część fabryk znajduje się nie tylko po miastach lecz i po wsiach; jako robotnicy, pracują w nich włościanie. Włościanie zajmują się także w czasie wolnym od zajęć rolnych przygotowaniem różnych tkanin i wyrobów z drzewa lub metalu na małych domowych warsztatach. Są też całe wsie gęsto zaludnione, których mieszkańcy uprawiają jedną tylko gałąź przemysłu, jako to: tkactwo, garbarstwo, stolarstwo, nożownictwo i t. p.

Do dużego już rozgłosu doszły w Rosyi wyroby lniane i bawełniane, a nawet jedwabne, jak aksamit; wyroby



metalowe i skórzane (słynne są skóry juchtowe i safianowe), mydło i świece, fabrykacya cukru, tytoniu i cygar. Liny okrętowe i płótno żaglowe, oraz plecionki z kory lipowej słyną za granicą z dobroci. W portach morza Bałtyckiego i Czarnego znajdują się duże warsztaty, w których budują okręty i statki wojenne.

Handel jest przeważnie wewnętrzny; ułatwiają go w znacznej części duże i spławne rzeki i coraz więcej rozszerzająca się sieć dróg żelaznych, których Rosya posiada już ogromne linie. Druty telegraficzne łączą z sobą wszystkie ważniejsze miejscowości oraz wiele pomniejszych.

Głównemi ogniskami handlu i przemysłu fabrycznego są miasta: Petersburg, Moskwa, Odesa, Kijów, Tuła, Kursk, Astrachań, Jarosław, Kostroma i Niższy Nowogród. To ostatnie miasto stanowi niejako punkt łączny handlu Rosyi ze Wschodem, a słynie z dorocznych jarmarków, na które przybywa do pół miliona ludzi najrozmaitszych narodowości z Europy i z Azji.

Oświata w państwie Rosyjskiem rozszerza się szybko, ku czemu służą liczne szkoły ludowe, gimnazya, szkoły handlowe, uniwersytety i różne zakłady naukowe specjalne. Obecnie każde miasto gubernialne, a nawet i inne miasta większe i mniejsze posiadają szkoły i gimnazya męskie i żeńskie. Uniwersytety są: w Petersburgu, Moskwie, Kijowie, Jurjewie, Charkowie, Kazaniu, Helzyngforsie i Tomsku, oraz w Warszawie.

Cesarstwo Rosyjskie jest monarchią dziedziczną; kraj dzieli się na generał-gubernatorstwa i gubernie. Gubernie znajdują się pod zwierzchnictwem gubernatorów i dzielą się na powiaty, te zaś ostatnie na gminy. Powiatem zarządza naczelnik powiatu, gminą zaś wójt, który do pomocy w każdej wsi ma sołtysa. W jednych miastach rządzą rady miejskie, w innych magistraty z prezydentami lub burmistrzami na czele.

Główne siedlisko rządu mieści się w stolicy państwa,

w Petersburgu, będącej zarazem rezydencyą Cesarską. Znajdują się tam wszystkie wyższe władze rządzące.

### 113. Petersburg.

#### I.

Petersburg, stolica Państwa Rosyjskiego, założona przez Piotra Wielkiego, w miejscu, gdzie niegdyś ciągnęły się bagna fińskie i rosły nieprzebyte lasy, wznosi się obecnie po obu brzegach rzeki Newy, oraz na wyspach, położonych między kilku jej ujściami do morza Bałtyckiego. Położenie nadmorskie, oraz ulice piękne, szerokie, place tak obszerne, że zmieści się na nich od 60,000 do 100,000 ludzi i mnóstwo wspaniałych gmachów, stawiają Petersburg w rzędzie najpiękniejszych miast Europy.

Place Petersburga są ozdobione pomnikami, między którymi wielkością i pięknnością odznacza się pomnik Piotra Wielkiego, Katarzyny II, Puszkina i wiele innych.

Do najgodniejszych uwagi budynków należy zaliczyć: cerkiew Aleksandra Newskiego, sobory: św. Izaaka, Kazański i Piotro-Pawłowski; w ostatnim spoczywają zwłoki wszystkich Monarchów Rosyi, a ściany są pokryte trofeami z różnych wojen. Najpiękniejszym jest pałac Zimowy ze słynną galeryą obrazów i zbiorami sztuki i osobliwości, nazwaną Ermitażem (pustelnią), pałac Aniczkowa i marmurowy.

Z gmachów publicznych, oprócz wielu innych, zasługują na uwagę: gmach admiralicyi, czyli zarządu marynarki, giełda, na której załatwiają się ogromne interesy handlowe, akademie sztuk pięknych, biblioteka publiczna, trzy teatry rządowe, twierdza Piotro-Pawłowska, oraz ogromna liczba budowli rządowych, mieszczących rozmaite władze i biura, wiele pałaców i gmachów, należących do Rodziny Cesarskiej i do bogatych obywateli.

Stolica ta posiada przeszło milion mieszkańców.



W Petersburgu znajdują się najwyższe władze rządowe i ześrodkowuje się działalność naukowa, reprezentowana przez instytucje uczone i ogromną liczbę rozmaitych zakładów naukowych; między nimi najgłówniejsze są: akademia umiejętności, akademia sztuk pięknych, uniwersytet, akademia lekarska, dwie akademie duchowne, kilka akademii dla kształcenia wojskowych, instytuty: dróg i komunikacji, górniczy, technologiczny i wiele innych. Niedaleko Petersburga, w Pulkowie, znajduje się słynne obserwatorium astronomiczne.

Lecz nie tylko pod względem administracyjnym i naukowym zajmuje Petersburg pierwsze miejsce w Cesarstwie; jest to jednocześnie, obok Moskwy, najważniejsze miasto handlowe i fabryczne, gdyż posiada około 1000 rozmaitego rodzaju fabryk i zakładów przemysłowych. Ogromne są fabryki wyrobów bawełnianych, oraz machin wszelkiego rodzaju i do wszelkiego użytku; ogromne drukarnie i papiernie, fabryki wyrobów szklanych i porcelany, oraz rozmaitego rodzaju warsztaty dla potrzeb wojskowych.

## 114. Petersburg.

### II.

Petersburg posiada wiele pięknych ulic i bulwarów, między którymi głównie odznacza się tak zwany Newski Prospekt. Ulice są proste, symetryczne i szerokie (od 60 do 100 stóp). Brzegi Newy, wyłożone granitowymi płytami, są połączone z sobą kilkunastoma mostami; między nimi kilka pięknych, szczególnie most Mikołajewski odznacza się wielkością i pięknnością.

W Petersburgu jest przystań dla okrętów wojennych i kupieckich, a Newa jest rzeką spławną; niesie ona na swych wodach mnóstwo łodzi i statków, a nawet dużych okrętów. Przybywają one tutaj ze wszystkich stron świata dla wyładowywania rozmaitego rodzaju towarów i w celu zabrania znowu produktów i wyrobów, których wielkie

składy znajdują się w Petersburgu. Niedawno założono tu port handlowy. Ruch trwa głównie od początku czerwca do końca października. W listopadzie Newa już zamarza i w tym stanie trwa aż do końca marca.

Newa, która tu wpada do zatoki Fińskiej, rozdziela się na pięć odnóg, noszących nazwy: duża i mała Newa; duża, średnia i mała Newka.

Klimat Petersburga, jako miasta wysuniętego znacznie ku północy, jest średnio zimny, ale niejednostajny; czasami bywają bardzo silne mrozy, nieraz zaś zima jest dosyć łagodna; wiosna rozpoczyna się w drugiej połowie kwietnia. Lato zwykle jest piękne i gorące; wtedy wszyscy zamożniejsi mieszkańcy wyprowadzają się z miasta na letnie mieszkanie do licznych willi, znajdujących się w okolicy i wśród ogrodów, położonych na wyspach, utworzonych przez odnogi Newy.

Osobliwością w lecie jest prawie zupełny brak nocy takich jak u nas, z naszym zmierzchem i ciemnością. Przez kilka miesięcy, w których słońce pod biegunem nie zachodzi, noce są prawie tak jasne, jak dni, i ruch miejski przeciąga się późno w noc.

Petersburg posiada kilkanaście ogrodów, między nimi duży ogród zoologiczny ze znaczną liczbą pięknych i rzadkich okazów różnych zwierząt.

Okolice Petersburga obfitują także w ładne ogrody. Wśród nich znajduje się wiele pałaców, będących miejscem letniego pobytu Rodziny Cesarskiej, a mianowicie: Gatchyna, Peterhof, Oranienbaum i Carskie Sioło.

Dla mieszkańców Petersburga zima obfituje w wiele przyjemności: niezliczona liczba sań i saneczek uwija się po ulicach; jeżdżą zaś nadzwyczaj szybko.

Do zwykłych zabaw i rozrywek ludowych należy ślizgawka z góry na saneczkach; w tym celu budują umyślnie wysokie a spadziste pomosty z bali, na których układają aż do samego wierzchu płyty lodu, szczelnie do siebie przystające. Te płyty polewają wodą, która zapeł-



nia szczeliny, i marznąć, tworzy powierzchnię gładką. Na pomost wchodzą po schodach i siadłszy na saneczki, zjeżdżają po pomoście na dół. Zabawny widok przedstawia taka ślizgawka, w której bierze udział mnóstwo osób dorosłych i dzieci.

### 115. Kreml i Moskwa.

1. — Przed założeniem Petersburga, stolicą Rosyi było wielkie dziś miasto Moskwa, leżące o sto mil na południowschód od Petersburga. Od jej miana całe państwo przed Piotrem Wielkim nazywało się księstwem, a później carsstwem moskiewskim.

Moskwa uważana jest i obecnie za drugą stolicę państwa.

Zbudowana jest nad niewielką rzeką, zwaną także Moskwą, i liczy 900,000 mieszkańców. Posiada wiele klasztorów i mnóstwo większych i mniejszych cerkwi, pełnych bogactw. Ma uniwersytet oraz wiele zakładów naukowych średnich i niższych; kwitnie w niej handel i przemysł, będący głównie w ręku krajowców, a dużo fabryk przerabia produkty krajowe; nadto Moskwa słynie z wielu zakładów dobroczynnych.

Mieszkańcy Rosyi nazywają Moskwę sercem Rosyi, a Kreml — sercem Moskwy i otaczają go nadzwyczajnem poszanowaniem i czią.

Kreml, jest to środkowa, bardzo starożytna część miasta, położona na wzgórzu, obwiedziona murem, w którym znajdują się strzelnice i tajemne przejścia. Kreml jest jednym z najdawniejszych zabytków historycznych państwa rosyjskiego, posiada piękne pałace i wspaniały sobór Wniebowzięcia, gdzie koronują się Cesarze rosyjscy, to jest, z różnemi ceremonialnemi obrzędami wkładają sobie na głowę koronę, ozdobioną drogiemi kamieniami.

Świątynie Moskwy, których liczono dawniej czterdzieści razy po czterdzieści, budowane są w rozmaitym gu-

ście, po większej części pokrywa je mnóstwo kopuł (wież okrągłych) złożonych.

2. — W roku 1812 Napoleon I, cesarz francuski, wojując z Rosyą, zajął Moskwę i Kreml. Całe prawie miasto wówczas zgorzało, ocalał tylko Kreml ze wszystkiemi pałacami dawniejszych panujących i zbiorami osobliwości.

Na wieży, zwanej wieżą Iwana, najwyższej w Moskwie, umieszczony jest olbrzymi dzwon, ważący 4,000 pudów, czyli 160,000 funtów. Dzwonią weń rzadko i to uderzając tylko sercem (jak zwykle dzwoni się we wszystkich cerkwiach). Głos tego dzwonu jest tak doniosły, że słychać go w całym mieście, chociaż Moskwa ma obwodu przeszło 40 wiorst, co znaczy, że trzeba przebyć około sześciu mil drogi, aby ją wkoło objechać.

Niedaleko od wieży Iwana stoi na ziemi inny dzwon, jeszcze większy od poprzedniego, podobno największy w całym świecie, gdyż waży 430,000 funtów i ma około 10-ciu łokci wysokości. Odlany został z rozkazu Cesarzowej Anny, lecz wkrótce wyszczerbił się, a kawał spiżu (mieszaniny miedzi z cyną, używanej zwykle na dzwony), który się wykruszył, leży opodal; przez tę szczerbę dwóch ludzi może wejść swobodnie do wnętrza dzwonu. Na uwagę również zasługuje w Moskwie wspaniała cerkiew Zbawiciela, wzniesiona na pamiątkę szczęśliwego ukończenia wojny z Napoleonem I.

### 116. K i j ó w.

Jednem z najdawniejszych miast nietylko na Rusi, ale i w całej Słowiańszczyźnie jest Kijów.

Już w roku 882 książę Oleg, potomek księcia Ruryka, opanowawszy Kijów, przeniósł tu z Nowogrodu swą stolicę. Włodzimierz Wielki, przyjąwszy tutaj chrzest w roku 988, pobudował wiele cerkwi i wspaniale przyozdobił miasto.



Mało jest miast, któreby miały tak piękne położenie, w jakim się Kijów znajduje. Widnieje ono już zdaleka gdyż wznosi się na dwóch wysokich górach ponad brzegami Dniepru.

Wokoło miasta roztaczają się nieprzejrzone okiem równiny, a Dnieprem płyną setkami szkuty i statki.

Kijów był dawniej punktem środkowym handlu między Wschodem i Zachodem. Handel ten odbywał się głównie Dnieprem ku morzu Czarnemu, a stamtąd do Grecyi i Turcyi i naodwrot. Z Kijowa wywożono zboże, futra i inne płody ku południowi, z Grecyi zaś przywożono złoto, adamaszki, wino i owoce. Był to gród niegdyś możny, a rozległością, wspaniałością swoją i bogactwem mieszkańców przewyższał inne grody.

Z wielu cerkwi z pozłocistemi kopułami najwspanialszą była cerkiew Świętej Zofii. Miasto było otoczone dookoła bramami i rowami. Jedną z głównych bram była brama Złota, tak nazywana od pozłocistej blachy, którą była pokryta. Teraz pozostały z niej tylko ruiny.

Przez wiele lat potem był Kijów świadkiem i widownią srogich i nieustannych walk między książętami, ubiegającymi się o tron kijowski. Następnie przechodził rozmaite koleje.

Jednak od czasów najścia Tatarów i zniszczenia przez nich całego miasta, nie wyrównało ono już ani rozległością, ani bogactwem i wspaniałością temu, jakim było w starożytności. Dopiero od kilkudziesięciu lat, Kijów, jako miasto gubernialne, znowu się powiększa i przyozdabia pięknymi budynkami tak, że ludność jego dochodzi teraz do 200,000 mieszkańców.

Jedną z najstarszych i najslawniejszych cerkwi na cały kraj tamtejszy jest Ławra Pieczerska z monasterem t. zw. czerńców. Wznosi się ona na jednej z dwóch gór, na których miasto jest zbudowane, i nazywa się tak od pieczar podziemnych, wykutych w przyległych skałach, gdzie znajdują się ciała stu kilkudziesięciu męczenników. Ty-

siące ludu gromadzą się tu rok rocznie, by oddać cześć Panu i Świętym, tutaj pochowanym.

U stóp starego Kijowa, w dole nad samym Dnieprem, roztacza się część miasta, zwana Padołem. Tu odbywają się corocznie w styczniu i lutym słynne oddawna kontrakty kijowskie, na których załatwiają się kupna i sprzedaże majątkości ziemskich, oraz inne interesy handlowe i sprawy pieniężne. Wówczas miasto wielce się ożywia, i Kreszczatik, czyli górna i wspaniale pobudowana część miasta, pełna bogatych sklepów, zaludnia się rolnikami, przemysłowcami oraz kupcami, przybywającymi nawet ze stron dalekich.

## 117. Chrzest Rusi.

Dziewięć wieków upłynęło już od czasu, kiedy Włodzimierz Wielki, książę kijowski, z całym swym narodem przyjął wiarę chrześcijańską. Przyjawszy chrzest, Włodzimierz pojął za żonę Annę, cesarzównę bizantyjską, i z jej pomocą, jako też z pomocą duchowieństwa greckiego nawrócił na chrześcijaństwo i ochrzcił naród ruski, który przedtem żył w ciemnocie bałwochwalstwa. Z jego rozkazu poniszczono bożki pogańskie, rąbiąc je lub paląc; głównego zaś bożka, Peruna, przywiązanego do konia, ciągnięto przez miasto, bito kijami i wrzucono do rzeki. Naród, który dotąd oddawał cześć tym bałwanom, zdumiony tem, że one nie zsyłają kary na tak obchodzących się z niemi, nie śmiał już ich bronić od zagłady, opłakiwał ich tylko, jakby im chciał tem złożyć hołd ostatni.

Na drugi dzień po zniszczeniu bałwanów, Włodzimierz rozkazał ogłosić w mieście, aby wszyscy jego poddani przystępowali do chrztu. Naród, pozbawiony przedmiotów dotychczasowej czei i ubóstwiania, śpieszył na brzeg Dniepru w przekonaniu, że skoro wielki książę i bojarrowie przenoszą wiarę nową nad wiarę ojców swoich, to musi być ona dobrą. Przybył wtedy i sam Włodzimierz



w towarzystwie kapłanów. Na dany znak mnóstwo ludu weszło do rzeki. Starsi wiekiem stali w wodzie po piersi lub szyję; ojcowie i matki trzymali swe dzieci na rękę, a kapłani, chrzcząc naród cały, odmawiali i śpiewali modlitwy chrztu.

W dniu tym wielkim, jak pisze kronikarz Nestor, radowały się niebiosy i ziemia, że tylu wiernych zaczęło uznawać prawdziwego i Wszechmocnego Boga.

### 118. Włodzimierz Monomach.

Włodzimierz, syn Wsiewołoda, a wnuk Jarosława I-go, umiał skarbić sobie miłość wszystkich, którzy go kiedykolwiek otaczali lub udawali się do niego, jako do panującego.

W dzieciństwie swoim był synem posłusznym i szanującym wolę swych rodziców, a dla domowników uprzejmym. Będąc jeszcze młodzieńcem, tak samo, jak współczesny mu Bolesław Krzywousty, występował na polu bitwy jako śmiały i odważny rycerz. Rodzice, z powodu szczególnej ku niemu miłości, wyróżniające go śmiałości i odwagi, nazwali go Monomachem, to jest walecznym.

Kiedy w wieku dojrzałym objął rządy w dziedzicznym swem księstwie, panował w niem dobrze i sprawiedliwie, był mądrym doradcą Świętopelka, wielkiego księcia kijowskiego, dobroczyńcą biednych, a gromicielem wrogów ojczyzny. Sława jego i znaczenie wzrosły jeszcze więcej z powodu następującego wypadku.

U południowo-wschodnich granic ziem ruskich osiadł dziki naród azjatycki, zwany Polowcami. Napadali oni, pustoszyli i niszczyli ziemie ruskie ogniem i mieczem, uprowadzając z sobą dobytek i ludzi.

Włodzimierz bolał nad tem, ale zarazem pragnął pokonać nieprzyjaciół. Sprosił więc innych książąt do siebie—i wymową, a jeszcze bardziej gotowością poświęcenia

życia swojego dla dobra ojczyzny, nakłonił ich, że wspólnie z nim wyruszyli na Polowców i zupełnie ich pobili.

Naród dobrze wiedział, komu zawdzięczał zwycięstwo nad dzikimi najeźdźnikami i ocalenie kraju, to też przy każdej sposobności okazywał Włodzimierzowi wdzięczność i miłość; a kiedy Świętopelk umarł, obrano Włodzimierza wielkim księciem kijowskim.

### 119. Piotr Wielki u kowala.

Nie wstyd, lecz owszem użyteczną i szlachetną jest rzeczą trudnić się handlem, rolnictwem lub rzemiosłem.

W Chinach jest zwyczaj, że co rok na wiosnę sam cesarz orze pługiem pierwszy zagon roli. W Anglii księżęta rodziny królewskiej należą do rozmaitych przedsiębiorstw handlowych; a w Rosyi Cesarz Piotr I, zwiedzając obce kraje, uczył się rzemiosł. To też za ulepszenia, które w swem państwie wprowadził, nazwano go *Wielkim*.

Cesarz ten w podróży swojej wstępował do każdej kuźni lub huty, gdy blisko gościńca stały.

Przejeżdżając przez Istrię, odwiedził raz kuźnię Millera i chciał się nauczyć sposobu kucia dużych szyn żelaznych.

Pracował dzień cały z wielką usilnością i odkuł 18 szyn. Szambelanowie i bojarowie pomagali mu, już to znosząc węgle, już to rozdmuchując ogień.

Wieczorem Cesarz poszedł do mieszkania Millera, pochwalił jego kuźnię i spytał, ile płaci wyrobnikowi od wykucia jednej szyny.

— Trzy kopiejki, — odrzekł Miller — czyli jeden altyn

— Dobrze, więc zarobiłem 18 altynów.

Miller daje mu 18 dukatów, lecz Cesarz nie przyjął ich i rzekł:

— Zachowaj swoje dukaty; praca moja nie się nie różni od pracy innego robotnika; zapłać mi to, co płacić zwykłeś drugim.



A pokazując połatane obuwie rzekł:

— Za te pieniądze muszę nabyć inne trzewiki, bo te mi się podarły.

W samej rzeczy, za 18 altynów kupił sobie nowe obuwie, a wskazując na nie, mawiał z chlubą:

— Pracowałem na nie w pocie czoła.

## 120. Uległość Piotra Wielkiego prawu.

Piotr Wielki z wielką ścisłością przestrzegał sprawiedliwości. Pewnego razu wezwano go do magistratu miasta Rygi, dokąd go zaskarżył jeden mieszczanin ryski o to, że kawał ziemi, do niego należący, z rozkazu Monarchy oddany został komu innemu.

Piotr W., będąc sam obecnym podczas rozpoznawania skargi, uznał się za winnego wedle prawa.

Gdy sprawa była już rozstrzygnięta i wyrok magistratu, zapadły na korzyść mieszczanina, ogłoszony, wtedy Monarcha, pochwaliwszy bezstronność sędziów, każdego z nich ucałował.

— Ja sam posłuszny jestem prawu, — rzekł — i biada temu, kto się ośmieli je naruszyć!

## 121. Postrzyżyny u Piasta.

Wpółśród Kruszwicy spokojnych wieśniaków  
Żył Piast, co bogów i ludzi miłował;  
A Pan wszechmocny dla dobra Polaków  
Do wielkich celów ród jego gotował.

Dom Piasta szczupły, ale zewsząd czysty,  
Za Gopłem małą pasiekę posiadał;  
Cienił lepiankę jawor wiekuisty,  
A na nim bocian gniazdo swe zakładał.

Znaną sąsiadom była naokoło  
I dobroć Piasta, i gościnna hojność;  
Znajdował (lemiesz prowadząc wesoło)  
W pracy swą żywność, w sumieniu spokojność.

Dzień nadszedł miły dla skromnej rodziny,  
W którym, jak pogan prawo nakazało,  
Pierworodnego syna postrzyżyny  
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.

Matka Rzepicha i nasz Piast sędziwy  
Od rana całym trudnią się obchodem,  
Stół zastawiają tłustemi mięsami  
I duże czary napęlniają miodem.

W gronie przyjaciół zaczęły się gody:  
Piewszemi dary już uczczone bogi;  
Gdy dwóch młodzieńców przecudnej urody  
Wchodzi w gościnne biesiadników progi.

Piast i Rzepicha z czołem pochylonem  
Proszą, by miejsca chcieli zasiąść swoje;  
Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym  
Mnoży się pokarm i słodkie napoje.

Po uczcie świetni zniknęli młodzieńcy,  
A lud zgodnemi zawołał głosami:  
«Piast miły bogom! pocóż czekać więcej?  
Niech będzie królem, rządzi Polakami!»

*Julian Ursyn Niemcewicz.*

## 122. Wyniesienie Piasta.

1. — W pogańskich jeszcze czasach, za panowania księcia Popiela II, żył w Kruszwicy nad jeziorem Gopłem, cichy i pocziwy rolnik, a zarazem kołodziej, imieniem Piast. Żona jego Rzepicha, była również niewiastą bogobojną i cnotliwą. Oboje odznaczeni się dobrem sercem, sprawiedliwością, zamiłowaniem pracy i gościnnością.

Zdarzyło się, iż bogaty i dumny książę Popiel i ubogi a skromny kmiotek, Piast, równocześnie sprawiali synom swoim postrzyżyny.

Był to starodawny zwyczaj, iż dzieciom w siódmym roku życia po raz pierwszy przystrzygano włosy, przy czem nadawano im imiona, jak u nas na chrzcie świętym.



Otóż w dniu tym wesoło i gwarno było w domu Piasta. Sprószono krewnych i sąsiadów, a gospodarz niczego nie żałował, aby ugościć zebranych.

Wtém weszli do chaty jacyś dwaj podróżni, których późniejsze podanie aniołami zowie. Przybywszy do Kruszwicy, udali się oni najpierw na dwór księcia Popiela; ale niegościnnie i nieużyty książę zamknął przed nimi swe serce i drzwi domu swego. Poszli więc podróżni pod ubogą, ale gościnną strzechę Piasta, gdzie ich otwartem przyjęto sercem i posadzono między biesiadującymi gośćmi.

Rozpoczęła się uczta. Wnoszono misy jadła i dzbany miodu; ale szczupłe zapasy ubogiego Piasta nie mogły wystarczyć, ażeby uraczyć wszystkich tak, jak przystało na tak wielką uroczystość.

Spostrzegli to dwaj pielgrzymi. Przez wdzięczność tedy za gościnne przyjęcie, jak niesie podanie, uczynili cud: oto pomnożyli pokarmy i napoje tak, iż wszystkiego było pod dostatkiem.

2. — Kiedy podczas biesiady wszyscy kolejno postrzygali włosy syna Piastowego, uczynili to i owi podróżni, poczem nadano mu imię Ziemowit, które w ówczesnej mowie znaczyło tyle, co «podbijający ziemię». Nadaniem tego imienia podróżni niejako przepowiedzieli synowi Piasta przyszłe jego wywyższenie.<sup>1)</sup>

Ale i Piastowi samemu oznajmili, że on sam i po nim ród jego będzie w Polsce długo panował, a kraj cały pod rządem książąt i królów z jego rodu stanie w rzędzie pierwszorzędných mocarstw.

Tak się stało rzeczywiście.

Niebawem zginął sromotnie książę Popiel II, a zebrani na wiecu Polacy wynieśli na tron książęcy znanego im z dobrego serca i z wielu cnót Piasta, o którym słusznie sądzili, że kto umie dobrze gospodarzyć na małym, ten i na wielkim położy.

<sup>1)</sup> Ziemowit był też pierwszym królem polskim

Długo namyślał się i wahał pocziwy kmiotek kruszwicki, czy mu wypada przyjąć tak wielki zaszczyt, ale zarazem i tak ciężki obowiązek; wołałby był bowiem zostać przy swym pługu i roli, przy pasiece i rzemiośle, niż rządzić szerokim krajem i kierować losami narodu. Wreszcie, ulegając woli współziomków, przyjął rządy kraju; ale rozkazał pług swój postawić przy swem krześle panującego, przyczem odezwał się mniej więcej w te słowa:

«Ziomkowie moi, kiedy mam panować,  
Gdy wy i same nieba tak zrzędziły,  
Zaklinam, chciejcie rolnictwo szanować:  
W mieczu i w pługu są Polaków siły!»

Odtąd Piast długo panował w Polsce. I nie zawiodł się naród na jego wyborze, bo szczerze starał się o dobro swego kraju. Naród, wdzięczny za tę troskliwość, nie tylko wybierał i później wielu książąt i królów z jego rodu, póki ród ten istniał, ale nawet i wtedy, kiedy z innych domów książęcych wybierano królów, króla — Polaka zwano zawsze Piastem.

### 123. Wprowadzenie chrześcijaństwa do Polski.

W połowie tego długiego okresu czasu, który nas dzieli od przyjścia na świat Zbawiciela, Polacy, będąc przedtem długo bałwochwalcami, przyjęli wiarę chrześcijańską. Panował podówczas w Polsce król Mieczysław I. Kłaniał się on i cały naród polski bałwanom pogańskim.

Mieczysław miał poślubić księżniczkę czeską, Dąbrówkę; ta jednak pierwszej za niego wyjść nie chciała, póki on nie przyjmie wiary chrześcijańskiej i póki nie usunie posągów bożków.

Rozkazał więc król palić bałwany z drzewa zrobione, kamienne zaś wrzucać do wody lub kruszyć.

Usłuchano rozkazu króla i znikły w całej Polsce owe mniemane bożki.

Dziś nawet nie wiedzianoby, jak one wyglądały, gdyby ich znowu przypadkiem nie odnajdywano. Tam bowiem,



gdzie ich nie spalono lub nie połamano, lecz w ziemi zakopano, lub do wody wrzucono, odnaleziono je później, orząc lub kopiąc ziemię. Miejscami też, gdzie woda opadła, znajdowano na dnie te kamienne bałwany, wrzucone tam przed wiekami. Wszystko to później wydobywano i chowano na pamiątkę, jako rzeczy ciekawe. Takiego z kamienia urobionego bożka, znalezione go w rzece Zbruczu, oglądać można w Krakowie. Jest to słup czworokątny, rzeźbiony niezgrabnie, z czterema u góry twarzami, patrzącemi naraz niby w cztery strony świata. Stąd nazwa jego *Światowid*, to jest widzący świat cały.

Kiedy Mieczysław, poślubiając Dąbrówkę, przyjął wiarę chrześcijańską i bałwany poniszczył, w miejscu ich stały krzyże, na znak nowej wiary w Chrystusa, który za nas umarł na krzyżu.

Odtąd Polacy przestali być bałwochwalcami czyli poganami, a zostali gorliwymi chrześcijanami, pokochali bardzo nową naukę Chrystusa i za nią nieraz się bili.

*Stanisław Żarański.*

## 124. Chrobry.

Ten, co najpierwszy ujrzał światło wiary,  
Niosąc zbawienie ludowi i sobie,  
Syt lat i chwały, nasz Mieczysław stary  
Legł w Piastów grobie.

Wychowan w dzielnych wojowników gronie,  
Straszny sąsiadom, dla poddanych dobry,  
Koroną przodków okrył młode skronie  
Bolesław Chrobry.

Ledwie jął rządzić, alie Czech zdradliwy  
Puszcza swe hordy po Lecha krainie,  
Zamienia grody i obfite niwy  
W głucho pustynie.

Jak lew zraniony skrwawione źrenice  
Tocząc, rzuca się na zwierzę zuchwałe,  
Tak Chrobry walczy, bierze Czech stolicę  
I państwo całe.

Dzielny bohater, chciwy dalszej sławy,  
Kiedy ukarał tego, co przewinił,  
Odebrał Kraków i żyzne Morawy  
Swemi uczynił.

Gdy spoczął, sławny dzieły tak świetnemi,  
Przyjmuje w Gnieźnie Ottona cesarza,  
Dziwi przepychem i dary hojnemi  
Wszystkich obdarza.

Był to król dobry, w boju tylko srogi,  
Był sprawiedliwy i karał swawole;  
Pod nim bezpiecznie i kmiotek ubogi  
Orał swe pole.

Nie dziw, że kiedy spoczął w ojców grobie,  
Zdziaławszy tyle dla szczęścia i chwały,  
Nieutulony i w ciężkiej żałobie  
Płakał lud cały

*Julian Ursyn Niemcewicz.*

## 125. Leszek Biały i Goworek.

Po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego panować miał w Krakowie syn jego, Leszek, którego od jasnych włosów nazwano Białym. Ale że Leszek był jeszcze młodym chłopcem i zostawał pod opieką matki swej, Heleny, piastowic stryj jego, Mieczysław, książę Wielkopolski, podstępem przywłaszczył sobie koronę i zajął Kraków.

Matka Leszka odjechała do dziedzicznej posiadłości syna, do Sandomierza, aby się zająć wychowaniem młodego księcia. Dopomagał jej w tem wojewoda sandomierski, Goworek, który niegdyś służył wiernie królowi Kazimierzowi, a teraz, widząc syna jego w opuszczeniu, otoczył go prawdziwie ojcowską opieką. Pod troskliwym dachem zacnego starca Leszek wzrastał w siły i cnoty; nauczył się kochać Boga i ojczyznę, a nadewszystko odznaczał się wielką sprawiedliwością.



Sława cnót młodego księcia doszła i do Krakowa, gdzie lud był niezadowolony z rządów Mieczysława. A że właśnie książę ten zakończył życie, więc wojewoda krakowski, Mikołaj, który rej wodził w całej ziemi krakowskiej, wyprawił posłów do Leszka. Przybyli oni do Sandomierza, ofiarowując tron Leszkowi, jednakże pod warunkiem, że oddali od siebie swego doradcę, Goworka.

Przykre było położenie młodego księcia: królowa z niepokojem patrzyła na syna, nie chcąc mu swego zdania narzucać, a on stał zamyślony, ważąc w głębi duszy jakiś śmiały zamiar. Wtedy zbliżył się do księcia stary Goworek i tak do niego przemówił:

— Książę! usłuchaj głosu twojego ludu. Niech ojczyzna nie cierpi na tem, że mnie zawiść wrogów prześladuje. Jam stary i władzy nie cheiwy; powrócę pod rodzinną strzechę, zadowolony, że ty odzyskasz wydartą ci koronę. A jeżeli mi Bóg dozwoli z daleka patrzeć na twe sprawiedliwe rządy i na szczęście ojczyzny, cieszyć się będę i wszystkie krzywdy zniosę cierpliwie.

Zaledwie Goworek wyrzekł te słowa, gdy Leszek podbiegł ku niemu, rzucił mu się na szyję i zawołał:

— O, nie! nie chcę, by ten, co mnie wspierał, gdym przez wszystkich był opuszczony, przeze mnie krzywdę ponosił choćby najmniejszą. Nie chcę władzy królewskiej! Nad berło i koronę wyżej cenię takiego, jak ty, przyjaciela!

A potem, obracając się do posłów, rzekł:

— Wracajcie z Bogiem! Niech Krakowianie szukają sobie innego księcia; nie mogę ufać ludziom, którzy mi chcą wydrzeć najlepszego przyjaciela!

Szlachetna odpowiedź księcia wielkie w Krakowie sprawiła wrażenie. Wprawdzie na razie Krakowianie wezwali na tron Władysława, syna Mieczysławowego, ale gdy ten wkrótce potem sam ustąpił, powołali powtórnie Leszka, nie żądając już od niego tak ciężkiej ofiary.

## 126. Poseł Lacki.

Na wysokim zasiadł tronie  
O poręczach z białej kości,  
Dumny Henryk w pysznem gronie  
Swej cesarskiej wielmożności.

Już zajęli miejsca swoje  
I biskupi i pisarze;  
Lecz zachmurzy Poseł Lacki  
Te niemieckie butne twarze!...

Acz z spokojem w progi wchodzi,  
Dumnym wzrokiem orszak mierzy,  
Szabli imąc się, łuskową  
Rękawicę w dłoni dzierży.

A na palcu drogi pierścień;  
Aż się oczy Niemcom żarzą  
I już liczą wartość jego,  
Na łakomstwa wagach ważą.

— Pokój z tym, kto trzyma zgodę,  
Kto braterskie przyjmie ramię,  
Z tym nietylko bój powściągnie,  
Lecz się chlebem Lach rozłamię.

A kto nie, kto złości chowa,  
Kto się jedna z jego wrogi,  
Rękawicę mu łuskową  
Rzuci rycerz Lach pod nogi! —

Tak spełniwszy swe poselstwo,  
Rycerz polski wpośród stanie,  
I położy dłoń na zbroję,  
Wzrok w niemieckim utkwi panie.

Cesarz zasię przewielmożny,  
Zakręciwszy w kołtun brodę,  
Rzeczę pysznie: — Nie na pokój,  
A na wojnę męża wiodę.

A bogactwa mi otworzą  
Wszystkie śpichrze Europy.  
I najtwardsze bramy pękną  
I pod moje padną stopy.



Spójrz! — i skinie na swe knechty,  
By otwarły skarbów wieka.  
Alić próżno podziwienia  
Z ust polskiego pana czeka...

Posel Lacki nie rzekł słowa,  
Jedno gdy mu wróg urąga,  
Przezlocisty swój rodzinny  
Przed cesarzem pierścień ściaga,

I podnosi rękę w górę,  
I do skrzyni pierścień miota,  
Owo rzekąc: — niechże złoto  
Domieszywa się do złota.

Co zbyteczne Lechii starej,  
Chciwość wasza niech zabierze,  
Lachom, niech z ojczystych żelaz  
Ukowają miecz płatnerze!

Oto, Niemcy, wam wyzwanie! —  
Rękawica z brzękiem padła,  
Aż połowie cnych Germanów  
Z trwogi w sercu krew się zsiadła.

*Teofil Lenartowicz.*

## 127. H a b d a n k.

Za czasów króla Bolesława Krzywoustego przyszło do wojny między Polakami i Niemcami. Z jednej strony zbierał cesarz niemiecki wielkie wojsko, z drugiej gromadził Bolesław waleczne rycerstwo polskie.

Gdy już mieli iść przeciwko sobie, pomyślał Bolesław, że byłoby lepiej nie przelewać krwi ludzkiej i pogodzić się z cesarzem bez wojny; przywołał więc jednego z rycerzy, który się nazywał Skarbek i rzekł do niego:

— Jedź do cesarza niemieckiego i powiedz mu, iż lepiej pogodzić się, niż pustoszyć kraj i przelewać krew rycerzy. Ja się jego wojsk nie lękam, lecz wolę pokój, niż wojnę. Niech ustąpi, a będzie miał pokój.

Skarbek pośpieszył do cesarza i powtórzył słowa swojego pana. Ale cesarz spojrział dumnie na posła i odparł:

— Nie chce twój pan przystać na moje żądanie, więc niema z nim pokoju. Gdy was pobije, będziecie mnie słuchali.

— Wszystko jest w ręku Boga — rzekł Skarbek. — On może dać zwycięstwo tak wam, jak i nam.

Na te słowa kazał cesarz otworzyć wielką skrzynię, w której było pełno złota i drogich kamieni, a wskazując na nią, rzekł do polskiego posła:

— Patrz! Chyba mam za co utrzymać żołnierzy i pobić twojego pana?

Słyszając to, Skarbek zdjął złoty pierścień z palca, rzucił go do otwartej skrzyni i zawołał:

— Idź złoto do złota! My Polacy więcej się w ostrem żelazie kochamy.

Cesarza to zdziwiło i odpowiedział po niemiecku «hab' Dank», to znaczy: dziękuję.

Skarbek wrócił do Bolesława i opowiedział mu wszystko.

Rozpoczęła się wojna, która długo trwała; nareszcie przyszło do ostatecznej bitwy pod miastem Wrocławiem. I tu dopiero pokazało się, że lepsze żelazo od złota, gdyż Bolesław pobił niemieckie wojska na głowę.

Na pamiątkę tej wojny i rozmowy między polskim posłem a cesarzem, nadał król przydomek Habdank całej rodzinie Skarbków, i dotąd rodzina ta przechowuje ten pamiątkowy przydomek.

## 128. Kazimierz Wielki.

Przez trzy wieki z męstwa znany  
W męstwie Polak miał swe cnoty,  
Na koniu, burką odziany,  
Znosił głód i przykre słoty;  
Ugorem stały obszary —  
On bił Niemce i Tatary.

Wtem idą rozkazy nowe:  
Król zwołuje do Wislicy  
Polaków plemię marsowe;



Oni w zbrojach i przyłbicy,  
Sądząc, że wojować mieli,  
Licznemi hufcy stanęli.

Kazimierz rzekł im: — Nie boju  
Dziś od was żądam, Polacy!  
Czas, byście żyli w spokoju,  
I rycerze i wieśniacy;  
Niech kraje w boju zajęte  
Uszczęśliwią prawa święte.

Nie dość obce ludy gromić,  
Czas być też szczęśliwym w domu,  
Zuchwałych ludzi poskromić,  
By nie szkodzili nikomu;  
Gdzie sprawiedliwość surowa,  
Nie zapłaczcie biedna wdowa!...

Jak w dzień majowej pogody,  
Gdy deszcz ciepły przejmie rolę,  
Budząc uśpione zarody,  
Żyzne zazieleni pole:  
Pod rządem, co mądrość dała,  
Zakwitnęła Polska cała.

Tłum obcych do kraju zaziera,  
Korzysta z lubej swobody;  
Puste ziemie pług rozdziera,  
Wspaniałe wznoszą się grody,  
Szereg twierdz wnet granic strzeże,  
Obronne mury i wieże.

Nieraz król po włościach chodził  
I nieraz z kmieciem rozmawiał;  
Wspierał w pracach, spory godził,  
Nagradzał, w błędach poprawiał;  
Najwyższą mu chwałę przyznano,  
Bo go «Królem chłopków» zwano.

Kazimierz w wieku sędziwym  
Doznał prac swoich nagrody;  
Pod nim naród był szczęśliwym,  
Żyzne pola, pyszne grody;  
Na urzędach ludzie zdadni:  
Takim był z Piastów ostatni!

*Julian Ursyn Niemcewicz.*

## 129. Król chłopków.

1. Słońce już zaszło, ludzie z pola wracali i ku spoczynkowi się mieli, gwar we wsi ustawał, gdy jakiś podróżny, bardzo znużony, siedł przez wieś. Było już późno, a on chodził od chaty do chaty, stukał od okna do okna, ode drzwi do drzwi, prosząc o przytułek na noc. A gdzie tylko zapukał, odpowiadano mu:

— Niema u nas miejsca, przyjacielu; niech Pan Bóg prowadzi gdzieindziej.

Podróżny chciał już wyjść ze wsi, gdy ujrzał na końcu jej chatę, w której się jeszcze świeciło. Zbliżył się do niej i lekko zapukał do drzwi. Wyszedł ubogi wieśniak i zapytał:

— Czegoż to potrzeba, mój przyjacielu?

— Umieram prawie z głodu i zmęczenia — odpowiedział podróżny; — czybyście mię, mój miły człowieku, nie chcieli przyjąć na noc?

— Chodźcie, — odrzekł wieśniak, wprowadzając podróżnego do izby. — Bardzo wam tu będzie niewygodnie, ale nie będziecie przynajmniej ziębli i zjecie z nami, co Bóg dał.

Podróżny uściśnął rękę gospodarzowi i powiedział:

— Niech wam Bóg wynagrodzi, że ubogiemu dajecie przytułek. Chodziłem od chaty do chaty, prosząc o litość, ale wszędzie zamknęli drzwi przede mną.

Wieśniak wprowadził podróżnego do izby, w której było siedmioro dzieci. Potem wyszedł, a po chwili przyniósł czarnego chleba i miodu i rzekł:

— Oto wszystko, co mamy w domu; posilcie się z moimi starszemi dziećmi, a ja wyjdę na chwilę.

Po tych słowach poszedł kmiołek do komory, a wkrótce wrócił uradowany, niosąc na ręku maleńkie dzieciątko.

— Oto ósme! — zawołał. — Niech je Bóg chowa, tak zdrowo, jak tamte.



Podróżny wziął dziecko na rękę i rzekł:

— Wiercie mi, gospodarzu, to dziecię wniesie w dom wasz szczęście i dostatek.

Wieśniak podziękował za życzenie i odniósł dzieciątko do matki; potem przyniósł wiązkę słomy do izby, przygotował posłanie na ziemi i prosił podróżnego, aby się spać położył i odpoczął.

Skoro zaświtało, obudził się wieśniak. Podróżny wstał także, zjadł ubogie śniadanie, a żegnając się z cnotliwym kmieciem, tak się odezwał do niego:

— Miły przyjacielu, ja powracam do miasta. Znam tam pewnego dobrego człowieka; jeżeli chcecie, poproszę go, aby trzymał do chrztu to nowonarodzone dziecię.

— Niech wam Pan Bóg wynagrodzi wasze dobre chęci, — odpowiedział kmieć — ale któżby tam z miasta chciał przyjść do mojej nędznej chaty?

— Wstrzymajcie się z chrztem tylko do południa, a ja wam ręczę, że ojciec chrzestny przybędzie.

Wieśniak przyrzekł, że poczeka.

2. Już jednak nadeszło południe, a chrzestnego z miasta nie widać. Kmieć zwątpił o obietnicy podróżnego.

Wtem dochodzi go tentent koni i turkot kół.

Wyszedł przed chatę i widzi wiele wspaniałych wozów i ludzi bogato ubranych, jadących drogą.

Nagle wszyscy zajechali przed jego chatę.

Wieśniak przeląkł się; stał i patrzył, co będzie dalej. Wtem w pierwszym powozie widzi tego samego podróżnego, którego w dniu poprzedzającym przyjął do siebie na nocleg. Ale nie był to już biedak w podartym odzieniu; szaty na nim świeciły się od złota, a za nim stało pełno dworzan, strojno ubranych.

Wieśniak domyślił się, że to był sam król Kazimierz, który miał ten zwyczaj, że się często po chłopsku przebierał i tak niepoznany chodził między ludem swoim, aby się przekonać osobiście, co naród myśli o jego rządach i jak się powodzi ludowi jego.

Kmieć stał jak wryty i słowa przemówić nie mógł. Ale dobrotliwy król rzekł do niego łagodnie:

— Tyś mnie gościnnie przyjął w ubogi dom swój, nie wiedząc, że ja królem jestem; za to obiecałem ci przyprowadzić ojca chrzestnego dla dziecięcia. Dotrzymuję słowa: daj mi to dziecię i jedź ze mną do kościoła.

Kmieć patrzył na króla z bojaźnią i radością; bał się wsiąść do wspaniałego powozu; w końcu uległ rozkazowi króla i wsiadł.

W drodze rzekł monarcha do niego:

— Wczoraj zrobiłeś to, co religia i ludzkość nakazuje; dziś przychodzę do ciebie jako panujący król, aby nagrodzić twoją poczeiwość i gościnność. Nie chcę, abyś porzucił swój stan, któremu zaszczyt czynisz; ale dam ci piękne bydło, ogród i dom wygodny, a to dziecię, które się przy mnie narodziło, biorę pod swoją opiekę.

Jakoż król w samej rzeczy dotrzymał obietnicy: opiekował się chłopcem starannie i posyłał go do szkół. Gdy chłopiec wyrósł, został księdzem; był sławnym kaznodzieją i dostojnikiem Kościoła; nazywał się Trzaska.

### 130. Królowa Jadwiga.

W Krakowie, na przedmieściu zwanem *Piasek*, budowano kościół na cześć Najświętszej Panny

Jeden z mularzy pracował, co sił starczyło, dźwigał ciężkie kamienie, narzucał je wapnem i ani chwili nie spoczął. Lecz nie był tak wesół, jak inni; twarz jego była zachmurzona smutkiem i boleścią, a zamiast śpiewać ochoczo, jak jego towarzysze, ocierał kiedy niekiedy łzy z oczu.

Z zamku królewskiego wyszła królowa Jadwiga z mężem swoim, królem Władysławem Jagiełłą, i liczną drużyną dworzan. Wszyscy szli prosto na Piasek przypatryć się budowie kościoła. Spojrzawszy na robotników,



królowa zauważyła tego mularza. Zapytała go zatem do-  
brotliwie o powód smutku.

— Miłościwa Pani!—rzekł mularz, pochylając się do stóp  
królowej—żona moja leży chora w gorączce. O drobnych  
dzieciach niema kto pamiętać: chodzą głodne, bose i ob-  
darte. Praca moja nie wystarcza na to, aby żonę leczyć,  
dzieci nakarmić i ubrać...

Nie mógł dalej mówić, a łzy spływały po jego twarzy.  
Serce się ścisnęło królowej Jadwidze, gdy to usłyszała.  
Wsparała nogę na leżącym obok kamieniu, a schyliwszy  
się, odpięła od trzewika kosztowną sprzączkę i dała  
biednemu mularzowi, mówiąc:

— Nie mam z sobą pieniędzy, lecz weź ten klejnot,  
sprzedaj go, a niech on przywróci zdrowie twej żonie,  
odzieje i nakarmi twe dzieci.

Na ten widok król i dworzanie dorzucili także hojne  
datki i biedny rzemieślnik stał się w jednej chwili boga-  
tym. Upadł do nóg swoim dobrodziejom, dziękując ze  
łzami.

Kiedy odeszli, spostrzegł na kamieniu, na którym Ja-  
dwiga nogę swą oparła, wyraźny ślad jej stopy, albo-  
wiem kamień ten był przed chwilą wapnem nałożony.  
Chwycił więc za młot i dłuto, i na pamiątkę szczęśliwej  
godziny, wykuł w kamieniu ślad stopy litościwej Pani.

Do dziś dnia w murze kościoła Panny Maryi na Pia-  
sku widzieć można ten wykuty ślad. Zowią go *stopką*  
*Jadwigi*.

### 131. M y ś l i.

1. Nie dość na tem, że przestaniemy źle czynić, jeśli nie  
poczniemy dobrze czynić.
2. Żwawo, żwawo do pracy, przyjaciele młodzi,  
Chwila goni za chwilą, czas szybko uchodzi.  
A kto wiernie dopełnia powinności swojej,  
Wesół czeka wieczora, śmierci się nie boi.

*Stanisław Jachowicz.*

### 132. O Floryanie Szarym.

Szumia lasy, polskie lasy, Krzyżak lasem wali,  
Ciężką szablą pobrzękuje, ludzkie sioła pali;  
Zmyka zając, podrygując i słuchami strzyże:  
Oj, nieboże, siedźże w norze, boć tam Krzyżak lizie.

Szumia lasy, polskie lasy, nasi lasem gonia,  
Podzwaniają szabelkami i w podkówki dzwonia;  
Leci górą gołabeczek, prosi Pana Boga:  
«Dajże, Boże, im zwycięstwo, Panienczko droga!»

Ot, jak zwarło się to bractwo, mój Ty mocny Boże!  
Wrogi lecą jak brytany spuszczone z obroże —  
Aż tu nasi jeno krzykną: «Jezus!...» święte słowo.  
I śmignęli, aż się onym zrobiło niezdrowo.

Król Łokietek naszych wiedzie, hej, wojuje setnie,  
Kędy Krzyżak się nawinie, łeb mu duchem zetnie,  
A jak ci już większą siłą zwali się hołota,  
To ich człowiek tak nasiecze, het na przygarść błota.

Tyle brzęku! tyle szczęku! wali człek na człka,  
A ten tego, a ten tego w łeb szabliskiem sieka;  
Strach na wrogi pada srogi, jeden, drugi tchórzy,  
Aż i reszta nogi za pas, zmyka, aż się kurzy.

Leżą Niemce kute w zbroje, leżą polskie chłopcy,  
Oj, nieżywe, jak po żniwie na ściernisku snopy.

Jedzie sobie król Łokietek między trupy w pole:  
Tyle śmierci, mocny Boże!—aż go w serce kole,  
Patrzy, aż ci jeden leży, brzuch ma rozporany,  
Ręką sobie wewnątrz wpycha do okropnej rany.

Oj, zasmucił się król wielce, przystanął powoli:  
— Hej, mój miły! toć ta rana pewno srodze boli?

— Oj, nie bolić ona, królu, nie boli tak srodze,  
Jak zły sąsiad, co się z onym het po sądach wodzę.  
— Jak się zowiesz?

— Zwię się Szary.

— Weźcie go na mary

I zanieście go do mego namiotu złotego.  
Bądźże zdrowy, mój bojowy, toć się znajdzie rada,  
Żeć cię może ja uwolnię od złego sąsiada.



Siedzi sobie sroka, siedzi na wierzbini starej,  
Idzie w goście, choć do króla, zdrowy Floryan Szary.  
Król przyjmuje, obejmuje, sadowi na ławy,  
Każe przynieść flaszę wina i królewskiej strawy.

Razem wina się napili, a król rzecze stary:  
— Setnieś rzezał wrogi nasze, mój Floryanie Szary!  
Toć ci daję do twej tarczy one koźle rogi  
I trzy włócznie na pamiątkę, żeś tak rzezał wrogi.

Znowu wina się napili, w szklanki uderzyli,  
A król rzecze:—Jestci rada, wolnyś od sąsiada:  
Weźże sobie oną wioskę, kędyś we krwi brodził,  
A nie będziesz się już więcej ze sąsiadem wodził.

Siedzi sobie sroka, siedzi na wierzbini starej,  
Z królewskiego idzie dworu wesół Floryan Szary.

A i ja tam w on czas byłem, wino z nimi piłem,  
Aż się w gębie nie zmieściło, tyle tego było.

*Grześ z Mogiły.*

### 133. Władysław Jagiełło. *X*

Piękny przykład enót daje nam król Władysław Jagiełło. Urazy domowe szły u niego dziwnie prędko w niepamięć; jeżeli zaś komu wyrządził zniewagę, to starał się przebłagać go i wynagrodzić. Co do jego dobroci, miłosierdzia i rzadkiej ludzkości, żaden chwalec nie mógł mu przyznać więcej, niż jego własni nieprzyjaciele. Mówią oni, że Jagielle jak łatwo przychodziło nagradzać, tak trudno—karać; stąd najwinniejsi otrzymywali przebaczenie, a zwyciężeni pewni byli łaski.

Widok każdego szlachetnego czynu rozgrzewał mu serce, pobudzał do radości i otwierał rękę do nagród. Kto raz zacnym czynem zwrócił na siebie jego oczy, ten już na długie lata zaskarbił sobie łaskę króla; tylko uraz zapominał i łatwo je przebaczał.

W wieku, kiedy nietylko wszyscy królowie, ale nawet lada zamożny mieszkanić zbytkował w strojach, Jagieł-

ło chodził w prostej odzieży, nie cierpiał złota na sukni. Za to prawdziwie złotem było jego serce. Nie było też pobożniejszego księcia nad niego; wśród bitwy nieraz na klęczkach błagał Pana nad pany. Wojenne czyny jego łączyły się zwykle z zasługami religijnymi: fundował kościoły i hojnie wspomagał biednych.

### 134. Dwa miecze.

1.—Stare przysłowie powiada: «Złem są głód, mór, wojna; ale gorszem źli sąsiedzi». O prawdziwości tego zdania najlepiej przekonała się Polska, która pozwoliła Krzyżakom osiedlić się w najbliższym sąsiedztwie, a potem nieraz od nich ciężkich krzywd doznawała. Polacy, oburzeni wreszcie na niewdzięcznych mnichów, rozpoczęli długoletnią z nimi wojnę. Zrazu prowadzili ją ze zmienem szczęściem, ale kiedy połączyli się z Litwą, równie przez Krzyżaków zagrożoną, postanowili wszystkie siły wyteżyć, ażeby się obronić przeciwko najazdom niegodziwych sąsiadów.

Z obu stron gotowano się do tej wojny z największą starannością. Wreszcie w r. 1410 na polach pod Grunwaldem stanęły oba wojska, liczbą prawie równe. Wojsko polskie i litewskie ukryło się w lesie, oczekując dogodnej chwili do rozpoczęcia walki; tylko mały jego oddział stanął pod lasem. Krzyżacy zajęli stanowisko znacznie dogodniejsze, z lekceważeniem patrząc na garstkę przeciwników.

Dzień po dniu upływał, a żadna strona nie śmiała rozpocząć bitwy. Tymczasem upał lipcowy coraz więcej dokuczał Krzyżakom, zwłaszcza, że na otwartych polach i wzgórzach nigdy nie mieli cienia. Postanowili tedy wyzwać Polaków do walki.

W dnia 15 lipca Władysław Jagiełło modlił się jeszcze w kaplicy, gdy mu oznajmiono przybycie dwóch posłów krzyżackich. Pobożny król mniemał, iż wysłańcy wielkiego mistrza przynoszą warunki zgody. Dlatego, chcąc



nadać tej chwili większą uroczystość, wezwał do swego boku księcia Witolda, brata swego, najdostojniejszych panów polskich i litewskich, tudzież znaczną część przybocznej swej straży.

2.—Wprowadzeni posłowie tak przemówili do króla:

— W imieniu wielkiego mistrza, wielkiego marszałka i całej braci zakonnej, przynosimy tobie, królu, i tobie, książę Witoldzie, te oto dwa miecze nagie, jako zachętę i pomoc do boju, który dziś stoczyć macie. Pozwalamy wam nawet wybrać sobie miejsce do bitwy, dlatego nie kryjcie się i nie strońcie od walki, której uniknąć nie możecie.

Łzy zabłysły w oczach króla, gdy usłyszał harde słowa krzyżackich posłańców. Atoli hamując się, tak odpowiedział za siebie i za Witolda:

— Pomocy nie szukamy u nikogo innego, tylko u Pana Boga. Mieczów mamy dosyć, lecz i te, które przynosicie, przydadzą się nam na karki dumnych. Miejsca bitwy oznaczyć nie możemy, gdyż Bóg jedynie zna i wyznacza plac boju. On go wam i nam już oznaczył.

Potem wziął król oba miecze z rąk posłów i oddał je panom stojącym przy nim.

Bóg nagrodził pokorę pobożnego króla.

Natychmiast po odprawieniu posłów nakazano wojakom, ażeby za pierwszym odgłosem trąb gotowe były do bitwy. Wkrótce dano znak, zagrały trąby i całe wojsko zanuciło pieśń «Bogarodzica».

Niemcy uderzyli z niezmierną gwałtownością, a zarazem zagrzmiały rozstawione po górach działa. Na kilka mil wokoło rozległ się odgłos pierwszego szturmu. Z początku zachwiały się szeregi naszych, lecz wnet uzyskali nad wrogiem przewagę i odnieśli najświetniejsze zwycięstwo, którem Pan Bóg dumę krzyżacką upokorzył. Poległo nieprzyjaciół czterdzieści tysięcy, a pomiędzy nimi sam wielki mistrz i najprzedniejsi z zakonnych rycerzów; reszta poszła w rozsypkę lub dostała się do niewoli. Nasi

zdobyli 51 chorągwi i cały obóz, a z nim ogromne skarby w złocie i broni.

Od tego dnia nigdy już Krzyżacy do dawnej swej świetności nie powrócili.

według *Karola Szajnoch*.

### 135. Śmierć Czarnieckiego.

W Sokołówce, przed chatą u proga,  
Pachołkowie i ludu czerń mnoga;  
Stoi stępak u żłobu powolny,  
A w świetlicy leży hetman polny.

Hetman głowę pochylił na łożu,  
Krzepkiem ciałem już władnąć nie może,  
Złożył ręce jakby do modlitwy;  
Ale wojak ciągle marzył bitwy.

A przy świetle gromnicy ksiądz cichy,  
Świętym krzyżem maże ziemskie grzechy,  
Prosi Boga w pokorze i skrusze,  
By do rajy przyjął starca duszę;

I lud słowa powtarza kapłana:  
— «Sługę Twego—zbaw, Panie, Stefana!»

Zarzął stępak u żłobu powolny:  
Wzniósł na łożu głowę hetman polny,  
Witał księdza—jak ze snu powstały,  
I znów słuchał, jak rży jego biały.

— «Wprowadźcie go!»—skinął na husarzy.  
I wnet stępak po izbie się waży,  
Na pierś starca kładzie łeb swój suchy  
(A obadwaj biali jak dwa duchy).

Śmiał się hetman, jak dzieciak szczęśliwy,  
Tuląc ręce w towarzysza grzywy:  
— «O, mój biały!...» A biały spokojnie  
Zda się, z panem rozmawiał o wojnie;  
Raz po razu to uszami ruszy,  
Aż starcowi jakoś tęskno w duszy.



Potem opadł na łożę bez siły.  
Znowu rzesze pacierze mówiły,  
Znowu stępak u żłobu powolny,  
A w świetlicy leży hetman polny...

Już Czarniecki nie daje rozkazów;  
Twardych z ust swych nie ciska wyrazów,  
Ani rżeniem rozbudzi go siwy:  
Bo wódz wielki już leży nieżywy!

A twarz jego szlachetna, uczciwa,  
Jeszcze jakimś postrachem przeszywa;  
Jeszcze z śmiercią nawet walczy samą  
I szeroką odzywa się szramą:

«Jam nie z soli, ani z roli,  
Tylko z tego, co mnie bóli!»

*Antoni Czajkowski.*

### 136. Z życia króla Jana.

Jan Sobieski jeszcze w pierwszych latach swego zawodu wojskowego za okazane męstwo otrzymał w nagrodę starostwo Jaworowskie w dzisiejszej Galicyi.

Stało się ono ulubioną jego siedzibą.

Skoro został królem, zjeżdżał często do Jaworowa, aby wypocząć po trudach panowania. Wtedy to włościanie z całego starostwa przedstawiali mu swoje prośby i skargi, a król rozsądzał każdą rzecz sprawiedliwie i nieraz spełniał żądania wieśniaków.

Wkrótce po powrocie ze sławnej wyprawy wiedeńskiej udał się Sobieski ze swoim dworem do ulubionego Jaworowa. Na wiadomość o przybyciu króla zebrała się cała wiejska gromada z wójtem na czele, oraz z orszakiem weselnym, gdyż właśnie w dniu tym pewien młody włościanin z rażąą dziewoją ślub brali.

Wójt jaworowski ofiarował królowi chleb, pług i sześć siwych wołów, kończąc swą przemowę temi słowy: — A żeście podobno, miłościwy królu, panie nasz, na wojnie z Turkiem niejedną stratę ponieśli, przeto bez waszej

podążył za nim. Rogacz stanął przed niziutką jakąś chatą i uderzył rogiem o drzwi.

Z izdebki, łuczywem oświetlonej, wyszedł poważny starzec, w habit zakonny odziany, a rogacz, widocznie przez niego oblaskawiony, położył się u nóg jego.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł hetman, witając gospodarza.

— Na wieki wieków — odpowiedział pustelnik po rusku — sława Bogu, sława i wam na wieki.

— Nie mów tego — zawołał hetman — tylko Boska chwała trwa wieki, ludzie są znikomi i sława ich znikoma.

Ale pustelnik, patrząc z zachwytem w twarz Sobieskiego, upadł przed nim na kolana i rzekł:

— Wejdz, Panie, do mej chaty! Jam biedny sługa Boży, a na twojej głowie widzę koronę królewską i czytam na niej słowa: sława na wieki!

Zdziwiony temi słowy, wszedł Sobieski do pustelniczej izdebki ojca Gedeona i zasiadł przy jego ognisku.

Starzec dołożył drewek do ognia i zrobiło się jaśniej i weselej. Hetman posilił się skromną wieczerzą, słuchając przytem opowiadania pustelnika.

— Miałem raz sen przedziwny — mówił starzec. — Na pięknym koniu widziałem przed sobą męża dzielnego, w koronie, z mieczem w ręku. U stóp jego padały muzułmańskie głowy i liczne buńczuki, a kędy się ruszył, rosły za nim krzyże. Teraz widzę, że ten mąż, panie — to ty. Oby mi Bóg wszechmocny pozwolił nie umrzeć pierwszej, aż cię królem zobaczę!

3.—Było już późno w nocy. Sobieski rozmawiał jakiś czas z pustelnikiem, wreszcie położył się na skromnem posłaniu i wkrótce sen skleił mu powieki.

Spał tak miło, jak nigdy. I zdawało mu się, iż na ulubionym swym koniu cisawym dalekie przebiegał strony, a z nim wierna drużyna zbrojna; u stóp jego padały muzułmańskie głowy, a kędy się ruszył, wyrastały krzyże. I na swej piersi widział krzyż wielki, złoty, a na gło-



wie uczuł ciężką koronę królewską. Tłumy ludu cisnęły się do stóp jego i wołały: Sława, sława na wieki!

Obudził się wreszcie: ojciec Gedeon czuwał u jego łóża. Sobieski wstał i dziwnie wzruszony ukląkł, ażeby się pomodlić w cichej chacie pustelnika. Kiedy już kończył modlitwę, ojciec Gedeon położył ręce na jego głowę i błogosławił na dalszą drogę żywota.

Powstawszy, hetman rzekł do pobożnego pustelnika:

— Święty starcze! Chcę, aby na miejscu, gdzie dziś byłem u ciebie w gościnie, stanął klasztor twojego zakonu. Polecę, aby zarosłe dziś i odludne to miejsce oczyszczono, a ile na dzień drogi człek dokoła tego miejsca ubieży, tyle dam ci na własność!

Stało się, jak sobie życzył pobożny hetman. Wkrótce potem powstał w Krasnopuszczy klasztor, a Sobieski nie tylko hojnie go uposażył obszarem tysiąca morgów, ale nadto obdarzył go dzwonami, odlanemi z dział, które zdobył na Turkach.

Dotąd jeszcze te dzwony, głosząc chwałę Bożą, zdają się sławić imię pobożnego króla i powtarzać prorocze słowa ojca Gedeona: Sława, sława na wieki!

### 138. Kartka z raptularza <sup>1)</sup>.

A za tego króla Jana,  
Co to po łbach bił pogana,  
Przyszły posły i rozjemce.  
— Ratuj, królu! giną Niemce!  
Turek na nas następuje,  
Szyjom naszym miecz gotuje,  
Naszym wieżom—księżyc w nowiu,  
Naszym dziatkom—chrzest z ołowiu.  
Jak zdobędą Wiedeń stary,  
Krwawo poczną uczyć wiary,  
I postawią ciężkie stopy  
W samem sercu Europy.

<sup>1)</sup> Z notatnika.

My—siłami niemieckimi  
Nie obronim naszej ziemi,  
Zginie—knechty i rycerze...  
Ratuj—królu—bohaterze! —

Król się porwał rozniewany:  
— Wara!—krzyknął—bisurmany!  
Na to słońce, co nam świeci,  
Trząść z buńczuków waszych śmieci!  
Za trzy doby hufce ruszą  
I nie spoczną, klę się duszą,  
Aż oczyszcze dom sąsiada  
Od szarańczy, co nań spada! —  
Niech się Polska moja ruszy,  
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!  
Niech husarya skrzydła bierze,  
Niech stalowe lśnią pancerze,  
Niech szablce błysną w reku,  
Luzak z koniem, koń w oblęku <sup>1)</sup>.

Posłyszała Polska króla,  
Koń u żłobu uszy stula,  
Rycerz ostrzy miecz stalowy.

— Kraju miły! bądź mi zdrowy!

Trąbią trąby w strony świata,  
Głos po polu z wiatrem lata,  
Szumi Wisła niespokojna,  
Bory szumią: Wojna, wojna!...

Za trzy zorze i trzy noce  
Polska wiara Turka grzmoce.  
Aż się szczyrbi kosa śmierci  
Na buńczukach z końskiej sierści...  
Grzmia armaty, świszczą kule,  
Z dziwem stają obce króle,  
Wyciągnęli długie szyje,  
Patrzą—jak to Polak bije.

Biały koń się prze pod Janem,  
Po tem polu krwią zalaniem,

<sup>1)</sup> Pałak wygięty nad karkiem konia.



Turek włosy targa w brodzie,  
Król rumaka pięta bodzie...

— Hej, na obóz! Naprzód, wiara!

Poszła koniom z nozdrzy para,  
Jak wiatr leca, jak grom wała,  
Dziw, że świata nie obala,  
Dziw, że się utrzymać mogą,  
Koń kopytem, mąż ostrogą.

— Naprzód!...

Wzięli obóz wroga.

On miecz puścił—bije trwoga...

A po świetle okrzyk leci:

— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

*Marya Konopnicka.*

### 139. Obrona Trembowli.

1. — W roku 1675 Turcy ponieśli pod Lwowem wielką klęskę. Ogromne ich wojsko pod wodzą Ibrahima baszy rozgromił król Jan Sobieski tak, iż je zmusił do ucieczki. Wtedy to Ibrahim, wracając, postanowił po drodze zdobyć zamek w Trembowli.

Szeroko jak okiem można było dojrzeć, ciągnęły się tureckie wojska, jaśniały w słońcu półksiężycy, połyskiwały działa, juczne wielbłądy niosły amunicję, zapasy obozowe, bogactwa baszów i zdobycz, zrabowaną po drodze. Ibrahim rozłożył się na okolicznych wzgórzach i począł zdobywać zamek.

Jednego dnia przeszło pięćset granatów rzucono na zamek; oprócz tego z ręcznej broni nieustannie rażono załogę i wszystkich, którzy się do miasta schronili. Raz wpadł granat do refektarza klasztoru podczas obiadu zakonników i poróżbił stojące naczynia. Można sobie wyobrazić, jakiego strachu nabawił zakonników ów gość nieproszony, tembardziej, że ranił kilku. Lecz było to małą rzeczą wobec zniszczenia zamku i rozpaczliwego położenia, w jakim się znajdowała załoga, której już brakło żywności.

Dowódca zamku, Samuel Chrzanowski, zwątpił już o możliwości dłuższej obrony; zdawało mu się, iż niema ratunku, nie spodziewał się bowiem żadnej znikąd pomocy. Kazał tedy zwołać towarzyszy broni na radę wojenną.

Tymczasem żona jego, Anna, klęczała przed obrazem Bogarodzicy i z głębi serca zanosila modły o pomoc i ratunek. Modliła się w tej chwili nietylko za siebie i męża, ale za ocalenie miasta i za część ojczyzny. Podczas gorących prośb do Pana Zastępów uczuła wstępującą w serce otuchę i nadzieję, że Bóg wysłucha jej modłów.

2.—Ukończywszy modlitwę, poszła do męża, ażeby go pokrzepić na duchu i do dalszej obrony zagraać — gdy właśnie usłyszała głos jego, przekładający radzie wojennej niemożność dalszej walki i konieczność poddania się nieprzyjaciolom. Nie namysławiając się długo, weszła do komnaty i stanawszy przed mężem, zawołała:

— Samuelu, co mówisz? Tyżbyś miał oddać te mury w ręce wrogów? Tę ziemię chrześcijańską w moc niewiernych? Czyż nie lepiej tutaj zginąć śmiercią męczeńską, niż spodlić się dobrowolnem ugięciem karku w jarzmo niewoli? Toż oni zapędzą nas wszystkich w jasyr i odbiorą nam naszą wiarę chrześcijańską! Walczmy dalej! Bóg nas nie opuści! On nas pokrzepi i nowych sił doda!

Gorąca przemowa zacnej Polki podniosła upadłego ducha zebranych rycerzy i na nowo dawne obudziła męstwo. Postanowiono bronić zamku do upadłego i raczej śmierć ponieść, niż haniebnie poddać się muzułmanom.

Nazajutrz przez dzień cały trwała walka z wrogami; oblężeni bronili się dzielnie, jakby im nowych sił przybyło. Lecz następnego dnia o świcie dziwny widok przedstawiał się oczom straży, czuwającej na wałach: wszystkie wzgórza, które dnia poprzedniego były wypełnione namiotami niewiernych—teraz były puste, jakby śmierć ponad niemi przeszła.

Ale nie śmierć to wymiotła Turków, lecz wypłoszyła



ich obawa klęski. Król Sobieski ze swem wojskiem spieszył zamkowi na odsiecz; a gdy wieść o jego zbliżaniu się doszła do obozu tureckiego, taki przestрах ogarnął Turków, iż nocą uszli przed strasznym pogromcą.

#### 140. Oblężenie Wiednia przez Turków w r. 1683.

W roku 1683 wielki wezyr czyli wódz turecki, Kara Mustafa, olbrzymią armią otoczył Wiedeń. Turcy zaczęli do miasta szturmować, wyłomy w murach robić, pod bramy miejskie proch podkładać.

Cesarz niemiecki, Leopold, widząc, że sam bez pomocy nie obroni Wiednia, błagał o nią przez swych posłów dzielnego króla polskiego, Jana III Sobieskiego, który już dobrze Turkom dał się być we znaki. I Ojciec Św. dołączył do tego swe prośby; więc też Sobieski nie wahał się i wyruszył na odsiecz. Szedł z Krakowa z wielkim pośpiechem, obawiając się, żeby pomoc nie przybyła za późno. Turcy, gdy się dowiedzieli o zbliżaniu się wojska polskiego, tembardziej poczęli Wiedniowi dokuczać, aby prędzej z nim skończyć. Zaś sułtan turecki ze stolicy swojej przysłał swemu wodzowi postronek z temi słowy: — Nie minie cię ten postronek na szyję, jeżeli zaraz Wiednia nie weźmiesz!...

To też wezyr zachęcał janczarów, żeby odważnie stawali, niewolników zaś gnał przed janczarami, a sam jak wściekły latał na wszystkie strony i do boju pędził.

Do Sobieskiego przyłączyło się w drodze wojsko rakuskie i niektórzy niemieccy książęta ze swojami posiłkami; Jan III objął naczelne dowództwo nad całą armią i po wielu trudach zajął na górze Kahlenberg pod Wiedniem obronne stanowisko. Dnia 12-go września, przed wschodem słońca, służył król do Mszy św., którą pobożny zakonnik odprawiał. Potem dał znak do bitwy.

Zawrzał bój straszliwy. Po południu król spostrzegł, że Turcy chwiać się poczynają. Wtedy uderzył na czele

swych dzielnych husarzy na wojska wezyra i zmusił je do ucieczki. Olbrzymia armia turecka poszła w rozsypkę, zostawiając zwycięzcom 125 tysięcy namiotów z wielkimi bogactwami, 300 dział, niezmierną ilość prochu, kul, koni, wielbłądów, owiec i wiele innych bogactw.

Część wojska ściagała uciekających Turków do późnej nocy. Król przenocował w namiocie po owym wielkim wezyrze, a na drugi dzień wjechał do Wiednia. Lud cisnął się do niego, całując go po nogach i witając okrzykami.

Najwspanialszą chorągiew turecką Sobieski posłał w darze Ojcu Św. do Rzymu ze słowami: «Przybyliśmy, zobaczyliśmy, a Pan Bóg zwyciężył».

#### 141. Marcin Kątski.

Turcy, od czasów Michała Korybuta, zajmwszy Podole z Kamieńcem, musieli je wreszcie za panowania Augusta II opuścić. Ale żal było niewiernym pięknego Podola, żal warownego Kamieńca; to też basza turecki, ich dowódca, był wściekły, że musi Polakom oddać miasto i fortecę. Do odebrania Kamieńca ze strony polskiej był przeznaczony generał artylerji, Marcin Kątski.

Gdy basza zdawał Kątskiemu twierdzę, oprowadzał go wszędzie, wreszcie wszedł z nim do lochu, gdzie leżał proch. Naraz Turek porwał płonący lont i rzucił go na beczkę z prochem. Zrobił to umyślnie, gdyż pragnął się zemścić za to, że musi pójść stąd precz.

Byłby też niechybnie wysadził całe miasto w powietrze, byłby tysiące ludzi, siebie i Kątskiego w gruzach zagrzebał, ale generał polski, zobaczywszy nieczyny zamiar nieprzyjaciela, chwycił żarzący się knot w rękę i póty go trzymał, dopóki ten całkiem nie zgorzał.

Patrzył Turek na mężnego Kątskiego, gdyż ogień wypalał ślady na jego dłoni, lecz on, mimo piekącego bólu, nawet brwi nie zmarszczył.

Odwagą, cierpliwością swoją i poświęceniem się ocalił



Kątski twierdzą i tysiące współrodaków, którzy, gdyby nie jego bohaterstwo, postradali życie w okropny sposób.

Ten sam Kątski przyczynił się później swoją artylerią do zwycięstwa pod Wiedniem.

## 142. Rycerze.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,  
Ich konie w żelaznem okryciu  
Na boje ich niesły, turnieje i łowy;  
A strój ich był równy ich życiu.

Bo życie to było i twarde i krwawe,  
A głośnie jak bitew fanfary,  
Do świętej szli ziemi po śmierć lub po sławę,  
Pod krzyża białemi sztandary.

Na twierdze pogańskie po trupach się darli,  
Zatknęli swój znak na wieżycy;  
A kiedy spoczęli, to dłonie oparli  
Na krwawych swych szabel głowicy.

A jeśli wracali w obronne swe dworce,  
To z blizną na piersiach lub twarzy;  
Ze złotym księżcem pogańskie proporce  
U Pańskich składali ołtarzy.

A jeśli klęczeli—to tylko w kościołach,  
A jeśli się bali—to czarów.  
Po wojnie przy wielkich dębowych swych stołach  
Z zdobytych pijali puharów.

*Adam Pajgert.*

## 143. Myśli.

1. Bogactwo w drogich kruszcach wyczerpie się z laty,  
A kto mało ma potrzeb, ten zawsze bogaty.
2. Nie tyle patrz, co tobie jest pożyteczne, ale co drugiemu.
3. Zazdrośnik nigdy nie ma dosyć, zawsze upatrzy więcej u sąsiada.
4. U złego robotnika dużo trzasku, a roboty mało.

## 144. Obrona Częstochowy.

1. — O 30 mil od Warszawy, dziś przy kolei żelaznej, leży miasto Częstochowa, a nad niem na górze wznosi się klasztor księży Paulinów ze wspaniałą świątynią, w której znajduje się Obraz Matki Boskiej, cudami słynącej; powiadają, że św. Łukasz malował ten Obraz. Po różnych, a różnych przygodach Obraz ten dostał się do Polski i umieszczono go w kościele w Częstochowie. Od dawna też tysiące ludzi z krajów polskich i sąsiednich odbywało i dotąd odbywa pielgrzymki do tego świętego miejsca, zwanego także Jasną Górą.

Za dawnych czasów klasztor częstochowski otoczony był murem, tak, że na razie jako tako bronić się w nim było można. W kościele tym były znaczne skarby, bo od lat kilkuset pobożni monarchowie polscy, biskupi, senatorowie, szlachta i rycerstwo, ciągnąc na wojnę lub z niej szczęśliwie powróciwszy, składali je w tej świątyni, cudami słynącej. Były więc tam rozliczne drogie sprzęty kościelne: ornaty, kielichy, krzyże, monstrance, a przytem i wiele kosztownych ofiar.

Wiedzieli o tem Szwedzi, a nie szanując świętości katolickich, zamysłali opanować klasztor częstochowski i jego skarby; wiedzieli także, że w klasztorze było tylko kilkadziesiąt mnichów i mała załoga; sama zaś forteczka słaba, niewiele mogła im dać do roboty. Oprócz księży i garstki żołnierzy znajdowało się jeszcze trochę szlachty okolicznej, która z rodzinami szukała tu schronienia.

Załoga nie myślała o obronie, ale przeor klasztoru, ksiądz Augustyn Kordecki, ufając w moc Boską, a wierząc w królowi i ojczyźnie, postanowił bronić Jasnej Góry. Gdy szlachta, widząc niemożność obrony, mówiła o poddaniu się, Kordecki zawołał:

— Co? poddać się Szwedom?! Albośmy to poganie, żebyśmy wiary zaprzysiężonej królowi i milej ojczyźnie, nie dotrzymali?...



A gdy ktoś z trwożliwych zapytał: kto tylu nieprzyjaciół odeprze?—ksiądz Kordecki zawołał:

— Bóg i własne męstwo. Samson, pełen ducha Pańskiego. tysiąc Fillistynów powalił oślą szczęką!

Słowa poważnego kapłana skutkowały. Zgromadzona szlachta postanowiła bronić Częstochowy. Za przykładem przeora upadli wszyscy przed ołtarzem Najświętszej Panny i zaśpiewali: «Pod Twoją obronę uciekamy się».

2.—Tymczasem generał szwedzki, Miller, ciągnął z wojskiem pod Częstochowę, a rozłożywszy obóz, przechwalał się, że ten «kurnik» — gdyż tak pogardliwie nazywał klasztor—za jednym szturmem posiedzie. Rozpoczął też zaraz ogień z dział na klasztor. Wtem patrzy, a po walach twierdzy, mimo kul, idzie procesya, niosą pod baldachimem Przenajświętszy Sakrament; biją w dzwony kościelne, muzyka gra na wieży, a księża i załoga wtórzają głosem pieśni: «Kto się w opiekę poda Panu swemu».

Strzelanie szwedzkie jakoś nie robi szkody. Wreszcie noc zapada. Szwedzi pozasypiali, a Polacy zcichą wysuwają się z fortecy, wpadają do obozu i nuże siec Szwedów. Ci nie wiedzą na razie co się dzieje i sami z sobą się biją.

Zrana Miller wścieka się ze złości i znów strzelać, a następnie wojsku na mury wdzierać się każe. Pną się więc Szwedzi po drabinach; ale mężna szlachta i żołnierze klasztorni walą na nich kamienie, leją wrzącą wodę i smołę, rzucają belki, rażą strzałami; a Kordecki z krzyżem stoi na murach i błogosławi walczących; nad wszystkimi zaś powiewa chorągiew z Obrazem Najświętszej Maryi Częstochowskiej. Szwedów coraz ubywa, aż wreszcie ze wstydem do obozu wracają.

I tak dzień za dniem, tydzień po tygodniu, a usiłowania Szwedów nie odnoszą skutku: «kurnik» się trzyma, jakby codzień mocniejszą stawał się twierdzą. Zżyma się ze złości Miller i woła: «To chyba czary!» a Szwedzi powtarzają za nim: «czary! czary!»

Millerowi przyszły posiłki i ogromne oblężnicze armaty, z których kazał natychmiast strzelać. Lecą więc kule na klasztor i w mury tłuką. Wtem pęka największa szwedzka armata i kilkunastu żołnierzy zabija; Szwedzi przestraszeni znów krzyczą: «Czary! czary!»

3.—W tym czasie oblężeni Polacy coraz częściej wypadali z klasztoru i zadawali klęski wojsku szwedzkiemu. Po jednym takim napadzie wbiega do namiotu Millera synowiec jego, młody oficer, i woła: «Stryju, nowe nieszczeście! Oblężeni wypadli z fortecy, zabili nam kilkadziesięciu ludzi i część armat oblężniczych zagwoździli!» A kiedy Miller kłął i wszystko czarom przypisywał, zuchwały młodzik porywa kielich z winem i woła: «Stryju! w czary nie wierzę; na czary mamy miecze i kule. Niech żyje król nasz, Karol Gustaw! Niech przepadnie Częstochowa!» Ale jeszcze ostatniego nie dokończył słowa, kiedy huknął strzał z Jasnej Góry. Kula armatnia obala namiot, roztrzaskując stół z pułkami i zuchwałego żołnierza na pół przerywa. Miller padł bez zmysłów i ledwie po kilku godzinach przyszedł do przytomności, a zamknawszy się w namiocie przez trzy dni, nikogo widzieć nie chciał ze wstydu i żalu po synowcu.

Gdy pierwszy żal przeminął, Miller zapragnął zemsty; nakazuje więc szturm gwałtowny. Zbudował nawet ruchomą wieżę drewnianą, którą miano podsunąć pod mury, aby tem łatwiej dostać się do twierdzy. Był to właśnie pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Szturm nastąpił straszniejszy niż wszystkie poprzednie. Ognisty i żelazny grad pocisków leciał na klasztor, huk armat tak straszny, że aż ziemia trzęsła się od strzałów. Miller poprzysiągł klasztor zamienić w gruzy.

Ale jeżeli napad był silny, tem dzielniejszą była obrona. Garstka Polaków, pokrzepiona nabożeństwem, pomna dnia uroczystego, tem gorętszą zapalała ufnością do Tego, którego Narodzenie obchodzono, i do Przenajświętszej Matki Jego. Ksiądz Kordecki jest wszędzie, gdzie naj-



gęstsze kule lecą, krzyżem błogosławi obrońców i otuchy dodaje. Naraz kule z dział fortecznych gruchocą ruchomą wieżę, a ta waląc się, przygniata wielu Szwedów.

Widząc, co się dzieje, Miller tej samej nocy, ze wstydem uszedł cichaczem z pod Częstochowy, i to po sześciotygodniowych daremnych usiłowaniach.

Na drugi dzień, na Jasnej Górze odbyło się uroczyste nabożeństwo. Wszyscy, którzy zostali przy życiu, przez całe nabożeństwo leżeli krzyżem, dziękując Bogu i Królowej Nieba za tak cudowne ocalenie.

Kiedy później wrócił do Polski król Jan Kazimierz i otoczony senatorami, dziękował Kordeckiemu, że obroził klasztor, pokorny sługa Boży odpowiedział:

— «To nie ja, Miłościwy Panie, to Bóg i Najświętsza Panna Częstochowska, Królowa nasza!»

#### 145. Nadziei nie trzeba tracić.

Nie porzucaj nadzieje,  
Jakkolwiek ci się dzieje:  
Nie ostatni raz słońce dziś zachodzi,  
A po złej chwili piękny dzień przychodzi.

Patrzaj teraz na lasy,  
Jak przez zimowe czasy  
Wszystką swą krasę drzewa utraciły,  
A śniegi pola wysoko przykryły.

Po chwili wiosna przyjdzie,  
Ten śnieg powoli zejdzie,  
A ziemia, skoro słońce ją zagrzeje,  
W rozliczne kwiaty znowu się odzieje.

Nie wiecznego na świecie:  
Radość się z troską plecie;  
Wiele Bóg może przemienić w godzinie,  
A kto Mu ufa, ten pewnie nie zginie.

#### Przysłowie.

Wszelka mądrość od Pana Boga pochodzi.

zbrojach na dzielnych rumakach, a wszyscy, jakby jeden człowiek, wznosili serdeczny, radosny okrzyk na powitanie króla bohatera.

Z uczuciem nieopisanej radości wjeżdżał Sobieski w mury tego starożytnego grodu, gdzie jako młodzieniec wiele lat spędził na nauce. I teraz patrzył na ten lud, co mu pokłonem swych chorągwi hołd oddawał, na duchowieństwo, co go błogosławiło, na szlachtę i rycerstwo, które okrzykiem witało swego niedawno pana-brata, a dziś króla państwa wielkiego i potężnego.

Gdy wjechał na rynek krakowski wśród odgłosu dzwonów, huku dział i głuszących to wszysko wiwatów ludu, ujrzał stojące na uboczu grono profesorów Akademii Krakowskiej z rektorem swoim na czele. Wdzięczny uczeń tej przesławnej szkoły, zwrócił w tę stronę konia.

W tym orszaku uczonych Sobieski dopatrywał także profesora Dąbrowskiego, już pochylonego wiekiem, wspartego na kiju, i krzyżem świętym zdala błogosławiącego dawnego swego ucznia.

Król zdjął czapkę z uszanowaniem, a pochylając się z konia, podał rozrzuconą rękę Dąbrowskiemu. Starzec jakby odmłodził, rzucił kij, na którym się wspierał, a pochwyciwszy rękę króla, ucałował ją ze łzami w oczach.

Ten dowód miłości poruszył króla do głębi: słowa wyrzec nie mógł i chciał ukryć łzy, cisnące mu się do oczu. Ale widzieli je wszyscy patrzący na powitanie jego ze starym profesorem i wszyscy spoglądali z radością na bohatera narodu.

Poczem król zwrócił zwolna konia i wielce wzruszony wjechał na stary zamek Wawelski.

#### 148. Myśli.

W kościele bądź nabożny, a pokorny w szkole,  
W polu bitny, w grze wesół, żartowny przy stole.

W. Kochowski.



### 149. Kurpie.

|                |               |
|----------------|---------------|
| Panie bracie,  | Nizkie chaty, |
| Czy też znacie | Lecz za katy, |
| Kurpi ród?     | Czerstwy lud. |

To nie kmiecie, ale pany!  
Własne chaty, własne łany;  
Nie znali, co pańskie sochy,  
Ni pańszczyzny, ni darmochoy.

Bury sukman na ramieniu,  
Długa strzelba na rzemieniu,  
Nogi w łykach, kurpia duma,  
Ale wasy jak u suma!

Wie, gdzie lisa w sidła złapie,  
Niby kot na barć się wdrapie.  
Trafne oko, krzepkie ramię,  
Jak uściśnie, kości złamie.

By krew z mlekiem, gdy się zbierze,  
Takie rzeżkie tam dziewczyny;  
Dłonie białe, liczka świeże,  
By korale jarzębiny.

Gdy mróz w oczy igły ciska,  
W polu głodne wrony kraczą,  
Siadaj z niemi u ogniska;  
Gościa krupnikiem uraczą,

I starzy będą bajali,  
Jak to Kurpie Szwedów prali,  
Jak niejedna tam mogiła  
Gada, że ich zgniło siła...

Bo gdy broń wziął Kurp na barki;  
Dyabło Szwedom laź na karki,  
Póty zamorców spowiadał,  
Aż ich z kaszą het pozjadał.

Zajdź w zwierzyniec,  
Pod Myszyniec,

Tamei Kurpiów żyje wnuk,  
I taż stara  
W sercu wiara,  
Jeden Bóg!

|               |               |
|---------------|---------------|
| Teraz znacie, | Nizkie chaty, |
| Panie bracie, | Lecz za katy, |
| Kurpi ród,    | Dzielnny ród! |

*Michał Morzkowski.*

### 150. Marya Leszczyńska.

Marya Leszczyńska, córka Stanisława Leszczyńskiego, króla polskiego, a żona Ludwika XV, króla francuskiego, słynęła z wielkiego miłosierdzia dla ubogich. Więcej rozdawała jałmużny, niż miała własnych dochodów, a całe jej kółko domowe musiało się przyczyniać do jej szlachetnych uczynków.

Kiedy raz proszono młodego jej syna, następcę tronu, o pieniądze na cel dobroczynny:

— Dałbym — odpowiedział — ale nie mam ani grosza, mama zabrała mi wszystko.

U ojca wyrobiła sobie Marya roczną pensję na ubogich i pracujących. Gdy jej zabrakło pieniędzy, pożyczła od innych, i zdarzyło się nawet, że była raz dłużną 300,000 franków.

Potrzebując ciągle pieniędzy na wspomaganie biednych, królowa sprzedawała wszystkie swoje klejnoty, a na miejsce prawdziwych kamieni, kazała wprawić fałszywe. Przez cały rok nikt nie domyślił się tego i byłoby się to może ukryło do końca jej życia, gdyby jedna ze służebnic nie zdradziła tajemnicy.

Razu pewnego, królowa przechadzała się po wspańiałym ogrodzie w Wersalu. Tu spotkała ubogą kobietę, niosącą w rękę garnek; na drugim ramieniu trzymała małe dziecko. Za kobietą szło kilkoro dzieci.



— Dokąd to idziecie z temi dziećmi, moja kobieto? — zapytała królowa.

— Niosę obiad mojemu mężowi.

— A czymże jest wasz mąż?

— Wyrobnikiem.

— Ileż zarabia dziennie?

— Dwadzieścia groszy.

— Czy macie kawałek pola do tego?

— Nie, pani.

— A czy to wasze dzieci? Dlaczego bierzecie je z sobą?

— Bo nie mam ich przy kim zostawić.

— A sami ileż zarabiacie?

— Nie, łaskawa pani; wszak mam dość zajęcia w domu, ażeby przygotować to, co muszę, dla męża i dzieci, trzeba przecież je obszyć, opruć i nakarmić.

— Więc jakimże sposobem zdołacie wyżywić siedm osób za te dwadzieścia groszy?

— Ach pani, — rzecze kobieta pokazując zawieszony u paska klucz — oto mój sposób. Zamykam chleb, a rozdając go, uważam, aby starczyło dla wszystkich, głównie zaś dla męża. Gdybym pozostawiła chleb nie zamknięty, to dzieci zjadłyby w jednym dniu tyle, ile dla nich musi wystarczyć na tydzień.

Królowa do łez tem opowiadaniem wzruszona, wcisnęła biednej matce do rąk dziesięć luidorów i rzekła:

— Dawajcież na przyszłość nieco więcej chleba swym dzieciom.

Lud uwielbiał Maryę i nigdy jej się dość napatrzeć nie mógł. Raz, gdy się przechadzała po ogrodzie, zeszło się takie mnóstwo ludzi, że królowa w tym tłoku ani naprzód, ani napowrót posunąć się nie mogła. Napróżno straż rozpędzać chciała pospólstwo; cisnęło się ono coraz bardziej, pragnąc przyjrzeć się bliżej ukochanej monarchini. Nareszcie królowa dała znak, że chce mówić; wszyscy stanęli, a ona rzekła z uśmiechem:

— Wiem moje dzieci, że mię kochacie; i ja was także

bardzo kocham; ale dla tej miłości, zamiast mię dusić, dozwólcie mi przejść.

W jednej chwili rozstał się lud zgromadzony i otworzył wygodne przejście dla królowej.

## 151. Stańczyk.

Raz wyjechał był z Krakowa cały dwór króla Zygmunta i królowej Bony do Niepołomic, gdzie są wielkie bory i zwierza w nich huk. Tam miano dla zabawy zapolować na wielkiego niedźwiedzia, przywiezionego z Litwy. Wypuszczono go z klatki i poszczuto psami. Ale niedźwiedź psy poszarpał i rzucił się na chłopów, a potem na panów dworskich; niejednego też przewrócił i podrapał. Naraz skoczył tam, gdzie Bona stała.

Gdy to królowa spostrzegła, dalejże w nogi; ale koń jej potknął się i padł pod nią, a królowa ciężko się potłukła. Wtedy rozżarte niedźwiedzisko rzuciło się na błazna królewskiego, Stańczyka, niedaleko stojącego, ten jednak zręcznie uciekł w gąszcz.

Po polowaniu, kiedy król śmiał się ze Stańczyka, że uciekł przed niedźwiedziem, nie jak rycerz, ale jak błazen, odpowiedział:

— Czyż to nie większe błazeństwo, mając niedźwiedzia w klatce, puszczać go na swoją szkodę?

Wiele jest o tym Stańczyku dowcipnych powiastek.

Raz np. chodził sobie Stańczyk po Krakowie, ubrany po błazeńsku w różne pstre łatki. Chłopcy uliczni zaczęli go gonić i dokuczać mu, aż suknie na nim podarli. Opowiedział to Stańczyk królowi, a kiedy król począł go żalować, odrzekł:

— Nie żałuj mnie, królu, ciebie bardziej obdzierają niż mnie; wszak niedawno wydarto ci znaczny kawał kraju.

Kto inny nie byłby śmiał tak powiedzieć królowi, chociaż to była prawda.



Raz znowu była mowa między panami o tem, jakiego też zawodu najwięcej jest ludzi? Gdy każdy inaczej utrzymywał, przytomny tej rozmowie Stańczyk rzekł, że najwięcej jest doktorów. A gdy temu nikt wierzyć nie chciał, wyszedł Stańczyk nazajutrz na rynek krakowski, podwiąawszy sobie chustką zęby. Zaraz każdy znajomy, spotkawszy Stańczyka, zaczął mu doradzać najlepsze, jakie znał, lekarstwo na zęby. Natenczas Stańczyk, dobywszy tabliczki, niby dla notowania owego lekarstwa, zapisywał nazwisko każdego takiego nieproszanego lekarza; a ponieważ znany był w całym Krakowie, w kilka godzin zebrał bardzo długi spis owych doktorów i wygrał zakład.

*Lucyan Siemieński.*

## 152. Dziecięce lata Mickiewicza.

1.—W wigilię Bożego Narodzenia dnia 24 grudnia 1798 r., w Nowogrodku, miasteczku położonem w guberni Mińskiej, przyszło na świat dziecko, któremu na chrzcie św. dano imię Adam.

Tem dziećciem był wielki poeta polski, chluba naszego narodu, Adam Mickiewicz.

Mickiewicz był dzieciątkiem słabem, chorowitem, i długo rodzice wątpili, czy da się wychować. Raz wypadł z okna i już myślano, że mały Adaś nie żyje, bo prawie nie oddychał. Strwożona matka upadła na kolana, wzywając opieki Matki Boskiej i ślubując pielgrzymkę do cudownego Obrazu Najświętszej Maryi Panny, znajdującego się w kapliczce nad starożytną Ostrą-Bramą w Wilnie, i stąd zwanej Ostrobramską.

Adaś wyzdrowiał, a pobożni rodzice wierząc, że stał się cud, odbyli z nim pieszą pielgrzymkę do Wilna dla podziękowania Najświętszej Maryi Ostrobramskiej za uzdrowienie dziecka.

Poeta tak o tem wspomina w «Panu Tadeuszu»:

Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy  
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy  
Nowogrodzki osłaniasz z jego wiernym ludem!  
Jak mnie dzieckiem do zdrowia przywróciłaś cudem,  
Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę  
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę,  
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyn progu  
Iść za zwrócone życie podziękować Bogu...

Dom w Nowogrodku, gdzie urodził się Mickiewicz, był własnością jego rodziców; dom niewielki, bez piętra, ale porządnie z cegły murowany, o ośmiu oknach frontu, z gankiem krytym, na słupach opartym. Stał jeszcze do niedawna, ale w roku 1882 spalił się prawie zupełnie, i dziś już sterczą tylko zgliszcza i zwaliska. Pewnie o tym rodzicielskim domu Mickiewicz wspomina w poemacie swym «Dziady», gdy rzewnie opisuje lata swego dzieciństwa:

Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki:  
Ledwie go poznać mogłem, już tylko ostatki!...  
Kędy spojrzysz—rudera, pustki i zniszczenie,  
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie;  
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu ziola;  
Jak na cmentarzu w północ, milczenie dokła!  
O! inny bywał dawniej przyjazd mój w te bramy,  
Po krótkim oddaleniu, gdym wracał do mamy!

2.—W roku 1807 mały Adaś, mając lat dziewięć, zaczął uczęszczać do szkół w Nowogrodku ze swym bratem Franciszkiem; na wakacje zaś przyjeżdżał do Zaosia, wioski, którą jego rodzice w spadku po wuju otrzymali.

Szkoły prowadzili wtedy w Nowogrodku zakonnicy, księża Dominikanie. Zakon ten zajmował się głównie pracą kaznodziejską i nauczaniem chłopców.

Przełożonego szkoły dominikańskiej zwano księdzem prefektem, a wszystkich nauczycieli, którzy też byli zakonnikami, od przedmiotu wykładanego: księdzem fizykiem, księdzem matematykiem, księdzem łacinnikiem, księdzem



Polakiem, Francuzem, Niemcem i t. d. Księża przestrzegali bardzo porządku i karność, a za większe przekroczenia lub uporeczywe próżniactwo były surowe kary.

Stróż szkolny czyli «kalafaktor» (nazwa ta łacińska znaczy tyleż, co «palacz», gdyż głównym jego obowiązkiem było opalanie pieców) był w szkole osobą dosyć ważną, on to bowiem wykonywał naznaczone kary, od niego też, gdy się było z nim w dobrym stosunku, można było czasem dostać łakotek, potrzebną książkę i t. d. Starala się więc dziatwa żyć w przyjaźni z tym dygnitarzem.

W czasie rekreacji gwarno i wesoło bywało w korytarzach i na trawą poroślem podwórzu klasztoru nowogrodzkiego. Działwa bawiła się tu rozmaicie, stosownie do wieku i upodobania: w zajęcia, w piłkę (palanta) lub w żołnierzy, dzieląc się na dwa przeciwne wojska: Tataków lub Niemców z jednej strony, a Polaków z drugiej strony, jak to w dawnych wiekach bywało. W czasie wolnym od nauki wybiegano bawić się za miasto.

O tych igraszkach i zabawach tak wspomina Mickiewicz w «Dziadach»:

Tum z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek;  
Po gniazda ptasie w tamten biegaliśmy lasek;  
Kapielą była rzeczka pod oknem ciekąca;  
Po błoniach z studentami graliśmy w zajęcia;  
Tam do gaju chodziłem w wieczór lub przededniem.

### 153. Chłopięce lata Mickiewicza.

Najhuczej i najweselej bawiła się młodzież szkolna na majówkach, które tyle tylko miały złego, że taki dzień szczęśliwy przypadał jedynie raz na rok.

Po wysłuchaniu Mszy św., klasy wysypywały się na obszerne podwórze, i działwa parami w porządku wyruszała za miasto do gaju.

W gaju ksiądz prefekt z profesorami zasiadali na rozłożonym pod drzewem dywanie; zdarzało się jednak, że

młodzi zakonnicy, podkasawszy habity, gonili się z działwą i tak jak ona skakali przez rów lub grali w palanta i inne gry.

Gonitwy, pasowanie się i nieuczona gimnastyka, która polegała na przeskakiwaniu przez drągi, obręcze lub przez kolegów, gra w piłkę, słuchanie muzyki kilku żydków, którzy ze skrzypkami, dla zarobienia paru złotych, za klasą ciągnęli, śpiewy i tańce kolegów między sobą, — wszystko to zabierało czas szybko i nikt ani się obejrzał, jak skończył się długi dzień majowy. I znów w porządku, ze śpiewami, znużona lecz uszczęśliwiona działwa wesoło wracała do miasta.

Szkoła nowogrodzka miała sześć klas. Mickiewiczowie pozostawali w niej lat ośm, aż do roku 1815. Młodszy, Adaś, uczył się dobrze, chociaż jako bardzo zdolny, nie potrzebował zbyt mozolić się nauką.

Uspodobienia był Adaś żywego i lubił figlować, co mu nie przeszkadzało być najlepszym chłopcem, przez wszystkich kochanym.

W klasie częstokroć, wezwany do mapy, machał skązówką fałszywie, nie to pokazując, co należało do lekcji: «zostawiał geografję na lewo», jak mawiali chłopcy; korzystał bowiem z tego, że profesor trochę niedowidział i nie wiedział, czy uczeń właściwie pokazuje.

Raz profesor historii wyrwał do lekcji jednego ucznia, który siedział obok Mickiewicza; wezwany, nie umiając nic a nic z zadanej lekcji, dał znak koledze, aby mu obyczajem szkolnym, «podpowiadał», Mickiewicz, siedzący obok niego, z całą powagą podszeptnął mu wierszyk:

Niedaleko Damaszk  
Siedzi dyabeł na daszku,  
W kapeluszu czerwonym,  
Kwiatczkami upstrzonym.

Wyrwany, sam nie wiedząc, co mówi, powtórzył za Mickiewiczem te wiersze, czem pobudził profesora i całą klasą do głośniego śmiechu.



Gdy tak młody Mickiewicz uczył się i bawił, zaszedł ważny wypadek, który wywarł na nim ogromne wrażenie: cichy spokój rodzinnych jego okolic zakłócony został srogą burzą wojenną. W owym bowiem czasie zasłynał w świecie wielki wojownik, Napoleon Bonaparte, który z prostego oficera artylerii doszedł do korony cesarskiej we Francji, a przez lat kilkanaście prowadząc ciągle wojny, wszystkie kraje i państwa zwyciężył lub podbił i zapanował nad całą prawie Europą.

W roku 1812 rozpoczął on wojnę z Rosją i z całą swą olbrzymią armią, wynoszącą około sześćset tysięcy żołnierza, złożonego z rozmaitych narodów, przeprawił się przez Niemen i dążył do Wilna. Droga prowadziła przez Nowogrodzkie strony i młody Mickiewicz zobaczył owe wojska, które potem tak pięknie opisał, a z których wkrótce ledwo połowa została. Samego jednak Napoleona nie widział, tylko brata jego, Hieronima, który spędził nawet dzień jeden w domu Mickiewiczów.

#### 154. Dziecięce lata.

Piękne to były dziecięce lata,  
Kiedym zaledwie odrósł od ziemi;  
Myśl moja często ku nim ulata,  
Złocąc je snami, łzami cichemi.

Kiedym to igrał na matki rękę,  
Kolano ojca było konikiem;  
W sercu woń taka i tyle wdzięku...  
Oj, nie płakałem jeszcze po nikim!

Świat wtedy dla mnie taki był mały,  
Ludzie tak dobrzy, jak ich cukierki;  
Gwiazdki milionem oczek mrugały,  
Chciałem mieć skrzydła, zdjąć te iskierki.

Lub kiedy księżyc wyrzwał nad wzgórze,  
Biegłem ku niemu—już, już go schwycę—  
To znów po niebiem jeździł na chmurze,  
I za batożek brał błyskawicę.

Widziałem słonko, jako się kładło  
W złote łódeczko, z chmurą pod głowę;  
Jak go jezioro potem okradło—  
Ledwo już rąbki widać różowe.

Co ranek, wieczór — jam myślał sobie;  
Jaki Bóg dobry! dla mej zabawki  
Zrobił ten księżyc, słońce na dobie,  
Ptaszki, motylki, kwiatki i trawki.

I codzień rano, wieczorem codzień,  
Mówiłem pacierz razem za mamą:  
Boże! niech będę darów Twych godzien  
I niech Cię kocham zawsze tak samo.

*Lucyan Siemieński.*

#### 155. Podróż Mickiewicza do Wilna.

1. — W roku 1815 Adam Mickiewicz oraz brat jego Franciszek ukończyli szkoły. Franciszek pozostał w Nowogrodzku, Adam zaś postanowił udać się dla dalszej nauki do Wilna. W Wilnie mieszkał jeszcze wtedy ksiądz Józef Mickiewicz, profesor uniwersytetu, daleki krewny Adama, który na początek obiecał przybywającemu kuzynowi swą pomoc i protekcję.

Podróż z Nowogrodzka do Wilna szesnastoletni Mickiewicz odbywał bryką żydowską, w towarzystwie trzech innych żydów. Droga trwała dwa dni, a że żyd furman, w dzień przystawał i popasał długo i często, a na noclegi przybywał późno, więc jazda zabierała i część nocy.

Młody Mickiewicz rozmyślał o niebezpieczeństwie, grożącym mu w nocy od rozbójników, a głównie lękał się o swoje pieniądze, bo miał przy sobie aż 11 dukatów, kwotę, jak dla niego, znaczną, bo ją pierwszy raz w życiu posiadał.

Towarzyszami podróży, byli dwaj młodzi żydzi, olbrzymiej postawy, o czarnym zaroście, i jeden stary, z długą siwą brodą; wszyscy też niewielkie wzbudzali zaufanie w Mickiewiczu. Będąc sam przeciwko trzem, był prawie pewny, że go zrabują, a może zabiją. Wydobył więc



z kieszeni stary pistolet, który zabrał z domu na wszelki wypadek (choć w strzelaniu nie bardzo był mocny), i położył go na kolanach, aby w razie potrzeby bronić się do upadłego.

Stary żyd, Jankiel z Mira, widział te wojownicze przygotowania i przyglądał im się z uśmiechem.

— Nu, a dużo panicz ma pieniędzy? — odezwał się po chwili.

Teraz już Mickiewicz był pewny, że stary żyd chce go obrabować i dlatego pyta się o ilość pieniędzy; nie odpowiedział więc nic, ale wziął broń do ręki.

Jankiel, bojaźliwy, jak wszyscy żydzi, zaczął przekładać młodzieńcowi, ażeby schował pistolet, «bo może być, broń Boże, wypadek»...

Te namowy zwiększyły jeszcze podejrzenie Mickiewicza, który uważał, że jest zupełnie na łasce Jankla, gdyż dwaj inni żydzi spali, chrapiąc mocno; choćby więc nawet nie pomagali Janklowi, nie pomogliby i jemu.

2. — Stary Jankiel, widząc, że namowy jego są daremne, wydobyl z pod kapoty grubą «kozicę», to jest torebkę ze skóry kozłowej, a pokazując Mickiewiczowi znajdujące się w niej pieniądze srebrne, złote i papierowe, rzekł:

— Widzi panicz, że ja mam daleko więcej pieniędzy, a gdybym panicza zabił, toby mi sąd cały mój majątek zabrał, i samego wsadził do więzienia, a potem wysłałiby mnie na Sybir.

Przekonało to Mickiewicza: wstydząc się swych podejrzeń, zdmuchnął proch z panewki i schował pistolet do kieszeni. Potem wdał się z Janklem w rozmowę; doświadczony kupiec dawał mu różne «mądre rady», jak żyć na świecie i jak zdrowie szanować.

— Bo to widzi panicz — mówił Jankiel, — dotychczas panicz był w szkole i w domu rodzicielskim, to go pilnowali i profesorowie i rodzice; mówili, że to wolno, a tamtego nie wolno, że to szkodzi zdrowiu, a to nie. A teraz to panicz sam żyć musi na świecie, odrazu wy-

puszczony ze szkoły i z domu... Taka wielka i raptowna swoboda niejednego zgubiła na zdrowiu i na kieszeni... Niech panicz pamięta, że ten tylko żyć będzie długo, i starość będzie miał czerstwą, kto za młodu pędził życie oszczędne, umiarkowane, spokojne i kto zdrowie szanował. Trzeba pracować, ale nie zanadto; nie ślęczyć nad książką po nocach, albo po dniach całych. Trzeba także bawić się, ale szlachetnie, bez marnotrawstwa pieniędzy i czasu, bez straty zdrowia...

I długo tak prawił stary Jankiel; rady te zapamiętał Mickiewicz i nieraz później przypominał je w rozmowie z przyjaciółmi.

3. — Z przybyciem do Wilna kończy się pierwszy okres życia Adama — jego dzieciństwo, o którym wspominał później często i ze łzami.

W Wilnie przebywał cztery lata, pracując w gronie zajętej młodzieży, która za radą starszego kolegi, Tomasza Zana, zawiązała «Towarzystwo Przyjaciół nauki i cnoty.» W roku 1819 Mickiewicz ukończył uniwersytet.

Następnie przebywał w Kownie, później w Odesie, Moskwie i Petersburgu. Potem wyjechał za granicę.

Mickiewicz gorąco ukochał ziemię swoją i tak cudnie opisał jej zwyczaje, uczucia i wierzenia, iż czytając go, zapomina się o świecie Bożym i naprzemian człowiekowi to smutno, to wesoło, to śmiać się chce, to płakać, — a zawsze mu się zdaje, że widzi te miejsca i tych ludzi, których poeta opisuje, że zna ich i kocha, że z nimi razem radość i boleść czuje. A jak on to wszystko opisuje! Toć każdy człowiek potrafi naprzykład powiedzieć, że będąc zagranicą, tęskni do swoich łąk zielonych i do pól zbożem pokrytych, — ale nikt tego nie wyrazi tak, jak Mickiewicz, kiedy się serdecznie modli do Panny Przenajświętszej:

...przenoś moją duszę utęsknioną  
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,  
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,



Do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem,  
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem,  
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,  
Gdzie panińskim rumieńcem dzięcielina pała.  
A wszystko przepasane, niby wstęgą, miedzą  
Zieloną; na niej z rzadka ciche grusze siedzą.

Dlatego każdy w utworach Mickiewicza znajdzie dla  
siebie coś chwytającego za serce, a czytając myśli tego  
wielkiego poety i zacnego człowieka, pokocha wszystko,  
co szlachetne i lepszym się stanie.

### 156. Święty Izydor.

W pośród wiejskie matki córy,  
Znużon drogą, wiekiem zgięty,  
Zasiadł pielgrzym z Jasnej góry,  
I rozłożył towar święty.

Miał różańce, miał szkaplerze,  
Mnóstwo krzyżów wydobywał,  
A lud wierny swojej wierze  
Za poczeiwy grosz nabywał.

I miał jeden obraz śliczny,  
Każdy o treść jego badał,  
Pytał, słuchał gmin rozliczny,  
A on tak mu rozповідаł:

«O! nie wiecie wy ludkowie,  
Jak za dawnej tam pamięci,  
Byli z pośród was królowie,  
Byli nawet nieraz Święci.

Tam, gdzie tacy, jak my ludzie,  
Wśród dalekie stąd Hiszpany,  
W ciągłych modłach, postach, trudzie  
Żył Izydor, Oracz zwany.

Takim, jak wy, był on chłopkiem,  
Tak się, jak wy, męczył, nużył;  
Przecież mnogich cnót dorobkiem,  
Nagród Niebios się dosłużył.

Dziki nad nim pan przewodził,  
Sprzęgał z bydłem, kuł do tacek,  
Krzywdził, więził, chłostał, głodził;  
Wszystko święty zniósł prostaczek.

Zniósł, bo męki Jezusowe  
Stokroć bardziej go bolały,  
Cierń, co w Boską wrył się głowę,  
Rany, co krew świętą lały.

Zniósł, bo sroższe widział dole,  
Nieszczęśliwszych szereg długi,  
Zniósł, bo wiedział, że tu pole  
Nie nagrody, lecz zasługi.

I raz pan ów bez sumienia,  
Podwójną mu orkę zadał;  
A w przypadku niespełnienia,  
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem,  
Zaprzągnął wołki uporczywe,  
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytem,  
I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdej trudnej porze,  
Wprzód do Boga się odnosił,  
U stóp krzyża klął w pokorze,  
I gorąco błagał, prosił.

Głowę w świętej chylił skrusze,  
Sercem Nieba przywoływał,  
Korzył myśli, czyścił duszę,  
I w Chrystusa się wpatrywał.

I tak długo i głęboko  
Zatapiał się w Męce krzyża,  
Aż tu słońce już wysoko,  
I południe się przybliża.

Złakł się, jakby z snu ocucił,  
I zapłakał w swej niedoli;  
Gdy w tem okiem wkoło rzucił:  
Jakaś jasność! woń po roli!



Patrzy — widzi zadumiały  
Niepojęte cuda! dziwy!  
Anioł śliczny, jak śnieg biały,  
Doorywa jego niwy.

Każdy zagon wyciągnięty  
Tak prościuchno i tak ładnie...  
Nie ma bicza rataj święty,  
Wółki przecież idą składnie.

Idą z okiem tak wesołem,  
Pług tak lekko płynie w ziemi!  
Pada chłoppek, bije czołem,  
Łzami zlewa się wdzięcznemi.

Gdy wtem anioł promienisty,  
Nagle w górę wzlata, leci;  
A jak tęczy pas ognisty,  
Długi ślad się za nim świeci.

Niknie, ginie postać święta;  
Ginąc, takie słowa głosi:  
«Kto o Bogu swym pamięta,  
Temu pomoc Bóg przynosi.»

Wiele, wiele wieków zbiegło,  
Nim w tem samem miejscu cudu  
Wielkie miasto się rozległo,  
A w niem wielkie mnóstwo ludu.

Od poranku do wieczora,  
Nie zliczyłbyś gmachów licznych,  
Ni w kościele Izydora  
Wszystkich bogactw, wotów ślicznych.

Król po królu w wielkiem mieście  
Włada, rządzi, rozkazywa,  
A gdy przyjdzie umrzeć wreszcie,  
Chłopka tego w pomoc zwywa.

*X. Ignacy Hołowiński.*

### Przysłowia.

1. Milczenie skarb wielkiej ceny: milcząc dokażesz.
2. Nie przebieraj, bo przebierzesz.

### 157. Mickiewicz w Weimarze.

Było to w roku 1829, gdy Mickiewicz, przejeżdżając przez Niemcy, ze swym przyjacielem Odyńcem przebywał w Weimarze. Jednego dnia przyszedł Odyńiec już po obiedzie do hotelu, w którym zwykle z Mickiewiczem jadał. Przed wejściem do sali usłyszał żywą rozmowę, prowadzoną w języku francuskim; — otworzywszy drzwi, ujrzał swego przyjaciela, rozmawiającego z jakimś Francuzem, który mówił coś głośno i żywo. Pierwsze słowa, które Odyńiec wyraźnie posłyszał, były:

— Nie, nie, to nie jest jego nazwisko! Mik... Mis... Mic...  
ach! jakże się zowie wasz wielki poeta?

Mickiewicz spojrzał na Odyńca i zlekka potrząsnął głową, dając mu tem znak, żeby milczał.

Odyńiec pojął, o co rzecz idzie.

Francuz mówił o świeżem wydaniu dzieł naszego wielkiego poety, którego nazwiska zapomniał.

Ponieważ pytał o wielkiego poetę, odpowiedział mu przeto skromny Mickiewicz, że zapewne ma na myśli Krasickiego, którego zasługi w polskiej literaturze są wielkie. Francuz niecierpliwił się i nie mógł ukryć oburzenia, że Polak nie zna nazwiska swego największego poety. Mickiewicz tymczasem wypił kawę i wyszedł.

Wtedy zwrócił się ów młody Francuz do Odyńca z pytaniem, jakiej jest narodowości? Gdy mu na to Odyńiec odpowiedział, że jest Polakiem, zapytał go, czy i on nie zna nazwiska największego swego poety.

— Mówisz pan zapewne o Adamie Mickiewiczu? — odrzekł Odyńiec.

— Tak jest, tak się nazywa! — krzyknął uradowany Francuz.

Na to odpowiedział mu spokojnie Odyńiec:

— To jest właśnie ten sam, który w tej chwili stąd wyszedł i który z panem rozmawiał.



Francuz zaczerwienił się cały, jak burak, i prosił Odyńca, aby go natychmiast do Mickiewicza zaprowadził, co też chętnie uczynił.

według *Antoniego Edwarda Odyńca*.

### 158. Stanisław Staszic.

Zacnej pamięci i wielkich zasług, Stanisław Staszic, urodził się w roku 1755 w Pile, miasteczku Wielkopolskiem. Po skończeniu szkół w Poznaniu udał się z otrzymanym po rodzicach funduszem w celu dalszego kształcenia się do Niemiec, a potem do Francji.

Powróciwszy do kraju i spełniając wolę zmarłej swej matki, poświęcił się stanowi duchownemu i został księdzem. Następnie przyjął miejsce nauczyciela domowego u Andrzeja hr. Zamoyskiego, byłego kanclerza, t. j. najwyższego urzędnika w kraju, męża wielce cnotliwego kształcąc synów jego. Po dwudziestoletnim pobycie w domu tego wielkiego pana udał się Staszic do Wiednia z kapitałikiem, uciulanym ze swej pracy i oszczędności; temi pieniędzmi dorobił się tutaj znacznego majątku.

Jakże go pięknie używał! Kupił wielkie dobra dawnego starostwa Hrubieszowskiego i wszystkie grunty oddał na własność miejscowym włościanom. Utworzył «Towarzystwo ku udoskonaleniu rolnictwa i przemysłu, oraz ku wspólnemu ratowaniu się w nieszczęściach»; spełnił więc w części to, co napisał w książce, w której domagał się usamowolnienia ludu wiejskiego i zrównania mieszczan ze szlachtą, podniesienia handlu i przemysłu, oraz jednakowej sprawiedliwości w sądach dla wszystkich.

Kiedy zawiązano w Warszawie «Towarzystwo Przyjaciół nauk», pośpieszył Staszic do Warszawy i ofiarował temu Towarzystwu swój wielki zbiór książek; potem zakupił dla niego dom za własne pieniądze, a później swoim kosztem postawił przed tym gmachem wspaniały pomnik astronomowi polskiemu, Mikołajowi Kopernikowi.

Gdy cesarz francuski Napoleon I utworzył w roku 1807

z części dawnej Polski Księstwo Warszawskie, ze stolicą Warszawą, Staszic został w tem Księstwie członkiem «Izby edukacyjnej», t. j. instytucji, która opiekowała się szkołami w kraju, a potem w utworzonym z tego Księstwa Królestwie Polskiem, naczelnym dyrektorem wydziału popierania przemysłu. Zajął się też szczególnie górnictwem: założył w Kielcach szkołę górniczą, otworzył kopalnie miedzi i marmuru, pobudował huty do wytapiania żelaza i cynku, budował fabryki, bił gościńce i t. d. Zakładał szkoły wiejskie i różne szkoły wyższe, a między niemi szkołę inżynierską budowy dróg i mostów.

Już temi wielce użytecznemi pracami zyskalby był sobie nieśmiertelne w narodzie imię, ale on poszedł dalej. Wspierał innych w pracy nad dobrem ludzkości. Kiedy ksiądz Jakób Falkowski założył w Warszawie «Instytut dla głuchoniemych», Staszic nie tylko przyczynił się do wybudowania dla nich domu, ale nadto zapisał blisko 7,000 rubli na utrzymanie tej szkoły.

Trudno wyliczyć wszystkie dzieła i niespożyte zasługi Staszica. Za to wszystko oprócz ogólnego uznania, dostał od Cesarza Aleksandra I godność ministra, t. j. najwyższego urzędnika w Państwie.

### 159. Z życia Stanisława Staszica.

Jak żył ten wielki człowiek?... Jak najuboższy wyrobnik! Krocie rozdawał innym, a sobie wszystkiego żałował. Mieszkał w dwóch pokoikach, miał jednego służącego, który był zarazem jego lokajem i stangretem, a żona lokaja gotowała skromny obiad panu ministrowi. Nie pił żadnych trunków i chodził całemi latami w jednym czarnym wytartym surducie. Ponieważ lubił teatr, więc bywał tam często, ale chodził na galeryę (zwaną paradyzem), gdzie ukrywał się w wyszarzanym płaszczu, w starym kapeluszu i z podwiązaną głową, aby go nie poznano. Ludzie śmieli się z niego, przezywając go skap-



cem. A ten skąpiec, umierając w roku 1826, zapisał ludziom cały swój majątek, przeznaczając ogromne sumy na szpital pod wezwaniem Dzieciątka Jezus, na szpital dla obłąkanych, na założenie domu zarobkowego dla biednych steranych pracą i wiekiem rzemieślników, oraz dla wielu innych pożytecznych zakładów.

Jak dalece serce Staszica przepelnione było miłością i litością dla biednych, dowodzi nam pewne zdarzenie z jego życia.

Skutkiem częstego przemywania towarów do Warszawy ścieżkami w okopach, okalających miasto, rozstawiono strażników do pilnowania, aby nikt po tych ścieżkach nie chodził.

Staszic, który mieszkał w bliskości okopów, nie wiedząc o zakazie, poszedł jak zwykle w tę stronę na przechadzkę. Strażnik, zobaczywszy człowieka ubogo ubranego, krzyknął, ażeby się wrócił. Staszic, nie przypuszczając, że to na niego wołają, szedł spokojnie dalej, strażnik jednak, który był trochę nietrzeźwy, podbiegł, porwał go za kołnierz i zawrócił ku miastu.

— Upamiętaj się, człowieku—rzekł spokojnie Staszic—jestem ministrem.

— Kłamiesz! — krzyknął strażnik — jesteś przemytnikiem—i uderzył starca w plecy tak, że ten upadł. Przechodnie, oburzeni tym postępkiem strażnika, poznawszy Staszica, podnieśli go i odprowadzili do domu.

Wiść ta prędko doszła do wiadomości ministra skarbu, który natychmiast wydalil strażnika ze służby.

Biedak długo nie mógł znaleźć innego zajęcia i tułał się po ulicach.

Pewnego razu Staszic spotkał go, a poznawszy i dowiedziawszy się, że cierpi nędzę, rzekł do niego:

— Widzisz, postępowaniem swoim pozbawiłeś się chleba, jeżeli jednak przysięgniesz mi, że będziesz żył trzeźwo, to ci przebaczę.

Otrzymawszy przyrzeczenie, Staszic nie tylko wypłacił

z własnej kieszeni biedakowi pensję za miesiąc ubiegły, ale nawet wyrobił mu nową posadę.

W testamencie zaznaczył Staszic, aby na pogrzeb jego nie wydawać niepotrzebnie pieniędzy; sześć świec tylko miało palić się przy katafalku, a jeden koń miał zawieźć zwłoki jego na cmentarz. Ale wdzięczni rodacy wraz z młodzieżą akademicką sami zanieśli na barkach śmiertelne szczątki zasłużonego męża do Bielan, odległych o milę od Warszawy, gdzie pragnął spocząć po zgonie pomiędzy skromnymi kamedułami. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi szło za trumną Staszica, który i naukę i majątek i znaczenie zdobył tylko gorliwą pracą, a to, co zdobył z takim trudem, oddał bliźnim, myśląc jedynie o ich dobru i szczęściu, a zapominając zupełnie o sobie samym.

## 160. Kazimierz Brodziński o swojej młodości.

Matki mojej wcale nie pamiętam: pisze Brodziński, miałem lat pięć, gdy mnie odumarała. Jedyna rzecz, którą z dziecinnych lat moich pamiętam, to jej pogrzeb. W późniejszych czasach służące i kobiety wiejskie wiele mi o dobroci mej matki opowiadały, co najwięcej słuchać lubilem, i im jedynie winienem to przywiązanie do matki, które we mnie utkwilo. W najsmutniejszych wypadkach późniejszej mojej młodości, zawsze się do matki mojej, jak do swej patronki modliłem. W dziecinnym wieku napisałem poezję do cieniów mojej matki; wiem, że płacząc, pisałem ją w nocy, na oknie, przy świetle księżyca. Brat mój, Andrzej, zawsze mi ten wiersz mój wychwalał.

Nie wiem, czy kto mocniej czuł nade mnie, co to jest matka. Imię jej od lat najmłodszych było dla mnie świętem. Widok moich rówieśników i innych młodzieńców przy matkach, napelniał mnie rzewnem uczuciem. Nie mogłem utulić się w smutku, gdy widział lub słyszał dowody troskliwości i miłości macierzyńskiej. Nietylko dla matek, ale i dla młodzieńców, których obok



matek widziałem, dziwny jakiś miałem rodzaj poszanowania. Synów, mających matki, uważałem za jakieś wyższe, przez niebo do szczęścia przeznaczone istoty. Kochałem ich dlatego, że matki ich kochały. Wiele leż kosztowało mię to, gdym widział dziecię przez matkę opuszczone. Może to było dziecinne, przesadzone uczucie; ale je pojmie ten, kto lat dojrzałych doszedłszy, nie zna, co to jest uścisk rodzicielski.

Nie mieć matki, przed którą możnaby się szczerze ze wszystkimi dziecinnymi fraszkami, z owymi pierwszymi uczuciami wywnętrzyć, jest to uczucie, którego skutkiem bywa nieśmiałość do ludzi i niebaczość na swoje postępowanie, zaczawszy od dobrych nałogów, wrażeń i przykładów. Do dziś czuję to w sobie, i gdybym dziś jeszcze miał matkę, ręczę, że powiedziałbym jej wszystko jak dziecię i we wszystkim byłbym jej posłuszny, chociaż jestem mężczyzną i w wieku dojrzałym.

Każda też kobieta, tytułem matki ozdobna, ma i ode mnie część miłości synowskiej. Zdaje mi się, że jest potrzebą człowieka, aby kochał swą matkę; że kto jej nie ma, upatruje jej wszędzie i we wszystkim chce ją sobie nagrodzić. Do matki, którąśmy znali, tęsknimy w całym życiu—o nieznanej marzymy jak o raju lub o świecie obiecany i nagradzamy sobie to uczucie i marzenie, tworząc o niej jak najdoskonalsze wyobrażenie

### 161. Dziad i baba.

Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Był sobie dziad i baba  
Bardzo starzy oboje,  
Ona kaszłająca i słaba,  
On skureczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,  
Tak starą jak oni,  
Jedno miała okienko  
I jeden był wchód do niej.

Żyli bardzo szczęśliwie  
I spokojnie, jak w niebie,  
Czemu ja się nie dziwię,  
Bo przywykli do siebie.

Tylko smutno im było,  
Że umierać musieli,  
Że się kiedyś mogiła  
Długie życie rozdzieli.

I modlili się szczerze,  
Aby Bożym rozkazem,  
Kiedy śmierć ich zabierze,  
Zabrała dwoje razem.

— Razem! to być nie może;  
Ktoś choć chwilę wprzód skona!

— Byle nie ty, nieboże,

— Byle tylko nie ona...

— Wprzód umrę!—woła baba—  
Jestem starsza od ciebie,  
Co chwila bardziej słaba,  
Zapłaczesz na pogrzebie.

— Ja wprzód—moja miła!  
Ja kaszlę bez ustanku,  
I zimna mnie mogiła  
Przykryje lada ranku.

— Mnie wprzód.—Mnie, kochanie!

— Mnie, mówię!—Dośćże tego!

Dla ciebie płacz zostanie.

— A tobie nie?... dlaczego?

I tak dalej i dalej,  
Jak zaczęli się kłócić,  
Tak się z miejsca porwali,  
Chatkę chcieli porzucić.

Wtem do drzwi—puk... powoli:  
— Kto tam?—Otwórzcie, proszę!  
Posłuszna waszej woli,  
Śmierć jestem, skon przynoszę.

— Idź, babo, drzwi otworzyć!  
— Ot to!... idź sam! jam słaba,  
Ja się pójde położyć—  
Odpowiedziała baba.



— Fi! śmierć na słocie stoi  
I czeka tam nieboga!  
— Idź, otwórz z łaski swojej!  
— Ty otwórz, moja droga!

Baba za piecem zcicha  
Kryjówki sobie szuka,  
Dziad pod ławę się wpycha,  
A śmierć stoi i puka.

I byłaby lat dwieście  
Pode drzwiami tam stała;  
Lecz znudzona, nareszcie  
Kominem wleźć musiała.

## 162. Józef Ignacy Kraszewski.

Słynny ten i wielce zasłużony pisarz polski urodził się roku 1812 w Warszawie. Kończył nauki w Białej, w Lublinie i w uniwersytecie Wileńskim, poczem gospodarował na wsi, a następnie osiadł w Żytomierzu. Później przeniósł się do Warszawy. Tu pisał wiele, bardzo wiele dzieł i wydawał «Gazetę Polską». W roku 1863 wyjechał z kraju, zamieszkał stale w Dreźnie i tam prowadził dalej swój żywot pracowity. Ostatnie lata jego życia były bardzo smutne. Rząd pruski kazał go uwięzić za jakieś urojone przewinienie i osadził w twierdzy w Magdeburgu. Ponieważ Kraszewski na zdrowiu podupadł, wypuszczono go na pewien czas z więzienia. Pojechał więc dla poratowania zdrowia do Szwajcaryi, lecz tam już został i umarł dnia 19 marca 1887 r. w mieście Genewie, w sam dzień swoich imienin. Zwłoki jego sprowadzono do Krakowa i pochowano na Skałce w grobach «Zasłużonych».

Kraszewski pracował piórem od lat młodości przez całe życie. Pisał do wszystkich pism polskich, tworzył dzieła naukowe, powieści, poezję, komedye. Pracował dniem i nocą, a nawet w więzieniu magdeburskiem nie odłożył pióra. Śmierć mu je dopiero z rąk wytrąciła.

Napisał więcej niż 300 dzieł, to jest tyle, ile niejeden nawet wykształcony człowiek w życiu nie przeczytał. Pod tym względem nie ma sobie równego pisarza w Polsce.

Najwięcej pisał powieści, a między niemi szereg powieści historycznych (przeszło 100 tomów), w których odtworzył przeszłość historyczną swego narodu, stawiał mu przed oczy jego królów i bohaterów, odmalował życie współczesne, wytykał jego wady, podnosił cnoty, kołł rany, krzepił na duchu podupadłe pokolenie; wytrącił z jego ręki francuskie książki, a nauczył czytać z upodobaniem polskie; musimy przyznać, że nauczył nas mówić, myśleć i czuć po polsku. Słowem, był to nauczyciel swego narodu — od pałacu do chaty, od starca do chłopięcia.

Wielbiąc tę jego niestrudzoną pracę, wdzięczny naród obchodził uroczyste 50-letni jubileusz jego pisarskiego zawodu w roku 1879 w Krakowie. W roku 1897 w dieśiątą rocznicę jego śmierci, dla uczczenia pamięci niezmordowanego pisarza, umieszczono w Warszawie w kościele Św. Krzyża pięknie rzeźbioną tablicę pamiątkową.

## 163. Odwiedziny u Lelewela <sup>1)</sup>.

W małej, zimnej i ubogiej izdebce siedział starzec, pochylony nad stołem, założonym książkami, i pilnie coś pisał. Mróz świecił na ścianie, ale on tego zdawał się nie czuć, pióro jego ciągle posuwało się żwawo po papierze. Wtem drzwi się otworzyły i do pokoju weszła dziewczyna, niosąc tacę, a na niej filiżankę czystej herbaty oraz suchą bułkę i postawiła to na stole. Tuż za dziewczyną wsunął się do izby jakiś wytwornie ubrany jegomość i kłaniając się grzecznie, rzekł:

— Witam pana, panie Lelewel.

<sup>1)</sup> Jeden z najwybitniejszych historyków naszych w pierwszej połowie XIX wieku.



Starzec podniósł głowę, skłonił się uprzejmie gościowi i rękę do niego wyciągnął.

— Witam cię, Ludwiku — rzekł — proszę, siadź bliżej przy mnie.

Gość przysunął się śpiesznie, ścisnął podaną sobie dłoń i zajął próżne krzesło, stojące przy stoliku.

— Ależ zimno u pana. potężne! — rzekł, zacierając ręce.

— Eh! nie zimno, mój panie, przy pracy krew się rozgrzewa i mrozu się nie czuje — odparł starzec wesóło.

— Szczęśliwyś pan, że w tak późnym wieku tak łatwo znosisz zimno; lecz skoro opał pana nie nie kosztuje, to mógłbyś przynajmniej na posilniejsze pozwolić sobie śniadanie — odparł gość, patrząc na skromną herbatę.

— Co kto lubi, mój panie kochany. Ja np. wolę na śniadanie porozmawiać z Herodotem <sup>1)</sup>, ojcem historyków, lub z naszym Bielskim <sup>2)</sup>, niż jeść bażanta. Mnie tego rodzaju pożywienie więcej sił doda, niż najwykwintniejsze specyały. Na wykwinaty pokarmowe nie stać mnie, wybieram więc to, co mi więcej smakuje.

Gość uśmiechnął się, przypuszczając skąpstwo w zacnym starcu i nie na to nie odpowiedział, zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

Minęło pół godziny. Znowu drzwi izdebki się rozwarły i w progu jej stanął jakiś biedak.

— Panie, zlituj się nademną, syn mój chory śmiertelnie, nie mam go za co ratować — rzekł drżącym głosem.

Lelewel podniósł głowę, w oczach jego odmalowało się współczucie; dobył z kieszeni woreczek, wyjął kilka sztuk srebrnej monety i wsunął je w rękę biedaka.

Gość przypatrywał się tej scenie z zaciekawieniem i wielkim podziwem, a gdy obdarzony wyszedł, błogosławiąc dobroczyńcę, przysunął się do starca i całując go w rękę, rzekł z uczuciem i drżącym głosem:

<sup>1)</sup> Historyk grecki. <sup>2)</sup> Najwybitniejszy kronikarz i historyk polski w XVI wieku.

— Przebacz, zacny panie; patrząc na twe aż nazbyt skromne życie, nieogłędnie posądziłem cię o skąpstwo. W tej chwili poznałem błąd mój... Wybacz więc, żem pozór wziął za prawdę.

— Nie gniewam się — odrzekł Lelewel — i nie dziwię się twej omyłce. Pozór u ludzi ma wielkie znaczenie, z pod którego prawda z trudnością się wydobywa. Jam z pozorem zerwał na zawsze, wyglądam też jak stare biedaczysko; ludzie zaś nie wiedzą, żem bogacz, bo nie od nich nie potrzebuję.

#### 164. WYJĄTEK Z POEMATU BOHDANA ZALESKIEGO p. t.

##### Przenajświętsza Rodzina.

Wzdłuż po przysionkach i wschodach kościoła  
Gołębie i wonne kwiecie i zioła;  
Pelno z cackami, z przysmakami budek.  
Takić obyczaj; przy tem miły chłódek.  
Wokół się snuje i młodzież i dziatwa,  
Cheiwa łakoci, więc i sprzedaż łatwa.  
Młodzież — o! młodzież nielada dziś hula!  
Jako roisko pszczolne koło ula,  
Lata i brzęczy swoją pustą nutą,  
Głuszy wieść inną wśród ludu rozsnutą:  
«Jest tu młodzieńczyk pomiędzy mistrzami,  
Któremu mistrze dziwują się sami;  
Mówi o Bogu i pewnie i śmieje,  
A pewniej, śmielej niż nauczyciele,  
I większe, lepsze stokroć rzeczy umie!»

Niepostrzeżenie — w ciszącym się tłumie  
Do odźwiernego w kościele filara  
Jakaś przysionkiem pomyka się para:  
Starzec poważny, wzniosły, siwobrody,  
Obok niewiasta przecudnej urody,  
Postawa skromna, polotna, dziewicza:  
Kiedy niekiedy owal jej oblicza  
I blask od czasu odsuwa zasłonka, —  
To Józef z Maryą.



Jak miły dźwięk dzwonka,  
Dziecięcy głosik zwiastuje nadzieję;  
Mówi pieściwie, nad ludźmi boleje.

Aby nie spłoszyć od Niebios przybysza,  
Lud powzajemnym znakiem się ucisza:  
Tam, to sam jeno ktoś w skrusze uklęka,  
Tam, to sam oczy mokre otrze ręką:  
I jako wprzód — cichość, cichość wielka.

Z pomiędzy niewiast Święta Rodzicielka,  
We łzach świecąca — a miła i słodka,  
Leciuchnym chodem wsuwa się do środka.

Na kobiercowem, kwiecistym wzniesieniu  
Stoi Pacholę w błękitnym odzieniu;  
Oczka ku Niebu, a z skroni od oczek  
Nieme dumanie buja jak obłoczek,  
Niby z włosami jasnemi się wiję  
Na obnażone ramiona i szyję.

Skinął Młodzieńczyk i ozwał się w mowie;  
A mowy Jego język nie wypowie,  
Więc aby rzeczy swej przestaczkom dowieść,  
Snuł przezroczystrą, świecąca przypowieść.  
Sędziwi mistrze dociekają treści  
Niebem pachnącej owej przypowieści.

Kiedy Młodzieńczyk podniósł się na nogi,  
Uśmiech po lieu igrał jeno błogi;  
Spotkał wzrok Matki, z daleka wysnuty,  
Wzrok nieco mętny — gotów na wyrzuty.

Jak rybka z wody zachwycona wędką,  
Poskoczył ku niej wesoło i prędko.

Józef w swem sercu wcale go nie winił,  
Lecz Matka swoje: «Przecż żeś to uczynił?  
A my cię długo — tak długo szukali!»

— Matko, niewiasto kochana, ażali  
Nie przekonałem Ciebie — twoją duszę,  
Że w rzeczach Ojca — przy Ojcu stać muszę! —

Matka słuchała — o! nie gniewna zgola.

Józef, Marya i Jezus z kościoła  
Obok — dłoń w dłoni — razem wychodzili,  
I gwar niemały rozgrzmiewał po chwili,

Bowiem szeptali i starzy młodzi:  
— Oto On idzie: On to, On nadechodzi!  
Nowa Syońska łaska i nadzieja!  
Pański nasz Prorok! Pański kaznodzieja! —

W rozbrzmieniu świeżej, duchowej nauczki  
Ten, to ów z ciżby, kto w sercu maluczki,  
Całował szaty to Syna, to Matki.  
Dziewczęta wonne podawały kwiatki,  
Jezus przyjmował i skinieniem ręki  
Pomiędzy lud swój rozdzielał podzięki.

## 165. W wiejskim ustroniu Bohdana Zaleskiego.

Józef Ignacy Kraszewski, opisując podróż swą po Francji, w jednym miejscu tak pisze:

Okolice Paryża słyną z piękności. Wprawdzie ani skal ani gór znaleźć tu nie można; lecz czy trzeba więcej na utworzenie widoku miłego i wdzięcznego, nad brzeg rzeki i stare drzewa? Gdy z pomiędzy nich tu i owdzie wyjrzy ładny domek, kwiecisty ogródek, biały posążek, mostek na strumieniu, chatka samotna, a wszystko to okolą zielone zarośla, gęstwiny splecionych gałęzi, w których drży promyk słoneczny — dość zaprawdę, aby się miejsce pięknem nazwać mogło. Cóż dopiero, gdy — jak w okolicy Paryża wieki złożyły się na to, aby z ogromnej przestrzeni uczynić wielki, wspaniały park, gdzie królowie i panowie budowali pałace i zakładali ogrody, a zamożny mieszczanin marzy tylko o wiejskim dworku i ogródku, gdzieby mógł sadzić róże i zapoznać się z naturą, którą od urodzenia widział tylko przydeptaną brukiem i osmoloną węglową atmosferą stolicy. Naówczas każda piędź ziemi, otaczająca miasto, przeistacza się w obrazek mniej lub więcej udatny, a że widoki osłania zieloność, więc na tle jej wszystko zresztą ślicznem wydać się musi.

Takiem też wydało mi się i Fontainebleau (Fonteneblo),



kiedym się tam udał. Miasteczko ciche i spokojne, otoczone sadami i lasami, jest ulubionym celem wycieczek mieszkańców stolicy i bardzo miłym spoczynkiem; pojąć też łatwo, że nawet królowie, znużeni gwarem stolicy, chętnie tu przebywali.

Jednakże mnie wabił przedewszystkiem mały skromny domek, w którym naówczas mieszkał z rodziną, z żoną i sześciorgiem dzieci, słowik ukraiński, poeta «Przenajświętszej Rodziny», Bohdan Zaleski. Kiedym po raz pierwszy w życiu ujrzał tego miłego, prostoty a powagi pełnego człowieka, uczulem dlań nie tylko cześć, jaką budzi dar Boży, natchnienie, ale czulem i uwielbienie, jakie budzi drugi dar, jeszcze cenniejszy, gorąca iskra w sercu. Cały bo to był sercem człowiek, szczery i przeznacny, a jako dziecię prosty, mimo wielkiego rozumu. Znalazłem go takim samym, jakim go sobie wyobrażałem, czytając jego pieśni. Z tych pieśni wieje cała dusza. Pieśń i człowiek są w zgodzie zupełnej: czysty i święty duch chrześcijański przesiał go, rzekłbym, całego. A że jaki gospodarz, taki dom, więc wszystko wokoło serdeczne było, wiejskie a proste.

Sama pani domu i gospośia krzątała się około wszystkiego; od kuchni i pokoju dzieci wracała wieczorem do fortepianu, a przy nim taką była artystką, jak przed chwilą pracowitą gospodynią.

Bohdan zdał mi się więcej żyć przeszłością, niż chwilą obecną; o niej mówiąc, ożywał się i młodził, a przychodziła mu przeszłość z takimi szczegółami na pamięć, jakby wczoraj dopiero minęła. Przedewszystkiem z rzewną tęsknotą przypominał sobie rodzinne swoje strony, uroczą Ukrainę, której już tak dawno nie widział...

Pożegnałem miłą rodzinę, jakby dawny znajomy, bom poetę nie od tej chwili ukochał, bom nie potrzebował widzieć jego twarzy, by znać serce.

## 166. Jałmużna.

Maj to był właśnie. Ledwie jutrzeńka  
Rozlała blaski i wonie,  
Gdy, płacząc rzewnie, jakaś maleńka,  
Biegła dziewczynka przez błonie.

I znać, że śpieszno było niebodze,  
Że pełna żalu i trwogi,  
Bo mija krzyżyk, co stał przy drodze;  
Pod krzyżem siedział ubogi.

— Pan Jezus z tobą, dziewczynko miła!  
Gdzie to tak śpieszysz i czego?  
Uczcij krzyż Pański! — Bóg pomoc zsyła  
Tym, co jej proszą u Niego. —

Na taki widok, na głos staruszka,  
Dziewczynka nagle się wstrzyma  
I lży otarłszy końcem fartuszka,  
Mierzy go długo oczyma.

A starzec znowu: — I cóż tak stoisz,  
Tak patrzysz? — Skąd te lży twoje? —  
Czy czego żadasz? czy się mnie boisz? —  
— Ja się ubogich nie boję.

Bo oni biedni, kochać ich trzeba,  
Często słyszałam od matki;  
Zawsze im sama wynoszę chleba,  
Gdy który przyjdzie do chatki.

Ale, mój dziadku, matka mi chora,  
Chce mnie, jak mówi, porzucić;  
Z łóżka nie może wstać już od wczora:  
Ach! jakże nie mam się smucić!

Całą noc słysząc jęk nieustanny,  
Klęcząc, prosiłam ze łzami  
Pana Jezusa, Najświętszej Panny,  
By mieli litość nad nami.

I ty, staruszk, módl się do Boga,  
Proś Go o zdrowie mej matki,  
A przyjm to — choć ja sama uboga,  
Choć to już nasze ostatki.



Cheiałam dziś za to bochenek chleba  
Kupić dla siebie, lecz lepiej  
Tobie to oddam; proś tylko Nieba,  
Niech moją matkę pokrzepi!

— Tak jest, pokrzepi, będę Go prosić,  
Nie próżna twoja otucha!  
Przestań, dziewczynko, ócz łzami rosić,  
Bóg szczerzej prośby wysłucha.

Bo kto biednemu poda jałmużnę,  
Cierpiącym boleść osłodzi,  
Temu, rzekł Jezus, niebo jest dłużne  
I Bóg go hojnie nagrodzi. —

Zaledwie skończył, aż w mgnieniu oka  
Blask nagły błysnął dokoła,  
Z plec mu szat grubych spadła powłoka:  
Starzec się zmienił w anioła.

I gdy dziewczynka nagłem widzeniem  
W dłoni strwożony wzrok chowa,  
Z tkliwem uśmiechem, z wdzięcznym spojrzeniem,  
Te miłe do niej rzekł słowa:

— Nie płacz dziewczynko, wracaj do chatki.  
Bóg twoją żalność obaczył,  
I drogie zdrowie wrócił dla matki  
I dla cię szczęście przeznaczył.

«Bo kto biednemu poda jałmużnę,  
Cierpiącym boleść osłodzi,  
Temu, pamiętaj, niebo jest dłużne  
I Bóg go hojnie nagrodzi!»

Długo dziewczynka z bojaźni blada,  
Jak wryta na miejscu stała,  
Anioł już zniknął, ona choć rada  
Wracać do matki, nie śmiała.

Wróciła wreszcie — o, co za radość,  
O, co za szczęście tam było!  
Stało się serca życzeniom zadość:  
Matce jej zdrowie wróciło!

*Antoni Edward Odyniec.*

## 167. Stanisław Jachowicz.

1.—Niema w kraju chyba nikogo, ktoby nie znał i nie  
czcił imienia tego zasłużonego i nieodżałowanego męża;  
najdłuższy opis nie wystarczyłby na dokładne ocenienie  
wszystkich prac i czynów jego, czy to jako nauczyciela,  
czy jako pisarza, czy nakoniec jako niezmordowanego  
przyjaciela ludzkości.

Stanisław Jachowicz urodził się we wsi Działowie, w Ga-  
licyi, dnia 17 kwietnia 1796 r. Ojciec jego, człowiek za-  
cny i pracowity, odumarł go, gdy Stanisław był jeszcze małym  
dzieciakiem. Została mu jednak kochająca matka, która za-  
chęcała go do cnoty i pracy, a Bóg dobrotliwy wspierał  
troskliwość matki i błogosławił z Nieba sieroctwu dziecka.

Tak przeszły pierwsze lata dziecięcego wieku poety;  
później młodzieniaszek został oddany do szkół w Stani-  
sławowie, gdzie pilnością w naukach i skromnością wo-  
bec kolegów zyskał rychło miłość i szacunek wszystkich.  
Potem uczęszczał do uniwersytetu lwowskiego. I tam ró-  
wnież stanął w rzędzie najlepszych uczniów, w gorliwej  
zaś pracy nad sobą, w nauce języka ojczystego, jego lite-  
ratury i dziejów kraju, prześcigał wszystkich. Zamiło-  
wanie to tak opanowało całą jego istotą, że odtąd posta-  
nowił poświęcić się nauczaniu tych przedmiotów i kształ-  
ceniu młodych pokoleń.

Przeniósłszy się do Warszawy, przejęty uczuciem od-  
dania się biednym i potrzebującym, wybrał zmuśny i cier-  
nisty zawód nauczyciela prywatnego. Od tej chwili aż  
do śmierci przez lat 33 spędzał Jachowicz życie swe na  
nauczaniu maluczkich i na wspieraniu ubogich.

Nauki udzielał za bardzo małym wynagrodzeniem,  
a często i bezpłatnie. W chwilach wytchnienia, pomiędzy  
jedną lekcją a drugą, pisał bajki, powiastki i piosenki,  
ucząc diatwę w tej powabnej formie rzeczy pierwszych,  
najpotrzebniejszych, świętych.

2.—Człowiek ten, utrzymujący z lichej płacy nauczyciela,



siebie i liczną rodzinę, był jednym z największych dobroczyńców ubogich i sierot. Nie mogąc często wesprzeć biednych pieniędzmi, dawał im książki, które drukował, aby ci, sprzedawszy je, mogli opędzić najkonieczniejsze potrzeby życia. Pewna zubożała kobieta, nie mogąca pracować, przez kilka lat utrzymywała się tylko ze sprzedaży ofiarowanych jej w ten sposób książek. Dowiedziawszy się, że jedna z jego uczennic została sierotą, Jachowicz wziął ją do siebie i wychowywał jak córkę, aż do wyjścia jej za mąż. Czworo sierot po siostrze żony przyjął w dom swój i wychowywał je na równi ze swoimi dziećmi.

Wezwany do zasiadania w zarządzie Towarzystwa Dobroczynności, rozpoczął swoją dobroczynną działalność od powiększenia szkółki, w której wykładał, a która wówczas w jednej izbie się mieściła i zaledwie kilkanaście sierot liczyła, tak, że wkrótce uczyło się w niej 170 dzieci. W końcu wyrobił fundusz i pozwolenie na jeszcze większą liczbę uczniów. Całem sercem pokochał sieroty. Dla wybudowania oddzielnego dla nich domu zbierał grosze, gdzie tylko mógł; zbierał nawet po groszu «na cegielkę», aż zebrał taką kwotę, że za te pieniądze stanął przy ulicy Nowy Świat gmach dwupiętrowy, w którym urządzono szkołę i ochronkę dla małej dziatwy.

3.—Pracując tak bez ustanku myślą, piórem i czynem dla dobra ubogich i opuszczonych, Jachowicz wcześniej stargał swe i tak niezbyt silne zdrowie: podupadł na siłach i ociemniał. Ale mimo to nie przestał ocierać łez z oczu nieszczęśliwszych od siebie, nie przestał pracować dla osieroconych i potrzebujących.

Wyczerpała się wreszcie reszta sił, których mu łaskawa Opatrzność jeszcze użyczyła i dnia 24 grudnia 1859 roku Jachowicz zgasł, aby okiem nieśmiertelności oglądać z nieba cały ogrom dobra, które sprawił na rodzinnej ziemi.

O niektórych jego czynach miłosierdzia dowiedziano

się dopiero po jego śmierci. Kapłan, przemawiający nad trumną zmarłego, opowiadał, jak raz Jachowicz wrócił do domu bez koszuli, a tylko w surducie, bo koszulę w drodze darował jakiemuś ubogiemu; jak innym razem znów włożył na biednego jedyne ciepłe ubranie, jakie posiadał.

Wiść o śmierci przeznaczonego «ojca sierot» rozeszła się lotem błyskawicy po Warszawie. Wigilia Bożego Narodzenia, tyle powabu mająca dla dzieci, zmieniła się tym razem w smutek po stracie ukochanego przyjaciela.

Wielki tłum ludzi różnego stanu i wieku, zespolony w jednej żałobie, towarzyszył swemu dobroczyńcy na miejsce wiecznego spoczynku. Trumnę nieśli przyjaciele i wielbiciele, wszyscy osieroceni po stracie Jachowicza; a sierotki Towarzystwa Dobroczynności zaśpiewały ostatni raz «ojcu sierot»:

«Już Ciebie niema w pracowników kole,  
O, Stanisławie, sługo wierny Pana!  
Czyliż zalegnie ugorem Twe pole?»  
Woła żałośnie drużyna splakana.

«Któż nas opieki skrzydłami otoczy,  
Podejmie biedne, jak matka na łono,  
Gdy chłodną ziemią zasypiem ci oczy?»  
Woła sierotek zapłakane grono.

«Kto Bożej prawdy złote ziarno wsunie  
W niewinne dusze z nutą pieśni miłą,  
O, dzieci naszych serdeczny piastunie?»  
Wołają matki, płacząc nad mogiłą.

«Kto nas zgłodniałe nakarmi w potrzebie,  
Jałmużny chlebem i świętymi słowy,  
Gdyś, ojcze biednych, już u Boga w niebie?»  
Wołają ubogie, bezsilne wdowy.

I na cmentarzu, nad trumną ubogą  
Garnie się dziatwa, garnie lud roboczy,  
Wszyscy rzucają z miłością i trwogą  
Sprawiedliwemu garść ziemi na oczy.

Bracia, nie płaczcie! lekka ziemia matka,  
Gdy błogosławieństw uroszona łzami.  
Kto tulił biednych do dni swych ostatka,  
Tego przytulą aniołowie sami.



## 168. Z młodości Fryderyka Chopin'a.

1.—Chopin (Szopen), największy muzyk polski, był za młodu dzieckiem wątłym, wrażliwym i tkliwym, ale obdarzonym niesłychaną żywością charakteru i zadziwiającą bystrością umysłu. To też nauki małemu Fryderykowi przychodziły z łatwością; lecz muzyka najsilniejsze zawsze czyniła na nim wrażenie. Zwróciło to uwagę rodziców i postarali się o dobrego nauczyciela muzyki, nie odrywając wcale chłopca od innych nauk.

Młodziutki Fryderyk robił zdumiewające postępy w grze na fortepianie i wkrótce o wielkim talencie małego Chopina zaczęto sobie opowiadać w mieście.

Umysłowe zdolności chłopca były zdumiewające; niezmierna żywość charakteru pobudzała go do ustawicznej czynności, zaostrzała dowcip, który w rozmaity sposób co chwila się objawiał. Wyrysować karykaturę, napisać wierszyk, udawać kogoś ze znajomych, urządzić jaką zabawę, np. teatr, w potrzebie ułożyć komedijkę, było dla Fryderyka dziełem jednej chwili, a zawsze przebiegało w nim dar spostrzegawczy i humor niepospolity. Zdarzało się nieraz, że gdy sufler w jakim przedstawieniu dramatycznym nie podpowiedział mu słów, należących do roli, Fryderyk—nie zmieszany wcale—mówił swojemi słowami i to tak śmiało i stosownie do rzeczy, że widzowie tego nawet domyśleć się nie mogli.

Tak samo było i z muzyką: na podany temat mógł tworzyć bez przygotowania, a zawsze pięknie i ze zrozumieniem wywiązywał się ze swego zadania.

2.—Ojciec Fryderyka, nauczyciel języka francuskiego, trzymał na stancyi u siebie chłopców, kształcących się pod jego kierunkiem. Raz wyszedł za jakimś interesem do miasta. Chłopcy zaczęli niezmiernie dokazywać, a był pomiędzy nimi jeden szczególnie wielki psotnik, zawsze skory do figlów. Guwerner dozorujący nie wiedział już co począć, aby zmusić chłopca do uspokojenia się i wzięcia się do

nauki. Udaje się więc do Fryderyka, błagając go, aby mu w tem dopomógł.

Fryderyk zaprasza chłopców do sali i powiada, że będzie im opowiadał ciekawą historję, a jednocześnie wygrywał to na fortepianie.

Na te słowa chłopcy zaprzestają figlów, bo piękna gra przyszłego wielkiego artysty miała już wtedy dla nich powab nadzwyczajny i dla niej z ochotą porzucali najzabawniejsze pustoty.

Fryderyk siada do instrumentu; chłopcy przysuwają się z krzesłami do niego. On gasi świece, gdyż zwykle improwizował pociemku, i rozpowiada im najprzód historję o zbójcach i złodziejach, jak — wkradłszy się po drabinie do domu, zabierają co mogą, potem spłoszeni uciekają, kryją się w lesie, dzielą łupami i wśród pogodnej i cichej nocy zasypiają.

Wszystko, co opowiadał, wyrażał muzyką.

Chłopcy słuchali w głębokiem milczeniu, zachwycając się prawdą, objawioną tonami muzyki; a kiedy Fryderyk począł przedstawiać im tajemniczo nocną ciszę lasu i sen ogarniający złoczyńców, pomału oczy słuchaczów zaczęły się przymykać. Dźwięki dobrze oddanej muzyki działały jak kołyska na dzieci: im dłużej trwała gra coraz cichsza, tem głębszy sen ogarniał wszystkich, nawet sam guwerner nie mógł się oprzeć i zasnął z innymi...

Obaczywszy to, Fryderyk przestał grać, wyszedł na palcach z pokoju i pobiegł do matki i sióstr, prosząc ich, ażeby ze świecami w ręku, lecz cicho i ostrożnie udały się za nim, a pokaże im coś ciekawego. Widok śpiących na krzesłach w rozmaitych pozach chłopców wraz z guwernerem bardzo był pocieszny. Wtedy Fryderyk zbliża się na palcach do fortepianu, uderza weń przeraźliwie z całej siły, śpiący zrywają się przestraszeni, nie wiedząc co się dzieje—i dopiero śmiech ogólny!...

Fryderyk wychodził często z ojcem za miasto i jeżeli posłyszał wiejskie skrzypki, rozlegające się z chaty lub



karczmy przy drodze, stawał, przysłuchiwał się uważnie, tonął duszą w sielskiej melodii, napawał się nią i nie było sposobu odciągnięcia go stamtąd.

Wsluchując się w muzykę ludową, przejął się nią do tego stopnia i tyle z niej zaczerpnął, iż wystarczyło mu to na całe życie. Rodziną pieśń swoją ukochał miłością tak silną, że słyszymy ją rzewnie brzmiać we wszystkich jego utworach muzycznych.

z *M. Karasowskiego*.

### 169. O zwierzętach domowych.

1. — Bóg, dając człowiekowi zwierzęta, dał mu w nich towarzyszyów pracy i pomocników silnych a posłusznych; co większa, stworzył je z usposobieniem do wstrzemięźliwości. Większa część zwierząt domowych spożywa mało a pracuje wiele, wystarcza im trochę trawy zeschłej, lub trochę ziarna. Oto cała nagroda za ciężkie posługi!...

A ileż tych posług zwierzęta nam oddają!

Jeżeli potrzebujemy przenieść się szybko z jednego miejsca na drugie, mamy na to konia tak chętnego, tak łagodnego i posłusznego, byle się z nim dobrze obchodzić. Koń na najmniejsze skinienie bieży, raz prędzej drugi raz powolniej, a zawsze według woli swego pana. Ani długość podróży, ani ciężkie drogi, ani rowy, ani rzeki najbystrzejsze, słowem, nic go nie zniechęca. A jakież ciężkie prace wykonywa, ciągnąc nadmierne ciężary! Jeżeli kiedy bronić wypadnie pana swojego, lub też z nim razem natrzeć na nieprzyjaciela, idzie z odwagą i ochotą w niebezpieczeństwo, w ogień największy; widok i siła oręża bynajmniej go nie wstrzymuje. A zawsze pocziwy, zawsze tylko o panu swoim pamięta, wdzięczny za każdą jego oznakę przyjazną.

2. — Tu znowu wół o powolnym kroku, zwierzę mniej wprawdzie okazałe i mniej zręczne od konia, ale jakże dla nas użyteczne! Zarzuca mu na kark niewygodne i gniotące jarzmo, zaprzęgna do pługa—i cierpliwie orze

nasze łany. Kiedy zaś chwila zbiorów nadejdzie, wtenczas i on także bogate zwozi plony—i on się nie usuwa od najcięższej posługi.

Ci dwaj służebnicy mają swoje ważne zalety. Ale jest jeszcze jeden służebnik, w wielu krajach daleko pospolitszy. Koń i wół wysokiej są ceny i utrzymanie ich jest dosyć kosztowne. Bogaty tylko lub przynajmniej dostatni człowiek trzymać i żywić je może, ubogi na to się nie zdobędzie; a przecież ubogi najwięcej potrzebuje pomocy takiego służebnika w pracy.

Otóż tym pomocnikiem ubogich jest osieł. Szlachetną postawę konia zastępuje u niego układ skromny, a siłę wółu—cierpliwość i wytrwałość. Osieł nie chodzi wprawdzie tak prędko jak koń, ale chodzi wytrwale. Pierwszy lepszy oset jest dla niego dostatecznym posiłkiem; wszystko, co mu dają, przyjmuje z ochotą. A za to wszystko jakże nieraz znęcają się nad nim!...

3.—A cóż powiedzieć o psie, tym wiernym przyjacielu, tej pomocy i obronie domu naszego? Usługi, jakie nam psy oddają, są ważne i rozmaite. Brytan strzeże domu; pies owczarski stacza walkę z wilkami i trzyma trzodę w karności; wyżeł i chart celują zręcznością i szybkością; pudel zadziwia nas pojętnością.

Jeżeli pan wpadnie w chorobę i nieszczęście, pies podziela jego niedolę i zdaje się cierpieć z nim pospół. Jeżeli wzrok straci, pies prowadzi go ode drzwi do drzwi, i trudno powiedzieć, co więcej rozrzuwnia, czy niedola pana, czy też smutna i błagająca postawa wiernego sługi. Umarł ociemniały żebrak, wszyscy zapomnieli o nim, nikt nie pójdzie płakać na jego mogiłę—nikt, wyjąwszy psiska jego!

Człowiek ma wprawdzie w koniu, wole i osle wygodną pomoc w pracy; w psie ma stróża i przewodnika pewnego. Ale są rzeczy potrzebniejsze człowiekowi; a temi są—odzież i pożywienie. Otóż tę posługę pełnią: krowa, koza i owca; one nas żywią, ubierają i bogacą. My da-



jemy im trochę trawy lub swobodę szukania w polu tego, co dla nas jest najnieużyteczniejszym; one zaś, wróciwszy do domu, każdego wieczoru wypłacają nam się za to obfitością mleka pożywnego. Noc jeszcze nie upłynęła, a one nową składają opłatę za żywność dnia następnego. Krowa sama dostarcza tyle, ile dla całej rodziny potrzeba, a na stół daje rozmaitość wyszukaną. Koza znowu jest krową dla ubogiego, jak osiel jest jego koniem.

### 170. Do konika.

Gdybyś ty, koniu, koniu bułany,  
Poniósł mnie przez świat daleko,  
Kędy gościniec ludźmi usiany,  
Co go tam widać za rzeką!

Gdybyś mnie poniósł i jeszcze wyżej,  
Gdzie wzgórza świtanie płoną,  
Gdzie orzeł z skały spogląda chyży,  
A szczyty pośród chmur toną!

Oj! unieś ty mnie w te wielkie miasta,  
Żebym ja ujrzał raz przecie,  
Jak się ta praca ludzka rozrasta,  
Posłuchał, co tam na świecie.

Bo też nauczyć chciałbym się dużo,  
A potem przynieść do wioski,  
Jak ludzie ludziom w potrzebie służą,  
Jak koją wzajem swe troski...

Gdy świat zwiedzimy, koniu bułany,  
Zbierzemy, co nam potrzeba,  
Biegnij z powrotem na nasze łany,  
Pracuj wraz ze mną dla chleba.

*Z. Morawska.*

### Przysłowia.

1. Znać dobrze po mowie, co się dzieje w głowie.
2. Choć ubogo, ale chędogo.
3. Nie pomoże kruczkowi mydło.

### 171. Zmyślność psa.

Zmyślność psów dochodzi czasem do nadzwyczajnego stopnia, tak, iż prawie w podziw wprawia ludzi.

Pewien uczony miał ten zwyczaj, iż położywszy się wieczorem do łóżka, długo jeszcze czytywał; ale często, zmęczony czytaniem, zasypiał, zapominając zgasić świecę. Jest to rzecz niebezpieczna i nieraz z tego smutne wynikały wypadki; od świecy bowiem mogą się zapalić papiery na stoliku, dalej pościel, a potem i dom cały. Najczęściej taki człowiek nierozważny, który przez nie pamięć swoją sprawił tę szkodę, sam najpierw doznaje ciężkiego poparzenia, albo nawet w dymie i płomieniach śmierć okropną znajduje.

Ów tedy uczony budził się nieraz w nocy, ze strachem przypominając sobie, że świecy nie zgasił. Ale świeca zawsze była zgaszona. Nie mógł pojąć, kto mu taką przysługę oddaje i tak nad nim czuwa, tembardziej, że drzwi od swego pokoju zamykał na klucz.

Nareszcie chcąc się koniecznie przekonać, kto tę czynność załatwia, zostawił raz świecę niezgaszoną i udał, że śpi, ale naprawdę przymrużył tylko oczy i czekał, co dalej będzie.

Ledwie kilka minut tak spokojnie leżał, gdy jego ulubiony pudel, który w kącie na posłaniu spał spokojnie, wstał, wskoczył na krzesło, z krzesła na stół, a przypatrując się dobrze panu, czy śpi, i widząc, iż ten się nie rusza, łapą świecę zgasił.

### 172. Pies.

1. Pies w najwyższym stopniu posiada to, co w zwierzętach zowiemy zmyślnością, i dlatego do wielorakiej nauki jest zdolny. Uczy się łatwo ochędóstwa, pilnowania, podawania, szukania i t. d. Do nabycia tych przymiotów szczególną mu pomocą jest węch bardzo delikatny. Wę-



chem poznaje pies pana swego i to, co do niego należy, węchem rozróżnia ubranie pana pomiędzy wielu podobnemi, nawet po upływie dłuższego czasu ślady pana swego wietrzy i poznaje. Droge, którą raz tylko przebył, umie znaleźć; a jeżeli do zboczenia z niej przymuszony został, manowcami na nią trafia.

Do wydoskonalenia tych wszystkich przymiotów pomaga mu przywiązanie i posłuszeństwo dla człowieka oraz wierność, którą wszystkie zwierzęta przewyższa.

W niebytności pana swego smuci się, z powrotu jego cieszy się, rad z nim wszędzie chodzi, na skinienie jego wszystko pełni, biciu i wszelkim karom bez oporu się poddaje, w niebezpieczeństwie do upadłego broni.

Psy od najdawniejszych czasów używane są do strzeżenia trzód: bronią je od napaści dzikich zwierząt, a gdy trzoda się rozproszy, pies ją spędza do gromady. Psy owczarskie celują w tym względzie; wiedzą, z której strony zastąpić, w którą popędzić. Są też czujnymi stróżami domów, wozów, towarów, sprzętów; nie tylko szczerkaniem ostrzegają o niebezpieczeństwie, ale całemi siłami od niego bronią.

Większe gatunki, np. brytany, nawet wilków się nie lękają.

2. Polowanie nie może się też obejść bez psów; do tego są rozmaite ich odmiany, a każda inną pełni powinność. Charty są najszybsze, a ogary mają głos najdońszojszy; wyżyły cichutko przy zwierzynie się zatrzymują i bez spłoszenia o jej bytności myśliwemu znać dają; taksy przekopują się w lisie jamy.

Pudle najwięcej przywiązują się do osoby człowieka; czasem uczą się nosić jado w koszykach, rożen z pieczeniem obracać, a bardzo często można je spotkać, jak na sznurku prowadzone, biednemu ślepemu drogę torując.

W Szwajcaryi, na górze Św. Bernarda, gdzie często śniegi zasypują zbłąkanych podróżnych, przyuczono wielkie psy tamtejsze do odgrzebywania zaginionych lu-

dzi, a nawet do odszukiwania i ratowania tych, których jeszcze uratować można.

W innych miejscach, nad rzekami, wprawiają psy, aby umiały tonących chwycić i na brzeg wyciągać.

W Syberyi i Grenlandyi używają psów zamiast koni do jazdy saniami po najgrubszym śniegu i po bezdrożnych miejscach; gdzie koń ruszyć nie może, psy uprząż swoją nadzwyczaj prędko ciągną, biegnąc nieraz od pięciu do dziesięciu mil na dzień.

Straszną chorobą, której psy podlegają, jest wścieklizna; wtedy bez różnicy każdego gryzą i kaleczą, a przez skałeczenie, własnem zarażają szaleństwem. Wścieklizna psów objawia się najczęściej w sierpniu, podczas wielkich upałów.

Trudno jest oznaczyć pierwiastkową ojczyznę psa. Zda się, że pies już w najdawniejszych czasach był towarzyszem człowieka. Gdziekolwiek ludzi odkryto, nawet na najodleglejszych wyspach morza południowego, wszędzie i psy przy nich znaleziono.

*Narcyza Żmichowska.*

### 173. Koncert myśliwski.

(Z «Pana Tadeusza» Adama Mickiewicza).

... Wojski chwycił na taśmie przypięty  
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty  
Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,  
Wzdął policzki jak banie, w oczach krwią zabłysnął,  
Zasunął wpół powieki, wciągnął w głąb pól brzucha,  
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha.  
I zagrał. Róg jak wieher wirowatym dechem  
Niesie w puszcę muzykę i podwaja echem.  
Umilkli strzelce, stali szczerwacze zadziwieni  
Mocą, czystością, dziwną harmoniją pieni.  
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach słynał,  
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;  
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,  
Jakby psiarnię w nie wpuścił i rozpoczał łowy.  
Bo w graniu była łowów historia krótka,  
Zrazu odzew dźwięczący, rzeżki: to pobudka;



Potem jęki po jękach skomla: to psów granie;  
A gdzieniegdzie ton twardszy, jak grzmot: to strzelanie,  
Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,  
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.  
Zadał znowu; myślałbyś, że róg kształty zmieniał,  
I że w ustach Wojskiego to grubiał to cieniał,  
Udając głosy zwierząt; to raz w wilczą szyję  
Przeciągając się, długo przeraźliwie wyje;  
Znowu jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się garło  
Ryknął; potem beczenie żubra wiatr rozdarło.  
Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,  
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.  
Wysłuchawszy rogowej arcydzieła sztuki,  
Powtarzały ją dęby dębom, bukom buki!  
Dmie znowu. Jakby w rogu były setne rogi!  
Słychać zmieszane wrzaski: szczekania, gniewu, trwogi,  
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry  
Podniósł róg, tryumfu hymn uderzył w chmury.  
Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,  
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.  
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,  
Jedne drugim pieśń niosą, jak z chóru do chóru.  
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,  
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,  
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!  
Wojski obiedwie ręce, odjawszy od rogu,  
Rozkrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym  
Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałem, promiennem,  
Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,  
Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.  
A tymczasem rozgrzmiało tysiące oklasków,  
Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

## 74. Przywiązanie psa.

Młody majtek angielski, powracając po kilkoletnim pobyście w Ameryce, do ojczyzny, chciał zabrać z sobą pięknego psa nowofunlandzkiego, który na obcej ziemi był jedynym jego przyjacielem. Lecz kapitan okrętu nie chciał się na to zgodzić. Majtek tedy z wielkim smutkiem musiał się poddać jego woli.

Ponieważ do ostatniej chwili spodziewał się, że mu się

uda uprosić kapitana, więc wziął z sobą pocziwe zwierzę do portu. Atoli kapitan był nieugięty; majtek przeto, wsiadając do łodzi, na której udawał się do okrętu, pozostawił psa na brzegu, zmartwiony tem, że musi rozstać się z nim na zawsze.

Pies zrazu niespokojnie spoglądał za nim, nie ruszając się z miejsca, jakby nie dowierzał, że jego pan ukochany mógł go naprawdę opuścić. Dopiero gdy łódź przybiła już do okrętu, gdy młodzieniec zniknął psu z oczu, a statek rozwinawszy żagle, szybko oddalać się zaczął, pies wskoczył w wodę i puścił się za nim wpław.

Psy nowofunlandzkie doskonale pływają, wkrótce więc spostrzegł majtek, że ulubione jego zwierzę płynie tuż za statkiem. Wzruszony tem przywiązaniem, że łzami w oczach błagał kapitana o zabranie psa, ale surowy człowiek trwał w swoim uporze. Pocziwe zwierzę płynęło w ten sposób za statkiem przez dwa dni, męcząc się straszliwie. Majtkowie podtrzymywali jego życie, rzucając mu trochę pożywienia; ale w końcu siły biednego psa wyczerpały się, położył się na falach i bezwładnie dał się unosić prądowi wody.

Wówczas dopiero litość ozwała się w sercu kapitana: pozwolił zabrać nawpół żywe zwierzę na pokład statku. Wydobyto więc psa z wody i wszelkich dołożono starań, aby mu życie ocalić. Nietylko pan jego, ale wszyscy majtkowie i podróżni pielęgowali go na wyścigi. Przyszedł wreszcie do siebie, chociaż osłabienie trwało długo.

Już okręt zbliżał się do brzegów Anglii, gdy niespodziewanie straszna zaskoczyła go burza. Miotany falami statek, uderzył gwałtownie o ostre skały podwodne i rozbił się tak, iż dla załogi jego żadnego nia było ratunku. Wszyscy zginęli — oprócz owego młodego majtka.

Tego wierny pies uratował od śmierci. Nieprzytomnego, lecz żyjącego jeszcze wyniósł na brzeg, a złożonywszy ostrożnie na ziemi, zaczął czekać i nawoływać. Wreszcie nadeszło kilku rybaków, którzy widząc, co się sta-



ło, wzięli się do ratowania omdlałego. Pies niespokojnie śle-  
dził wszystkie ich poruszenia, jakby nie był pewny, czy  
im może zaufać; lecz gdy młodzieniec otworzył oczy, pocze-  
ciwe zwierzę zaczęło skomleć radośnie, liżąc ręce ryba-  
ków i widocznie usiłując okazać im swoją wdzięczność.  
Potem znużone i wysilone, położyło się u nóg ukochanego  
swego pana, nie spuszczaając z niego oczu ani na chwilę.

### 175. Wyżeł i brytan.

Pan strzelił, trafił kaczkę, pies dostał i dobił;  
A gdy spostrzegł brytana, który nie nie robił,

Zgrzytnął zębami:

— My tylko sami,

Wyżyły legawe,

Dajem wam strawę,

A wy śpicie leniuchy!...

— Patrz na moje łańcuchy —

Rzekł brytan, stróż domowy;

— Gdy ty idziesz na łowy,

Ja nie wprowadzić nie robię;

Ale gdy w nocej dobie

Do wczasu się sposobisz

I nie wtedy nie robisz,

Ja, uwolnion z łańcucha,

Czyniąc urząd podsłucha,

Gdy wyręczam kolegę —

Pana, ciebie, dom strzegę!»

*Ignacy Krasiński.*

### 176. Odważny chłopiec.

W pewnej wiosce na granicy Francyi, kilkunastoletni  
pastuszek pasł kilka sztuk bydła na ściernisku. W rękach  
miał batog, a na nogach duże drewniane trzewiki, jakie  
tam wieśniacy noszą. Opodał bawiło się kilkoro młod-  
szych dzieci.

Wtem spostrzegł pastuszek dużego psa, który biegł

prosto ku dzieciom. Włos na szyi miał zjeżony, a ogon  
ściągnięty pod siebie; nie szczekał tylko warczał i char-  
czał niewyraźnie. Po tych oznakach chłopiec poznał, że  
to pies wściekły.

W pierwszej chwili odważny pastuszek nie myślał o so-  
bie, lecz zląkł się o małe dzieci: był pewny, że pies je  
wszystkie pokąsa. Natychmiast więc rzucił się między  
dzieci i między psa i zastawił się biczyskiem. Pies chwycił  
go za lewą rękę. Wtedy pastuszek wepchnął mu prędko  
i silnie tę rękę w gardło, tak, że pies nie mógł głową ru-  
szyć i zębów uwolnić. Potem drugą ręką okręcił mu  
pysk batogiem, zdjął swój trzewik drewniany z nogi  
i uderzył psa kilkanaście razy po głowie tak mocno, że  
go zabił na miejscu.

Teraz dopiero uwolnił swą pokąsaną lewą rękę z pys-  
ka psa, poszedł do potoku i obmył ją starannie świeżą  
wodą.

Tym czynem bohaterskim pastuszek uratował wpraw-  
dzie inne dzieci, ale naraził się sam na straszną chorobę,  
na wściekliznę, która wybucha szybko i pociąga za sobą  
śmierć niechybną.

Gdy wrócił do domu, wypalono mu rany, rodzice zaś  
dzieci uratowanych złożyli potrzebne pieniądze i posłali  
go do Paryża do słynnego lekarza <sup>1)</sup>, który wynalazł  
skuteczny środek na leczenie wścieklizny.

Ten uratował dzielnego chłopca.

O zdrowie jego prosili Boga rodzice i dzieci, ocalone  
przez niego, dziękując, że Opatrzność zesłała im wtedy  
takiego przytomnego i odważnego obrońcę.

### 177. M y ś l i.

Dać a wymawiać, złe to obyczaje;

Kto ma tak czynić, lepiej niech nie daje.

*Kazimierz Brodziński.*

<sup>1)</sup> Lekarz ten, znakomity uczony, Pasteur (mówi się: Paster), do-  
broczyńca ludzkości, umarł w r. 1895.



# 178. Z życia osła.

1. — Niema może zwierzęcia, któreby w równej u nas było pogardzie, jak osiel, uważany zwyczajnie za wzór uporu i głupoty. A przecież takie o niem zdanie jest niesłuszne i wielką krzywdę wyrządza temu biednemu zwierzęciu. Nie mówimy już o osłach, które we wschodnich i południowych krajach są wielce człowiekowi użyteczne, ale weźmy na uwagę tylko tę rasę osłów, która się u nas, to jest na północy znajduje. Skutkiem złego obchodzenia się z tem zwierzęciem, skutkiem braku należytego o nie starania, podupadło ono i znędziało u nas do tego stopnia, iż trudnoby było dopatrzeć się w niem podobieństwa z jego braćmi południowymi. Nawet wzrost naszego osła mniejszy, niż osłów południowych, barwa jego sierści ciemniejsza i uszy dłuższe. U nas jego pierwotna śmiałość zamieniła się w upór, jego chyżość w ociężałość, jego roztropność w głupotę, jego dzielność w obojętność na bicze i razy.

A przecież pomimo tych wad posiada on jeszcze tyle przymiotów i zalet, iż słusznie stają w jego obronie.

W młodości jest ładny, żwawy i hoży; wyprawia pocieszne figle i skoki. Kiedy nad innemi zwierzętami domowemi w tym wieku ludzie szczególnie troskliwą rozaczają opiekę, on tego nie wymaga, ani nie potrzebuje; poprzestaje na małym i zadowalnia się najskromniejszym pożywieniem. Matka jego czuwa nad nim, a w razie niebezpieczeństwa broni go odważnie, nawet w ogień i wodę się rzuca, kiedy trzeba bronić nieporadne osię. Ono też do matki wielce jest przywiązane; gdy chcą je od niej zabrać, oboje opierają się temu z całej siły i rwą się ku sobie, a jeśli je już rozdziela, przez kilka dni okropnym krzykiem objawiają wzajemny żal i tęsknotę.

Skoro już osielek trochę podrośnie, można go zacząć uczyć; a pojętniejszym jest do nauki, niż cielę lub nawet

źrebie, w tym samym wieku będące. Krok jego był powolny, ale pewny. Swego dozorcę poznaje łatwo, nie umie tylko okazywać mu tak swego przywiązania, jak to czyni koń; przecież ujrawszy go, biegnie ku niemu i widocznie się cieszy.

2. — Najważniejszą rzeczą, którą w obronie osła powiedzieć można, jest to, iż nie jest tak głupi, za jakiego pospolicie uchodzi; owszem, można go, jak konia, wielu rzeczy nauczyć. Wprawdzie przychodzi to z większym nieco trudem i mozolem, ale skutek nigdy nie zawodzi i osiel długo pamięta, czego się nauczył. Pilnie uważa na skinienia i rozkazy swego pana i rozumie je dobrze; dlatego można go nauczyć nawet tańczyć, w takt biegać, drzwi otwierać, po schodach wchodzić i schodzić, poznawać i nogą wybijać godzinę na zegarku pokazaną; na pytanie pana odpowiadać skinieniem głowy; można go nawet do wyścigów używać lub nauczyć na dwóch nogach chodzić, przez obręcze skakać—a wszystko to spełnia śmiało i dokładnie.

Wyborną obdarzony pamięcią, z łatwością poznaje drogę, którą raz przechodził. Niosąc na grzbiecie człowieka lub ciężary, przebywa bezpiecznie niedostępne ścieżki górskie, stąpając po nich uważnie i roztropnie. Wobec grożącego mu niebezpieczeństwa bardzo jest ostrożny.

Mając nadzwyczaj czułe zmysły słuchu, wzroku i powonienia, w ciekawy sposób zachowuje się osiel w okolicach, gdzie mu jakieś niebezpieczeństwo grozić może, w których np. znajdują się zwierzęta drapieżne, dla niego samego groźne. Długiemi uszami ostrożnie nadsluchuje, podnosi głowę i uważnie na wszystkie rozgląda się strony. Jeżeli słuchowi przyjdzie w pomoc jeszcze i powonienie, w takim razie biedne zwierzę traci swój spokój. Nie ruszy się z miejsca i trzeba, aby ktoś z ludzi poszedł naprzód. Wtedy idzie za nim, prawdopodobnie pocieszając się tą myślą, że w razie napadu dzikiego zwierza, człowiek idący naprzód, obroni go.



Wielką wreszcie zaletą osła jest i to, iż w wyborze pokarmów wcale nie jest wybredny. Trawa i siano takie, których ani krowa, ani koń jeść nie chcą, dla niego są prawie przysmakiem; jada nawet osty i chwasty kolące. Wybredniejszy jest tylko w użyciu napoju: mętnej wody nie pija; może być woda słona albo gorzka, to mu obojętne, ale czystą być musi.

Wobec tylu przymiotów i zalet, czyż godzi się pogardzać tem biednem zwierzęciem tak pracowitem i wytrwałem, które do 40, a niekiedy do 50 roku życia tak skutecznie i chętnie służy człowiekowi? Czyż nie rozumniej postępują Arabowie i Persowie, którzy zawsze wielką troskliwością otaczają to pracowite i tak pożyteczne zwierzę? U nas osielek tylko skutkiem zaniedbania i nieludzkiego z nim obchodzenia się tak się wyrodził i znędzniał. Czyż on nie zasługuje na lepszy los z naszej ręki?...

### 179. Osieł i Jacek.

Biedził się Jacek od dobrej godziny,  
Nie mógł osłowi poradzić:  
Nie wiedzieć z jakiej przyczyny,  
Nie dał się przez most prowadzić.

— Nie pójdę! — rzecze, dość tych dziwactw znoszę,  
Męcę się, niszcę i już ledwo łażę;  
Ja mam biedz naprzód? i dlaczego, proszę?  
Wielka przyczyna, że Jacek tak każe! —

Jacek tymczasem nanowo go zmusza,  
Ciągnie za uszy, dragiem, kijem ćwiczę;  
Osieł nietylko, że naprzód nie rusza,  
Jeszcze się cofa i ryczy.

— Niechże cię wreszcie jasny piorun trzaśnie!  
Gniwny Jacek wrzaśnie;  
— Nie ja tu z tobą nie zrobię!...

Gdy mu wtem nagle błysnie myśl szczęśliwa:  
Biegnie wtył, osła za ogon porywa  
I silnie ciągnie ku sobie.

— Ho! ho! rozumiem! Jacek plan swój zmienia —  
Domyślny osieł zawoła;

— Widząc, że naprzód zagnieć mnie nie zdoła,  
Chce mię zmusić do cofnienia.

Otóż nie zmusi, w tej chwili zobaczy,  
Co to osieł znaczy! —

Rzekłszy to, jakby sparzony ukropem,  
Myśląc, że cudów dokona,  
Zrywa się, rusza i przez most galopem  
Leci z Jackiem u ogona.

Są i wśród ludzi istoty tak dziwne,  
Sprzeczne, przekorne, jakby krnąbrne dzieci;  
Lecz udaj zdanie twojemu przeciwne,  
A osieł przez most polecie.

*Franciszek Morawski.*

### 180. Niedźwiedź w Nieświeżu.

1.—Przy końcu 18-go stulecia żył na Litwie, znany wówczas w całej Polsce, książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, zwany «panie kochanku» od przysłowia, którego nieustannie używał. Miłował on ojczyznę, ale nie lubił króla Stanisława Augusta, tudzież wszelkich nowości, przez niego do kraju wprowadzonych, bo sam wierny był zwyczajom i obyczajom po przodkach odziedziczonym. Drwił więc z głów upudrowanych, długoogoniastych fraków i trzewików, które w miejsce stroju polskiego, za przykładem króla, kraj cały przywdziewał.

Z tego powodu uważano księcia za nieokrzesanego barbarzyńcę i nazywano go litewskim niedźwiedziem. Książę wiedział o tem, ale nie myślał o zmianie staropolskiego obyczaju, a modnisiom warszawskim przy sposobności nieraz dał nauczkę, aby popamiętali litewskiego niedźwiedzia.

Zdała więc od zgiełku stolicy, otoczony przyjaciółmi, pędził książę życie na łowach w niedostępnych puszczech litewskich.



Raz, a było to w zimie, w porze do łowów najlepszej, wracał książę wojewoda z kilku towarzyszami z myśliwskiej wycieczki; wesola rozmowa ożywiała całe grono.

Wtem nadjeżdża dworzanin z zamku i daje znać, że przybył do księcia poseł od króla jegomości z Warszawy.

— Chyba się waści przyśniło, panie kochanku, — rzecze książę — pocoby pan Poniatowski posła do mnie wyprawiał? A widziałeś wać tego pana posła?

— Na własne oczy.

— I jakiż?... pudrowany?

— A juści, upudrowany co się zowie; wysoki, na cienkich nóżkach, a łeb ma pełchaty jak baran.

Towarzystwo książęce parsknęło głośnym śmiechem.

— I do tego Włoch. Książdz kapelan rozmawia z nim po włosku.

— Śpieszmy, śpieszmy do zamku — rzecze książę; trzeba się dowiedzieć, co to za bieda tego Włocha przygnała tu o tej porze.

— Jakiś zuch, kiedy się naszej zimy nie boi — ozwie się jeden z książęcej drużyny.

— Panie kochanku — rzecze książę — może on zuch dlatego, że jeszcze nie widział litewskiego niedźwiedzia.

— Warto by mu pokazać.

— Spróbujemy, spróbujemy, panie kochanku, — nie godzi się być na Litwie, a nie widzieć niedźwiedzia.

Za przybyciem do zamku, książę przyjął posła w wielkiej sali i odebrał listy królewskie. Włoch napomknął, że król jegomość radby księcia wojewodę zobaczyć w Warszawie, ale napróżno oczekuje.

— Moja wina, moja wina, panie kochanku — rzecze książę; ale co po psie w kościele, a po niedźwiedziu w stolicy?

Włoch uderzony tonem, jakim książę wymówił te słowa, popatrzył się nań w milczeniu, książę zaś posłyszawszy, że w drugiej komnacie nakrywają do stołu, szepnął dworzaninowi:

— Każ waszmość zastawić co najlepszego, żeby nas Włoch nie obgadywał po Warszawie, że u Radziwiłła kapcański obiad.

2.— Wreszcie dano znać, że obiad na stole. Książę poprowadził posła do jadalnej komnaty, posadził go przy jednym końcu stołu, a sam usiadł przy drugim i nuż zachęcać Włocha do jadła i napitku.

Po jednym i drugim kieliszku podochocił sobie posel, a i książę wpadł w wyśmienity humor. Dworzanie i przyjaciele stali dokoła i wszystkich ożywiała wesola rozmowa. Książę wypytywał Włocha, jak mu się podoba na Litwie, dworzanie zaś nie szczędzili biedakowi przycinków, żartując z jego fraka i upudrowanej głowy.

Włoch bronił się, o ile śmiał i mógł.

— A widział Wać kiedy, panie kochanku, litewskiego niedźwiedzia? — zapytał go książę.

— Nie — odrzekł Włoch; — ale wiem, że jest to zwierz, jak każdy inny, jak pies, jak kot, jak mysz!

— Ha! ha! ha! — parsknęło całe grono głośnym śmiechem.

— Całkiem jak mysz, zgadłeś Waszmość wyśmienicie. Ale trochę większy od myszy.

— Do kota podobny, tylko znowu trochę mniejszy — odezwał się jeden z dworzan.

— No! to więc jak królik — powie Włoch, zniecierpliwiony szyderstwem Litwinów.

— Ba, panie kochanku, a na ilu nogach chodzi?

— Przecież jak każdy zwierz, na czterech — rzecze posel.

— Alboż to każdy zwierz na czterech nogach chodzi? Waszmość jesz teraz indyka, wszak indyk także zwierz, a ma tylko dwie nogi; u nas są takie zwierzęta, co tylko na jednej nodze chodzą.

— Niedźwiedź także na dwóch nogach chodzi — rzecze jeden z dworzan.

— Nie wierzę i widzę, że panowie ze mnie żartujecie, mówi Włoch.



— A możeby Waszmość, panie kochanku, chciał obaczyć niedźwiedzia? Przecież to warto widzieć, na ilu nogach on chodzi.

— Ekscelencyo! — odpowie Włoch — niech sobie chodzi, na ilu chce; ja mu nie przeszkadzam — i uśmiechnął się, aby gniew zataić.

Śmiech donośny zabrzmiał w komnacie.

— Ale cóż to ja widzę? — ozwie się książę — mój gość, panie kochanku, nie ma talerza. Oj, kapcańska służba u Radziwiłła.

Jeden z dworzan poskoczył do stołu, ale książę dał mu znak, aby się wstrzymał.

— Gdzie batko? Batku! — zawołał książę, klaskając w dłonie — pokaż, co umiesz; pójdź odmienić talerz gościowi.

Na te słowa, ogromne, kudłate niedźwiedzisko wtoczyło się do komnaty na dwóch łapach, w dwóch przednich trzymając talerz, i stanęło za gościem.

W komnacie panowało najgłębsze milczenie.

Włoch obejrzał się, krzyknął z przerażenia i wraz z krzesłem, na którym siedział, fiknął na ziemię, obaczywszy po raz pierwszy w życiu to zwierzątko, tak podobne do psa, kota, królika, a szczególnie do myszy.

Otrzeźwiono go zaraz, ale już nie zdołano nakłonić, aby dokończył obiadu; wystraszony, nie czekał nawet, aż książę wygotuje odpowiedź na listy królewskie, i czempredzej, jeszcze tego samego dnia wyjechał z Nieświeża z powrotem do Warszawy.

Podobnie jak tego Włocha, niejednego cudzoziemca nastrożono w zamku nieświeżskim.

Książę Karol Radziwiłł trzymał na swoim dworze wiele obłaskawionych i rozmaite sztuki umięających niedźwiedzi, które usługiwały do stołu i pełniły obowiązki straży honorowej w bramie wjazdnej, gdzie ustawione szeregiem na tylnych łapach, kiwały przedniemi, witając w ten sposób gości.

## 181. Lew, niedźwiedź i komar.

Z krajów szczęśliwych, gdzie ni mniej, ni więcej,  
Zima trwa dziesięć miesięcy,  
Niegrabny niedźwiedź, znudziwszy się w borze,  
Ni pytany, ni proszony,  
W cieplejsze powłókł się strony.

Było to właśnie w tej porze,  
Gdy w dni pogodne i ciepłe wieczory  
Cieszą się wszystkie twory,  
Gdy wszystkie robaczki, ujęte rozkoszą,  
Tłumem się wkoło unoszą.  
Wolno się bawić każdemu;  
Nie tak się zdało gościowi naszemu:  
Jał więc łapami machać i rzucać się cały.  
Wtem go spotkał lew wspaniały.

— Na kogóż, pyta, tak okropna kara?  
I któż śmiał waszą niegrabność obrazić? —  
Niedźwiedź odpowie: — Zabijam komara,  
Śmiał po mojem uchu łązić!

— A jam myślał, — rzecze lew otwarty,  
— Że tygrysy lub lamparty  
Gotujesz się wpół rozdzierać?  
Możeszże gniew swój wywierać  
Nad robakiem, co nawet nie wie o swym błędzie?  
Na mnie, gdy komar usiedzie,  
Zemsty to mojej bynajmniej nie wznieci,  
Wstrząsnę głową i uleci.

Tak każdy podług siebie postępuje:  
Pastwi się dziki, wspaniały daruje!

*Julian Ursyn Niemcewicz.*

## 182. Szkoła w Smorgoniu.

Dziś jeszcze zdarza się widzieć niedźwiedzia, który, oprowadzany na łańcuchu od wsi do wsi, od dworu do dworu, na odgłos fujarki wspina się na dwie łapy przed zebraną dokoła gawiedzią i najpociesniejsze wyprawia skoki, popisując się w ten sposób swoją umięjętnością.

Niegdyś widowiska takie były bardzo zwykłe, istniała nawet osobna akademja dla panów niedźwiedzi, gdzie



wyuczano ich różnych sztuk i skoków, aby oprowadzając ich potem po kraju i pokazując za pieniądze, ciągnąć z tego zyski.

Słynna ta akademja, gdzie uczono tańczyć niedźwiedzie, była w Smorgoniu na Litwie, między Oszmianą a Mińskiem. Dziełem wychowania młodzieży niedźwiedziej trudnili się tam przeważnie cyganie, w umyśle na to urządzonego budynku na przedmieściu.

Przysposobiwszy sobie młodego niedźwiadka, czyli misia, wdzielali mu nasamprzód grube trzewiki, albo chodaki na tylne łapy, pozostawiając przednie bose. Tak prowadząc go na łańcuszku, cygan wchodził z nim do głównej sali nauki. Była to duża izba z blaszaną podłogą, pod którą palił się ogień. Dokoła izby ciągnęła się wążka przyźba ceglana, na którą wstępował cygan, puszczać wychowanka na środek.

Zaledwie drzwi się zamknęły, dobywał cygan fujarkę i zaczynał przygrywać. Wprowadzony niedźwiadek słyszał jednocześnie nieznane sobie dźwięki muzyki i czuł pieczenie rozgrzanej blachy w przednie łapy. Pomagał sobie tedy stawianiem na tylnych łapach, podnosząc bose w górę.

Ale i to nie wystarczało na długo, gdyż rozpalona blacha zaczynała niebawem i przez trzewiki dopiekać. W takim razie musiał nieborak przestępować szybko z nogi na nogę, i oto prędzej, niżby się można spodziewać, nauczył się stawać na tylnych łapach, podskakiwać i niby tańczyć; a cygan ciągle oprowadzał go na łańcuszku dokoła przyźby.

Działo się to wszystko przy ciągłych dźwiękach fujarki, która dopiero wtedy umilkła, gdy nauka się kończyła i uczeń z mistrzem opuszczał salę.

Nazajutrz nowa lekcyja, nowe trele fujarki i nowe skoki na rozpalonej blasze.

Z czasem nuta muzyki i potrzeba podskakiwania dla ochronienia łap od gorąca, tak ściśle jednoczyły się

w wyobraźni niedźwiedzia, że niechcący przenikliwym obdarzony umysłem, popadał nakoniec w mniemanie, że cały ten przymus do tańca pochodzi jedynie od czarodziejskich dźwięków fujarki. Stąd, gdy po kilku lub kilkunastu dniach ukończyły się lekcyje w sali na blasze, a nastąpiły ćwiczenia na zwyczajnej podłodze, dość było zagrać na fujarce, aby przełknięty Smorgończyk spaść się natychmiast na dwie łapy i ruszył w taniec.

Nakoniec, dla uzupełnienia edukacyi, występował uczeń pod gołym niebem, na piasku lub na murawie, a popisawszy się należyte, udawał się ze swym przewodnikiem w podróż taneczną po świecie.

### 183. Wydra króla Jana.

1.—Jan Chryzostom Pasek, który żył za czasów Jana III Sobieskiego, tak pisze w swoich «Pamiętnikach»:

Chowałem sobie wydrę tak łaskawą, że wołałbym był dać część majątku mojego, niż onę, bom ją tak lubił. Tymczasem król Jegomość dowiedział się od kogoś o tej wydrze i chciał ją koniecznie dostać; ale mnie nie znano i nie wiedziano, do kogo owo żądanie skierować.

W końcu sąsiad mój, Bełhacki, dał wiadomość, że wydra jest u mnie.

Dopiero tedy król ucieszył się nadzieją, mówiąc:

— Mnie pan Pasek dawno znajomy; wiem, że mi jej nie odmówi.

Przysłała więc Straszewskiego z listem; pisze także koniuszy koronny i krewny mój, dworzanin królewski, prosząc, żebym tego podarunku królowi nie odmawiał, gdyż mi to król Imię nagrodi wszelką łaską i względami.

Przeczytawszy list, zadziwiłem się, kto to o tem zwiastował, i pytam:

— Dla Boga! cóż królowi Imci po tej wydrze?

Posel powiedział, że król Imię żąda i bardzo prosi. — Ja dopiero:— że niema tej rzeczy u mnie, coby miała być



odmówiona królowi Imci. Ale było mi tak miło, jakby mnie kto ostrem zgrzeblem po gołej skórze drapał.

Posłałem więc do browarnego arendarza, żeby mi przysłał rękaw wydrzany, który gdy przyniesiono, kładę posłowi królewskiemu na stół, mówiąc:

— Otóż waś masz wydrę.

Ów patrzy i mówi:

— Ależ żywa ma być i pieszczona ta wydra, o którą król Imć uprasza.

Ja tedy pożartowawszy, jużem ją musiał pokazać, a że jej nie było w domu, lecz gdzieś się tam włóczyła po stawach, wyszliśmy na łąki. Począłem ją wołać jej przezwiskiem, bo się Robakiem nazywała; wyszła mokra z trzciny, poczęła się koło mnie łasić, a potem poszła za nami do izby.

Zdumiał się Straszewski i mówi:

— A dla Boga! jakże to król tego niema kochać, kiedy to tak łaskawe!

Odpowiem ja:

— To waś tylko chwalisz, co widzisz, ale dopiero bardziej chwalić będziesz, gdy obaczysz jej cnoty.

Poszliśmy nad staw. Stanąwszy na grobli, mówię:

— Robak! trzeba mi ryb dla gości, hul w wodę!

Wydra poszła, wyniosła najpierw płocicę; drugi raz kazałem, wyniosła szczupaka małego; trzeci raz wyniosła półmiskowego szczupaka, trochę go tylko na karku obraziwszy.

Straszewski za głowę się porwał:

— Dla Boga! co ja widzę!

Mówię tedy:

— Każesz waś więcej nosić? bo ona póty będzie nosiła, póki nie będzie zadosyć; trzeba ryb ceber, ona nanosi, bo ją sieć nie nie kosztuje.

Straszewski rzecze:

— Już wierzę, kiedy widzę; gdyby mi zaś kto opowiadał, nie wierzyłbym.

2. — Póki Straszewski nie odjechał, pokazywałem mu wszystkie jej umiejętności, które były takie: najpierwej, ze mną sypiała w pościeli; druga, stróż taki z niej w nocy, że, Panie zachowaj do łóżka przystąpić; chłopcu le dwie pozwoliła mię z butów zzuć, a potem już się nie ukazuj, bo narobiła wrzasku takiego, że się musiał obudzić, choćbym najlepiej spał. W dzień zaś, rozłożywszy się gdziekolwiek, spała tak, że choć ją na ręce wziąć, oczu nie rozdziawiła. Surowej ryby, surowego mięsa nie chciała jeść; nawet kiedy w piątek albo w post uwarzono jej kureczkę albo gołębia, a nie włożono pietruszki i nie dano tak, jak należy, to jeść nie chciała.

Rozumiała też jak pies:—nie daj ruszać!

Kiedy mnie kto poszarpał za suknie, a rzekłem:—ruszaj!—to skoczyła z krzykiem przeraźliwym, szarpała za suknię, za nogi, równo z moim psem, do którego bardzo była przywiązana. Innych zaś psów nie lubiła i, jak który do izby przyszedł, zaraz go łapką wycięła, choćby to był chart najroślejszy.

Przyjechał był raz do mnie Ożarowski Stanisław; byłem mu rad. Wydra też, że mnie trzy dni nie widziała, przyszła do mnie i nie mogła się nacieszyć i naigrać.

Gość miał z sobą charcicę piękną i rzecze do syna:

— Samuelu! trzymaj charcicę, żeby tej wydry nie zjadła!

Ja mówię:

— Nie turbuj się waś! nie da sobie to zwierzątko krzywdy uczynić, choć małe.

Aż on rzecze:

— Co waś! żartujesz chyba? ta charcica wilka się chwyta, liszka jej tylko raz ziewnie.

Poradowawszy się mną, wydra obaczyła psa nie domowego; podchodzi do owej charcicy i patrzy jej w oczy, a charcica też na nią,—ale obeszła ją dokoła i usunęła się.

Ja myślę: toć już nie jej nie będzie czyniła. Jenó cośmy o czemś poczęli mówić, aż wydra znowu wstała (bo mi



się układała była pod nogami) i idzie cicho pod ławami. Zaszła charcicy znowu z tyłu i naraz jak ją wytnie w łydkę! Charcica skoczy do drzwi, wydra za nią; charcica za piec, wydra za nią; kiedy suka widzi, że nie ma gdzie uciec, skoczyła na stół i chciała w okno uderzyć, aż ją Ożarowski uchwycił za nogi.

Dwa jednak kieliszki szlifowane z winem stłukła, a potem jak ją wypuszczono, nie pokazała się do pana, choć pojechał dopiero nazajutrz po obiedzie. To się tak wszędzie psy jej bały.

3.—W drodze wielka z nią była wygoda, zwłaszcza w post. Jadąc bowiem gdziekolwiek mimo rzekę, staw, a wydra była, sieci nie trzeba. Zsiadłszy trochę z wozu, rzeknę:

— Robak, hul, hul! — to Robak poszedł, wyniósł ryby, jakie ta woda miała, jedną po drugiej, aż było dosyć. Jużem tam nie przebierał, jakto w domowym stawie, ale co przyniosła, bierz, oprócz jednej żaby, bo i tę często wynosiła, gdyż ona tam nie brakowała, ale co napadła, to wzięła.

I ja i czeladź mieliśmy się dobrze, a czasem i gość pożywił się, jak się to trafia, że czasem i kilku gości w jednej stanie gospodzie.

Dziwowali się, mówiąc:—kazałem ryb szukać w tem mieście, a nie było można dostać; gdzieżeś waćpan dostał ryb tak doskonałych?

Jam powiedział, że w wodzie.

Nawet i w miśny dzień czasem czeladź rzekła:

— Ej, dobrodzieju! rzucają się tu ryby w tym stawie, niech wydra idzie.

Poszedłem z nią, bo ona z nikim oprócz mnie nie chciała iść. Jeżeli wyniosła dobrą rybę, jako to: szczupaka, okonia rosłego, tom ją sam jadł, nie tylko czeladź, bom ja najlepszej mięsnej potrawy gotów odstąpić dla dobrej ryby.

W tem z nią w drodze było uprzykrzenie, że gdiem jechał, dziwowano się; ludzie kupami schodzili się, wła-

śnie jakby co z Indyi przywieziono; osobliwie w Krakowie, kiedy jechałem przez ulicę, odprowadzała mię kupa różnych ludzi.

Kiedy już Straszewski widział owej wydry przymioty, obaczył też i inne myśliwstwo moje, jako to: zwierzyniec ptasi.

Pojechał więc do króla i wszystko, co widział, opowiedział. Ledwie Straszewski przyjechał i opowiedział, co widział, króla wzięła ogromna chęć.

— Nie może być inaczej — mówił — tylko jedź znowu, a przywieź tę wydrę jakimkolwiek sposobem, byłem ją miał.

Popisano znowu do mnie listy, pytając, co sobie za nią każe dać.

Koniuszy koronny i Piekarski pisali do mnie:

— Dla Boga! już-że się nie wymawiaj; lepiej dać i zbyć kłopotu, bo pokoju nie będziesz miał, gdyż król, jedząc, chodząc i śpiąc, tylko o wydrze myśli.

Przyjechał więc Straszewski z powrotem, listy oddał i powiada:

— Kto prędko daje, jakby dwa razy dał.

Przysłał mi też król dwa konie tureckie, bardzo piękne, z siedzeniem bogatem. Ale ja powiedział, że nie tylko pieniędzy, ale i koni nie wezmę, bobym się tego wstydział, za tak blahy podarek takie odbierać nagrody.

4.—Wyprawilem tedy wydrę na nową służbę.

Niewdzięcznie bardzo przyjęła tę wyprawę, piszcząc, wrzeszcząc w klatee, kiedy przez wieś jechali, ażem poszedł do izby, nie chcąc tego słuchać, bo mi jej żal było.

Napisałem także na całym arkuszu, jak z nią mają postępować i to też napisałem, żeby jej nigdy nie wiązać za obrączkę, ale podle obrączki za szyję; dlatego, że u wydry grubsza jest szyja, niżeli głowa, więc choćby najciaśniejsza obrączka, to ją sobie zaraz przez głowę zdejmuję. Napisałem także, jak ją żywić.

W drodze jadąc, gdzie upatrzyli wodę w polu, chociaż bali się, żeby się nie skryła, wpuszczali ją przecie



kilka razy dla ochłodzenia. I to nie pomogło; było pisku i wrzasku poddostatkiem.

Stęskniło się to, znikczemniało; wreszcie przywieźli ją królowi tak jak sowę odętą.

Nieźmiernie rad król, zobaczywszy ją powiedział:

— Stęskniło się to, ale zobaczmy.

Komu ją każe pogłaskać, to wydra za rękę.

Król rzecze:

— Marysieńko, odważę się pogłaskać ją.

Królowa perswaduje, żeby tego zaniechać, aby wydra nie ukąsiła; on przecie usiadłszy podług niej, gdy ją znowu na łóżku posadzono, do niej z ręką powoli.

— To sobie będę miał za dobry znak, jeżeli mnie nie ukąsi; jeżeli też ukąsi, o to mniejsza, pisać tego nie będą po gazetach.

Król ją pogłaskał, pochyliła mu się; jeszcze bardziej się król ucieszył i więcej poczał ją głaskać; potem jej kazał przynieść jeść i łakocie dawał po kawałku, a ona jadła, siedząc na złotogłowie. Już tam chodziła po pokojach, gdzie chciała, coraz swobodniej.

Była już tam dwa dni; postawiono jej wody w naczyniach wielkich, napuszczono w nie rybek, raków; to się cieszyła i wynosiła!

Król rzecze do królowej:

— Marysieńko, nie będę jutro jadł ryby, tylko co mi ta wydra ułowi; pojedziemy, da Pan Bóg, do Wilanowa i tam będziemy próbować, azali się pozna z rybami.

Wydra powoli przyzwyczaiła się do nowego pomieszkowania.

Lecz jednego dnia, gdy biegała po łąkach i gajach wilanowskiego lasu, spostrzegł ją pewien żołnierz i zabił kijem, a skórę sprzedał za złotówkę.

Skoro spostrzeżono, że niema wydry, okropny hałas zrobił się w zamku. Zaczęto szukać i wkrótce wysłędzono prawdę.

Gdy skórę pokazano królowi, uniósł się wielkim gniewem

i wem i kto wie, co by się było stało z owym żołnierzem, gdyby książdz biskup, spowiednik królewski, nie był wstawił się za nim i nie pohamował króla.

## 184. Lis i kozieł.

Już był w ogródku, już witał się z gąską,  
Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,  
Gdzie wodę zbierano;  
Ani pomyśleć o wyskoczeniu!  
Chociaż wody nie było, i nawet nie grzązko,  
Studnia na półczwarta łokcia:  
Za wysokie progi  
Na lisie nogi!  
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznogcia.  
Postaw się w lisa tego położeniu!  
Inny zwierz pewno załamałby łapy  
I bił się w chrapy,  
Wołając gromu, żeby go dobił;  
Nasz lis takich głupstw nie robił!  
Wie, że rozpaczać, jest to złe przydawać do zła.  
Zawsze maca wkoło zębem,  
A patrzy w górę. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,  
Stojącego tuż nad zrębem,  
I patrzącego z ciekawością w studnię.  
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije;  
Cmoka mocno, głośno chłepce  
I tak sam do siebie szepce:  
— Oto mi woda! Takiej nie piłem, jak żyję!  
Smak lodu, a czysta cudnie!  
Chce mi się całemu splukać,  
Ale mi ją szkoda zbrukać;  
Szkoda...  
Bo co też-to za woda!—  
Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:  
— Ej—krzyknął z góry—ej, ty, ryży kudła,  
Wara od źródła!—  
I hop w dół. Lis mu na kark, z karku na rogi,  
A z rogów na drag i w nogi.

Adam Mickiewicz.



### 185. Żubry w puszczy Białowieskiej.

1.—Kiedyśmy w puszczy odpoczywali, nadbiegł jeden z budników—i schowajcie się, schowajcie!—wołał.—Zaraz będą szły tędy.

Skoczyliśmy co prędzej do sosen. Żubry szły rzeczywiście. Zwiastował je trzask suchych gałęzi, łamanie krzów i drzewek. Gdy stado pędzi z pośpiechem, sprawia taki łoskot, że wśród ciszy można go posłyszeć na dwie wiorsty. Ale tym razem były to pojedyncze sztuki.

Najprzód w zaroślach zamigotały dwa czarne ciała, które sunęły się ku nam z nadzwyczajną szybkością, rosnąc z każdą chwilą. Były to dwa stare olbrzymie samce, co łatwo było poznać po ich garbach i łbach, pokrytych obfitemi kudłami, zwieszającemi się w kształcie długich bród pod dolną szczęką. Ujrawszy nas, czy też zwietrywszy, zwróciły się nagle i przeszły o jakie półtora kroku, skacząc lekko przez leżące zawały drzewne; wkrótce straciliśmy je z oczu.

Po pewnym czasie znowu kilka sztuk ukazało się między drzewami, ale jeszcze dalej, niż poprzednio. Prawdziwie dobrze przypatrzeć się tym wspaniałym mieszkańcom puszczy mogliśmy dopiero przy końcu zwierzyńca. Spore stado, ruszone przez budników, zatłoczyło się w kąt, przez który i nam wypadało wracać do domu. Posłyszawszy nawoływanie, zaledwie zdążyliśmy schronić się za drzewa, gdy z różnych stron wysypało się kilkanaście sztuk. Były tam stare samce i krowy z cielętami.

Niespodziewanie połączyło się z niemi i stado jeleni, które również schroniło się poprzednio w to zacisze. Wówczas otoczyła nas cała menażerya puszczy.

Ręka mimowoli szukała strzelby, której brać ze sobą do puszczy nie wolno. Żubry, płoszone krzykiem budników, którzy zabiegali im drogę, kołowały czaś jakiś tuż obok nas. Małe cielątka, czarne jak żuki, bezrogie,

podobne do kulek, śmieszne, z rozwiniętym nad miarę łbem i przodem, a marną resztą ciała, smygły z chyżością sarn przez wszelkie przeszkody. Jedna krowa biegła tuż około częstokołu i tę widzieliśmy najlepiej. Jej małe nietylko nie zostawało za nią, ale jeszcze wyprzedzało matkę.

2.—Wogóle żubry są płochliwe, i gdy ranny jeleni często rzuca się na strzelca, żubr, należący jeszcze do stada, niemal nigdy. Natomiast stare samce, chodzące pojedynczo, są złe, zuchwałe i bywają niebezpieczne. Czasem, a zwłaszcza zimową porą, taki pojedynek staje na poprzek drogi, jak gdyby szukał zaczepki i nie ustępuje nietylko jednemu człowiekowi, ale i całej gromadzie. Zobaczywszy zbliżających się ludzi, wozy i konie, poczyni kiwać swą olbrzymią, brodatą głową, toczy krwawymi oczyma, wydaje głuchy mruk, podobny do chrząkania i chrapania zarazem i rzuca się na oślep.

Naówczas biada zaczepionym! To też chłop puszczański, jadący zimą saneczkami, gdy zobaczy zdala stojącego na drodze pojedyńka, zjeżdża natychmiast w las i stara się objechać olbrzyma jak najdalej.

Bywają wypadki, że żubr rzuca się na człowieka. Wówczas jedyną ochroną, jeśli napadnięty nie ma broni, lub jeśli nie chce strzelać, jest uciekać naokoło cienkiego drzewa, bacząc na obroty napastnika i zwracając się wedle tychże obrotów. Gdy się ucieka naokoło grubej sosny, która zasłania ruchy zwierzęcia, dogania ono z łatwością, uderza, przewraca i rozmiażdża racicami, potem porywa na rogi i rzuca w górę.

Pewien stary leśnik opowiadał, iż dwa razy w życiu był napadany przez żubra. Raz schronił się pod pień leżący i wyciągnął się wzdłuż, przyciskając ciało do drzewa, jak mógł najszczelniej. Żubr nie mógł go deptać; że zaś przy pniu była wklęsłość, nie mógł także podłożyć pod niego rogów. Jednakże zaciekł zwierz nie odstępował go przez kilka godzin. Leśnik mówił, iż



zdawało mu się, że trwało to wieki całe. Drugi raz wy-  
ratował się sposobem wyżej wspomnianym.

*z Henryka Sienkiewicza.*

### 186. Lew i owieczka.

— Broń się, owco, lub zginiesz! — rzekł lew niespodzianie.  
— Jażbym się miała bronić, najjaśniejszy panie?  
Mnie łaskawa natura oręża nie dała,  
Pokora i niewinność, to moja broń cała!  
— O niewinność nie pytam, pokory nie cenię;  
Broń się, albo krwi twojej popłyną strumienie! —  
— Czyń, co chcesz, gdy niewinnej cnota nie zasłoni;  
Ja znosić tylko umiem, innej nie mam broni.  
— Podobą mi się twoja skromność i odwaga,  
Jej potęgą nad samą dzikością przemaga:  
Jesteś wolna, żyć będziesz, jest to tylko próba;  
Nigdy ja nie myślałem pastwić się nad tobą.  
Bo kto gnębi niewinność, bohater nie wielki;  
On w sercu krwi szlachetnej nie ma i kropelki. —

### 187. Z życia lwa.

1. — Zdawałoby się rzeczą niepodobną oswoić takie dra-  
pieżne zwierzę, jakim jest lew; a przecież naturaliści  
podają wiele tego rodzaju przykładów.

Już w starożytności, Kartagińczyk Hanno, oswoił lwa  
do tego stopnia, iż tenże towarzyszył mu wszędzie.

Hanno skazany został na wygnanie; a dla usprawie-  
dliwienia tego wyroku, sędziowie utrzymywali, że rzecz-  
pospolita musi się lękać człowieka, który zdołał nawet  
srogiego lwa ujarzmić.

Rzymianin Antoniusz kazał do swego wozu zaprzęgać  
lwy i te ciągnęły go po ulicach miasta.

Fakty te okazują możliwość oswojenia dzikich zwierząt  
i dowodzą zarazem potęgę i siłę moralnej człowieka.

Lew oswaja się istotnie jak pies, i do tego stopnia  
przywiązuje się do swego pana, iż po długich nawet

latach rozłączenia, poznaje go z rysów twarzy i z dźwię-  
ków głosu.

Sławny uczony niemiecki, Brehm, chował lwicę, zwaną  
Baszydą, która należała przedtem do pewnego afrykań-  
skiego władcy. Zostawił on jej zupełną swobodę; oka-  
zywała też względem niego żywe przywiązanie, przycho-  
dziła do łóżka budzić go pieszczotami i łąsiła się u nóg  
pana, posłuszna na każde skinienie jego.

Baszyda igrała chętnie ze zwierzętami domowemi, nie  
czyniąc im nigdy najmniejszej przykrości. Często, udając  
zasadzkę, rzucała się na wskazaną jej osobę, jednak nie  
uczyniła jej nic złego; raz tylko przypadkiem, i to pod-  
czas zabawy, zadusiła małpę.

Brehm odbywał z nią dalekie podróże; w Kairze, ku  
wielkiemu zdziwieniu mieszkańców miasta, przechadzał  
się z lwicą po rynku. Wróciwszy z Aleksandryi do Eu-  
ropy, pozostawił ją w Berlinie, udając się w dalsze po-  
dróże. Gdy po upływie dwóch lat przybył ją zobaczyć,  
poznała go odrazu i żywą z tego powodu okazywała  
radość.

2. — Nie mniej godnym uwagi był lew, trzymany w me-  
nazeryi muzeum paryskiego razem z psem, z którym się  
nawet zaprzyjaźnił. Lew ten, pochodzenia afrykańskie-  
go, posiadał wszystkie szlachetne cechy swego rodu.  
Względem psa okazywał przywiązanie jak najczulsze.

Zresztą poważny charakter króla pustyni przystawał  
wybornie do wesołego humoru i szczerości współtowa-  
rzysza niewoli. Częstokroć pies przyczepiał się do jego  
grzywy, chwycił go za uszy, wyprawiał harce po grzbie-  
cie kolegi, który cierpliwie schylał głowę, niewiele obru-  
szając się na te, niekiedy bolesne żarty. Przyjaciele ci  
sypiali razem i dzielili wszystkie przyjemności życia,  
zapominając o niewoli. Gdy w zwykłej godzinie poda-  
wano im pożywienie, każdy, wzięwszy swą porcję, od-  
dalał się w kąt przeciwny dla jej spożycia; żaden nie  
rzucił łakomym wzrokiem na ucztę sąsiada. Kto pierw-

*L G L y*

*W G L*



szy jadło spożył, w milczeniu oczekiwał, aż drugi jeść skończy.

Jednego wszakże dnia nieroztropny dozorca porcyę mięsa, dla lwa przeznaczoną, rzucił psu. Pokrzywdzony zwraca się naturalnie po odbiór do towarzysza, ale pies pokazał mu ostre zęby, gotowe siłą bronić zdobyczy. Lew ustąpił: widocznie pies miał nad nim przewagę.

Podobne sceny powtarzały się, gdy kto ze zwiedzających menażeryę rzucał chleb lub mięso do klatki. Pies porywał zwykle te przysmaki, a pokrzywdzony lew zamiast przyjacielskiego podziału zdobyczy, odbierał od psa ciężkie razy. Wtedy jednak poprzestawał na odtrącaniu łapą samoluba. Zajścia te w niczem nie osłabiały ich przyjaźni.

Atoli znikome jest szczęście ziemskie: pies zachorował ciężko i życie zakończył. Po stracie przyjaciela lew popadł w wielki smutek; ryczał, rwał się, nie przyjmował pokarmu i tracił widocznie siły. Właściciel menażeryi obawiał się, ażeby lew nie padł ofiarą smutku; wyszukał więc innego psa, tego samego gatunku co poprzedni i takiej samej maści. Przyprowadzono go przed klatkę. Lew powstał, oczy mu dziwnym błysnęły żarem, wydał straszliwy i przeciągły ryk i rzucił się na kraty, jakby chciał klatkę zdruzgotać.

Rozumiano, iż te wybuchy gniewu lwa pochodzą stąd, iż ujrzał swego ulubieńca w rękach osób obcych; coprędzej więc puszczonego psa do klatki. Złudzenie jednak nie trwało długo; rozjuszony zwierz skoczył i w jednej chwili zdusił w pazurach nowego towarzysza.

Odtąd nie próbowano już tego rodzaju pokuszeń; widocznie lew nie żałował psa, ale przyjaciela. Czas leczący wszystkie smutki, powrócił mu siły i spokój, lecz nie zatarł całkiem wspomnień bolesnych. Dowód w tem, że już nigdy nie mógł znosić widoku psa; wspinał się na dwóch łapach i ryczał, dopóki nie usunięto zwierzęcia, które go tak drażniło.

## 188. Napad dzików.

1.—Było to we wsi podgórskiej, w ziemi Sanockiej, podczas ostrej zimy. Śnieg spadł tak wielki, że dziki nie mogły się dostać w lesie do żeru, więc zgłodniałe spuściły się wielkiem stadem do wsi.

Słychać było zrazu straszliwe ujadanie psów, które w miarę jak się zbliżał groźny nieprzyjaciel, wkrótce cichło, bo dziki wycięły nietylko wszystkie psy po drodze, ale i trzodę chlewną; gdzie ją tylko poczuły w okamgnieniu rozburzyły chlewy i trzodę pożarły. O obrobie nie można tu było myśleć. Tylko odgłos dzwonów z dzwonnicy, stojącej naprzeciwko dworu, zdawał się na chwilę zatrzymywać stado.

Rzeczywiście przed obejściem dworskiem dziki zwróciły się w bok, przeszły rzekę, a że z rzeki był już ślad przetorowany do plebanii, wpadły na jej dziedziniec całkiem stadem i tutaj się zatrzymały, znalazły bowiem w kopcach przeszło dwieście korey ziemniaków. Ludzie w plebanii, przerażeni tym strasznym najazdem, puciekali na strychy i dachy.

Przez cały dzień rozlegały się we wsi głosy, wołające ratunku; tymczasem dziki, rozłożywszy się po nawozach; leżały sobie spokojnie w barłogu.

We dworze miałem tylko dwie dubeltówki; ale co tu dwie strzelby pomogą na taki najazd całego stada dzików? Było wprawdzie kilkunastu gajowych i leśnych, ale tych śniegi oddzieliły od wsi; zresztą nie miałem żadnego wyobrażenia o tem, jakby tu w myśliwski sposób można sobie poradzić.

Sołtys mi powiedział, że jeśli poświęcę kilkaset okłotów <sup>1)</sup>, to może się da odpędzić nocą dziki od wsi. Pozwolilem na to chętnie.

— Ale, panie, trzeba się mądrze wziąć do tego, bo

<sup>1)</sup> Tarcice.



u księdza było tylko dwieście korcy ziemniaków w kopcach, a u nas jest ich przeszło trzy tysiące; jeżeli więc niemądrze dziki ruszymy, to się do nas spuszcza i zjedzą ziemniaki, skutkiem czego i gorzelnia stanie i woły niewypasione pognamy na targ.

Teraz dopiero ujrzałem całe niebezpieczeństwo położenia, bo nawet nie pomyślałem, że właściwie był to najazd dzików na ziemniaki, w których i tak już tej jesieni wielkie zrobiły szkody.

— Z plebanii — mówił sołtys dalej — nietrudno będzie ruszyć dziki, bo już tam oporządziły wszystko, więc i same tej nocy pójda; ale cała sztuka, aby nie puścić tego najazdu do nas i do wsi. Wypada tedy tak zrobić, że ja z gromadą zastąpię im drogę od dworu i rzeki, a pan z innymi ludźmi ruszy dziki z miejsca. Przed wieczorem zbiorą się ludzie we dworze... Ale przygotujmy tyki.

Tuż w ogrodzie dworskim stały tyki chmielne; wybraлиśmy z nich co najcieńsze i najgładsze, potem w kierunku przez sołtysa oznaczonym, co ośm albo dziesięć kroków przygotowano po dwie tarcice, a prócz tego kilka kup mierzwiastej słomy. Przez resztę dnia robiono gałki żywiczne, a nawet krajano stare wory, maczano je w żywicy i przywiązywano na końcu tyk jak chorągiewki.

2.—Pod wieczór zeszła się prawie cała gromada wiejska do dworu. Sołtys stanął z najcieńszymi chłopami od dworu aż do dzwonnicy.

Gdy się już dobrze ściemniło, wzięliśmy wszystkie dworskie konie pod ludzi, zabraliśmy tyki ze smolnemi wiciami i ruszyliśmy ku rzece.

Plebania leżała nad rzeką, na wysokim wzgórku, a droga do niej wiodła krótkim wąwozem pod górę. Podjechaliśmy tedy, niepostrzeżeni przez dziki.

Jeden z górali skrzeszał ognia, a myśmy trzymali wszystkie nasze smolne tyki w kupie, płomień więc okazał buchnął w górę. Wąwóz był przez dziki dobrze utarty:

ruszyliśmy więc cwałem i z wielkim hałasem pod górę, trzymając w ręku owe płonące chorągiewki. Dziki strwożone porwały się z barłogu. Wtem padły cztery strzały. Dziki zbiły się w jedną wielką kupę na środku. Była to chwila groźna, bo duże samury wybijały się już na czoło i zdawało się, że pójda na ogień przebojem. Lecz padły nowe cztery strzały i na stado rzucono dwa zapalone kagańce. Wówczas poczęły dziki fukać się i pryskać, samury rzuciły się w bok, wywaliły kilka płotów, i wyszedłszy na pole, ryły się w śniegach.

Jednak stado co chwila stawało i obracało się napowrót do ognia; rzucaliśmy tedy zapalone okłoty przed siebie. Ale dziki, nałożywszy nieco drogi, zwróciły się, chcąc się spuścić napowrót do wsi. Wtedy w mgnieniu oka, na znak dany przez sołtysa, rozgorzały owe okłoty i słoma mierzwiasta, złożona na kupach, a jednocześnie uderzono we wszystkie dzwony!...

Był to prześliczny widok zimowej sobótki, który mi nagroził wszelki niepokój i trudy poniesione.

Dziki widząc, że się do wsi dostać nie mogą, zwróciły się w górę i poszły w lasy sąsiednie.

Założyliśmy zaraz ogromne ognisko na dziedzińcu, a choć plebania była blisko, nie było obawy, aby się jaki budynek zapalił, gdyż dachy były pokryte zawalnymi śniegami. W dziedzińcu tedy plebanii i na drodze przy dzwonnicy ludzie czuwali i przez noc całą palili ogień. Nie żałowano także prochu, i ile go można było wystrzelać z dwóch dubeltówek, tyle go wystrzelano na ślepe strzały. Ja zaś udałem się z dwoma góralami do proboszcza, aby go uspokoić, bo lubo już od pół godziny gospodarzyliśmy w dziedzińcu, nikt z domowych nie pokazał się. Takiego strachu napędziły im dziki!

*Wincenty Pol.*

### Przysłowia.

Dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.



## 189. Lew i zwierzęta.

Gdy się wszystkie zwierzęta u lwa znajdowały,  
 Był dyskurs, jaki przymiot w zwierzu doskonały?  
 Słoń roztropność zachwalał, żubr mienil powagę;  
 Wielbłądy wstrzemięźliwość, lamparty odwagę,  
 Niedźwiedź moc znamienitą, koń ozdobną postać,  
 Wilk staranie przemyślne, jak zdobyczy dostać;  
 Sarna kształtną subtelność, jeleni piękne rogi,  
 Ryś odzienie wytworne, zając ręce nogi;  
 Pies wierność, liszka umysł w fortele obfity,  
 Baran łagodność, osieł żywot pracowity.  
 Rzekł lew, gdy go się wszyscy o zdanie pytali:  
 «Według mnie ten najlepszy, co się najmniej chwali.»

*Ignacy Krasicki.*

## 190. Wiewiórka.

Zapewne już nieraz widzieliście wiewiórkę, ale nie możecie powiedzieć, iżbyście ją znali dokładnie. Jej wesołość, żwawe obroty, podobały się wam bez wątpienia; lecz nie zwróciliście uwagi na jej przyrodę.

Jest to zwierzątko z pozoru bardzo przyjemne, łatwo się daje obłaskawić; ale bywa czasem złośliwe i ukąszenie jego daje się uczuć boleśnie. Jeżeli więc dla zabawki swojej chować ją zechcecie, bądźcie ostrożni, nie dowierzajcie jej mince uprzejmej i grzecznej postawie. Przyjemny to widok, kiedy wiewiórka, siadłszy na tylnych nóżkach, uchwyci orzeszek w przednie łapki i łupie go zręcznie swemi ostremi ząbkami. Ale prócz zręczności jest ona pojętna; chowana w domu, przychodzi na zawołanie i pieści się, a widziano, jak rozłupawszy orzeszek, niosła go do ust swojej pani, lub dobywała pieniądza z jej kieszeni.

Chcąc mieć wyobrażenie o jej zręczności, trzeba ją widzieć wolną w lesie. Tam wspina się z dziwną szybkością na drzewa i z jednego przeskakuje na drugie, wło-

sisty ogon unosząc w powietrzu. Gniazdo buduje sobie na wysokich drzewach z liści i mchu, albo zajmuje opuszczone gniazdo po srokach i wronach. W bliskości gniazda ma spiżarnię, którą zaopatruje w orzechy na zimowy zapas; ale tak dobry czyni wybór, że niepodobna prawie znaleźć między niemi orzecha pustego. Prócz orzechów, ma także za pożywienie bukiów, szyszki, korzonki, żołądź i niektóre owoce. Głód długo wytrzymać może, jako też i pragnienie. Przeczuwa słotę i przed deszczem albo burzą kryje się w wydrążone drzewo i zatyka otwór. Lubi czystość i ochędóstwo—wszelako utrzymywana po domach, nieprzyjemnym wyziewem napęlnia powietrze.

Szare wiewiórki w Laponii, które są nieco większe od naszych, mają szczególniejszy sposób przeprawiania się przez rzekę. Gdy im zabraknie pożywienia i chcą się przenieść w inne strony, siadają na kawałku kory drzewnej, podnoszą ogonki nakszałt żagli, a wiosłując jedną nogą, płyną swobodnie. Dopóki wiatr łagodny, podróż idzie pomyślnie, lecz najmniejsze poruszenie fali zatapia je w rzece—widziano nieraz kilkotysięczną flotę wiewiórek tym sposobem ginącą.

Nietylko szare, ale i czarne wiewiórki w Ameryce północnej odbywają podróże — we dwa dni przepłynęło ich raz 50,000 przez szeroką rzekę Niagarę.

Z wiewiórki pospolitej, prócz rozrywki, tę mamy korzyść, że zapas jej orzechów staje się częstokroć naszą zdobyczą; z włosów jej ogonka robią pędzelki dla malarzy, a skórka wyprawna daje piękne futerko.

*Stanisław Jachowicz.*

## 191. M y ś l i.

Chronisz się pracy, a chcesz być bogatym;  
 Wierz mi, braciszku, omylisz się na tem.

*Kazimierz Brodziński.*



## 192. K r e t.

Wyszedłszy na wiosnę do ogrodu lub w pole, spotykamy nieraz małe kopce ziemi, takie, jak gdyby je kto, bawiąc się, usypał rękami. Kopce te robi kret, niewielkie zwierzątko, które żyje w ziemi.

Kret ma ciało krępe, waleczkowate, okryte mięciuchnym włosiem czarnym, niewidzialne uszy i oczy, ukryte pośród włosów, nosek wyciągnięty i zakończony krążkowatym ryjkiem, ogonek krótki. Obie pary łapek jego nie są jednakowe. Dwie przednie łapki są silne, szerokie i z szerokimi mocnymi pazurkami, niemi też kret przedko i łatwo ziemię wygrzebuje; tylne łapki, słabsze, służą mu do uprzątnięcia wykopanej ziemi. Szczęki ma opatrzone ostremi ząbkami.

Kret wygrzebuje sobie w ziemi długie nory, a wyrutą ziemię wyrzuca na wierzch; to są właśnie owe małe kopce czyli kretowiny w ogrodach i na łąkach.

Wędrując temi norami, kret łowi dżdżownice, gąsienice, chrząszcze i inne robaki i owady, któremi się żywi. Jest bardzo żarłoczny i zjada ich przez dzień wielką ilość. Nigdy zaś nie podgryza i nie zjada korzonków roślin, nawet wtedy, gdy jest głodny; owszem, wyświadcza ogrodnikowi i rolnikowi wielką przysługę, skoro pożera pędraki chrabąszczów i inne robaki, żywiące się korzonkami, pączkami i liśćmi roślin.

Mimo to kret naprzykrza się nieraz ogrodnikom, gdy na grządkach liczne sypie kretowiny, przyczem zdarza się, iż podkopie roślinkę z korzonkiem. Szczególnie na wiosnę w czasie deszczów, gdy dżdżownice przy powierzchni ziemi się trzymają, można spotkać dużo świeżych kretowin. W czasie posuchy kret grzebie w ziemi głębiej, goniąc za robakami.

Lecz choć kret jest z tego powodu ogrodnikom przykry, nie powinni go tępić, bo nie miałby kto polować w ziemi na szkodliwe dla roślin robaki, a te wyrządziły-

by daleko dotkliwszą szkodę. Ażeby się pozbyć kreta, dość jest położyć w jego nory cuchnące ryby, przekisłą kapustę, lać dziegieć i t. p., od czego kret ucieka, ma bowiem powonienie bardzo drażliwe; wtedy przenosi się w inne okolice.

## 193. Małpa w kąpieli.

Rada małpa, że się śmieli,  
Kiedy mogła udać człeka,  
Widząc panią raz w kąpieli,  
Wlaziła pod stół—cicho czeka.  
Pani wyszła, drzwi zamknęła:  
Małpa figlarz—nuż do dzieła!  
Wziąwszy pański czepek ranny,  
Prześcieradło  
I zwierciadło,  
Szust do wanny!

Dalej kurki kręcić żwawo  
W lewo, w prawo,  
Z dołu, z góry,

Aż się ukrop puścił z rury.  
Ciepło!—miło!—niebo!—raj!  
Małpa myśli: «W to mi graj!»  
Hejże kozły, nurki, zwroty,  
Fikle, psoty,

Aż się wody pod nią macą.—  
Ale ciepła coś za wiele...  
Trochę nadto... ba, gorąco!  
Fraszka! Małpa nie ciele,

Sobie poradzi:  
Skąd ukrop ciecze,  
Tam palec wsadzi.  
Aj, gwałtu! piecze!  
Niema co czekać;  
Trzeba uciekać.  
Małpa w progi—

Ukrop za nią—tuż, tuż w tropy,  
Aż pod nogi.

To nie żarty!... parzy stopy...  
Dalej w okno... brzęk!—uciekła.  
Że tylko palce popiekła,  
Nader szczęśliwa.

Tak to zwykle małpom bywa!

Aleksander Fredro



## 194 J e ż.

W większych sadach i ogrodach, a także na pobrażach lasów można czasem napotkać bardzo pożyteczne zwierzątko, zwane jeżem.

Jeż ma grzbiet i boki okryte, zamiast sierści, rogowymi kolcami, spód zaś szczecina. Ciało ma ciężkawe, niezgrabne, pysk ryjowaty, uszy i oczy wystające i cztery niskie nóżki, z których przednie opatrzone są tęgimi pazurami do grzebania.

Jeż w dzień kryje się w swem gnieździe i śpi; pod wieczór dopiero wychodzi z kryjówki na żer i poluje przez całą noc. Łowi w trawach ćmy i owady nocne, zjada szkodliwe ślimaki, wykopuje dżdżownice, ukryte pod powierzchnią ziemi, łowi myszy, a nawet pożera węże, żaby i ropuchy.

Gniazdo ściele sobie w zaroślach, pod wybutwiałymi drzewami lub kupami suchych patyków, a na posłanie znosi mech i liście.

W ciągu zimy, nie mając się czem żywić, śpi zwinięty w kłębek pod kupą liści, mchu lub kamieni i dopiero na wiosnę budzi się i wychodzi na żer.

Schwytany, trzyma się domu i przyzwyczajają się do człowieka; bardzo jest pożyteczny, bo tępi wszelkie robactwo i myszy w pokojach i w kuchni.

Napadnięty przez lisa lub psa, jeż zwija się w kłębek i stawia ostre kolce. Wybornie go to chroni przed zębami najmocniejszych zwierząt.

## 195. W i l c z e k.

Wilczek chowany zrobił się grzecznym,  
Bezpiecznym.

Jegomość pieścił, jejmość pasła,  
Przywykł do mleka i masła.

Hoży, dorodny—  
Wilczek był modny.

Nieszczęściem raz kurczę zaszło mu droge;  
Ej, zjadłbym to kurczę! lecz nie,—nie mogę!

Gdy chciwy, trwożny, a czuły,

Tak się biedził ze skrupuły,

Jakoś w tej walce gorącej

Zjadło się kurczę—niechcący.

Po kurczęciu kogutek, po kogucie kura;

Przemogła w wilczku natura.

W końcu poszedł do lasu, a wpadłszy w manowce,

Ów wilczek stał się wilkiem, gryzł gęsi i owce.

Aż go na koniec w jamie dostali.

Najciężej zacząć, pójdzie się dalej.

*Ignacy Krasicki.*

## 196. Jaszczurki, żółwie i żaby (płazy).

*Jaszczurki*, żyjące w naszym kraju, są to małe zwinnе i wcale nieszkodliwe zwierzątka, których ludzie całkiem niesłusznie się boją i brzydzą się niemi. Nie są jadłowite, nie mają zębów, nie mogą więc kąsać i nie mają żadnych żądał kolących. Żyją w dziurach ziemnych, w miejscach suchych, kamienistych, wystawionych na słońce, a żywią się owadami, pajakami i robakami; dlatego są nawet pożyteczne. Zimą przesypia jaszczurka w ziemi w odrętwieniu.

Nasza zwykła jaszczurka zowie się *zwinką*. Jest ona na piędź długa, ma cztery krótkie nóżki, długi ogon, a cała pokryta jest drobną łuską barwy pstrokato-brunatnej i zielonej.

W krajach gorących żyją w rzekach ogromne jaszczurki, zwane *krokodylami*. Taka jaszczurka jest niebezpieczna, gdyż porywa nawet ludzi.

*Padalec* jest to także jaszczurka, ale beznożna, na łokieć długa; jest ona podobna do małego węża i również wcale nieszkodliwa. Lud niesłusznie jej się boi i zabija ją.

*Żółw* jest zwierzęciem bardzo dziwacznej postaci. Jest cały okryty kościanym pancerzem, okrągłym i spłaszczonym. W pancerzu tym jest kilka otworów, przez które żółw wysuwa głowę, nogi i ogon. Ta skorupa żółwia



jest tak twarda, że nawet ciężki wóz może po niej przejechać, a przecież jej nie zgruchoce. U nas w stawach żyje także żółw, ale mały, na Rusi zowią go czerepachą; lecz rzadko się pojawia.

W krajach gorących bywają w rzekach żółwie bardzo duże, a są i na półtora łokcia, lecz te żyją w morzu.

Żaby żyją wszędzie: w wodach stojących, w stawach, rzekach i rowach, wodą napelnionych. W lecie rozlega się wieczorem ich głośnie rechotanie. Mają ciało nagie, śliskie, bez ogona; tylne ich nogi są dłuższe od przednich i dlatego żaby skaczą doskonale. Pływają także wybornie, a żywią się owadami i robakami; lecz wyjadają także ikrę rybią w stawach i dlatego są tam szkodliwe. Podobne do żab są ropuchy, które nie żyją w wodzie, lecz w miejscach wilgotnych, pod kamieniami lub w drzewach spróchniałych. Każdy ze wstrętem spogląda na brzydką ropuchę; ale jest to zwierzątko bardzo pożyteczne, gdyż oczyszcza ogrody warzywne ze ślimaczków i robactwa, którem się żywi. W niektórych krajach ogrodnicy umyślnie kupują ropuchy i puszczają je do ogrodów. Ropucha jest ociężała i nie skacze tak lekko, jak inne żaby. Może żyć bardzo długo.

### 197. Dzieci, ropucha i osieł.

«Chodź tu prędko, Piotrusiu! patrz na tę ropuchę, Jakaż ona obrzydła! podaj-no kij przedziej, Zaraz jej tu sprawimy smarowanie suche, Będziem mieć widowisko, nie dawszy pieniędzy!»

Gdy to mówił Pawełek, właśnie po ugorze, Szedł osieł, co do młyna na grzbiecie niósł zboże, I już miał kopytem zmiażdżyć biedną żabę, Lecz cofnął się, ominął to stworzenie słabe.

Wtedy Piotruś, Pawełek, obaj wstydem zdjęci, Zaniechali złej myśli, jaka ich uniosła, I odtąd zachowali głęboko w pamięci Tę naukę litości, daną im przez osła.

### 198. Odlot bocianów.

1.—Bociany różnią się od innych ptaków swą wędrówką do ciepłych krajów. Kiedy większa część ptaków leci w nocy, one najczęściej wędrują w dzień. Gdy pora późna lub wiatr pomyślny, lecą dniem i nocą, nie spoczywając, wyjawszy czas potrzebny do zaspokojenia głodu. W wędrówce nie śpieszą się. Kiedy już są na miejscach zbórnych i gdy tam mają żer obfite, czasem cały tydzień bawią, poczem się skupiają i znow lecą na oznaczone miejsce, aby znów kilka dni wypocząć i pożerować.

Ciekawy to widok, gdy w połowie sierpnia bociany zaczynają się u nas gromadzić.

Na kilka tygodni przedtem dorosłe już młode bocianki próbują skrzydełek, z początku na swych gniazdach, lecz nie mając tam dosyć miejsca, trącają się i spychają wzajemnie. Gdy niebezpieczeństwo spadnięcia wzmagają się, każdy szuka równowagi i spokojność na chwilę przywrócona. Lecz niebawem najstarszy znów rozsuwa nogą jedno skrzydło tak, że pokrywa niem swych braci i siostry; potem tak samo postępuje z drugim skrzydłem. Zazdrosne rodzeństwo naśladuje starszego. Kiedy już skrzydła dobrze wypróbowane, a rodzice przez kilka dni dla przykładu i zachęcenia toczą nad gniazdem koła powietrzne i młodym próżniakom pożywienia już nie przynoszą, aby ich do lotu zmusić, — wtedy podrywają się bocianki na kilka stóp w górę i wkrótce jeden po drugim spadają na gniazdo. Później podnoszą się na kilka łokci, aż nareszcie najodważniejszy puszcza się lotem na sąsiedni budynek; za nim drugi i całe rodzeństwo; spróbowałwszy jeszcze raz skrzydeł, czy im zaufać można, podlatują do góry lub na dół wszystkie razem, tocząc koła coraz szersze.

2. — Ten tryb życia prowadzą młode bociany w ciągu ośmiu do czternastu dni, a gdy już młodzież doskonale krąży i zręcznie żeruje, wtedy rodzina leci jak gdyby na umówione miejsce i tam spotyka się z innymi rodzinami.



Widzimy ich najpierwej 12 sztuk, później 18, 24, 30 i t. d.; przybywają prawie zawsze szóstkami, dwoje starych i czworo młodych.

Rano zabierają się znajomości, młodzież osobno, starsi w innej stronie; jedni przypatrują się drugim, a gdy już nastąpiło pobratanie, wtedy wszystkie rodziny przemierzają pola poważnym krokiem, szukając pożywienia. Ku wieczorowi całe towarzystwo wznosi się do lotu, krąży coraz wyżej, aż pod obłoki, i wkrótce te duże ptaki wydają nam się wielkości wrony, aż wreszcie znikają z widnokręgu.

Niech nikt nie myśli, że to już odlot, bo tak nie jest. Wkrótce każde grono rodzinne powraca do swego gniazda, jakby na pożegnanie; tam wieczorem i rano chórem zaklekoce i znów śpieszy na miejsce ogólnego zebrania.

Po kilkodniowych ćwiczeniach wzlotu, gromada, złożona z 20, 30, 40 bocianów, podług tego, jak licznie w blizkiej okolicy się gnieździły, znowu przybywa na umówione miejsce i zastaje tu inne gromady, równie liczne. Znów odbywają się zaznajomienia i ćwiczenia powietrzne; wtedy dopiero wybierają się wszystkie w podróż lub ciągną na miejsca jeszcze większych zebrań.

Na tych sejmikach mustrują się wzajemnie i próbują w powietrzu sił swoich, przyczem widocznie stare bociany są nauczycielami; widać, jak się naprzód podnoszą, kołują w powietrzu, górują nad innemi i wznoszą się aż pod błękit nieba, przywołując młodzież do tych ćwiczeń, potrzebnych niezbędnie, aby odbyć przyszłą daleką podróż.

Kilka dni bawią na tych ogólnych miejscach zgromadzenia, najczęściej na bagnistych, mokrych łąkach, stepach lub nadbrzeżnych płaszczyznach; tam naradzają się, dzielą się na partye, egzaminują każdego z osobna, mniej silnych i chorych zabijają, inne odgonią — aż nareszcie, najczęściej raniutko, znikają bez hałasu i to tak cicho, że trudno dopatrzeć tej zajmującej chwili.

*Kazimierz Wodzicki.*

## 199. Młoda gosposia wiejska.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą  
Stała, trzymając w ręku podniesione sito;  
Do nóg jej biegło ptastwo. Stąd kury szurpate  
Toczą się kłębkami; stamtąd kogutki czubate,  
Wstrząsając koralowe na głowach szyszaki  
I wiosłując skrzydłami przez bródzdy i krzaki,  
Szeroko wyciągają ostrożaste pięty;  
Za niemi zwolna indyk sunie się odęty,  
Sarkając na trzpiotalstwo swej krzykliwej żony;  
Ówdzie pawie, jak tratwy, długimi ogony  
Sterują się po łące, a gdzie indziej z góry  
Upada jak kiść śniegu gołąb srebrnopióry.  
W pośrodku zielonego okręgu murawy  
Ściska się okrąg ptastwa, krzykliwy, ruchawy,  
Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi  
Białej, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi  
Tu dzioby bursztynowe, tam czubki z korali  
Wznoszą się z gęstwi pierza, jak ryby z pod fali.  
Wysuwają się szyje i w ruchach łagodnych  
Chwieją się ciągle nakształt tulipanów wodnych:  
Tysiące oczu jak gwiazd błyskają ku Zosi.

Ona w środku wysoko nad ptastwem się wznosi;  
Sama biała i w długą bieliznę ubrana,  
Kręci się, jak bijąca wśród kwiatów fontanna;  
Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy  
Ręką, jak perły białą, gęsty grad perłowy  
Krup jęczmiennych. To ziarno, godne pańskich stołów,  
Robi się dla zaprawy litewskich rosółów;  
Zosia, wykradając je z szafy ochmistrzyni  
Dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni.

Usłyszała wołanie: «Zosiu!...» To głos cioci!  
Sypnęła razem ptastwu ostatek łakoci,  
A sama, kręcąc sito, jako tanecznica  
Bębenek, i w takt bijąc, swawolna dziewica  
Jeła skakać przez pawie, gołębie i kury.  
Zmieszane ptastwo tłumnie furknęło do góry,  
Zosia, stopami ledwie dotykając ziemi,  
Zdawała się najwyżej bujać między niemi.

*z «Pana Tadeusza» Adama Mickiewicza.*



200. **Bociany.**

Od siniego morza bociany leciały, do naszej chateczki drogi nie wiedziały... A nad sinim morzem jasna zorza stała, tym białym bocianom drogę pokazała.

— A, moje bociany, wędrowniki Boże, lećcież, gdzie się błyszcza pługi na ugorze... Gdzie na każdej miedzy polne grusze stoją, gdzie się po pasiekach pszczelne ule roją.

Lećcież, gdzie się rzeki jako srebro wiją, gdzie żóraw po łące chodzi z długą szyją... Gdzie te lasów smugi czernią się pod niebem, gdzie len modro kwitnie, ziemia pachnie chlebem!

— A, moje bociany, wy, białe pielgrzymy! Lećcież, gdzie się ścielą jałowcowe dymy. Lećcież, gdzie się złoci ta słomiana strzecha, gdzie słyhać po błoni tęsknej pieśni echa... Gdzie skowronek dzwoni w kwietniową pogodę, gdzie białem wiaderkiem Kasia czerpie wodę!...

— A, moje bociany, wy Boże pątniki! lećcież tam, gdzie grają echowe muzyki... Ni to dzwonów bicie, ni organów głosy, tylko szumy gajów pod perlami rosy...

Lećcież, gdzie najmilej, gdzie najjaśniej w świecie, tam pewnie tę drogą chateczkę znajdziecie.

Lećcie, gdzie pod słońkiem  
Świeci łąn przy łanie,  
Gdzie słyhać pastusze  
Na fujarkach granie...

*Marya Konopnicka.*

**Przysłowia.**

1. Dla przyjaciela nowego nie opuszczaj starego.
2. Jaka praca, taka płaca.
3. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
4. Źle nabyte nie bywa dobrze użyte.
5. Jak ty sądzisz, choć często omylnie,—tak i na twoje czyny inni patrzą pilnie.

201. **Jaskółka.**

Jaskółka, zwinny mieszkanięc powietrzny, umieszcza się bez obawy przy naszych mieszkaniach, pod naszymi oknami, pod naszymi dachami, w naszych kominach. Nie obawia się nas wcale: powierza nam swe gniazdko i swe dzieci—staje się przyjaciółką domu. Nietylko, że prawie wprowadziła się w nasz domek, ale i pochwyciła serca nasze. Cieszymy się, gdy blisko nas lepi i zakłada swoje gniazdeczko.

Lecz czy to jako mieszkanki głośnego miasta, czy jako skromne wieśniaczki, powracają one co rok w te same miejsca, które z powodu braku pożywienia na zimę opuścić musiały. Tak kochają miejsca rodzinne, że gdzie matka lepiła gniazdo, lepi córka i wnuczka. Gdy dom, przy którym mieszkały jaskółki, jest naprawiony i z gniazdz oczyszczony, to chociaż one przy nim już się nie mieszczą, często go jednak odwiedzają.

Mile wpada w oko wdzięczna postać jaskółki, jej łagodne i towarzyskie obyczaje, a stała przyjaźń dla ludzi przyjazne dla niej wzbudza uczucia. Lecz ma ona skądinąd jeszcze prawo do naszej wdzięczności, gdyż niemałe czyni usługi ogólnemu gospodarstwu natury, a przez to i człowiekowi. Kiedy z początkiem wiosny przyroda budzi się z długiego snu, kiedy soki w roślinach obficie krążyć zaczynają i zapowiadają nowe na nich kwiaty, wówczas mnóstwo owadów powstaje z uspienia zimowego i z niezmierną mnoży się szybkością. Prędko wypełniają one powietrze i wkrótce rozniosłyby zniszczenie wśród całej roślinności, gdyby przyroda nie kładła tamy zbyt ich ilości.

Mnóstwo ptaków żywi się głównie owadami. Jaskółka niepoślednio w tem jest czynna i pożyteczna. W swych napowietrznych wycieczkach łowi ona nieustannie owady, obfity w nich pokarm znajdując; ściga je wszędzie, już to wznosząc się w górę, gdy powietrze jest ciepłe,



czyste i spokojne; już spuszczać się za niemi na ziemię, gdy się tam zbierają, spędzone przez wiatry i mgłę. Ani na chwilę nie przerywa tego polowania, a wykonywa je zwinnie, z dziwną szybkością, a nieraz nawet jakby na igraszkę, porzuca jednego owada, dąży za drugim, to znowu za trzecim. Wytepia całe roje szkodników, któreby mogły w krótkim czasie zniszczyć zasiewy w polach i ogrodach. Możnaż więc nie być jej za to wdzięcznym?

Jaskółki widzieć można we wszystkich niemal krajach i zakątkach kuli ziemskiej. W krajach północnych bawią tylko chwilowo. Na zimę odlatują do Afryki.

Jaskółka, wzięta w rękę i zbadana zblizka, jest ptaszkiem dość dziwnym. Dziób szeroki, którym nieustannie w locie chwytta owady; język krótki, na końcu rozdwojony; tułów niemal bez szyi, skrzydła jak kosa; nóg prawie wcale nie używa, chyba tylko wtedy, kiedy na chwilę przysiadła; ogon miernie długi, widelkowaty—oto jej opis w zarysie.

Przyroda użyła wszystkich środków, aby z jaskółki uczynić mieszkankę prawdziwie powietrzną: w locie je i pije, w locie kąpie się, w locie igra i nuci, w locie karmi swe młode. Ledwie chwilę odpocznie, znów zrywa się do pracy.

## 202. Ptaszek i rybka.

— Szczęśliwa rybka!—tak ptaszek rzecze—  
Któż jej co zrobi, gdy w głąb uciecze?  
Bez troski, strachu, w ciągłej swobodzie  
Igra po wodzie!

Mnie takim szczęściem niebo nie obdziela;  
Jastrząb goni, człowiek strzela.  
Przykroż to, przykro dla biednej ptaszyny  
Zawsze w tej ciągłej żyć wojnie,  
I jednej nawet lichiej odrobiny  
Nie możesz zjeść spokojnie!—

A wtem i rybka w tej samej dobie  
Gdzieś tam w głębinie tak mówi sobie:

— Szczęśliwy ptaszek! jakże bezpieczny,  
Gdy się wzbije w kraj słoneczny!  
Nucąc i ziemi, i niebu, i wiośnie,  
Buja radośnie.

Buja, gdy rybka w ciągłej drży obawie:  
Tu ją straszy sieć zdradliwa,  
Tam szczupak goni po stawie.  
I to się życiem nazywa!

Boże! coś wszystko tak mądrze ułożył,  
Czemuś mnie ptaszkiem nie stworzył?»

Takim i człowiek zali się głosem  
W swych skargach nudnych i długich:  
Widzi on szczęście, lecz dziwnym losem  
Nigdy u siebie, zawsze u drugich.

*Franciszek Morawski.*

## 203. Przywiązanie jaskółki do człowieka.

1. — Pewien badacz przyrody podaje bardzo ciekawe szczegóły o przywiązaniu jaskółki do człowieka.

Było to w miesiącu czerwcu. Para jaskółek, zwanych dymówkami, wywiodła szczęśliwie pięcioro piskląt i już wyprowadziła je na świat. Lecz nastało wilgotne zimno, które wszystkim żyjątkom dokuczało. Posiadały tedy biedne jaskółczęta szeregiem na gałęzi akaćcy rosnącej przed domem i w smutnem usposobieniu czekały na żer, który rodzice mieli im przynieść.

Mijały godziny, a stare jaskółki, mimo wysileń, nie mogły znaleźć owadów, które się pochowały przed słą. Głód i zimno już tak zniszczyły pisklęta, że najmniejsze spadło na ziemię nieżywe, a inne, żałośnie piszcząc o pomoc, pospuszczały skrzydełka i napuszywszy pierze, trzęsły się z zimna.

Badacz ów, widząc nieszczęście, które rodzinę jaskółczą wkrótce ogarnąć miało, otworzył najbliżej nich będące okno i puszczał im złowione w pokoju muchy. Ptaszki chciwie chwytaly ulatujące owady, a uczony,



zapomniawszy o książkach, łapał z dziećmi muchy po kuchni i po pokojach i podawał je jaskółkom. Ptaszeta oceniły to dobrodziejstwo i gdy okno się otwierało, ćwierkały radośnie, jakby dziękując swemu dobroczyńcy.

Tym sposobem badacz ów uratował biedne ptaszki od śmierci. Jaskółki zapamiętały to okno i gdy im je otworzono, wlatywały, siadając zwykle na szafie.

Wkrótce nadszedł czas odlotu ptaszków do ciepłych krajów, więc powędrowały razem z innymi na południe.

2.—Jakież było zdziwienie owego badacza, gdy na wiosnę pewnego ranka zobaczył, że jakaś jaskółka trzepoce się przed oknem, domagając się wpuszczenia. Gdy jej otworzył okno, wleciała, okrążyła pokój i siadła na swem dawnym ulubionem miejscu, nucąc wesołą pieśń powitania.

Odtąd jaskółka przylatywała często, a nawet zostawała na noc na szafie. W pierwszych dniach, gdy wnoszono światło, płoszyła się i latając, tłukła się o ściany; ale później przyzwyczaiła się i sztuczne światło wcale jej nie przeszkadzało.

Po tygodniu sprowadziła drugą jaskółkę, która z początku nie chciała wlatywać do pokoju, lecz po jakimś czasie ośmieliła się i usiadła na szafie przy tamtej.

Odtąd bez obawy obie przylatywały do pokoju. Niedługo zabrały się do lepienia gniazdeczka—lecz to się nie udawało, bo ściany miały obicie papierowe, a gdzie widać było drzewo, było ono tak gładkie, że nigdzie ani przylepić bryłki błota. Co przylepiły jedną bryłkę i po drugą poleciały, to wróciwszy, znajdowały tamtą na ziemi. Smutne usiadły na szafie i nuciły zcicha, jakby się naradzały, czy mają opuścić ten dach gościnny.

Lecz gospodarz umiał zaradzić tej biedzie: odłupał w stajni przeszłoroczne gniazda i przybił z nich kilka do deski, którą umieścił na szafie. Jaskółki wzięły się zaraz do naprawy i dalszej budowy i wykończyły gniazdo. Po kilku tygodniach wywiodły pięciore piskląt.

Samezyk, wdzięczny za opiekę, w szczególny sposób

okazywał swe przywiązanie przyrodnikowi: gdy ten powracał do domu, luba ptaszyna leciała naprzeciw i okrążała go kilkakrotnie, wołając: «diwit! witwit!»

Kiedy wychodził z domu, wylatywała okienkiem i odprowadzała go dość daleko; a jeżeli czasem zamyślony, nie zważał na jej przymilanie się, wówczas trzepotała nad samą głową jego, okrążała go coraz bliżej i uspokajała się dopiero wtedy, gdy na nią zawołał.

Nawet gdy bujała pomiędzy licznymi towarzyszkami nad wodą lub pod obłokami, a on na nią zawołał, przylatywała, aby pozdrowić swego przyjaciela, poczem okrążywszy go kilka razy, odlatywała.

Z końcem lata, kiedy już młode wprawiły się w latanie, a czas odlotu nadszedł, i te jaskółki powędrowały z innymi.

3.—Trzeciego roku, ku końcowi kwietnia, badacz spostrzegł mnóstwo jaskółek, przelatujących razem nad jego ogrodem. Spróbował zawołać i oto w tej samej chwili przywiązana ptaszyna pędem strzały spuściła się ku niemu, dając dowody swej uciechy i pamięci.

Poszedł czempredzej do domu i otworzył okno, a jaskółka, wleciawszy do pokoju, obleciała każdy kącik, usiadła na dawnym miejscu i długo nuciła swą piosnkę, dając tem dowód, że nie zapomniała o swoich przyjaciółach. Wszyscy domownicy przybiegli, aby posłuchać śpiewu ptaszęcia tak wdzięcznego i przywiązanego; każdy podziwiał tę pamięć serca w tak drobnem żyjątku, które, pomimo tylu przeciwności, mimo dalekiej wędrówki, mimo sześciu miesięcy, spędzonych za morzem między ludźmi czarnymi — nie zapomniało, że pewien Europejczyk od śmierci ją wybawił, że ją gościł i opiekował się nią.

I znów przez całe lato luba ptaszyna uprzyjemniała życie rodzinie przyrodnika i okazywała się jeszcze czulszą, jeszcze bardziej przywiązaną.

Kiedy w jesieni znowu nadszedł czas odlotu, z żalem



żegnano ptaszynę; wszyscy posmutnieli, jakby jakieś żalobne przecucie ogarnęło ich serca i niespokojnie pytali, czy ich miluchna towarzyszka powróci na wiosnę.

Przecucie było prawdziwe i obawa usprawiedliwiona, bo w roku przyszłym daremnie czekano jej powrotu, daremnie nawoływano ją i szukano jej koło stajni i nad wodami: powędrowała na obowiązkową pielgrzymkę i—niestety!—już nie wróciła.

*Kazimierz Wodzicki.*

## 204. Dudek, czyżyk i słowik.

Dudek czubaty z czyżykiem  
Spotkali się raz z słowikiem.  
Dudek, ze stroju dumna ptaszyna,  
Tak do czyżyka mówić zaczyna:  
— Ten szary słowik z swemi piórkami,  
Jak widzę, brata się z nami...  
Musi to ptaszek być ładajaki!  
Ulećmy od niego w krzaki.—  
Na to słowiczek, ptaszę rozumne,  
Spojrzał z litością na ptaki dumne,  
Siadł na gałązce obok strumienia  
I jał rozwodzić rzewliwe pienia.  
Tkliwy głos jego do głębi przenika  
Zarówno dudka, jak i czyżyka.  
Z żalem do niego zbliżyć się radzi...  
Zgoda dobremu nigdy nie wadzi;  
Chętnie więc słowik do niej się skłania;  
Lecz im tę skrytą prawdę odsłania,  
Że się nieczyja wartość nie mierzy  
Ani z pozoru, ani z odzieży.

*T. Rodziszewski.*

## 205. Słowik.

Ojczyzną słowika jest Europa i Azja. Przyroda, zawsze hojna i w darach swych rozmaita, ozdobiwszy ptaki gorących części świata bogatemi aż do podziwienia barwami, cały talent śpiewu przelała na słowika. Jakoż pienia skowronków, szczyglów, kosów, drozdów, kanar-

ków i t. d. póty są miłe, póki słowik mileczy; lecz gdy się ten odezwie, gasną wszystkie i nie masz nikogo, kto by jego harmonijnych, ciągłych, a prawie zawsze nowych pieśni nie przeniósł nad głosy wszystkich innych ptaków.

Zwyczajny czas śpiewu słowika jest od początku wiosny, gdy się liście na drzewach rozwijać poczynają, aż do letniego przesilenia dnia z nocą.

«Na święty Wit, słowik cyt.»

Chowany w domu, śpiewa ciągle prawie przez całe dziewięć miesięcy.

W czerwcu słowik dziki przestaje śpiewać, dźwięczny głosik jego zamienia się w chrapliwe kwotanie, tak dalece różne od dotychczasowych harmonijnych tonów, iż go wprawne tylko ucho doskonałych ptaszników jako głos słowicy poznać może.

Słowik należy u nas do ptaków przelotnych. W końcu kwietnia przylatuje pojedynczo a na początku września również pojedynczo odlatuje. Gniazdo ściele w zaroślach lub w gąszczykach liści drzew ogrodowych, blisko wód, w niskich i gęsto zarastających krzakach.

Samiczka niesie pospolicie pięć jajeczek, które troskliwie w ciągu prawie trzech tygodni wysiaduje. Przez cały czas jej siedzenia, samczyk usiadłszy blisko gniazda, ciągle śpiewa; lecz gdy się pisklęta już wylęgą, śpiewa tylko w nocy, w dzień bowiem ma pracę zbierania pokarmu i przynoszenia go pisklętom.

Słowik karmi się wszelkimi owadami, szczególnie lubi tak zwane jaja mrówcze, to jest poczwarki mrówek.

Nie można pochwalać chwytania słowika lub innych ptaków w celu trzymania ich dla zabawy w klatkach. Nie godzi się odbierać wolności niewinnemu stworzeniu Bożemu, odejmować mu przyjemności życia i jedyną rozkosz jego: gaj, powietrze, błękit nieba, słońce, strumyczek, rosę i ruch swobodny.

Trzymać ptaszka w ciasnej i brudnej klatce, w której



się nieraz obrócić nie może, pozbawić biedne stworzenie właściwego pożywienia, zmuszać je do picia zanieczyszczonej wody, słowem trzymać je bez żadnych wygód w izbie, częstokroć ponurej, pełnej zaduchu, pary, i dymu, albo znowu na prażącym słońcu, i przypatrywać się, jak to biedne stworzenie rwie się nieustannie ku ścianom klatki, aby się jakim sposobem wydobyć na wolność, — wszystko to okazuje, że się niema czucia na męki ptaszęcia. Jest to także, pomimo wszelkich pozornych usprawiedliwień, niezbitym dowodem braku dobroci serca, oraz braku religijnej wdzięczności dla Stwórcy, który wszystkim stworzeniom daje swobodę, a nie niewolę.

### 206. Skowronek.

Skowroneczek furknął w glebie,  
Zatrzepotał w drobne skrzydła  
I, jak gdyby zwiśł u sidła,  
Śpiewa ziemi pieśń o niebie.

O co prosisz, skowroneczku?  
Czy o pokój w twem gniazdeczku?  
Czy o ziarnko — drobną miarką?  
Czy o wodę dla ochłody?

Ja o szczęście proszę wioski,  
Bom ja śpiewak Matki Boskiej!  
A gdy ludziom dobrze, czule,  
To i ja się gdzieś przytulę...

A więc lecę pod niebiosy,  
I niebieskiej błagam rosy,  
Błagam burzy urodzajnej,  
Aby rosła niwa, łąka,  
Płodnej ciszy, ciepła, słońka...  
I to pacierz mój zwyczajny.

*Wincenty Pol.*

### Przysłowie.

Na kogo przymówka, na siebie ni słówka.

### 207. O sikorach.

Posiadałem już w życiu swoim rozmaite zwierzęta i ptaki niezmiernie łaskawe. Miałem chowane wilki, które jak psy za kucharzem do rzeki kąpać się biegały; miałem chowaną kunę, która mi była nieodstępną towarzyszką we wszystkich moich wycieczkach; miałem sójkę, która uleciawszy, po tygodniowej niebytności sama wróciła; miałem papugi, które, uciekwszy, wracały do domu; ale były to wszystko oblaskawione albo z młodu wychowane zwierzęta i ptaszki. To, co teraz opowiem, dotyczy się ptaszków wolnych i w domu nie chowanych, a przeto dzikich.

Dwa lata temu, do mojego śpichlerza wprowadziła się sikorka, i skoro tylko wszedłem z cebrzykiem po siemię dla kanarków i zacząłem je gnieść, ona się już na ławeczce koło mnie znajdowała.

W zeszłym roku, na zimę, sprowadziła sobie drugą, a że siemię teraz gniotę w sieni domu, więc i sikorki przeniosły się ze śpichlerza razem z wróblami i dzwońcami, a umieściwszy się na topolach w dziedzińcu, przylatywały po ziarno pod próg sieni lub na skrzynkę, zawieszoną z ziarnem u drzwi.

Widząc, że się mnie nie boją, chociaż w drzwiach otwartych stoję, umyśliłem położyć siemię na rękę. Próba się udała, bo nie trwało kilka minut, a sikorki przyleciały na rękę i zaczęły dziobać ziarno.

Trzeba było widzieć, z jakim zdziwieniem i zgrozą przypatrywały się z topoli inne ptaki temu wybrykowi sikorczej odwagi.

W kilka dni tak się oblaskawiły, że gdzie się tylko znajdowałem, gdy gwizdnąłem, zaraz mi na dłoń siadały. Śliczny był widok, kiedy na zawołanie, ze szczytu drzewa leciały na rękę, jak strzały do celu; przyczem zachowywały ten porządek, że nigdy dwoje razem nie siadało, tylko na przemiany. Miały zwyczaj po kilka



ziarenek siemienia nabierać do dzióbka, i zaraz je między gałęziami w szparki zatykały, a dopiero potem swobodnie zjadały. Miało to ten skutek, że i inne większe sikory, nie mające jeszcze odwagi do rąk moich przylatywać, skakały za nimi po gałęziach i żywiły się ziarnkami, pochowanymi przez tamte.

Jeżeli się czasem zdarzyło, że nie wyszedłem na dwór, aby dać im jeść, przylatywały do okien sypialnego pokoju i pukały dopóty, dopóki im nie otworzyłem. Nader zabawne było, gdy rozmawiałem z kim, a one były głodne, z jaką niecierpliwością latały przede mną, ażeby moją uwagę na siebie zwrócić.

Spostrzegłszy raz sowę na topoli, zaraz z innymi ptakami tam poleciały, ażeby temu wrogowi dokuczyć; nakłóciwszy się z nią do syta, później mi na rękę usiadły.

Wszystko to dowodzi, że lube te, kochane i tak niezmiernie przez wygubianie szkodliwych owadów użyteczne stworzenia, do wysokiego stopnia ułaskawić można, nie żałując tylko cierpliwości.

*Kazimierz Wodzicki.*

## 208. Wróbel.

Lubię jaskółkę, gdy nam radośnie  
Wesołe wieści niesie o wiosnie,  
I gniazdo swoje klecąc pod strzechą,  
Niejednej chwili bywa uciechą.

Lubię skowronka, wioski śpiewaka,  
Co, wtórzając smętnej piosnce wieśniaka,  
Słodkim swym głosem w serce mu leje  
Wiarę i męstwo, miłość, nadzieję.

Lubię słowika, w ranek majowy,  
Gdy się odezwie gdzieś wśród dąbrowy;  
Stokroć go więcej lubię wieczorem,  
Gdy mgła srebrzysta wisi nad borem,  
A wietrzyk wieje, rosa opada  
I twarz księżycą przyświeca blada.

Lubię przepiórkę, skrzętną gosposię,  
O szarych piórkach, a wdzięcznym głose,  
Co, kiedy pszenna dojrzewa niwa,  
Żniwiarza w pole z sierpem przyzywa.

Lubię ja, lubię wszystkie ptaszęta —  
Kto je tam zliczy i kto spamięta!  
Lubię je wszystkie, gdy z wdzięczną zgodą  
W ogródku moim pieśń mi zawiodą.

Ale nad wszystkie wróbla ja wolę,  
Co się pod strzechą gnieździ w stodole.

Choć nie zanuci piosnki słowiczej,  
Chociaż ubogie, szare ma pierze,  
I dziesięcinę z pszennych ziarn bierze —  
Lubię wróbelka. Bo gdy w jesieni  
Pożółknie świetna barwa zieleni,  
Gdy pod północnych wiatrów zawieją  
Oblecą liście, kwiaty zwiędnieją,  
Słowik, skowronek, precz gdzieś uleci,  
Gdzieś, kędy słońce jaśniejsze świeci,  
Kędy weselsze, szczęśliwsze kraje, —  
Jeden się wróbel z nami zostaje,  
Gdzie się urodził i żył za młodu.

A choć drży z zimna, przymiera z głodu,  
On swej ojczystej ziemi nie rzuci!  
Smętnie świergoce, żałośnie nuci  
I czeka, czeka z wiarą, nadzieją,  
Aż pogodniejsze dni zajaśnieją.

*Marya Ilnicka.*

## 209. Szpak.

Szpak jest ptakiem powszechnie znanym. Dziób ma sztydłowaty, trochę przypłaszczony, na wiosnę żółty, w jesieni czarniawy; nóżki ciemnocielistej barwy; główna barwa pierza czarniawa z purpurowym i zielonym połyskiem, na krzyżach i małych piórkach skrzydeł plamkowana rdzawo, a u spodu biało. Młode są ciemnosiwie, z białym gardłem i czarniawym dziobem. Od nich to właściwie poszło nazwisko szpakowatej maści, bo szpaki w średnim wieku wcale nie są szpakowate.



Szpaki przebywają w całej Europie w lasach, ogrodach i w pobliżu mieszkań ludzkich, gdzie tylko są dziuple drzew, na łąkach, polach i w trzcinach, zarastających wody. Przylatują one do nas w marcu.

Pożywieniem ich są gąsienice, chrząszczyki, koniki polne, pająki, ślimaczki, czereśnie, wiśnie, winogrona i inne jagody. Gdzie ich jest dużo, mają zwyczaj siadać owcom i bydłu na grzbiecie i wydobywają stamtąd rozliczne, tamtym uciążliwe, pasożytnicze owady.

Gnieźdzą się najczęściej w dziuplach drzew, czasem w rozpadlinach skał, w dziurach opuszczonych budynków, lub nareszcie w budkach, umyślnie dla nich na drzewach zawieszanych.

Są to ptaki towarzyskie, gwarliwe i niebardzo bojaźliwe. Na wolności żyją zawsze w małych stadkach; w lecie i w jesieni zbijają się w nieprzeliczone gromady. W późnej jesieni, podczas odlotu, i na wiosnę, gdy do nas przybywają, mają zwyczaj przylaczać się do kawek i gawronów, z którymi po zoranych polach żywności szukają. Gdy taką gromadę różnych ptaków spłoszyć, wtedy gawrony i kawki lecą razem pomieszane, szpaki zaś porządnie uszykowane, ciągną z tyłu za tamtymi. W kwietniu rozdzielają się te wielkie stada na mniejsze kompanie; wtedy obsiadają drzewa, a gwarząc wesoło, gwizdząc i udając głosy innych ptaków, do późna się między sobą zabawiają.

2.—Przez maj i czerwiec szpaki są zatrudnione wychowaniem młodych. W lipcu znowu z początku latają w małych stadkach, a potem tworzą ogromne gromady. Zajmujący to także widok, gdy kilka tysięcy tych ptaków zbierze się przed wieczorem w trzcinie lub na łące w krzakach i razem głośno gwarzą. Czasem latają nisko przy ziemi, to znowu podnoszą się do znacznej wysokości. Ta zabawa trwa aż do późnego zmroku, i dopiero zupełna ciemność kładzie koniec wrzawie.

Pojętność, łaskawość, kształt miły, ubarwienie przy-

jemne, zabawny chód, a nadewszystko zadziwiający dar udawania różnych głosów, zalecają szpaka niezmiernie.

Z młodu wychowany, daje się z łatwością wyuczyć wielu słów i wymawiać całe zdania, tudzież pięknie świstać melodye.

Klatkę lubi mieć przestronną, ażeby się miał gdzie obracać. Chowany szpak je wszystko, co na stół dają, jako to: mięso gotowane, różne leguminy, ser świeży, jaja na twardo, owoce i jedzenie owadożerczych ptaków. Lubi się codziennie kąpać, dlatego wymaga obszernego pijadelka, w którym należy wodę dwa albo trzy razy na dzień odmieniać. Tak chowany żyje do 12 a nawet czasem do 20 lat.

Trzymałem dawniej wiele szpaków; miałem raz jednego, który zawarł był nierozdzielną przyjaźń z chowanymi zajęcami, i gdy one cicho leżały, szpak siadał im między uszami i iskał je.

Przed kilkunastu laty widziałem bardzo mądrego szpaka, który umiał ładne śpiewki; ale był tak nauczony, że gdy mu mówiono «śpiewaj», tedy zawsze odpowiadał po rusku: «ne chcuzu» i dopiero nadroczywszy się, ciął swoje kuranty. Mój dziad posiadał szpaka, którego wyuczono wymawiać godzinki. Razu jednego, nieostrożny służący, zamykając podwójne drzwi, między którymi ptaszek się bawił, zabił go nieszczęśliwie, właśnie w chwili, gdy sobie owe godzinki wyśpiewywał.

Kazimierz Wodzicki.

## 210. Z i ę b a.

Zięba przebywa w środkowej Europie i w Azji. W krajach północnych gości tylko w lecie. Tylko ostra zima wystrasza od nas tego miłego ptaszka, rozpowszechnionego po naszych lasach, gajach i ogrodach. To też lud, gdy nie widzi zięb, przepowiada, że nastąpią wielkie mrozy i zawieje. Przed mrozami zięby uchodzą do południowej Europy.



W lecie zięby żyją parami; w jesieni łączą się w stada z dzwońcami i innymi luszczałkami.

Zięba jest ptakiem roztropnym i ruchliwym, a śpiew jej dźwięczny, donośny i urozmaicony.

W niektórych okolicach Niemiec wysoko cenią zięby z powodu ich śpiewu, a w Szwecyi nazywają ją słowikiem północy. Na wiosnę zięba śpiewa prawie bez ustanku, wymawiając wyraźnie zgłoskę: «piuk, piuk.» W locie woła cicho: «jak, jak», albo «djib, djib», a na deszcz krzyczy: «jerk, jerk».

W połowie kwietnia zięby zaczynają budować gniazdo. Samiczka jest właściwym budowniczym, a samczyk tylko znosi jej budulec. Zakładają najczęściej gniazdo na drzewach owocowych, a jest ono bardzo misternie uwite z mchu, porostów, słomy, korzonków i wewnątrz wysłane pierzem, włosami i puchem roślinnym. Jajek znosi zięba 5 do 6; są one białobłękitne, różowo i brunatno nakrapiane. Wysiada je w ciągu 13 do 15 dni; młode karmi wyłącznie owadami, ich poczwarkami i pajakami.

W jesieni i na wiosnę karmią się zięby różnymi nasionami, które zbierają tylko na ziemi; kłosów nigdy nie łuszcza. Szkody zatem nie czynią żadnej; przeciwnie, tępiąc w lecie owady, a później zjadając nasiona chwastów, są ptakami bardzo pożytecznymi; a przytem rozweselają nas swym pięknym śpiewem.

Upierzenie zięby jest bardzo skromne; podobna jest do wróbla, tylko troszkę większa. Dziób ma krótki, stożkowaty.

Ptak ten przepowiada zmianę powietrza i dlatego lud uważa, jak zięba śpiewa. Gdy ma być słota, zaczyna nucić wczesnym rankiem; na deszcz ciepły, łagodny, śpiewa przyjemnie; a nieznacznie świergoce, gdy ma być dłuższa niepogoda i zimno.

Na zakończenie podaję o ziębie śpiewkę, którą słyszałem na wiejskim weselu. Parobcy szli gęsiego wkoło jeden za drugim, a muzyka grała marsza. Potem każdy

## 238. D a b.

Z drzew najwspanialszym jest dąb.

Dęby dochodzą późnej starości; spotyka się bowiem drzewa do 500 lat mające, które są jeszcze zdrowe. Drzewo dębu, białawe, ciężkie, twarde, jest zdadne zarówno do budowy podwodnej, jak i do suchej. Dęby, długo w wodzie leżące, twardnieją jeszcze bardziej i przybierają piękną barwę czarną. Kora dębowa służy do wyprawiania skór. Owocem dębu jest mała żołądz. Żołądzie upalone i zmielone dają napój podobny do kawy, a z maki żołądzi, przyprawionej cukrem, robią pokarm pożywny. Najważniejsze użycie żołądzi jest na paszę dla trzody chlewnej.

Narośle, znajdujące się na liściach i ogonkach liściowych dębu, zwane dębiankami, pochodzą od zakłucia listka lub jego ogonka przez *galasówkę*, owad do pszczoły podobny; dębianki te nabierają własności, które je czynią przydatnymi do robienia czarnego atramentu.

Z gatunków dębu, rosnących w innych krajach, ważniejsze są: dąb *barwierski*, którego kora wydaje barwnik żółty, używany do barwienia tkanin wełnianych, bawełnianych i t. d.; dąb *korkowy*, z którego mamy korki, i dąb *czerwcowy*, na którym żyje gatunek owadu, zwany *czerwciem*, dostarczający pięknej farby purpurowej.

Jaki dąb wspaniały rośnie na tej murawie! Jest on ozdobą i chlubą wioski. Pień jego ogromny rozpostarł szeroko potężne konary; silne a kręte korzenie, głęboko wchodząc w ziemię, utrzymują ten ogrom. Na gałęziach jego ptaki zakładają gniazda, w jego cieniu bydło spoczywa, wiejskie rodziny gromadzą się pod ten dach zielony. Starzy pokazują go wnukom, ale nawet najstarszy z nich nie wie, kiedy ten dąb tak wyrósł. A przecież ten ogrom był niegdyś tylko drobną żołądzą, która nicyjej nie zwracała uwagi! Z niej powstało to piękne drzewo, a wykarmiły je deszcz rosa i żyzna ziemia.



## 239. Dwa dęby.

Nad modrym stawem dwa dęby stały,  
 A bardzo dawne—po sto lat miały.  
 Raz, przy miesiącu, nad cichą wodą,  
 Dąbek staruszek potrząsnął brodą  
 I z drugim dębem rozmowę wiedzie:  
 — Co z ciebie będzie, miły sąsiedzie?  
 — Ze mnie kołyskę dla dziecka robią,  
 Sianem wyścielą, liściem ozdobią;  
 Będę kołysał małe dzieciątko—  
 Albo chłopaczka, albo dziewczątko.  
 — A ze mnie—drugi dąbek odpowie—  
 Żłobek dla koni zrobią majstrowie;  
 Nade mną wiązkę zawieszą siana:  
 Przy mnie stać będzie konik ulana.—  
 A pierwszy na to:—Bądź sobie żłobem,—  
 Ja będę dzidą z żelaznym dziobem.—  
 — Mój miły bracie, nie mów tak szumno!  
 Ty będziesz dzidą, ja będę trumną;  
 Pięć desek zbiją na wieczne spanie;  
 Któż tedy z człeki dłużej zostanie?—  
 A pierwszy na to:—Bądź trumną sobie,  
 Ja będę czarnym krzyżem na grobie,  
 A na nim napis będzie wryty:  
 Tu leży wojak w bitwie zabity.

Teofil Lenartowicz.

## 240. Sosna, jodła, świerk i modrzew.

Na samo wspomnienie tych drzew staje nam przed oczyma śliczna choinka, a na niej mimowoli migają złociste orzechy i świeczki. Te sosny, których gałązki tyle radości przynoszą dzieciom, latem wyglądają ponuro; lecz zimą, gdy wszystkie inne drzewa utracą swoje liście, choinka, zawsze zielona, jak przyjemna jest dla oka!... Drzewo to nazywa się szyszkowe; znamy przecież te szyszki sosnowe i jodłowe, które wiatr jesienny rozsypuje po lesie!

Drzewa te nazywamy także iglastemi, listki ich bowiem są cienkie i twarde jak igielki.

Z drewna sosnowego jest wyborne łuczywo, palące się łatwo i szybko. Lecz w beczkach zrobionych ze świeżego sosnowego drzewa, nie dobrze jest przechowywać zapasy do jedzenia, np. kapustę, ogórki, bo one od tego drzewa nabierają nie milego zapachu. Pochodzi to stąd, że drzewo to przejęte jest na wskroś żywicą. Z żywicy tej wyrabiają terpentynę, smołę, dziegieć, a nawet kalafonię, którą pociągamy struny i smyczek u skrzypców.

Drzewo sosnowe wybornie nadaje się do budowl, szczególnie morskich, bo jest giętkie, lekkie i niełatwo przemaka. Jodły zaś, z powodu, że mają pnie wyniosłe i proste, używane są na maszty okrętowe.

Modrzewie i jodły są u nas mniej pospolite, bo drzewa te zwykle trzymają się gór wyniosłych. Liście modrzewi, czyli igły, są miękkie i na zimę opadają.

## 241. Wierzba, brzoza i lipa.

1.—Bardzo pospolitem drzewem jest *wierzba*, która rośnie dziko w miejscach wilgotnych nad brzegami rzek i stawów, a spotyka się także po wsiach, przy domach i ogrodach. Jest to drzewo wysmukłe i wysokie, najczęściej jednak miewa obcięty wierzchołek i gałęzie. Wierzba ma liść wązki, długi, gałązki do góry stojące i tak skupione w wiązki, że się wydają na pniu, jakby jedna kula. Są także wierzby ze zwieszonymi gałązkami czyli płaczące. Krzaki wierzbowe nazywamy łożyną. Na wiosnę wierzba okrywa się, tak jak brzoza, kwiatkami, nazywanymi bazie albo kotki.

Wiele mamy użytków z wierzby; ale wspomnieć należy o łożynie i wiklinie, oraz o wierzbie witwie; z ich gałązek wyplatają koszyki. Zajęcie to jest i przyjemne i daje chleb wielu ludziom. W wielu też miejscach uprawiają umyślnie wierzbę koszykarską.

*Brzozę* łatwo poznać zdaleka wśród lasu po białej korze, która ślicznie odbija od ciemnej barwy innych pni.



Drzewo to niekiedy zwiesza ku ziemi długie swe, giętkie gałęzie, co wygląda pięknie ale smutno; jest to tak zwana brzoza płacząca, którą często sadzą na cmentarzach. Taka odmiana brzozy zdarza się, gdy brzoza rośnie samotnie, od innych drzew oddalona; zdawałoby się na prawdę, że smuci się nieboga tem swoim opuszczeniem. Kora brzozy zawiera w sobie olej żywicowaty, z którego wyrabiają dziegieć, służący do wyprawy skór. Na wiosnę, nim liście brzozy rozwiną się, chłopaki wiejskie nacinają jej pień i podstawiają naczynie, w które ścieka sok słodki, cukrowy; ulubiony to przysmak młodych pastuszków. Ale nie należy tego robić, bo drzewo na tem cierpi i nędznieje. Soki są potrzebne do życia drzewa.

Z kory brzozowej wyrabiają pudełka, tabakierki, rozmaite ozdoby, a w niektórych okolicach nawet obuwie. Z gałązek brzozy robi bednarz obręcze, a miotlarz miotły. Indianie sporządzają z kory brzozowej łódki niezmiernie lekkie i łatwo dające się przenosić.

Nasza brzoza kwitnie w kwietniu i w maju, kwiaty jej zowią się także baziami albo kotkami, bo puszek na nich tak miękkie, jak sierść na kotku. Kwiaty te wyrastają wcześniej, aniżeli liście.

2.—Jednem z największych drzew naszych, dochodzącem do ogromnej wysokości i grubości i blisko ośmset lat żyć mogącym, jest *lipa*. Liść tego drzewa jest miękki, duży, kształtu serduszkowatego. Lipa rozkwita w lipcu; kwiat jej biało-zielonkawy bardzo przyjemną woń wydaje.

Użytek z lipy jest rozmaity. Drzewo lipowe, białe i miękkie, bywa zwykle używane do robót delikatniejszych. Rzeźbiarze wyrzynają z niego nawet posągi. Kora, znana pod imieniem łyka, służy na powrozy, maty, wory i t. p.; robią z niego także chodaki czyli tak zwane łapcie. Węgle lipowe służą do wyrobu prochu strzelniczego i do przygotowywania farby czarnej. Liście są dobrą paszą dla bydła. Kwiat naparza się i pije jak herbata, jest po-

mocny w chorobach piersiowych. Lipa dostarcza także pokarmu dla pszczoł, które z jej kwiatków zbierają najlepszy i najwonnejszy miód, tak zwany lipiec. Z owocu lipowego, zbieranego w jesieni, wyciskają olej w dobrym gatunku.

## 242. Burza.

Zerwał się wichur z północnej strony,  
Wznosi po drogach słupy kurzawy,  
Wyniosłym drzewom zgina korony,  
Wpada pomiędzy zboża i trawy.  
Coraz to bardziej niebo się chmurzy,  
I już w powietrzu czuć zapach burzy.  
Strwożone bydło, rycząc, ucieka,  
Samo do swoich obór powraca.  
I rolnik w polu burzy nie czeka;  
Wszędzie na chwilę ustaje praca,  
I wszystko w trwodze szuka schronienia.  
Tylko jaskółka, zwinna, wesoła,  
Szukając muszek bez wypocznienia,  
Pod czarnem niebem zatacza koła.  
Nagle grzmot głośny rozpoczął burzę:  
Ze szmerem lecą deszczu łyzy duże  
I coraz większa w powietrzu wrzawa.  
Wtem błyskawica zabłysła krwawa  
I z trzaskiem strasznym piorun uderzy  
W sam szczyt wysokiej zamkowej wieży.  
Wreszcie deszcz ustał, już się nie błyska,  
Już się rozpierzchnęły czarne chmurzyska,  
A na niebiosach stanął łuk tęczy.  
Cały świat wonny, znowu się wdzięczy.  
Tylko wezbrany potok szeleszcze  
I wietrzyk z drzewa otrząsa deszcze.

## 243. Jesienna wycieczka do lasu.

Korzystajmy z pięknej pogody i wyjdźmy do lasu! Na polach już pusto, a las jeszcze się zieleni. Wspaniałe jodły, świerki, sosny i krzewiasty jałowiec nie tracą na zimę swej zielonej szaty. Drzewa liściaste płoną różnemi barwami i odbijają od ciemnych drzew iglastych. Stroj-



nie wyglądają krzewy leśne, jeżyny, kaliny i głóg, ze swemi czarnemi i czerwonymi jagodami. Polanki, zwrócone ku południowi, pokrył różowawy kwiat wrzосу; pracowite pszczołki zbierają z niego ostatni pożytek. Puszyste paprocie jeszcze się zielenią, a mchy i porosty rozwijają się teraz najlepiej, tworząc w lesie miękkie i barwne kobierce. A jaka prześliczna zastawa na tych kobiercach!

To grzyby o przeróżnych barwach i kształtach.

Między jadalnemi grzybami pierwsze miejsce zajmuje borowik, zwany także grzybem prawdziwym. Ma on kapelusz wypukły, trochę wilgotny, barwy brunatnej, u spodu z warstwą, złożoną z rurczek biało-żółtawych. Trzon jego jest błyśnięty, brunatnawy, ku podstawie bulwiasto nabrzmiały, mięsisto ma białe, ku nasadzie kapelusza czerwone, o przyjemnej woni. — Jadalnym także jest żółto-brunatny maślak, powleczoney kleistym śluzem. — Bardzo lubionym grzybem, który kisa na zimę, jest rydz. Ma on barwę ciemno-żółtą, kapelusz gładki, w środku zakłęsły, także powleczoney kleistym śluzem. — Często tuż obok rydzów rosną podobne do nich, ale bardzo jadowite wełnianki. Do jadalnych, lecz mniej strawnych grzybów, należą cytrynowato-żółte, lejkowate lisice i rozgałęzione, mięsiste goździanki o blado-żółtej barwie.

Najwięcej jednak między grzybami jest takich, których wystrzegać się trzeba, gdyż są jadowite. Do najjadowitszych należą ozdobne muchomory. Poznać je łatwo po żółtych, pomarańczowych i czerwonych kapeluszach z białemi brodawkami i białemi centkami.

Wogóle niech nikt nie zbiera i nie je grzybów, których nie zna dokładnie; przez nieostrożne użycie grzybów można łatwo narazić się na ciężką chorobę, a nawet na śmierć. Jadalne grzyby mogą też spowodować cierpienia żołądkowe, jeśli są stare, stoczone przez robaki, lub jeśli po długotrwałym deszczu wyrosły bardzo szybko na miejscu wilgotnem.

## 244. Grzybobranie.

z «Pana Tadeusza», *Adama Mickiewicza*.

Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą;  
Po jej kobiercach, nawskroś białych pniów brzoźowych,  
Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,  
Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,  
Niby tańce, i dziwny ubiór—istne duchy.

Któżby zgadnął, że owi tak mało ruchomi,  
Owi milczący ludzie są nasi znajomi,  
Sędziowscy towarzysze?—z hucznego śniadania  
Wyszli na uroczysty obrząd grzybobrania.

Grzybów było w bród. Chłopcy biorą krasnolice,  
Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice;  
Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,  
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.  
Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy  
I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,  
Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,  
Czy zimą. Ale Wojski zbierał muchomory,  
Inne pospólstwo grzybów, pogardzone w braku,  
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku;  
Lecz nie są bez użytku; one zwierza pasą  
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.  
Na zielonym obrusie łąk, jak szeregi  
Naczyń stołowych sterczą: tu z kragłemi brzegi  
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,  
Niby czareczki różnem winem napelnione;  
Kozłak, jak przewrócone kubka dno wypukłe;  
Lejki jako szampańskie kieliszki wysmukłe;  
Bielaki kragłe, białe, szerokie i płaskie,  
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie;  
I kulista, czarniawym pyłkiem napelniona  
Purchawka, jak pieprzniczka;—zaś innych imiona,  
Znane tylko w zajęczym lub wileczym języku,  
Od ludzi nieochrzczone—a jest ich bez liku.

## Przysłowia.

1. Nie wszystko złoto, co się świeci.
2. Z wielkiej chmury mały deszcz.



## 245. Suknia roślinna.

Ptaszki wszystkie mają odzienie swoje: to niby kożuszek upstrzony, to inne szaty różnobarwne; zwierzętom futra rosną na ciele i co rok się odnawiają na zimę; a my, ludzie, także bez sukien, jakkolwiek sztucznych, nie chodzimy. I o wspólnej matce ptaszków, zwierząt i ludzi, to jest o całej ziemi Pan Bóg pamięta i jej ciało przyodziewa i stroi. Czem?...

Suknią roślinną!

Jakaż to suknia przepyszna! jakże pięknie zakrywa dziką nagość ziemi! Bóg zsyła wiatr wiosenny, a oto nagle ożywia się niezliczona ilość stworzeń; z czarnego łona ziemi wystrzela mnóstwo trawek szmaragdowych; miliony kwiatów podnoszą główki swoje i zapachem a barwą oznajmują wesoło swe zmartwychwstanie, i łodygi swoje, niby ramiona, wznoszą ku niebu, jakby modląc się i dziękując za wskrzeszenie ze snu zimowego.

Bo wszystkie rośliny, od niebotycznych dębów aż do drobnego liścia mchów, aż do włóknistej pleśni, mają życie: jedzą, piją i przyodziewiają się; czuwają i śpią.

Tylko ta wielka jest między niemi a nami różnica, że życie ich tu się skończy, że nie będą żyć wiecznie, bo duszy nieśmiertelnej nie odebrały od Boga. Bez tej duszy i myśleć nie mogą, rozum w nich się nie odzywa; chwala Boga, ale go nie znają.

My się przechadzamy, biegamy, podróżujemy; one, niebożątka, przyrosły do ziemi: nóżki głęboko mają zakopane i tylko rękami machają i główkami chwieją, jakby tęskniły za wolnem powietrzem.

My rozmawiamy, śpiewamy, płaczemy i śmiejemy się głosem; one cicho szeleszczą liściem, woń swoją w milczeniu rozlewają w powietrzu, a wiatry ją roznoszą.

My jemy śniadanie obiad i wieczerzę, a oprócz chleba i wody mamy mleko, bułki i mięso, warzywa i owoce; rośliny zaś żyją światłem i ciepłem, a korzonkami, liściem

i korą swoją piją soki z ziemi i wilgoć z powietrza, karmią się zawsze tylko tym jednym pokarmem, przetwarzając go już to na włókno, na tkaninę, na drewno, już też na soki, farby, zapachy, tłustości, cukier, mąkę, żywicę, gumę, sole, olejki i t. d.

My chorujemy, ale nas w chorobie pielęgnują; rośliny także chorują, lecz nie mają nikogo, kto by je ratował: owady jedzą je i psują: zaraza, rdza i inne choroby trapią je za życia, a mróz i wiatr, siekiera i ogień o śmierć je przyprowadzają. A tymczasem... nie jeden z nas łamie bez litości i bez zastanowienia młode drzewka, które pocziwa ręka przy drodze posadziła, aby cieniem swym podróżnych chłodziła! Jakaż to krzywda i dla biednych drzew i dla nas samych!

## 246. Palma daktylowa.

Kraje gorące odmiennie wyglądają od naszych; inny tam świat zwierzęcy, inni mieszkają tam ludzie, inaczej też wyglądają tamtejsze wsie i miasta. I świat roślinny niepodobny tam do naszego.

Z pomiędzy roślin właściwych tym krajom, na szczególną uwagę zasługuje drzewo daktylowe, będące prawdziwym dobrodziejstwem dla tamtejszych mieszkańców.

Drzewo to dorasta do 35 łokci wysokości, różni się jednak bardzo od drzew u nas rosnących. Pień bez konarów i gałęzi wygląda jak słup jaki, i dopiero na wierzchołku jest ozdobiony dużym pękiem długich liści.

W krajach, gdzie palma daktylowa rośnie, deszcze padają bardzo rzadko, ale tam właśnie najlepiej ona się udaje. Wyrasta nawet na takich miejscach, na których z powodu posuchy i skwaru słonecznego, żadne inne drzewo istnieć nie może. Potrzeba jednak, ażeby ziemia w której daktylowiec głęboko zapuszcza swoje korzenie, miała choć w tej głębokości dostateczny zapas wilgoci. Dlatego drzewo to udaje się najlepiej w pobliżu źródeł.



Już w piątym roku okrywa się licznymi owocami, a w 20-m roku jedno drzewo wydaje ich do 700 funtów.

Daktylowiec dostarcza tam ludziom niemal wszystkiego, czego potrzebują do życia.

Wiemy jak smaczne są daktyle, ale są one także strawą wyborną i posilną, czy to świeże, czy suszone, rozmaicie gotowane i przyprawiane; w wielu miejscowościach daktyle stanowią jedyne pożywienie uboższej ludności. Zarabiają je także mąką i wypiekają z nich placki, oraz przyrządzają rozmaite potrawy.

Wyciskają z nich także rodzaj miodu, którego używają podobnie, jak my miodu pszczelego i robią wódkę i wino daktylowe. Podróżni, wybierający się w daleką drogę przez pustynie, zaopatrują się w daktyle i posilają się nimi sami, a także swoje wielbłądy. Nawet pestki daktylowe nie są bez użytku: przyrządzają z nich napój, do czarnej kawy podobny, i wyciskają olej; zmiekczone mi zaś albo na mąkę zmielonemi pestkami karmią swoje zwierzęta domowe: wielbłądy, konie, owce, kozy i psy.

Także rdzeń młodych daktylowców daje posilną strawę. Z trzonek kwiatowych gotują smaczną jarzynę, z liści i włókien drzewnych wyrabiają rozmaite plecionki, kosze, sandały, kapelusze, kręcą sznury, robią wory i płótno; z drzewa stawiają domy i inne budynki; używają go także do budowy okrętów, na ogrodzenia, na opał i na sprzęty domowe. Co więcej, w cieniu palm zasiewają jęczmień, pszenicę, kukurydzę, zasadzają warzywo i wiele innych roślin, które pod skwarnem niebem na otwartych miejscach nigdyby się nie udały.

Z tego się przekonywamy, ile to pożytku mają mieszkańcy krajów gorących z palmy daktylowej. Gdyby nie ona, wiele okolic stałoby tam pustką. Palma daktylowa żywi i przyodziwa miliony ludzi. Nie więc dziwnego, że ludy, zajmujące się jej uprawą, sławią ją po wszystkie czasy i uważają za drzewo święte.

podług Józefa Bąkowskiego.

## 247. Wisła.

Na Śląsku Austriackim, w części gór Karpackich, zwanej *Beskidem*, poczyną się rzeka *Wisła*.

Kolebka jej górską, dziką, do niedawna prawie niedostępna, ale tem piękniejsza, tem więcej urocza, długo była nieznana.

Idąc pod górę Baranią, przez rosnące tam piękne bory sosnowe i jodłowe, poniżej najwyższego szczytu tej góry, natrafiamy wśród pni świerkowych, powalonych w nieładzie, na dość rozległe trzęsawisko, z którego w różnych miejscach sączy się brunatna woda i zbiera się w większe ściekowisko.

Jest to początek *Czarnej Wiselki*, którą zwyczajnie uważają za właściwe i główne źródło Wisły. Cokolwiek dalej, na tej samej prawie wysokości, pod szczytem góry, zwanym «Skalką», znajduje się drugie źródło Wisły, ochrzczone *Białką*, czyli *Białą Wisłą*.

Kilkadziesiąt stóp poniżej, oba te źródła urastają w potężne strumienie, które z szumem i hukiem po ogromnych złomach kamieni i kłodach drzewa przelewają się w głęboką, lesistą dolinę i połączywszy się razem, płyną korytem do 10 stóp szerokim ku wsi *Wiśle*. Tuż pod wsią łączy się z niemi strumień *Malinka*, wypływający z bujnego lasu bukowego.

Są to główne źródła, które zasilone pomniejszymi strumykami, tworzą już Wisłę i spływają wśród szeregu pagórków, w samych prawie wodospadach, ku niższemu okolicom; od tego miejsca Wisła płynie z zachodu na wschód.

Skrapia ona swemi wodami cudne okolice, gdzie wszystkie piękności z nieba spadły obficie, bo obok siebie znajdziesz i wysokie góry, czarnym borem porośłe i wzgórze łagodne i niezmiernie błonia i gołe ściany skalne i kraj pokryty kobiercem, haftowanym ze zbożowych łąnów.

Osiadły też tutaj, nad brzegami naszej Wisły, liczne



wioski i miasta, zamki królewskie, wieże, pałace, dworki i strzechy z radością spoglądające na ukochaną Wiselkę.

Drzewa i ptaki, potoki wiślane i zwierzęta, góry, ludzie i dzwony nuca pieśń wesela tej królowej rzek naszych, która od lat tysiąca długim posuwistym ruchem wije się przez kraj poważnie, uroczyście. Ucałowawszy w Krakowie stopy Wawelu, pośpiesza ona dalej, skręcając ku północy, a zasilana wielu przyplływami, wita Warszawę i dąży w objęcia Bałtyku, wlewając się do tego morza trzema ujściami.

## 248. O Wiśle.

Nasza się Wisła ukochana toczy  
Przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy;  
Z źródeł Karpackich coraz szersza bieży,  
Unosząc obraz rozkosznych wybrzeży.

Nad nią tu, owdzie, wioska się uśmiecha,  
Chata się bieli, pochyła się strzecha,  
Ryczy bydełko, pomrukują trzody,  
Gdy je dziewczęta prowadzą do wody.

A nasza Wisła tak spokojna, cicha,  
Że jej nie słyhać, tak lekko oddycha,  
I jakaś ciszą uroczą okola  
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.

Wiśło! ty niesiesz na swoim przestworze  
Nasze ziarniste, pozłociste zboże,  
Niesiesz i drzewo i sól i gips biały,  
Owoce, jaja i świeże nabiał; —

Niesiesz, gdy zechcesz. A gdy nie masz woli,  
Próżno berlinka żaglami swawoli,  
Lub galar wiosłem twoje fale liźnie;  
Ty nie chcesz — muszą stanąć na mieliźnie.

A gdy cię, Wiśło, ścisną zimne lody,  
Tyś jak zwierciadło, jak srebrna tablica,  
Na której słońce maluje swe lica,  
Aż lód przepali; wtedy z strasznym grzmotem  
Łamiesz kry, tworzysz rozłożyste fale,  
Pienisz się, płyniesz szeroko, wspaniale,  
I pierś swą wzdymasz za wiosny powrotem...

A kiedy w górach potopnieją śniegi,  
Ty nagle, groźna, wychodzisz nad brzegi,  
Zalewasz pola i unosisz z sobą  
Wieśniacze chaty z całą ich chudobą;  
Powalasz domy, i na twojej fali  
Nieraz niemowlę w kolysee się żali...

A potem znowu wracasz w swe ukrycie  
I cicho płyniesz w odwiecznym korycie.  
W starem korycie, o, rodzinna rzeko,  
Niechaj spokojnie twoje nurty cieką;  
Niech na twych błoniach, tak pełnych tęsknoty,  
Bóg litościwy da urodzaj złoty.

*Antoni Czajkowski.*

## 249. Woda, chmury i deszcz.

1.— Gdybyśmy powierzchnię całej kuli ziemskiej podzielili na pięć równych części, to trzy części stanowiłaby woda, a tylko dwie byłyby stałym lądem, czyli tem, co zwyczajnie ziemią nazywamy.

Woda tworzy olbrzymie morza; woda wypełnia mnóstwo jezior, stawów i bagien; przerzyna ziemię w najrozmaitszych kierunkach, w postaci rzek, rzeczek, strumieni, kanałów i rowów; pokrywa śniegiem i lodem wierzchołki gór niebotycznych, wchodzi do wnętrza ziemi i tworzy źródła, z których powstają nowe rzeki i rzeczki. Niedosć na tem: woda tworzy nieprzeliczone masy chmur, obłoków, śniegów i gradów.

Ponieważ woda w tak olbrzymiej ilości znajduje się na kuli ziemskiej, musi więc mieć ważne przeznaczenie; musi być niezbędną dla ziemi. I tak jest w istocie. Bez wody nie mogłyby istnieć ani rośliny, ani zwierzęta, ani człowiek.

Głównem źródłem, główną spiżarnią wody są morza. Stamtąd rozchodzi się ona po całej ziemi.

Powie może niejeden:

— Chyba deszcze są głównem źródłem wody, bo z nich to woda się tworzy i wszędzie się rozchodzi.



- Prawda; ale skąd pochodzą deszcze?
- Z chmur... z obłoków...
- A skądże chmury, obłoki?...

Otóż woda ma tę własność, iż pod wpływem ciepła zamienia się w parę i to tem prędzej, im ciepło jest większe. Wody mórz ciągle zamieniają się w parę, która jako lżejsza od powietrza, unosi się w górę. Ta sama para, oziębiwszy się w powietrzu, skupia się w bardzo drobne kropelki wody i z nich to powstają następnie owe chmurki białawe, czyli obłoczki. Kropelki tych obłoczków, oziębiwszy się jeszcze bardziej, skupiają się znowu w coraz większe kropelki; wtedy, jako cięższe od powietrza, nie mogą się w górze utrzymać i spadają na ziemię, tworząc deszcz. Chmury pędzone siłą wiatru, przechodzą po nad rozmaitemi krajami i z nich to w rozmaitych miejscach pada deszcz to większy, to mniejszy.

2.— Woda deszczowa wsiąka następnie w ziemię, t. j. przechodzi przez jej warstwy tak głęboko, dopóki nie natrafi na glinę, przez którą z trudnością się przeciska. Nie mogąc przez nią przesiąknąć, musi po niej spływać w miejsca niższe, a spływając, tworzy podziemne rzeki i rzeczki, które żyłami wodnymi nazywamy, a które zasilają nasze studnie i jako źródła ukazują się na powierzchni ziemi.

Z tych to źródeł znów tworzą się drobne strumienie, któremi owe wody deszczowe łączą się w rzeczki i rzeki i z niemi wracają do mórz, jezior i bagien po to tylko, ażeby po jakimś czasie znowu zamienić się w parę, w chmury i jako deszcz spaść na ziemię, słowem, ażeby wiecznie odbywać tę przemianę i wędrówkę.

Na kuli ziemskiej znajdują się miejsca takie, gdzie przez cały rok deszcz nie pada. W innych znowu okolicach deszcze padają często i obficie. Gdzieindziej nie padają w lecie, lecz w zimie, i zastępują tam nasz śnieg. U nas deszcz pada dość często.

Czasem w lecie po deszczu zjawia się mnóstwo żabek,

a ludzie mówią, że spadły z deszczem. Wyjaśnić to należy tem, że żabki po burzy i deszczu, mianowicie w ciepłym dniu letnim, chętnie wylazą z kryjówek swoich; nagle i liczne pokazywanie się tych zwierzątek dało powód do tej nierozsądnej bajki.

z W. L. Anczyca.

## 250. O dawnych materiałach do pisania.

Dziś, gdy wszyscy na papierze piszemy i ten papier jest tani, mało komu przyjdzie na myśl, ile to czasu trzeba było i ile doświadczenia, zanim ludzie doszli do tego wynalazku i tak go rozpowszechnili.

Z początku pisano na kościach zwierząt, na ceglach, lub na tabliczkach kamiennych; później zaczęto używać blach z ołowiu, miedzi, nareszcie kory z drzew lub wielkich liści, które w gorących krajach rosną. W bogatych księgozbiorach można dotąd widzieć dawne dzieła tak pisane; w niektórych są biblie przepisane na liściach palmowych, które, jako wielkie i dosyć grube, łatwo na ten użytek przysposobione być mogły. Arabowie wyrzynali opisy znaczniejszych zdarzeń na kościach z łopatek baranich, wiązali je razem i zawieszali w swych domach. Widzimy więc, jak wszystkie te sposoby były uciążliwe i jak niewielu piszących być musiało.

Te pierwsze zastosowania doprowadziły do wymyślenia cienkich tabliczek drewnianych, oblanych woskiem, na których pisano rylcami, zwanymi style. Jeden koniec ryłca był kończasty i nim wyrzynano litery na wosku, drugi spleaszony; tym zacierano, czyli gładzono litery. Stąd powstał wyraz styl, który znaczy «właściwy sposób pisania.»

W niektórych krajach pisano na kamieniach, murach, drzewie, malując rozmaite figury i znaki, które teraz uczeni starają się odczytać; pisano także na korze drzewnej, płótnie, nareszcie na skórach zwierzęcych. Z tych, delikatnie wyprawiona skóra barania, nazwana pergamin, i teraz jeszcze jest czasem używana.



Egipcyanie pierwsi użyli do pisania kory trzciniowej, zwanej papyrus; okazała się ona lepszą od innych; stąd pochodzi nazwa papieru, materiału, na którym piszemy, chociaż teraz wyrabia się go z galganów lnianych i konopnych, lub z drzewa. Na pergaminie i papyrusie pisano trzcinkami, skrojonemi w kształcie piór naszych; maczano je w farbach różnego koloru. Ten sposób pisanja już najwięcej był zbliżony do naszego, lubo kosztowniejszy i powolniejszy.

Starożytni nie składali ani kory, ani pergaminu w kartki, jak my z naszym papierem czynimy, tworząc książki, ale je nawijali na drewniane wałki. Ich księgozbiory inaczej więc wyglądały niż dzisiejsze; były to rzędy jakby słupków, ustawionych na półkach. Tytuły dzieł pisali czerwonymi literami na szczycie wałka.

Jakież to postępowanie od tamtych czasów! Naturalnie, że tylko powoli ludzie doszli do wyrobu tych rozmaitych pięknych papierów, jakie dzisiaj posiadamy: od najskromniejszego do wykwintnych papierów welinowych, a nawet jedwabnych i atlasowych, białych i kolorowych, gładkich i wzorzystych.

## 251. Nie masz rzeczy nieużytecznej na świecie.

Każda rzecz, choćby na pozór niepotrzebna, może się przydać, nie wyłączając nawet śmieci. Nie dosyć bowiem zamieść je i wyrzucić, ale w tem sztuka, żeby z nich korzystać wyciągnąć. Przemysł ludzki umie z każdej rzeczy korzystać i z najnieużyteczniejszych na pozór odpadków wyrabia rozmaite przedmioty przydatne. Posłuchajcie!

Codziennie w każdym domu wyrzucają kości na śmieci, albo je kucharki sprzedają. Otóż handlarz, zakupiwszy kości, przebiera je troskliwie. Największe i najpiękniejsze kawałki idą do fabryki wyrobów kościanych; tam je gotują, czyszczą, bielą, a następnie używają na wyłożenie klawiszów fortepianowych, na trzonki do nożów

i szczoteczki, do zębów, na okładki do seczoryków, na guziki, igielniki i t. p. Mniejsze kawałki kości palą na węgiel, używany w cukrowni do oczyszczania cukru. Z węgla tego robią także czernidło do butów.

Z kości wydobywają fosfor, potrzebny do zapalek; miecą kości także w odpowiednich młynach na mąkę, która jest wybornym nawozem na rolę. Popiołu z kości używają w hutach szklanych do wyrobu szkła mlecznego.

Z rybiej łuski zręczni robotnicy umieją sporządzać bardzo ładne perły, z pozoru podobne do prawdziwych.

Stare sukienne szmaty, z których dawniej nie umiano nic lepszego robić, jak lichą bibułę, służą teraz i do innych wyrobów, istnieją bowiem fabryki, które te kawałki rozdrabniają, przędą w połączeniu z bawełną, a potem wyrabiają z nich nowe sukno. Drobnouchne okrawsukna, zakupione u krawców, idą do fabryki obić, gdzie nich wyrabiają najwspanialsze obicia, które potem zdają salony bogatych pałaców. Ze szmatek różnego rodzaju wypłatają gustowne dywaniki; odpadkami zaś dywanów wypychają materace.

Ze szmat wełnianych i bawełnianych wyrabiają papier, nieraz może ktoś ma w ręku pieniądz papierowy, obity ze szczątków jego własnej chustki do nosa. Rawki papieru, oraz stary, zużyty papier przerabiają nowy.

Obrzynki korków, które u nas wymiatają, jako też storkorki, za granicą przemysłni ludzie zakupują i wypełniają niemi poduszki i materace, używane na okrętach o pościel, oraz na pasy i koła ratunkowe, służące do rony od utonięcia w razie rozbicia się okrętu. Galgany z grubych korków konopnych, nawet na bieliznę nie bardzo przydatne, przerabiają na masę papierową, z której mamy drobne sprzęty i zabawki, tacki, gurki, i niejedni nie wiedzą o tem, że to, czem dziś zdają swoje mieszkanie, poniewierało się niegdyś na śmieci.



Trociny używane do posypywania schodów, sieni lub chodników, służą do wypychania lalek, do opakowania towarów, do spluwaczek, do czyszczenia narzędzi metalowych. Mieszą też trociny z pewnym kwasem i robią z tego trwałe podłogi.

Popiół drzewny przydatny jest mydlarzom.

Potłuczone szkło wędruje napowrót do hut, gdzie je przetapiają i nowe z niego robią naczynia. Ułamki żelaza idą napowrót do pieców hutniczych, lub bywają przetwarzane na inne przedmioty, na wyrób atramentu i t. p. Być może, że atrament, którym piszecie, zrobiono ze starej obręczy. Lecz i z najostateczniejszych nieczystości domowych przyrządzają sztuczne a żyzne nawozy, na których najlepsze udają się zboża i jarzyny, a niektóre miasta mają znaczny dochód ze sprzedaży nieczystości kanałowych.

Niema więc prawie rzeczy, z którejby pracowity i przemyślny człowiek nie umiał wyciągnąć jakiejś korzyści. Powinniśmy to mieć zawsze na myśli i nie gardzić nawet najlichszymi odpadkami!

## 252. O dobrodziejstwach Boga.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?  
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?  
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie:  
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,  
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje;  
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,  
Bo nad to przystojniejszej ofiary nie znamy.

Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował,  
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował,  
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi  
I przykryłeś jej nagość ziół rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,  
A zamierzonych granic przestąpić się boi;

Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,  
Biały dzień, a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie k'woli rozliczne kwiaty wiosna rodzi,  
Tobie k'woli w kłosianym wieńcu lato chodzi;  
Jesień wino i jabłka rozmaite dawa.  
Potem do gotowego gnuśna zima stawa.

Z Twej łaski nocna rosa na mdłe ziola padnie,  
A zagorzałe zboża deszcz ożywia' snadnie;  
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,  
A Ty każdego żywisz z Twej szczodroblowości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!  
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.  
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi  
Jedno, niech zawsze będziemy pod skrzydłami Twemi!

*Jan Kochanowski*

## 253. Światło i cienie.

Z pomiędzy cudownych zjawisk, jakie z rozkazu Stwórcy ludziom służą, najpiękniejszym, oraz jednym z najpotrzebniejszych, jest światło.

Gdyby światła nie było, pozbawieni bylibyśmy widoku wszelkich barw i piękności ziemskich; a co najważniejsza, bez światła nieby na świecie żyć nie mogło.

Widzimy tylko za pomocą światła; wśród ciemnej nocy nie prawie rozpoznać nie można.

Głównem źródłem światła jest słońce. Księżyc przyświeca nam w nocy, ale tylko światłem, padającym na niego od słońca; trudno jednak pracować przy świetle księżyca, trzebaby bowiem zawiesić na niebie ośmset tysięcy takich księżyców, aby ich światło dorównało jasności słońca. Co do gwiazd, to one w czasie pogodnej nocy ledwie tyle udzielają światła, że człowiek przy blasku ich prawie bezpiecznie chodzić może.

Ogień tylko, wzniecony sztucznie, rozprasza ciemności i dozwala nam wieczorami i nocą widzieć i pracować.



Lecz i ognia nie byłoby bez słońca, bo nie byłoby drzewa, węgla, nie byłoby także roślin, zbóż, wszelkiego pokarmu, a bez tego nie moglibyśmy żyć my i wszelkie zwierzęta. Całe więc życie nasze zawdzięczamy ciepłu i światłu słonecznemu.

Człowiek, zamknięty przez dłuższy czas w ciemnym więzieniu, nabiera bladej cery, traci siły i wątłeje; roślina, wyrosła w ciemności, ma liście białawo-żółte, prawie nie zielone, jest słaba i prędko ginie.

O wpływie słonecznych promieni i światła na zdrowie ludzkie przekonywamy się niemal codziennie z tej np. okoliczności, że kiedy słońce jasno świeci, to człowiekowi weselej i lżej na duszy; kiedy zaś panują słoty i dni pochmurne, każdego ogarnia smutek i tęsknota.

podług Wł. L. Anczyca.

## 254. Do słońka.

Ty tutaj, słońko? — A któż tam świeci

Nad wioską naszą lichą?

Kto ze snu budzi kwiaty i dzieci

W poranną zorzę cichą?

Kto rzuca w naszą strugę na łące,

Co płynie wstęgą siną,

Złote isierki, lekko tańczące

Miedzy zieloną trzciną?

Kto ciche światło sieje po lesie

Przez szmaragdowe sita?

Kto nad sierotą promyczek niesie,

Kiedy o drogę pyta?

Kto tam na polu wyzłaca kłosa?

Kto lny u płotów suszy?

Kto pije z białych powojów rosy,

A smutek z ludzkiej duszy?

O słońko moje! Kto tam o świecie

Rozwija skrzydła ptasze?

Kto nam maluje bławatki w życie,

Patrzy w okienka nasze?

O, słońko moje! wracaj po niebie

Do milej naszej wioski,

Bo tam jej przyjdzie zmarnieć bez ciebie

Od tęsknot i od troski.

Marya Konopnicka.

## 255. Co to jest powietrze?

Wchodząc do próżnej izby, *zdaje się*, że w niej nie ma; ale machnąwszy ręką szybko w jedną i drugą stronę, uczuwa się, że *coś* przeszkadza, że *coś* rękę chłodzi.

Gdy otworzymy na przestrzał drzwi i okna, czujemy przewiew wiatru, choć go nawet wcale nie ma; gdy biegniemy szybko, *coś* nam suknie i włosy w tył unosi. A więc chociaż *nie* nie widzimy, *coś* nas otacza — Cóż to jest? — Jest to *powietrze*.

Na powierzchni kuli ziemskiej zajmuje ono najwięcej miejsca, wszędzie się weiska. Na górach, w dolinach, studniach, izbach, piwnicach, a nawet w nas samych znajduje się powietrze.

Nie widzimy go tylko dlatego, że jest przezroczyste; ale że powietrze jest czemś, potrzebującym miejsca dla siebie, o tem łatwo przekonać się można.

Weźmy próżną szklankę, obróćmy ją dnem do góry i zanurzymy w wodzie. Dlaczego, choć szklanka próżna, woda do niej nie wchodzi? Oto dlatego, że *powietrze*, będące w szklance, wpuścić jej nie chce. Przechylmy ją teraz pod wodę, ale zwolna, to natychmiast woda do szklanki wchodzić pocznie, a powietrze, jako lżejsze od wody, wydobywać się będzie ze szklanki w bąbelkach i uleci w górę; szklanka zaś wtedy dopiero napelni się wodą, gdy powietrze z niej zupełnie ustąpi.

Ponieważ powietrze jest bardzo przezroczyste, dlatego nie można go widzieć, podobnie jak stojąc w pokoju, nie rozpozna się z pewnej odległości pięknej i czystej szyby w oknie. Dopiero, gdy złożymy kilkanaście takich szyb w jedną grubą szybę, to one, mimo swej przezro-



czystości, będą miały albo kolor zielonawy, albo niebieskawey, albo inny jakibądź, stosownie do gatunku szkła. Że zaś powietrze jest bez porównania przezroczystsze od szkła, więc też i kolor jego rozeznąć możemy wtenczas tylko, kiedy patrzemy na znaczną jego ilość.

W dzień pogodny całe niebo ma kolor ciemno-błękitny czyli niebieski. Niebieskość ta pochodzi właśnie od niebieskawej barwy powietrza, które dopiero w wielkiej masie jest widzialnem. Lasy zdaleka mimo zieloności swej wydają się niebieskawemi, gdyż powietrze, zajmujące przestrzeń pomiędzy patrzącym a lasem, ma kolor niebieskawey.

Dołem jest powietrze gęściejsze, górą rzadsze; ciepłe powietrze, dla swej lekkości, wciąż idzie do góry, a chłodniejsze pozostaje nizko. Stąd to i w ogrzanej izbie w porze zimowej nogi ziębną; stanawszy zaś na stole, czujemy, że u góry jest daleko cieplej.

Na wierzchołkach wysokich gór, powietrze jest bardzo rzadkie i lekkie. Kto tam wejdzie, to słabnie, dostaje szumu w uszach i krwotoku z płuc.

## 256. Dzień dobry!

Dzień dobry ci, słońko, co wstajesz tak rano,  
Dzień dobry, ptaszyno, co witasz to słońce,  
I tobie, kwiateczku, co rośniesz na łące,  
I tobie, robaczku, co gdy koszą siano,  
Ty swemi skokami zabawiasz kosiarzy.

Dzień dobry ci, pszczołko, co śpieszysz do lasu,  
By słodki miód garnać, a wrócić zawczasu,  
Póki się słoneczko promieniem swym żarzy.

Dzień dobry, pajaku, co rzucasz swe nici  
Na pola, na łąki, na kwiaty i zioła,  
A czasem mi zwiśniesz na włosach u czoła,  
Srebrząc je, dopóki wiatr nitki nie chwyci.

Dzień dobry, dzień dobry, co żyje, co rośnie,  
Do Boga śląc modły i nieme, westchnienia,  
Jak może, jak umie, składając swe pienia;  
Dzień dobry, dzień dobry! wołam ja radośnie.

Lecz pierwsze dzień dobry zasylam do Tego,  
Który mnie, sierocie i wszystkim dał życie,  
Bo On nas przygarnie, jak swoje, jak dziecię,  
Swą łaską ochroni od troski i złego.

Bo Ojcem maluczkich jest zawsze Bóg dobry,  
Więc Ojcem On będzie dla wszystkich i dla mnie,  
Położy na czole sieroty swe znamię,  
Więc Bogu najpierwej ja wołam: dzień dobry!

*Z. Morawska.*

## 257. G ł o s.

1. — Głos jest wzruszeniem powietrza, pochodzącym od jakiejś rzeczy drgającej. Aby się o tem przekonać, przyłożmy palce do brzegu dzwonu, gdy dźwięczy, a uczujemy drżenie. Szarpnijmy grubą strunę na basetli, a urzemy wyraźne drganie; w skrzypcach będzie ono prędźsze i wyda głos tem cieńszy, im cieńszą będzie struna i im mocniej się ją naciągnie.

Chcąc mówić, wypuszczamy z płuc powietrze; wpada ono do szpary głosowej w krtani naszej i sprawia w niej drganie, oba bowiem brzegi szpary głosowej są utworzone z cieniutkich i sprężystych skóreczek, które lada oddech, z płuc wychodzący, wprawia w drganie, niby struny na skrzypcach.

Mowa tedy, śpiew i wszelki głos ludzki są spowodowane drganiem narzędzi głosowych w krtani.

Głos rozchodzi się przez powietrze i wpada do kanału ucha naszego otworem, znajdującym się w uchu. Dno tego otworu zamknięte jest cieniutką skóreczką, wyciągniętą jak skóra na bębnie, i dlatego nawet nazywa się *bębenkiem*. Otóż głos wprawia w drganie skóreczkę bębenka i tym sposobem słyszymy.

Głos ubiega w jednej sekundzie blisko 1200 stóp. To też, mając pod ręką dobry zegarek, łatwo pomiarkować, jak daleko np. piorun uderzył: uważać tylko należy, ile



sekund upłynęło między błyskawicą a hukiem piorunu. Jeżeli naliczymy 25 sekund, będzie to znakiem, że piorun uderzył o milę od nas.

Głos odbija się od rzeczy twardych, jak np. od murów, skał i t. p. Że tak jest, łatwo się o tem przekonać. Stańmy naprzeciw muru o sto kroków i krzyknijmy silnie, a natychmiast usłyszymy powtórzenie krzyku; powtórzenie takie nazywamy *echem* czyli odgłosem. Czasem echo powtarza się kilka razy, jak np. pomiędzy ścianami skalistemi w górach.

Otóż grzmot, powstający podczas burzy od huku piorunu, jest to właśnie owo powtarzające się echo tego huku, odbijającego się o chmury.

2. — Powietrze jest przewodnikiem głosu. Długa, cienka rura blaszana przeprowadza głos tak dokładnie, że choćby miała kilkadziesiąt łokci długości, można przecież na drugim końcu słyszeć najwyraźniej każdy wyraz wymówiony. Takie rury znajdują się w dużych kantorach, składach i fabrykach i bywają przeprowadzane przez kilka pięter, aby się porozumiewać z dołu do góry lub z góry na dół i nie biegać co chwila po schodach.

Im powietrze jest gęściejsze, tem lepiej głos słyhać; im rzadsze, tem słabiej.

Na wysokich górach, gdzie powietrze jest rzadsze, trzeba mówić bardzo głośno, aby być o kilka kroków słyszany. Powietrze nasycone parą, przesyła głos dalej i czyściej; dlatego też, kiedy z daleka słyhać dzwony, mówią ludzie, że będzie deszcz, albowiem duża ilość pary w powietrzu każe się deszczu spodziewać.

Ale nie samo tylko powietrze głos przeprowadza; przechodzi on i przez rzeczy twarde, np. przez drzewo i żelazo. Przyłóżmy ucho do końca belki, albo do sztaby żelaznej, chociażby na kilkanaście łokci długiej, a w drugim końcu niech ją kto poskrobie szpilką, to, chociaż odgłos skrobienia do nas powietrzem nie dochodzi, usłyszymy go przecież jak najwyraźniej. Podobnież w nocy,

podczas ciszy, przyłożywszy ucho do ziemi, możemy usłyszeć bardzo odległy turkot wozów i tentent koni.

Dlatego to nieraz ludzie kładą się na ziemię i wysłuchują tym sposobem, co się dzieje w pewnej odległości.

z W. L. Anczyca.

## 258. Wiatr.

Powietrze nie zawsze jest spokojne; często czujemy ruch jego to w tę, to w ową stronę; ruch ten nazywamy *wiatrem*.

Jeżeli w jakich okolicach z powodu wielkich upałów rozgrzeje się powierzchnia ziemi, to i powietrze, z nią się stykające, także się rozgrzewa. Ogrzane powietrze, jako lżejsze, unosi się w górę, a w miejsce przez nie opróżnione napływa dołem z innych stron powietrze zimniejsze. — Z tego ciągłego ruchu powstają prądy powietrza czyli *wiatr*. Możemy się o tym ruchu powietrza przekonać, gdy ustawimy świecę zapaloną w szparze drzwi nieco przymkniętych, między pokojem ciepłym i chłodnym: jeżeli będziemy trzymali świecę w gorze, płomień jej pochyli się w kierunku pokoju chłodnego, dlatego, że u góry będzie płynął prąd ciepły powietrza; jeśli zaś postawimy świecę na podłodze, płomień jej skieruje się do pokoju ogrzanego, bo dołem płynie powietrze chłodne.

Wiatr wiejący z zachodu przynosi nam zwykle deszcz, bo przechodząc nad obszernymi morzami, zabiera z nich wilgoć. Wiatr wschodni, wiejący z ponad suchych obszarów azyatyckich, przynosi w zimie jasną lecz mroźną pogodę, a w lecie upały. Północny wiatr, idący od morza Lodowatego, sprowadza w zimie straszliwe mrozy, a na wiosnę zwarza ogrodowizny; czasem nawet jeszcze w maju sprowadza śniegi, w lecie zaś nagle ochładza powietrze. Południowy wiatr bywa ciepły i duszny, bo przechodząc nad pustyniami rozpalonemi od promieni słońca, przynosi stamtąd gorąco



Wiatr wieje z rozmałą siłą. Gdy w dniu letnim powieje *wietrzyk*, wtedy ludzie się cieszą; narzekają, kiedy silny *wiatr* zrywa czapki z głów i tumanami kurzu w oczy miecie; trwożą się, kiedy straszny *wicher* druzgoce drzewa, wali kominy, a w borach i w polach sieje spustoszenie. W krajach gorących zdarza się straszliwy wiatr, *huragan*, niszczący nieraz w okropny sposób całe miasta i zatapiający okręty, napotkane na morzu.

Niezbyt gwałtowny wiatr oddaje ludziom wielorakie przysługi: odświeża i ochładza powietrze, rozpędza szkodliwe wyziewy, napędza chmury, a z niemi deszcz. Osusza też wilgoć, przenosi nasiona roślin tam, gdzie ich wprzód nie było, obraca wiatraki i popycha statki żaglowe.

## 259. M g ł a.

Powietrze czyste i suche jest gazem zupełnie przezroczystym. Gdy dostrzeżemy brak tej przezroczystości, mówimy, iż powietrze jest zamglone. Mgła składa się z bardzo drobnych cząsteczek wody, powstałych przez zgęszczenie pary, będącej w powietrzu. Cząsteczki te są tak małe, iż nierychło spadają ku ziemi, podobnie jak drobny pył lub kurz, który mimo większego ciężaru, z łatwością się w powietrzu unosi. Mgła tworzy się, ilekroć powietrze wilgotne się oziębi. Z tej przyczyny w mroźny dzień tworzą się na dworze z naszego oddechu obłoczki mgły. W lecie oddech nie bywa zamglony.

Mgły zimowe powstają, gdy po dłuższym mrozie, który ziemię silnie oziębił, powieje wiatr cieplejszy i wilgotny, np. południowo-zachodni. Mgły takie bywają zapowiedzią odwilży. W lecie bardzo pospolite są mgły wieczorne, tworzące się przeważnie w miejscach niskich i wilgotnych. Widać wówczas często mgły nad rzekami. Powietrze oziębione spływa ponad rzekę i sprawia to zamglenie.

Podobnie tłómaczą się mgły ponad niskimi równinami, nad łąkami, moczarami i t. p. Mgły są bardzo pospolite w górach, a po deszczu z każdego niemal parowu i z wilgotnych lesistych dolin wychodzą mgły, często tak gęste, jak dym.

## 260. Jak powstaje rosa, szron, zamróz, gołoledź?

*Rosa.* — Słyszymy nieraz ludzi utrzymujących, że rosa pada; ale nikt jej jeszcze nie widział padającej. Skądże więc bierze się ona na trawach i liściach, a nawet i na sukniach naszych w chwili zachodu słońca i po zachodzie jego?

Każdemu wiadomo, że w izbie ogrzanej, gdzie gotują i piorą, na zamkniętych oknach osiadają krople wody, podobne do kropel rosy. W izbach, gdzie kilka osób śpi, osiada para na szybach okien. Kiedy słońce szyby ogrzeje, wtenczas rosa z nich niknie, podobnie jak znika na liściach i trawach, gdy słońce wzbije się w górę.

Z tego się okazuje, iż aby na jakiej rzeczy rosa osiadła, potrzeba, żeby ta rzecz była zimniejszą od powietrza i aby powietrze to zawierało w sobie wilgoć, gdyż inaczej rosa się nie utworzy. Rosa powstaje zatem z osiadania pary, unoszącej się w powietrzu, na przedmiotach zimniejszych od niego. Osiada zaś dlatego po zachodzie słońca na liściach i trawach, ponieważ one prędzej się ochładzają niż powietrze.

Rosa jest dobrodziejstwem dla krajów, gdzie deszcze mało albo tylko w zimie padają. Gdyby nie rosa, to w okolicach tych nieby rosnąć nie mogło.

I u nas dobroczynna rosa żywi drzewa, rośliny i zboża, jest więc i dla nas nieocenionem dobrodziejstwem.

*Szron.* — Jeśli przedmioty, na których rosa osiada, oziębią się wskutek lekkiego mrozu, wtedy rosa na nich marznie i powstaje z niej szron. Widujemy go po zimnej nocy na ziemi i na obmarzniętych gałęziach drzew, a tak-



że i na dachach w postaci mnóstwa drobnych białych igiełek, z sobą skupionych. Szron jest rosą marznącą, a nie śniegiem, bo śnieg, podobnie jak deszcz, pada z chmur.

*Zamróż.* — Zamróż ukazuje się wtenczas na ścianach, kiedy po długich mrozach nastąpi szybka odwilż. Wtedy bowiem powietrze ogrzewa się prędzej niż mury; para, znajdująca się w powietrzu, stykając się z przeziębłymi murami, marznie i z tego powstaje na ścianach rodzaj szronu, który tak długo trwa, aż się i mury rozgrzeją. Niektórym się zdaje, że zamróż ze ścian wychodzi. Tak nie jest. Wilgoć z powietrza osadza się na murach, a im te są grubsze i im więcej pary w mieszkaniu, tem grubiej zamróż osiada. W izbach, w których się pierze i gotuje, bywa wiele wilgoci i tam też zamróż najsilniej występuje.

*Gołoledź.* — Gołoledź tworzy się wtenczas, kiedy z górnych, ciepłych warstw powietrza spada drobny deszcz na zamarznąłą lub marznącą ziemię. Trafia się to w późnej jesieni, zimą lub na wiosnę, i jest prawie zawsze przepowiednią odwilży.

## 261. Śnieg, krupki i grad.

Przyczyna śniegu jest ta sama, co i deszczu, tylko że deszcz pada w kroplach wody, a śnieg w postaci płatków. Składają się one z bardzo pięknych kryształków lodu, a powstają w ten sposób, że od zimna ścina się każda cząstka wodna w chmurze i zamienia się zaraz w małe igiełki; te zaś, łącząc się z sobą, tworzą owe płatki śniegowe.

Śnieg przynosi ważne korzyści w gospodarstwie. Zasięwy podczas ostrej zimy wymarzłyby od silnych mrozów, gdyby nie były śniegiem osłonięte. Mieszkańcy krajów podbiegunowych robią sobie na zimę mieszkania pod śniegiem, a podróżni, zwiedzający tameczne okolice, strudzeni podróżą lub zaskoczeni nocą, zagrzebują się

głęboko w śnieg i po kilkogodzinnym wypoczynku w dalszą puszczają się drogę. U nas zające i kuropatwy podobnie chronią się przed mrozem.

Obfita ilość śniegu, czasem dla nas przykra, ma ważne przeznaczenie. Masy śniegu, znajdujące się po lasach, wawozach lub na górach, topniejąc na wiosnę, spływają do strumieni i zasilają rzeki nasze, czyniąc je splawniejszymi, lub też nasycają ziemię wilgocią. Bez śniegu byłaby na wiosnę ogromna posucha. W górach, z nastaniem cieplej pory, śniegi topnieją w tak wielkich masach, że woda z nich często zamienia spokojne rzeczki w gwałtowne potoki, siejące zniszczenie w okolicznych włościach.

I nasza Wisła wzbiera, gdy śniegi, leżące w górach Karpackich, z powodu letnich upałów, szybko topnieją.

Płatki śniegu zbijają się niekiedy w białe ziarenka, zwane *krupkami*. Ziarna te nie topnieją tak łatwo; stąd pochodzi, że krupki zdarzają się w cieplejszych porach roku, na wiosnę i w jesieni, najczęściej w połączeniu z deszczem, gdy właściwy śnieg nie pada. W zimie widzimy je dość rzadko, bo wtenczas jest w górze zbyt zimno, więc płatki śniegu są tam suche.

*Grad*, są to kulki lodowe, tworzące się w ten sposób jak krupy, tylko większe i cięższe; grad jest zjawiskiem letniem, zdarza się najczęściej w ciepłej porze dnia i jest wynikiem gwałtownego zaburzenia w powietrzu; często mu towarzyszą: burzliwy wiatr, grzmoty i pioruny.

Wiadomo, jakie to bywa nieszczęście w gospodarstwie, kiedy grady zboża zbijają. Grad wielkości jaj gołębih bywa, niestety, niezbyt rzadkiem zjawiskiem; były wszakże przykłady większych jeszcze ziarn gradowych.

## 262. Człowiek i zmysły.

1. — Koroną stworzenia, najszlachetniejszą i najpotężniejszą istotą na ziemi jest człowiek. Nim uwieńczył Bóg dzieło rąk Swoich.



Świetnie też Pan Bóg wyposażył człowieka, bo oprócz *ciała* stosownego, dał mu *duzę* rozumną. Ze wszech tworów ziemi jeden tylko człowiek może zagłębiać się w tajniki natury i badać przeznaczenie każdej istoty.

Ciało człowieka jest doskonalsze od ciała zwierząt: prosta postawa jego znamionuje pana ziemi; oko, które ku niebu wznosić się może, oznajmia związek nasz z niebem

Ciało nasze ma zmysły, podobnie jak i ciało zwierząt. Wszystko, co nas otacza, poznajemy za pomocą zmysłów. Mamy ich pięć: czucie czyli dotyk, węch, smak, słuch i wzrok.

Narzędziem dotyku jest cała skóra, okrywająca nasze ciało. Ną odbieramy wrażenia zimna i gorąca. Najdelikatniejsze czucie mamy w końcach palców.

Błona śluzowa, wyściełająca górną część jamy nosowej, mieści w sobie zmysł węchu. Zmysł ten ostrzega nas, że wiele rzeczy jest szkodliwych dla zdrowia, np. zepsute pokarmy i napoje, że jest czad lub niezdrowe wyziewy. Po właściwym zapachu poznajemy niektóre rzeczy, chociaż ich nie widzimy. Które zwierzęta mają węch doskonały?

2.—Język jest narzędziem smaku. Tylko te rzeczy rozpoznajemy smakiem, które rozpuszczają się w ślinie, wyrabiającej się w jamie ustnej. Smak, podobnie jak węch, ostrzega nas przed wielu niedobremi pokarmami i napojami. Wiemy, że niejedna trucizna ma smak miły, to też rozum, doświadczenie i nauka uczą nas rozróżniać rzeczy pożyteczne od szkodliwych. Człowiek chory traci smak i apetyt do jedzenia. Kto chce mieć zdrowy smak i uniknąć bólu zębów, powinien utrzymywać jamę ustną w porządku i płukać ją letnią wodą po każdym jedzeniu, a przynajmniej codziennie rano, gdy wstanie, i wieczorem, gdy się spać kładzie.

Uszy są narzędziami słuchu. Co rozróżniamy słuchem?... Ucho składa się z dwóch części: z zewnętrznej,

którą widzimy, i wewnętrznej, ukrytej w głębi głowy. Część zewnętrzną stanowi małżowina uszna i przewód słuchowy, prowadzący do wnętrza ucha. Gdy mówimy, poruszamy ustami powietrze, małżowina zaś kieruje je do przewodu słuchowego. Dowodem tego jest, że gdy chcemy lepiej słyszeć, przykładamy do ucha rękę.

Dobry słuch jest wielkim darem Bożym. Jak to przyjemnie słyszeć głos matki i ojca, mowę innych ludzi, śpiew, muzykę! Dla głuchego cały świat jest niemy. A jednak są dzieci lekkomyślne, które same narażają się na głuchotę. Słuch możemy utracić przez dłubanie w uchu ostre przedmiotami, jak np. szpilką, drutem. Nagły strzał koło ucha lub zbyt głośne krzyczenie w ucho, a nawet silne uderzenie w okolicę ucha, może pozbawić słuchu.

3. — Zmysł wzroku mieści się w oczach. Oczy są ochronione powiekami, rzęsami i brwiami. W gałce ocznej jest okrągła błona, nazwana tęczówką, rozmaicie zabarwiona: niebieska, siwa, piwna, czarna. W samym środku ma tęczówka mały czarny otworek. Jest to źrenica. Patrząc komuś w źrenicę, widzimy jak w lusterku siebie samego, ale w zmniejszeniu; dlatego ludzie nazywają źrenicę nieraz «człowieczkiem». Tędy, jak przez okienko, dostają się do wnętrza oka promienie światła, odbite od przedmiotu, na który patrzymy, i tworzą w oku jego obraz. Wzrok jest, podobnie jak słuch, zmysłem bardzo delikatnym. Szkodzi mu światło zbyt mocne, lub zaledwie słabe. Nie należy przeto wpatrywać się w słońce, w żar ognia, w przedmioty bardzo błyszczące. Nie należy też czytać lub szyć o zmroku, bo wtedy światła za mało. Kurz, brud, dym, także szkodzą oczom. Dlatego nie trzyjcie nigdy oczu zabrudzonymi palcami i unikajcie kurzu i dymu. Zbytne przybliżanie lub oddalanie od oczu książki przy czytaniu psuje także wzrok. Dobrze jest przemywać oczy codziennie zimną wodą. Sama natura wskazała to człowiekowi, gdy bowiem wpadnie nam co do oka, sączą się obficie łzy, by gałkę oczną obmyć.



Gdy oko jest chore, trzeba na to bardzo uważać i wcześniej poradzić się lekarza, bo można łatwo wzrok stracić i zostać największym kaleką.

### 263. Cześć Panu.

Niech się głos do Boga wznosi,  
On Ojcem—my dzieci;  
On nam deszczem ziemię rosi,  
On nam słońcem świeci  
On nam liściem zdobi drzewa,  
On kwiateczki sieje,  
On morzami łód oblewa,  
W źródła wodę leje.  
On gwiazdami niebo złoci,  
Zsyła chłód wśród cieni,  
Z Jego, z Jego to dobroci  
Owoc się rumieni.  
Śliczne zboże z Jego ręki  
Z kłosami pełnemi.  
Złożmy Mu stokrotne dzięki  
Sercami wdzięcznemi.  
Wkoło wszystko się uśmiecha,  
Zorza ogniem pała.  
W sercu rodzi się uciecha,  
Chwalaż Panu, chwala!  
Patrzcie, patrzcie na obłoki,  
Co za malowanie!  
Światła leją się potoki,  
Jakżeś wielki, Panie!  
Każdy z czuciem, z podziwieniem  
Pada na kolana;  
Wdzięczne serca, tkliwym pieniom  
Uwielbiajcież Pana!

*Stanisław Jachowicz.*

### 264. Obecność Boska.

— Skąd wracasz, mój synu? Gdzie byłeś? Coś widział?

— Byłem na łące, mój ojcie, o! daleko stąd, daleko! deptałem trawki, zrywałem kwiatki, goniłem motylki; na

bloniu pasły się owieczki i krówki. Jedne biegały do strugi i piły, inne kładły się w cieniu i odpoczywały, a pastuszek siedział przy nich i przygrywał na fujarce.

— I nie widziałeś nic więcej?... I nie nie zajęło twojej uwagi?... Wracajże, synu na łąkę, a znajdziesz rzeczy godniejsze zastanowienia. Pan Bóg tam jest na bloniu; czyżes go nie widział? Jemu to łąka winna swą zieloność i kwiatki. Jemu słońce winno, że tak pięknie świeciło.

— Przechadzałem się mój ojcie, w ciemnym i gęstym boru; łagodny wietrzyk poruszał gałęziami, strumyki szerały, spadając po kamkach, wiewiórka skakała z gałęzi na gałązkę, słowiki śpiewały w krzakach; usiadłem pod drzewem i słuchałem ich śpiewu.

— Toś nie więcej nie słyszał, tylko szmer strumyków, świergotanie ptaszków i powiew wiatru?... Wracaj, moje dziecko, do boru, a ujrzysz i usłyszysz rzeczy jeszcze większe.

— Widziałem, mój ojcie, wschodzący księżyc nad drzewami lasu; zdawał mi się być lampą, zawieszoną na obłokach, a gwiazdki, maleńkie, jak oczka, jedne po drugich pokazywały się na niebie. Ale niezadługo na to jasne niebo wystąpiły chmury coraz czarniejsze; z chmur wypadła błyskawica; zaczęło grzmieć naprzód zdaleka, potem nade mną, a pioruny były jeden za drugim; przełakłem się bardzo, mój ojcie, i zacząłem uciekać do domu.

— A więc, mój synu, bałeś się piorunów i grzmotów? Nie widziałeś nic więcej prócz błyskawic?...

Pamiętaj, dziecko moje, że Pan Bóg jest wszędzie i na każdym miejscu, tak na niebie, jak i na ziemi i na morzu. On to mówi do nas we wszystkim, co twoje oczy, twój słuch zajmuje, a trawka najdrobniejsza, muszka najmniejsza, jak i piorun groźny, świadczą o Jego obecności.

Niechże odtąd, synu mój, Pan Bóg będzie zawsze w twej pamięci; strzeż się Go obrazić, bo oko Boskie patrzy na wszystko, co robisz, co nawet robić zamýślasz.



## 265. Opatrzność Boga.

Wspaniałe słońce zaszło, wieczorna rosa kroplami ziemię okrywa, a gorące powietrze ochłodziło. Kwiaty kulą różnobarwne listki, pochylają zamknięte główki na lek-  
kich łodygach. Małe pisklęta zebrały się pod skrzydła matki i siedzą cicho; ona sama spoczywa. Ptaszki śpiewać przestały, śpią na gałęziach, każdy swoją główkę pod skrzydełko schował. Już pszczoły nie brzęczą koło ulów, ani po łąkach nie szukają miodu; skończyły pracę odpoczywają w swych komórkach z wosku. Baranki leżą na miękkich runiach, już ich głosu nie słyszeć na pagórkach.

Już ustał gwar rozlicznych głosów i hałas igrających dzieci i stąpanie zatrudnionych ludzi. Już młot kowala nie bije w kowadło, już piła nie rżnie w rękę cieśli. Wszyscy ludzie spoczywają, każdy, na jakim ma, posłaniu. I małe dziecię na łonie matki usypia.

Ciemność ogarnęła niebiosy, ciemność okryła ziemię; wszystkie oczy zamknięte, każde ramię spoczywa.

I któż czuwa nad tym uśpionym światem, kiedy nikt o swej obronie nie myśli, niebezpieczeństwa nie widzi, choćby blizkie było?

Jest oko, które nie śpi nigdy; jest oko, które zarówno widzi w ciemnościach nocy i w świetle słonecznym.

To oko, które nigdy nie śpi—to oko Boga: opieka Jego zawsze nad nami. Dał nam sen dla spoczynku po trudach, stworzył noc, żebyśmy spać mogli spokojnie.

Jak matka cały dom swój przebiega, a ręce położywszy na ustach, wszystkim nakazuje milczenie, żeby się nie obudził uśpiony jedynak; jak zasłone kołyski zasuwają, żeby światło nie raziło oczu jego: tak Bóg zasuwając ciemności zasłone, wszystkiemu nakazuje milczenie, ażeby wielka Jego rodzina spać mogła w cichości.

Robotnicy, pracą znużeni, i wy, dzieci, zabawą zmęczone, śpijcie spokojnie! Bóg nad wami czuwa. A sko-

Prawdziwą mądrością jest znajomość tego, co każdy z nas wiedzieć może i powinien, t. j. *poznanie Boga*, *znanie naszego przeznaczenia*, *poznanie naszych powinności*, zrozumienie po co jestem na ziemi i co powinienem czynić, abym był człowiekiem doskonałym?

Taka mądrość jest każdemu koniecznie potrzebna! Niej to pomnażał się Jezus od lat dziecinnych; widzieliśmy Go w dwunastym roku życia pomiędzy uczonymi, od-  
wiadającego i zadającego im różne ważne pytania. O nabycie prawdziwej tej mądrości i nam się starać należy.

2. «Jezus pomnażał się w łasce u Boga.»

To tylko, co jest prawdziwie dobrem, pięknem i szlachetnym, podobać się może Bogu. Dlatego Jezus od młodości swojej starał się postępować w cnocie i spełniać wolę Ojca Przedwiecznego. Posłuszeństwo, nieograniczone ufanie, wdzięczność, jaśniały w całym Jego postępowaniu, w każdym czynie. Dziecię tak pobożne musiało być dziełem Boga i zasługiwać na łaskę Jego.

3. «Jezus pomnażał się w łasce u ludzi.»

Jakież to dziecię podoba się dobrym ludziom i znajduje względy u nich? Dziecię złe, gniewliwe, nieposłuszne, które usta swoje nieprzystojnymi słowami lub kłamstwem obraża? O! dziecko krnąbrne i psotliwe, prześladowające ludzi i zwierzęta, czyniące im szkodę ze swawoli, nikomu się podobać nie może! Kto takim jest za młodu, niewiele obiecuje dobrego na przyszłość.

Miłość i dobroć względem wszystkich, którzy się do Jezusa zbliżali, były przymiotami dziecięcej duszy Jego. Nigdy nikogo nie zasmucił, nigdy gniew, zazdrość, ani jakiegokolwiek brzydkiego uczucia nie zmieniło twarzy Jego, pełnej miłości i słodyczy niebiańskiej. Coraz większą miłością kochał się u ludzi, o ile bowiem wzrastał, o tyle wido-  
niejszy był postęp Jego w cnocie i doskonałości.

W ubogim domku Józefa, Opiekuna Swego, przy Matce i siostrze Maryi, nie wstydził się Jezus ciężkiej pracy, którą



Józef na utrzymanie swoje i domu zarabiał,—chętnie Mu w niej dopomagał. Posłuszny i wdzięczny we wszystkim dla tych, którzy Go wychowywali, przebywał w Ich domu aż do chwili, w której Go Ojciec Niebieski do dzieła ważniejszego powołał.

### 269. Żłobek Dzieciątka Jezus.

W krainie wschodniej, gdzie Jordan płynie,  
Żłobek ubogi od wieków słynie:

W nim Jezus Chrystus, Najświętsze Dziecię,  
Z niebiosów ziemskie poczęło życie.

Tam Matka Boska, Święta Dziewica,  
Czysta, jak światło, co z gwiazd przyświeca,  
Dzieciątko Jezus światu powiła,  
Najpierwszy serca hołd Mu złożyła.

Do nędznej szopki gwiazda przywiodła  
Trzech Królów wschodnich, co tronu godła  
U stóp Dzieciątka złożyli sami,  
Cześć Mu oddali wraz z pastuszkami.

Opromieniona Święta Dziecina,  
Nosząca imię Boskiego Syna,  
Światłem z Niebiosów świat uwesela;  
Bóg Ojciec zesłał w Nim Zbawiciela.

Dziecięciem — mędrców dziwił w świątyni,  
Z Janem Chrzcicielem bywał w pustyni,  
A gdy powrócił w miejsca rodzinne,  
Tulił do serca dziatki niewinne.

Kochać bliźniego uczył na ziemi,  
Przykład sam dawał cnotami swemi,  
Uczył przebaczać wrogom ich winy,  
Bogu być miłym przez dobre czyny.

Zbawiciel świata, Jezus, Syn Boży,  
Sam się przed Ojcem Niebieskim korzy,  
Braterstwo głosi i siłą męża  
Pokusę ducha złego zwycięża.

Jezus chrzest przyjął, jako znak wiary,  
Zaparcia Siebie, czystej ofiary;  
Gromadził uczniów i Słowo Boże  
Pośród prostaczków głosił w pokorze.

Nie dość Mu słowa; działać zaczyna,  
Bo tak Bóg Ojciec nauczył Syna;  
Toż Chrystus, ucząc czynem i słowem,  
Umarł na krzyżu w wieńcu cierniowym.

Odkąd Krzyż stanął z czarą ofiary  
Przed jasnym blaskiem prawdziwej wiary,  
Trzeba bliźniego kochać jak brata:  
To krwią swą sprawił Zbawiciel świata.

*Teofil Nowosielski.*

### 270. Modlitwa w wieczór letni.

Niech Cię chwali, mój Boże, ten przestwór szeroki,  
Ten cały teraz do snu kłoniący się świat,  
Ostatnim blaskiem słońca złożone obłoki  
I do snu swą koronę stulający kwiat.  
Niech Cię chwala drzew szczyty szumiące z wiatrami,  
I na łące mgła szara i kwieciana woń,  
I te trawki zielone, co się rosą łzami,  
I przejrzysta w jeziorze cichej wody toń.  
Niech Cię chwala, mój Boże, gór skaliste szczyty,  
Te ptaszęta, co tulą się w cieniu swych gniazd,  
I te cieniem wieczornym zasnute błękity,  
Na których błyszczy księżyc i tysiące gwiazd.  
Niech Cię chwala, mój Boże, serc ludzkich odgłosy,  
Tych dusz wszystkich modlących i skruszonych chór,  
I te śpiewy słowika, i nad trawy, wrzosa  
Te brzęczące owady, które tworzą wtór.  
Niech Cię chwali, mój Boże, każde serca bicie,  
Každy okrzyk radości, który w piersiach drga,  
Každy w pracy i znoju przepędzone życie,  
I każda z ócz grzesznika skruszonego łza.  
Niech Cię chwali, mój Boże, i me serce młode,  
Któreś Ty, choć tak nędzne, ukochał bez miar,  
Od którego miłości pożadasz w nagrodę,  
I co Ci pragnie z siebie złożyć skromny dar.



## DODATEK

zawierający wiersze zalecone przez Okrąg Naukowy  
do uczenia się na pamięć,

(nie zamieszczone w tekście «Wypisów»).

### 271. Ptaszki w klatce.

— Czego płaczesz?!... staremu mówił czyżyk młody —  
Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody...

— Tyś w niej zrodzon, rzekł stary, przeto ci wybaczę,  
Jam był wolny, dziś w klatce, i dlatego płaczę.

*Ignacy Krasicki.*

### 272. Mądry i głupi.

Pytał głupi mądrego, na co rozum zda się?...

Mądry mileżał. Gdy coraz bardziej naprzykrza się,  
Rzekł mu: — Na to się przyda według mego zdania,  
Żeby nie odpowiadać na głupie pytania.

*Ignacy Krasicki.*

### 273. Człowiek i zdrowie.

W jedną drogę szli razem i człowiek i zdrowie.  
Na początku biegł człowiek; towarzyszył mu powie:  
— Nie śpiesz się, bo ustanieś... — Biegł jeszcze tembardziej.

Widząc zdrowie, że jego towarzystwem gardzi,  
Szło z nim, ale zwolna. Przyszli na pół drogi.

Wtem człowiek, że z początku nadwreżył nogi,

Zwolnił kroku cokolwiek. Za jego rozkazem

Przybliżyło się zdrowie, i odtąd szli razem.

Człowiek coraz ustawał, a że się zadysza,

— Prowadź mię, iść nie mogę, rzekł do towarzysza.

— Było mnie zaraz słuchać, natenczas mu rzekło,

Cheiał człowiek się tłómaczyć... lecz zdrowie uciekło.

*Ignacy Krasicki.*

### 274. Pan i Pies.

Pies szczekał na złodzieja, całą noc się trudził;

Obili go nazajutrz, że pana obudził.

Spał smaczno drugiej nocy, złodzieja nie czekał.

Ten dom okradł. Psa obili za to, że nie szczekał.

*Ignacy Krasicki.*

### 275. Dwa żółwie.

Nie żałując sił własnych i ciężkiej fatygi,  
Dwa żółwie pod zakładem poszły na wyścigi.

Nim połowę do mety drogi ubieżeli,

Spektatorowie poszli, sędziowie zasnęli.

Więc rzekła im jaskółka:—Lepiej się pogodzić,

Pierwej, niżeli biegać, nauczcie się chodzić.

*Ignacy Krasicki.*

### 276. Jodła i jabłoń.

Jabłoń rzekła sąsiadce:—O, ponura jodło!

Pocóż blisko mnie wzrastasz, gdy jesteś tak podła?

Patrz, do moich owoców jak się każdy śpieszy!

Patrz, jak widząc, że kwitnę, każdy się ucieszy.—

Spadły kwiaty; za czasem i owoc zerwano;

Spadły liście, a zatem o jabłoń nie dbano.

Widząc to, rzekła jodła:—Sąsiadko zbyt harda!

Osądź teraz, czy słuszną była twoja wzgarda?

O tem, co było zewnątrz, trzymałaś wysoce,

Nie ciebie ludzie czcili, lecz twoje owoce.

*Ignacy Krasicki.*

### 277. Chciwość osła.

Osiolkowi w żłoby dano:

W jeden—owies, w drugi—siano.

Uchem strzyże, głową kręci,

I to pachnie, i to nęci.

Od którego teraz zaczniesz,

Aby sobie podjeść smacznie?

Trudny wybór, trudna zgoda:

Chwyci owies, żal mu siana,

Chwyci siano, owsa szkoda.

I tak stoi aż do rana,

A od rana do wieczora.

Aż nareszcie przyszła pora,

Że oślina pośród jadła

Z głodu padła.

*Aleksander Fredro.*

### 278. Lew i mysz.

Onego czasu lew drzemał;

Umilkła puszcza i wiatr się zatrzymał.

Rozigrały się wśród spokojnej ciszy

Jedna za drugą biegnące myszy.



Aż tu pęd jedną uniesie  
 Na króla zwierząt. Ocknie się  
 I płochą skoczkę porywa.  
 Myszka moja, ledwie żywa,  
 Zguby swej czeka ze drżeniem;  
 Ale on, rzeczą nie sądząc wspaniałą  
 Mścił się nad drobnym stworzeniem,  
 Wypuścił całą.

W kilka dni potem idąc po nocy,  
 Sam w nastawione sidła zapadnie;  
 Z tych się nie mogąc wydobyć snadnie,  
 Rykiem jął żądać pomocy.

Aż tu mysz owa przyleci,

— Nie bój się, królu—powiada—

Ja cię wywikłam z tych sieci.—

Uśłudze takiej, myszy wdzięczność rada:  
 Te, w których stopy monarsze uwięzły,  
 Zdradne przegryzła węzły.  
 Tak lwa całego puszczy oddała  
 Jedna mysz mała.

*Franciszek Dionizy Kniaźnin.*

## 279. Wiewiórka i orzeszek.

Jeszcze w zielonej skórcie  
 Dostał się orzech wiewiórcie.  
 Ledwie go dotknie drobnymi ząbkami,  
 — Jakże mię—rzecze—moja matka mami!  
 Nieraz mi to powiadała,  
 Że orzeszek—potrawa arcydoskonała.  
 Dziękuję za nią!—Wnet rzuci orzechem.  
 Podjęła go małpa ze śmiechem;  
 Bierze w łapki, rozłupywa,  
 Słodkie ziarnko wydobywa,  
 I gdy go zajada sama,  
 Rzecze wiewiórcie:—Dobrze mówi mama,  
 Dobry orzeszek, lecz trzeba zgryźć wprzód,  
 Trzeba wprzód popracować, kto chce mieć wygody!—

*Stanisław Jachowicz.*

## 280. Myszka, kot i kogut.

Coby to była za szkoda!  
 O mało nie zginęła jedna myszka młoda,  
 Szczera, prosta, niewinna. Przypadek ją zbawił.  
 To, co ona swej matce, ja wam będę prawił:

— Rzuciwszy naszych kryjówek głębinę,  
 Dopadłam jednej zielonej równiny,  
 Dyrdając, jako szczurek, kiedy sadło śledzi.  
 Patrzę, aliści dwoje zwierząt siedzi:  
 Jeden z nich trochę dalej, z milczeniem przystojnem,

Łagodny i uniżony.

Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym:  
 W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony,

Ogon zadarł do góry

I lśnięciami błyszczał pióry;

Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,

Jak gdyby kto powykrawał;

Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigał,

Albo na powietrze dźwigał.

Ja, lubo z łaski Boskiej dosyć jestem śmiała,

Ażem mu srodze nakłęła,

Bo mię z strachu drzączka wzięła,

Jak wziął się tłuc z tartasem obrzydły krzykała.

Uciekłam tedy do jamy.

Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,

Co kożuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy;

Minka jego nie nadęta,

I, choć ma bystre ślepięta,

Dziwnie mi się z skromnego wejrzenia podobał;

Jak nasze, taką samą robotą ma uszka;

Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał.

Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi

Tej przyjacielskiej usługi,

Kiedy nagle narobił łoskotu,

Krzyknawszy na mnie z gniewem; kto to tu? kto to tu?

— Stój—rzecze matka—córkko moja luba!

Aż mrowie przechodzi po mnie...

Wiesz-li, jak się ten zowie, co tak siedział skromnie?

Kot, bestya, rodzaju naszego zaguba!...

Ten drugi był to kogut; groźba jego pusta;—

I przyjdą może te czasy,

Że z jego ciała będziem jeść frykasy.

A zaś kot, może nas schrusta...

Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie!

I tę zdrową maksymę w swej pamięci zapisz:

Nie sądź nikogo po minie,

Bo się w sądeniu poszkapisz.

*Stanisław Trembecki.*



## 281. O s i e ł.

Tak się raz osieł daśał,  
Tak się ze zwierząt natrząsał,  
Taki był pyszny, wspaniały,  
Że go inne nie poznały.

Pojać nie można było,

Co mu się zrobiło.

Nareszcie wszystkim konieczne dowodził,  
Że się magnatem urodził.

Dwie godziny o tem gadał,

Powiadał,

Jakich to miał przodków sławnych,

Jak niezmiernie dawnych;

Wyliczał lata za lata,

Skąd szły jego antenaty,

Jak się ciągnęły do góry,

Coraz w większą sławę rosły.

Jakie to były rozumne figury,

Co to były za osły!

A lis mu na to:—Jakżeś nierozsądny!

Ciągle swoich chwaliś przodków;

I ty nie jesteś z wyrodków,

I z ciebie osieł porządny!

*Franciszek Morawski.*

## 282. L i s i o s i e ł.

Lis stary, wielki oszust, sławny swem rzemiosłem,  
Że nie miał przyjaciela, narzekał przed osłem.

— Sameś sobie w tem winien—rzekł mu osieł na to:

Jakaś sobie zgotował, obchodzi się zapłatą.

Głupi ten, co wnijść w przyjaźń z łotrem się ośmiela:

Umieć być przyjacielem, znajdziesz przyjaciela.

*Ignacy Krasicki.*

## 283. Chłop i ciele.

Nie sztuka zabić, dobrze zabić sztuka,

Z bajki nauka.

Szedł chłop na jarmark, ciągnąc ciele na powrozie.

W lesie, w wąwozie,

W nocy burza napadła, a gdy wiatry świszczą,

W ciemności postrzegł wilka po oczach, co błyszcza.

Więc do pałki; jał machać; nie myślawszy wiele,

Zamiast wilka, co uciekł, zabił swoje ciele.

Znosił to Paweł; nareszcie nie może.

Schodzi do Gawła i prosi w pokorze:

— Zmłuj się waćpan, połuj ciszej nieco,

Bo mi na górze szyby z okien lecą. —

A no to Gaweł:—Wolność, Tomku, —

W swoim domku! —

Cóż było robić?... Paweł ani pisał,

Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.

Nazajutrz Gaweł jeszcze smacznie chrapie,

A tu z powały coś mu na nos kapie.

Zerwał się z łóżka i pędzi na górę:

Stuk! — puk! zamknięte. Spogląda przez dziurę

I widzi... Cóż tam?! Cały pokój w wodzie,

A Paweł z wędką siedzi na komodzie.

— Co waćpan robisz?—Ryby sobie łowią! —

— Ależ, mospanie, mnie kapie po głowie!

A Paweł na to:—Wolność, Tomku,

W swoim domku!

*Aleksander Fredro.*

## 288. W i e ś n i a k.

Biedny wieśniak, rozliczne wytrwawszy przypadki,

Rzekł:—Jabym tylko pragnął lichiej jakiej chatki,

Krowy, owieczki i szkapy, choć starej.

Zyskał od Boga te dary.

Już więc szczęśliwy — któż bardziej być może?

Wkrótce kradną mu owcę...—Wola Twoja, Boże!...

— Mam jeszcze—mówił—chatkę, żrebicę i krowę.—

Ale nieszczęście spotyka go nowe:

Ginie krówka i pada kobyłka znędziała —

Lepianka tylko została!

Ten, co za szczęściem od tak dawna gonił,

Łzy nie uronił.

Raz zrana, niespodzianie wchodzi podstarość

I w imieniu dziedzica żąda zaległości,

Jakieś wymienia długi i podatki. —

A że nie miał pieniędzy, wypędza go z chatki.

Płaczą dobrzy sąsiedzi nad losem sąsiada.

— Nie — rzece — ten nie zginał, kto zdrowie posiada;

Bądźcie o mnie spokojni, mam jeszcze dość siły —

Ot, pożyczcie mi tylko siekiery i piły. —

Poszedł więc na zarobek do pobliskiej wioski.

Wzrost i oszczędzał. Przy pomocy Boskiej.



Niezadługo założył gospodarstwo nowe:  
Znowu miał owcę, konia, chałupę i krowę.

*Stanisław Jachowicz.*

## 289. Pieśń góralska.

Czerwony pas, za pasem broń  
I topór, co błyska zdala,  
Wesoła myśl, swobodna dłoń:  
To strój, to życie górala!

Gdy świeży liść okryje buk  
I Czarna Góra szczernieje,  
Niech dzwoni flet, niech ryczy róg,  
Ożyły nasze nadzieje.

Pękł rzeki grzbiet, popłynął lód,  
Czeremosz <sup>1)</sup> szumi po skale;  
Nuż w dobry czas kędziory trzód  
Weseli kapcie górale!

Połonin <sup>2)</sup> step na szczytach gór,  
Tam trawa w pas się podnosi;  
Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur,  
Tam żaden pan ich nie kosi.

Dla waszych trzód tam paszy dość,  
Tam niech się mnożą bogato;  
Tam runom ich pozwólcie rość,  
Tam idźcie na całe lato!

A kiedy mróz posrebrzy las,  
Ładujcie ostrożnie konie;  
Wy z plonem swym witajcie nas,  
My z czarką podamy dłonie.

*Józef Korzeniowski (Karpaccy Górale).*

## 290. Wrzesień.

Coraz ciszej. Wrzesień! wrzesień!  
Słońce rzuca blask z ukosa,  
I dzień krótszy, chłodna rosa,  
Ha, i jesień, śliczna jesień!  
O! jesieni złota nasza!  
Tyś jest darów Bożych czasu,  
Dziwnie mądra, pełna cześci  
I kojącej pełna treści...

<sup>1)</sup> Dopływ Prutu. <sup>2)</sup> Pastwiska w Beskidach.

W pożegnanie grają lasy  
Barw tysiącem pełnych krasy;  
Miedzią, złotem i rubinem,  
I szmaragdem i bursztynem;  
Na jesieni świat się mieni  
I w dobrane gra kolory,  
Pajęczyny srebrem dziany,  
Jak kobierzec różnowzory  
Na dzień wielki rozesłany.

Odleciały już bociany,  
Naszej strzechy gospodarze;  
Już i żóraw rzuca strażę,  
Wkluczpowietrznym zawiązany;  
I już tylko od jeziora  
Słychać jeszcze wrzask  
kaczora,

Lub szum długi, gdy gromada  
Już wędrownych gęsi spada.  
Jesień, piękna to matrona,  
Przysporzyła i oddaje;  
To, co wyszło z serca, z łona,  
Już dojrzałe całe staje.

Cicho, chłodno, jakoś smętno,  
Czule, rzewnie i pamiętno;  
A więc słońce złotem ciska,  
A złociste łąnów ściernie  
Srebrną gazą się połyska.  
I przyświadcza temu wiernie,  
W wielkiej ciszy, w wielkiej  
wierze,

Niebo, ziemia, człek i zwierzę—  
*Wincenty Pol*

## 291. Na śniegu.

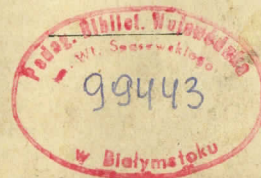
Białą się pola, oj białą!  
Zasnęły krzewy i zioła  
Pod miękką śniegu pościelą,  
Biała pustynia dokoła.

Gdzie była łączka zielona,  
Gdzie gaj rozkoszny, brzozowy,  
Drzew obnażone ramiona  
Sterczą z pod zasy pyłogowej.

Opadła weselna szata,  
Zniknęły wiosenne czary,  
Wiatr gałązkami pomiata,  
Zgrzytają suche konary.

Tylko świerk zawsze ponury,  
W tym samym żałobnym stroju,  
Wśród obumarłej natury  
Modli się pełen spokoju.

*Adam Asnyk.*





# SPIS RZECZY.

(Wiersze oznaczone są \*).

|                                                                | Str. |                                                             | Str. |
|----------------------------------------------------------------|------|-------------------------------------------------------------|------|
| *1 Z Bogiem, przez W. Pola . . . . .                           | 5    | 36 Najlepsza rekomendacya. . . . .                          | 38   |
| *2 Do Boga, przez S. Jachowicza . . . . .                      | 5    | *37 Rodzina. . . . .                                        | 38   |
| 3 Uczciwość . . . . .                                          | 6    | 38 Dom rodzicielski, przez Teofila Nowosielskiego . . . . . | 40   |
| *4 Zamiary Stasia, przez M. Konopnicką . . . . .               | 6    | 39 Wieś rodzinna, przez Ewarysta Estkowskiego . . . . .     | 40   |
| 5 Jabłka . . . . .                                             | 7    | Przysłowia . . . . .                                        | 41   |
| *6 Przygody odważnego Czesia, przez M. Konopnicką . . . . .    | 8    | *40 Wioska . . . . .                                        | 42   |
| 7 Mężny, podług Klem. Hofmanowej. . . . .                      | 9    | 41 Działwa ubogich rodziców . . . . .                       | 42   |
| *8 Stefek Burczymucha, przez Maryę Konopnicką . . . . .        | 9    | Przysłowie . . . . .                                        | 43   |
| 9 Zagadka. . . . .                                             | 10   | *42 Zima się zbliża, przez Ludwika Niemojowskiego . . . . . | 44   |
| 10 Cudowne ziele, przez Jana Chęcińskiego . . . . .            | 11   | 43 Miłość synowska. . . . .                                 | 44   |
| *11 Owieczka, p. A. Góreckiego . . . . .                       | 11   | *44 Pamięć ojca, przez Ewarysta Estkowskiego . . . . .      | 47   |
| 12 Sumiennosc, przez Lucyana Siemieńskiego . . . . .           | 12   | *45 Modlitwa za rodziców . . . . .                          | 47   |
| *13 Kogo kochać? przez Wł. Bełzę . . . . .                     | 13   | 46 Poszanowanie wieku i zasługi . . . . .                   | 48   |
| 14 Gościnność . . . . .                                        | 13   | *47 Szanuj starszych. . . . .                               | 49   |
| *15 Jedno nakrycie . . . . .                                   | 15   | 48 O wdzięczności . . . . .                                 | 49   |
| 16 Ofiara, według Hofmanowej. . . . .                          | 15   | *49 Chata ojczyzna, przez Teofila Lenartowicza . . . . .    | 50   |
| *17 Jak kochać matkę, przez Wł. Bełzę . . . . .                | 17   | 50 Wdzięczny druciarz, przez J. Kowerskiego. . . . .        | 50   |
| 18 Wzrok matki . . . . .                                       | 18   | *51 Chrystus i dzieci, przez M. Konopnicką . . . . .        | 52   |
| *19 Dziewczę na jagodach, przez Teofila Lenartowicza. . . . .  | 19   | 52 Wdzięczność dzikiego Przysłowia . . . . .                | 55   |
| 20 Grządka goździków . . . . .                                 | 20   | *53 Powrót taty, przez Adama Mickiewicza. . . . .           | 56   |
| *21 Jaś, przez Ign. Krasickiego . . . . .                      | 21   | 54 Staruszka . . . . .                                      | 58   |
| 22 Marynia, podług Klem. Hofmanowej. . . . .                   | 21   | *55 Kolaska, p. K. Węgierskiego . . . . .                   | 59   |
| *23 Niezręczna wymówka, przez Ludwika Niemojowskiego . . . . . | 22   | 56 Litość królowej Jadwigi . . . . .                        | 60   |
| 24 Praca odkładana. . . . .                                    | 23   | Przysłowie . . . . .                                        | 60   |
| *25 Jutro, p. L. Niemojowskiego. . . . .                       | 24   | 57 Prawdziwy chrześcijanin, p. Teresę-Jadwigę . . . . .     | 61   |
| 26 Kłamstwo zawsze się wyda, przez Paulinę Kraków . . . . .    | 25   | *58 Żydek, przez St. Jachowicza. . . . .                    | 62   |
| *27 Kto raz skłamię, temu drugi raz nie wierzą . . . . .       | 26   | 59 Pan i wieśniak . . . . .                                 | 62   |
| 28 Rzetelność . . . . .                                        | 27   | *60 Przezorność, p. Józefa Chmielewskiego . . . . .         | 63   |
| *29 Gdzie ja znajdę? . . . . .                                 | 29   | 61 Miłość prawdy . . . . .                                  | 64   |
| 30 Dotrzymuj słowa, podł. C. Niemirowskiej. . . . .            | 29   | *62 Macierzyńskie napomnienie . . . . .                     | 65   |
| *31 Rozmowa o ziemie . . . . .                                 | 32   | 63 Powódź . . . . .                                         | 65   |
| 32 Niesłuszne podejrzenie . . . . .                            | 33   | *64 Zając i jego przyjaciele . . . . .                      | 66   |
| *33 Kruk z dzwonkiem przez St. Jachowicza . . . . .            | 35   | 65 Poświęcenie staruszki . . . . .                          | 67   |
| 34 Kto jest próżniakiem? . . . . .                             | 36   | *66 Żebrak, przez A. Góreckiego. . . . .                    | 69   |
| *35 Dobre rady, przez W. Pola . . . . .                        | 37   | 67 Uznanie zasługi, przez Waleryę Marrené . . . . .         | 70   |
|                                                                |      | *68 Pastuszek, przez J. Kamocką . . . . .                   | 72   |
|                                                                |      | 69 Jak powstaje książka? . . . . .                          | 73   |

## e) Opowiadania dziejowe i geograficzne.

Pamięć ojca 47. Litość królowej Jadwigi 60. Krakowiaczy 110. Górąle 114. Ojcow 116. Wieliczka 119. Warszawa 121. Kościół Maryacki w Krakowie 124. Cesarstwo Rosyjskie 125. Petersburg 131. Kreml i Moskwa 134. Kijów 135. Chrzest Rusi 137. Włodzimierz Monomach 138. Piotr Wielki u kowala 139. Uległość Piotra Wielkiego prawu 140. Wyniesienie Piasta 141. Wprowadzenie chrześcijaństwa do Polski 143. Leszek Biały i Goworek 145. Habsburg 148. Król chłopków 151. Królowa Jadwiga 153. Władysław Jagiełło 156. Dwa wiecze 157. Z życia króla Jana 160. Obrona Trembowli 166. Obłężenie Wiednia przez Turków 168. Marcin Kątski 169. Obrona Częstochowy 171.

## f) Przysłowia i zdania moralne.

Str.: 41, 43, 55, 60, 74, 85, 89, 96, 98, 154, 170, 174, 177, 192, 216, 223, 247, 249, 258, 266, 275, 300, 311.

## g) Opisy i rozprawki treści naukowej.

Jak powstaje książka 73. W zapusty 78. O zwierzętach domowych 214. Pies 217. Z życia osła 224. Szkoła w Smorgoniu 231. Żubry w puszczy Białowieskiej 240. Z życia lwa 242. Napad dzików 245. Wiewiórka 248. Kret 250. Jeź 252. Jaszczurki, żółwie i żaby (płazy) 253. Odlot bocianów 255. Jaskółka 259. Przywiązanie jaskółki do człowieka 261. Słowik 264. O sikorach 267. Szpak 269. Zięba 271. Ptaki drapieżne 274. Sowa 276. Motyle 277. Pszczoła 278. Z życia mrówki 281. Jedwab 283. Babie lato 285. Mali robotnicy 286. Gąbka 288. Poranek wiosenny 290. Wieczór letni 293. Pora jesienna 295. Zima 297. Praca listków 298. Pożytek drzew owocowych 301. Dąb 305. Sosna, jodła, świerk, modrzew 306. Wierzba, brzoza, lipa 307. Jesienna wycieczka do lasu 309. Suknia roślinna 312. Palma daktylowa 313. Wisła 315. Woda, chmury i deszcz 317. O dawnych materiałach do pisania 319. Nie masz rzeczy nieużytecznej na świecie 320. Światło i słońce 323. Co to jest powietrze 325. Głos 327. Wiatr 329. Mgła 330. Jak powstaje rosa, szron, zamróz, gołoledź 331. Śnieg, krupki i grad 332. Człowiek i zmysły 333.

## P O E Z Y A.

### a) Wiersze treści religijnej.

Z Bogiem 5. Do Boga 5. Modlitwa za rodziców 47. Chrystus i dzieci 52. Księga ziemi i nieba 75. Kolęda 97. Na cześć Boga-Rodzici 99. Przenajświętsza Rodzina 203. O dobrodziejstwach Boga 322. Cześć Panu 336. Modlitwa 339. Anioł Pański 342. Żłobek Dzieciątka Jezus 344. Modlitwa w wieczór letni 345.

### b) Bajki.

Owieczka 11. Zając i jego przyjaciele 66. Dziad i baba 198. Wyżeł i brytan 222. Osieł i Jacek 226. Lew, niedźwiedź i komar 231. Lis i kozieł 239. Lew i owieczka 242. Lew i zwierzęta 248. Małpa w kąpieli 251. Wilczek 252. Dzieci, ropucha i osieł 254. Ptaszek i rybka 260. Dudek, czyżyk i słowik 264. Ptaszki w klatce 344. Mądry i głupi 344. Człowiek i zdrowie 344. Pan i pies 344. Dwa żółwie 345. Jodła i jabłko 345. Chciwość osła 345. Lew i mysz 345.



Wiewiórka i orzeszek 346. Myszka, kot i kogut 346. Osieł 348. Lis i osieł 348. Chłop i cielę 348. Kulawy i ślepy 349. Sknera 349. Wolność Tomku w swoim domku 350.

### *Zagadki 10.*

#### *c) Wiersze dydaktyczno-moralne.*

Zamiary Stasia 6. Kogo kochać 13. Jedno nakrycie 15. Jak kochać matkę 17. Jaś 21. Niezręczna wymówka 22. Jutro 24. Kto raz skłamię, temu drugi raz nie wierzą 26. Rozmowa o zimie 32. Kruk z dzwonkiem 35. Dobre rady 37. Dom rodzicielski 40. Zima się zbliża 44. Szanuj starszych 49. Kolaska 59. Żydek 62. Przeworność 63. Macierzyńskie napomnienie 65. Praca 77. Cudze chwalicie 82. Nadziei nie trzeba tracić 174. Wiosenna modlitwa ptaszków 273. Ul 281. U okienka 284. Gruszka 349. Wieśniak 351.

#### *d) Ustępy liryczne.*

Dziewczę na jagodach 19. Gdzie ja znajdę 29. Wioska 42. Chata ojczysta 50. Pastuszek 72. Mazur 81. Roześmiała mi się dusza 83. Ptaszyna 86. Nasze kwiaty 93. Krakowiaczek 111. Pieśń żniwiarska 113. Jak to na góralach 115. O Warszawie 123. Rycerze 170. Kurpie 178. Dziecięce lata 186. Do konika 216. Bociany 258. Skowronek 266. Wróbel 268. Wiosna 289. Letni poranek 292. Lato 294. Jesień 296. Wśród zimy 297. W lesie 304. Dwa dęby 306. Wisła 316. Do słonka 324. Dzień dobry 326. Pieśń góralska 352. Wrzesień 352. Na śniegu 353.

#### *e) Legendy i śpiewy historyczne.*

Żebrek 66. Pacholę na grzybach 90. Grosz wdowi 106. Postrzyżyny u Piasta 140. Chrobry 144. Posel Lacki 147. Kazimierz Wielki 149. O Floryanie Szarym 155. Śmierć Czarnieckiego 159. Kartka z raptularza 164. Święty Izidor 190. Jałmużna 207.

#### *f) Ustępy epickie.*

Przygody odważnego Czesia 8. Stefek Burczymucha 9. Powrót taty 56. Dwóch szlachecki 103. Groty Ojcowskie 118. Koncert myśliwski 219. Młoda gosposia wiejska 257. Zachód słońca na wsi 300. Nasze drzewa 302. Burza 309. Grzybobranie 311.

---